

Jędrzej Burszta
Zuzanna Grębecka

LEGNICA

LEGNICA

LEGNICA

LEGNICA

LEGNICA

**MÓWIONO „DRUGA MOSKWA”
WSPOMNIENIA LEGNICZAN**

MÓWIONO „DRUGA MOSKWA”

Jędrzej Burszta
Zuzanna Grębecka

MÓWIONO „DRUGA MOSKWA”

Wspomnienia legniczan o stacjonowaniu
wojsk radzieckich w latach 1945-1993

Źródła etnograficzne

Kraków 2015

Seria „Wschód – Zachód – Konfrontacje”

Rada serii

*dr Magdalena Bogusławska, prof. dr Douglas Clayton, prof. dr hab. Jurij Domanskij,
dr Zuzanna Grębecka, prof. dr hab. Andrzej de Lazari, dr Elżbieta Przybył-Sadowska,
dr hab. Jakub Sadowski, prof. dr hab. Wiktor Skrunda, prof. dr hab. Aleksander Wirpsza
(Leszek Szaruga), prof. dr hab. Wasilij Szczukin, dr hab. Dorota Urbanek*

Recenzenci

prof. dr hab. Roch Sulima, dr Wojciech Kondusza

Konsultacja miejscowych realiów

Bartłomiej Rodak

Projekt okładki

Zofia Kuligowska

Redakcja, korekta i skład

Marcin Czajkowski

Opracowanie indeksów

Zuzanna Grębecka

Fotografia na okładce

Marcin Czajkowski

Fotografie w książce

Wincenty Kołodziejski

© Copyright by Wydawnictwo LIBRON
Kraków 2015

ISBN 978-83-65148-10-0

Wydawnictwo LIBRON – Filip Lohner
al. Daszyńskiego 21/13
31-537 Kraków
tel. 12 628 05 12
e-mail: office@libron.pl
www.libron.pl



SPIS TREŚCI

Wstęp	
<i>Dla was ci Ruscy to jest pewnie taka zupełna egzotyka, nie?</i>	7
Rozdział 1	
<i>Nie wiem, czy ktoś wam odpowie jednoznacznie</i>	15
Rozdział 2	
<i>Panie, będziesz miał pokrowiec na traktor</i>	47
Rozdział 3	
<i>Te słowiańskie nacje to były piękne kobiety</i>	71
Rozdział 4	
<i>Mysimy te gwiazdki różne zbierali do wariacji</i>	95
Rozdział 5	
<i>Nie codziennie Ruski mi helikopterem macha</i>	127
Rozdział 6	
<i>Nikt nie gra, nikt nie maszeruje – żołdatów niet, dziewczuszek niet</i>	161
Posłowie	
Grzegorz Godlewski, <i>Praktyki antystrukturalne w „podzielonym mieście”</i>	187
Synopsis	193
РЕЗЮМЕ	196
Spis wywiadów	199
Indeksy	
Indeks osób	201
Indeks postaci fantastycznych, literackich i filmowych	205
Indeks nazw i przezwisk grup geograficznych, etnicznych i narodowych	206
Indeks nazw geograficznych i geopolitycznych	208
Indeks miejsc i instytucji w Legnicy	210
Indeks rzeczowy Małej Moskwy	213
Bibliografia	
Literatura przedmiotu	218
Przywoływana literatura piękna	222
Filmografia	223



fol. Wincenty Kotodziejski

Była to okupacja. Trzeba to stwierdzić, prawda. Drugą sprawą jest to, że ja na przykład bardzo chętnie bym spotkał tych swoich znajomych Rosjan, bardzo chętnie się z nimi spotkam, pogadam, wódeczkę wypiję, ale niemniej nie chciałbym mieć z powrotem Rosjan tutaj, nie. Bo była to okupacja, było to uciążliwe dla miasta i tak dalej. Dlatego mówię, tu trzeba rozdzielić dwie warstwy, warstwę człowiek-człowiek i warstwę człowiek-system [2010.02.09/LG].

WSTĘP

Dla was ci Ruscy to jest pewnie taka zupełna egzotyka, nie?

Jak tu dawniej ludzie żyli?” to jedno z najbardziej oczywistych i podstawowych pytań organizujących badania etnograficzne, które ufundowane są zawsze na dostrzeżeniu inności i różnicy (zarówno pod tropikalnymi palmami, jak i na własnym podwórku). Tak jest i w tym przypadku. Jak żyło się w polskim mieście, którego spore przestrzenie – np. spora część Tarninowa, willowej dzielnicy w centrum, funkcjonująca w czasach radzieckich pod nazwą Kwadrat – były przez kilkadziesiąt lat zamknięte dla Polaków? Gdzie ruch miejski zdeterminowany był przez potrzeby Armii Radzieckiej, gdzie codziennością stał się obcy język i mundury ościennego wojska na ulicach? Jaka była Legnica – Mała Moskwa – która, po zajęciu jej 9 lutego 1945 roku przez Armię Czerwoną, aż do 16 września 1993 roku miała status miasta garnizonowego, goszczącego (zgodnie z ówczesną nomenklaturą) Północną Grupę Wojsk Armii Radzieckiej. Te pytania stały się punktem wyjścia badań podjętych w lutym 2010 roku w ramach warsztatu etnograficznego w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, które następnie przez trzy lata od czerwca 2011 odbywały się też w ramach grantu Narodowego Centrum Nauki pt. „Legnica – pamięć podzielonego miasta” (NN109 1861 40). Podczas trwającego nadal projektu odbyło się do tej pory kilkanaście wyjazdów terenowych, w których uczestniczyło w sumie kilkadziesiąt osób. Z czasem spośród nich wyłoniło się ściśle grono stałych badaczy. Materialnym efektem badań jest ponad dwieście nagranych rozmów i notatek, a niematerialnym – przyjaźnie zawarte podczas przyjazdów do Legnicy i współpraca z lokalnymi instytucjami i organizacjami.

Zazwyczaj wynikiem końcowym eksploracji etnograficznych są publikacje – artykuły i monografie, których autorzy poddają interpretacji pozyskany materiał po to, by ukazać obraz rzeczywistości, w której uczestniczyli, i wyjaśnić dostrzeżone zjawiska. Zgromadzony materiał – wywiady, obserwacje, notatki, różnorakie artefakty – buduje wiedzę badacza, pozwalającą mu na konstrukcję owego obrazu, jednak w pracach pojawia się w stopniu znikomym wobec swej obfitości. Gros pozyskanych świadectw, w tym rozmów, trafia do archiwum, gdzie czeka – zazwyczaj w nieskończoność – na kolejnych etnografów zainteresowanych tematem. Zdarzają się oczywiście sytuacje powrotu do zarchiwizowanego materiału, jednak należą one do rzadkości.

Tymczasem te dokumenty mogą być bezcennym źródłem wiedzy, a zarazem interesującym świadectwem wydarzeń, zjawisk, miejsca i czasu. Postanowiliśmy zatem zaprezentować szerszemu gronu odbiorców – profesjonalistom i osobom zainteresowanym tematem – wybór fragmentów rozmów przeprowadzonych z mieszkańcami Legnicy podczas naszych wizyt w tym mieście. Nie są to źródła w sensie historycznym; czytelnik nie znajdzie tam wyłącznie potwierdzonych i udokumentowanych faktów z najnowszych dziejów miasta. Przeciwnie, wiele przytaczanych opowieści jest niekompletnych czy zgoła niezgodnych z prawdą. Osoby zainteresowane historycznym opisem relacji polsko-radzieckich w Legnicy w latach 1945-1993 odsyłamy przede wszystkim do monografii Wojciecha Konduszy *Mała Moskwa. Rzecz o radzieckiej Legnicy*¹ (na którą to książkę jako na źródło wiedzy o tamtych czasach często powoływali się też nasi rozmówcy) i do opracowania Joanny Lilli Świącik *Podwójnie strzeżeni. Armia Radziecka w Legnicy (1945-1993)*².

Obraz wyłaniający się z wybranych przez nas fragmentów daleki jest od obiektywności i jednoznaczności. Struktura niniejszej książki wynika również z podzielanego przez nas przekonania o wartości, jaką niesie ze sobą projekt antropologii polifonicznej, a więc taki rodzaj pisarstwa etnograficznego, który świadomie rezygnuje z autorytarnego głosu „autorytetu etnografa” na rzecz prezentacji możliwie szerokiego spektrum głosów samych informatorów. Naturalnie końcowy rezultat nadal pozostaje wynikiem pracy interpretacyjnej antropologa, na co zwracał uwagę James Clifford, pisząc że „cytaty zawsze są inscenizowane przez cytującego i służą zwykle jedynie za przykłady lub potwierdzające świadectwa”³. Mając zatem świadomość ograniczeń, jakie nakładają na powstały tekst osobiste uwarunkowania autorów, prezentujemy różne, często sprzeczne ze sobą, opinie, które dopełniają się, ale nie tworzą w prosty sposób spójnej całości. Jest to obraz również z tego powodu niekompletny, że uwzględniamy tylko polski punkt widzenia, nie przytaczając wspomnień strony radzieckiej. Dysponujemy co prawda również rozmowami z legniczaniekami pochodzenia radzieckiego i planujemy badania wśród byłych mieszkańców miasta, którzy należeli do Armii Radzieckiej, cywilnych służb pomocniczych lub ich rodzin, tu jednak prezentujemy wyłącznie wspomnienia strony polskiej.

Przy tym sami nie jesteśmy etnografami przezroczystymi – trudno takimi być w dzisiejszych ponowoczesnych czasach, kiedy tradycyjne paradygmaty antropologii uległy krytycznemu przewartościowaniu, zmieniając dynamikę badań terenowych i pozycję badacza i badaczki w relacji z eksplorowanymi światami. Nasze badania wpisują się przeto również w dyskursy etnografii nieprzezroczystej opisanej przez

¹ W. Kondusza, *Mała Moskwa. Rzecz o radzieckiej Legnicy*, I wydanie Legnica 2006, wydanie II rozszerzone, Legnica 2011.

² J. L. Świącik, *Podwójnie strzeżeni. Armia Radziecka w Legnicy (1945-1993)*, Wrocław 2010.

³ J. Clifford, *O autorytecie etnograficznym*, przeł. J. Iracka, S. Sikora, w: tegoż, *Kłopoty z kulturą. Dwudziestowieczna etnografia, literatura i sztuka*, Warszawa 2000, s. 59.

Joannę Tokarską-Bakir. Etnografii nacechowanej relatywistyczną wrażliwością, która domaga się kierowania uwagi etnografów ku rzeczywistości codziennej, i w niej doszukiwania się inności, kwestionując pozornie zrozumiałe kategorie kulturowe, a równocześnie zdając sobie sprawę z własnych przesądów i w pełni świadomie konfrontując się z obcością nas samych⁴.

Chociaż staraliśmy się zaprezentować zróżnicowane i zindywidualizowane punkty widzenia rozmówców, to my pozostajemy autorami tego wyboru i jest on podporządkowany naszym przekonaniom. A właściwie przede wszystkim jednemu przekonaniu, które zrodziło się w nas podczas pobytów w Legnicy i obcowania z jej mieszkańcami. Jest to przesłanie będące najbardziej osobistym wynikiem badań, przesłanie o charakterze uniwersalnym. Choć realia polityczne, działanie systemów i ideologie starają się nierządkiem dzielić ludzi, choć buduje się mury i ustawia strażników, ostatecznie możliwe jest porozumienie, współpraca, a nawet przyjaźń. Wielu ludzi, bez względu na pochodzenie czy wykształcenie, jest w stanie dostrzec różnicę między człowiekiem a systemem, zobaczyć w Obcym kogoś podobnego do nas. Oczywiście nie próbujemy posługiwać się tu wielkim kwantyfikatorem – nie każdy, nie zawsze i nie wszędzie jest zdolny czy chętny do takiej refleksji. Ale czasem jednak tak. I to też staramy się ukazać w tej publikacji.



Nie do nas należy pamięć i nie do nas należy opowieść. My jesteśmy tylko ich depozytariuszami. Specyfika badań etnograficznych determinuje nie tylko właściwości wytworzonego w ten sposób materiału, odmiennego od źródeł zastanych, historycznych, ale wpływa również na sposób postrzegania narracji o mieście wyłaniającej się z mozaiki różnorodnych wypowiedzi. Zebrane w niniejszym tomie fragmenty rozmów przypominają skrawki wiedzy⁵, często prezentowane w formie anegdot bądź opinii, nieodmiennie naznaczone indywidualnym rysem rozmówców – osobistymi przeżyciami, poglądami politycznymi, wychowaniem, doświadczeniem czy historią rodzinną. Jako gatunek literacki narracja antropologiczna zanurzona jest w strukturach wiążących to, czego doświadcza etnograf, z opowieściami naszych rozmówców, i nieodmiennie są to struktury władzy. Niemniej, na co zwraca uwagę Edward M. Bruner, „opowieści są wspólne”, a etnografa i informatora ostatecznie łączy ta sama narracja – pozostają oni „współkonspiratorami w dialektycznym procesie symbolicznym”⁶. Wybrane przez nas fragmenty pokazują również aktywną rolę struktur

⁴ J. Tokarska-Bakir, *Dalsze losy syna marnotrawnego. Projekt etnografii nieprzezroczystej*, „Polska Sztuka Ludowa. Konteksty” 1995, R. 49, nr 1.

⁵ Zob. Z. Grębecka, *Legnickie strzępki, czyli etnograf na śmietniku historii*, „Mówią Wieki” 2012, nr 3.

⁶ E. M. Bruner, *Etnografia jako narracja*, w: *Antropologia doświadczenia*, red. V. W. Turner, E. M. Bruner, przeł. E. Klekot, A. Szurek, Kraków 2011.

pamiętania, które organizują wspomnienia poszczególnych osób, wpływając na ich treść i formę. To, co interesuje nas jako badaczy, to nie tylko to *co* jest pamiętane, ale przede wszystkim *jak* jest pamiętane. Sytuacja wywiadu etnograficznego staje się przeto po części uczestnictwem w procesie przypominania, odtwarzania pamięci o przeszłości miasta, z jednej strony zanurzonym w teraźniejszości Legnicy, która stanowi zawsze punkt wyjścia rozmowy, a z drugiej nieodmiennie naznaczonym urywkowością, niekompletnością czy też po prostu niekompatybilnością tego, co umyka pamięci.

Jako badacze sytuujemy się poniekąd w pozycji obserwatorów owych zmagania z pamięcią, które stają się źródłem wiedzy etnograficznej, rozumianej w duchu projektu antropologii interpretatywnej Clifforda Geertza. W tym sensie każdy przeprowadzany przez nas wywiad jest równocześnie obserwacją uczestniczącą. W zebranych w niniejszej publikacji fragmentarycznych narracjach o codzienności Małej Moskwy, surowym i nieobrobionym materiale, poszukujemy struktur znaczenia, „opisu gęstego” ujawniającego kulturowe znaczenie pozornie nic nie znaczących uwag, historii, rzuconych mimochodem komentarzy. Konstruując obraz Legnicy z przeszłości, miasta pamiętanego i wyobrażanego, próbujemy odczytać materiał przyjmujący formę Geertzowskiego metaforycznego „manuskryptu napisanego w obcym języku, wypłowiałego, pełnego opuszczeń, niespójności, podejrzanych poprawek i tendencyjnych komentarzy”⁷. Próba antropologicznego odczytania siłą rzeczy pozostaje otwarta na dalsze i głębsze interpretacje materiału. Komentarze do prezentowanego materiału z natury rzeczy pozostają wybiórcze, skupiają się tylko na tych kontekstach, które wydają się nam najbardziej istotne i wartościowe poznawczo.

Nasze legnickie badania mieszczą się w nurcie antropologii komunizmu, tym samym wpisując się po części w antropologię polityki i antropologię historyczną⁸. Bardzo wyraźnie na ich kształt wpłynął też projekt antropologii codzienności sformułowany przez Rocha Sulimę⁹, co wiąże się ze specyfiką samej tematyki badań. Dubravka Ugresić pisze: „to właśnie kultura codzienności (a nie państwo czy system polityczny) jest źródłem nostalgii, jeśli w ogóle coś takiego w danym momencie istnieje. Nostalgia jest bowiem sprawą serca. Jak muzyka”¹⁰. Słowa te dobrze oddają wrażenia, jakie odnieśliśmy w wyniku rozmów z legniczanami.

⁷ C. Geertz, *Interpretacja kultur. Wybrane eseje*, przeł. M. M. Piechaczek, Kraków 2005, s. 25.

⁸ Por. Z. Grębecka, *O potrzebie antropologii komunizmu*, w: *Sploty kultury*, red. N. Dołowy-Rybińska, A. Gronowska, A. Karpowicz, I. Piotrowski, P. Rodak, Warszawa 2009; teźże, *Między swojskością a obcością - antropologia komunizmu wśród subdyscyplin antropologii kulturowej*, w: *Nowe drogi antropologii*, red. P. Łuczeczko, Gdańsk 2015 (w druku).

⁹ R. Sulima, *Antropologia codzienności*, Kraków 2000.

¹⁰ D. Ugresić, *Konfiskata pamięci*, w: *Nostalgia. Eseje o tęsknocie za komunizmem*, red. F. Modrzejewski, M. Sznajderman, Wołowiec 2002. Cytat za stroną <http://www.czarne.com.pl/katalog/ksiazki/nostalgia> [dostęp 12.07.2013].



Założeniem niniejszej publikacji jest przekrojowe ukazanie wspomnień z czasów radzieckiej Legnicy. Pewne tematy, które dotyczą przede wszystkim współczesnej recepcji pozostałości poradzieckich, praktycznie pomijamy. Dotyczy to szczególnie obfitej dyskusji wokół stojącego na pl. Słowiańskim Pomnika Wdzięczności dla Armii Radzieckiej (został wprawdzie przemianowany w latach osiemdziesiątych na Pomnik Braterstwa Broni¹¹, jednak do dziś funkcjonuje głównie pod pierwotną nazwą, choć bywa też na przykład nazywany „pomnikiem przyjaźni”). Jest to sprawa wymagająca osobnego potraktowania, tu została zaznaczona tylko jednym cytatem, o wydzwiku „propomnikowym”, mimo że zdajemy sobie sprawę, iż w mieście jest też duża grupa przeciwników tego monumentu.

Prezentację materiału zaczynamy od kwestii generalnych – ogólnych sądów o obywatelach Związku Radzieckiego, postrzegania ich jako Obcych w legnickim krajobrazie, stereotypów, jakimi posługują się legniczanie i ich refleksji związanych ze specyficzną sytuacją miasta. Drugi rozdział poświęcamy kontaktom handlowym w ich zróżnicowaniu – od zaopatrzenia Armii Radzieckiej po pokątny handel złotem. To sfera, która szczególnie wyraźnie uwidacznia się w zgromadzonym przez nas materiale i wpływa na ambiwalencję sądów rozmówców o radzieckiej Legnicy – mieście pod okupacją, ale dzięki temu dobrze prosperującym. Następnie prezentujemy materiały związane z kobietami i intymnością – obrazy radzieckich kobiet, wzajemne fascynacje, romanse i przyjaźnie. Kolejna część poświęcona jest dzieciom. Sporo naszych rozmówców, wspominając Małą Moskwę, wspomina równocześnie własne dzieciństwo. Prezentujemy opowieści o sympatiach i animozjach między dziećmi polskimi i radzieckimi, o utarczkach z żołnierzami, przekradaniu się na teren Kwadratu, smaku radzieckich cukierków. W rozdziale piątym pojawiają się tematy, z których każdy mógłby stanowić osobny rozdział: radzieckie leczenie, z którego korzystali także Polacy, polsko-radzieckie życie towarzyskie, świat knajp i restauracji, incydenty o charakterze kryminalnym i inne. W naszych zamierzeniach jest to rozdział najbardziej przekrojowy, prezentujący szerokie spektrum i różnorodność interakcji między obiema stronami. Książkę zamykają relacje z okresu wychodzenia obcych wojsk z Legnicy, a także refleksje o mieście bez „Ruskich” – którzy w pewnych okresach stanowili połowę jego mieszkańców.



Większość przyjętych przez nas rozwiązań edytorskich i redakcyjnych podporządkowana jest ogólnym założeniom publikacji. Dotyczy to między innymi wyboru

¹¹ Cz. Kowalak, *Pomniki i tablice pamiątkowe w Legnicy po II wojnie światowej*, „Szkice Legnickie”, 2007, t. XXVIII, s. 274.

wielkości czcionki dla prezentowanego materiału i komentarza. W większości publikacji materiał z badań cytowany jest w zapisie kursywą, często zmniejszoną czcionką. Owa zmniejszona czcionka wizualnie wskazuje na dominację etnografa w tekście – jego rozmówcy zostają sprowadzeni do roli wyimków, fragmentów podporządkowanych narracji badacza, pomniejszonych wobec etnograficznego komentarza zwanego tekstem głównym. W niniejszej publikacji to głos etnografa drukowany jest w mniejszym. We fragmentach wywiadów kursywą i pogrubieniem zaznaczamy pytania badaczy.

Rosyjskie zwroty, wyrażenia i fragmenty wypowiedzi nie zostały przez nas wyróżnione kursywą, co zwykło się robić w analogicznych wypadkach. W ustach naszych rozmówców, zwłaszcza gdy wspominają oni czasy radzieckie, stanowią one naturalny element wypowiedzi, funkcjonują na prawach cytatu w nie większym stopniu niż przytoczenia w języku polskim. W ogóle język legnickich wspomnień jest w znacznie większej mierze nasączony rusycyzmami, niż ma to miejsce w ogólnopolskiej normie. Słowa takie jak „sołdat”, „kamandir” czy „gruzawik” wtrącane są w sposób naturalny i oczywisty. Można byłoby pokusić się o uznanie tego za mechanizm analogiczny do charakterystycznego dla osób multilingwalnych zmieniania języka w zależności od omawianej sfery rzeczywistości.

Cytaty zachowujemy w niezredagowanej formie, z większością powtórzeń, przejęzczeń czy błędów gramatycznych (co dotyczy także wypowiedzi po rosyjsku). Przyjmujemy tu normę obowiązującą w pracach etnograficznych. Co prawda pewne fragmenty mogą przez to być ciężkie w lekturze, jednak materiał został zaprezentowany tu w formie takiej, jak w transkrypcjach przechowywanych w naszym archiwum, może zatem być wykorzystywany przez innych etnografów, antropologów kultury czy socjologów, do czego zachęcamy.

Jako że stacjonujące w Legnicy wojska i służby cywilne składały się z przedstawicieli wielu narodowości żyjących na terenie Związku Radzieckiego, nie używamy w stosunku do nich określenia „Rosjanie”, tylko „obywatele Związku Radzieckiego”, „radzieccy legniczanie” lub „»Ruscy«” – to ostatnie opatrzone cudzysłowem, jako że w języku polskim ma wydźwięk pejoratywny. Z tego samego powodu bardzo rzadko używamy terminu „Sowieci”. Natomiast w przytaczanych wypowiedziach legniczan określenia te pozostawiamy bez cudzysłowu, chyba że wyraźnie chodzi o samą nazwę, a nie jej desygnat.

Zgodnie z etnograficznymi standardami wykorzystania wypowiedzi rozmówców, staramy się dbać o ich anonimowość. W tekstach nie pojawiają się żadne nazwiska (z wyjątkiem pospolitych nazwisk rosyjskich), rzadko podajemy imiona i szczegóły, które mogłyby wskazywać na daną osobę. Oczywiście sami rozmówcy rozpoznają zapewne siebie w przynajmniej części cytatów, a jeśli jakieś charakterystyczne historie opowiadali oni szerszemu gronu znajomych, a nie tylko badaczom z naszego zespołu, rozpoznają je także ich znajomi.

★ ★ ★

Dziękujemy przede wszystkim naszym rozmówcom i legnickim przyjaciołom za zaufanie i cierpliwość, którymi nas obdarzyli.

Szczególne podziękowania kierujemy do Bartka Rodaka za udzielenie nam konsultacji w sprawie realiów legnickich i do pana Wincentego Kołodziejskiego za pozwolenie na wykorzystanie jego zdjęć.

Dziękujemy oczywiście najbliższym współpracownikom: Marcinowi Czajkowskiemu, Mai Dobiasz, Annie Gańko, Marii Kowalewskiej, Marcinowi Krassowskiemu i Annie Migdał. Są oni współautorami tej książki – wiele pojawiających się w niej refleksji zrodziło się podczas wspólnych rozmów.

Dziękujemy pozostałym uczestnikom badań, z których materiałów korzystamy i z którymi dzieliliśmy etnograficzne wzloty i upadki.

Dziękujemy wreszcie tym wszystkim, którzy podchwycili i zrozumieli nasz zapał badawczy, kibicując naszym działaniom i wspierając je.

Legnica – Warszawa, lipiec 2013



fot. Wincenty Kotodziejski

Jak ja tu przyjechałam, jak zobaczyłam tych Rosjan, mówię: „Matko, gdzie ja tu przyjechałam, co to za miasto?!”. Pojechałam do ojca i mówię: „Tato, będę pracować w Legnicy”. On mi mówi: „Matko jedyna, tam sami Ruscy!”. Ja oczywiście nie miałam świadomości, że tyle Rosjan jest, słuchajcie, naprawdę. Bo ja widziałam więcej Rosjan niż Polaków na ulicy [2012.07.01/LG].

ROZDZIAŁ I

Nie wiem, czy ktoś wam odpowie jednoznacznie

Jaki był właściwie stosunek legniczian do stacjonujących w mieście wojsk radzieckich, do służby cywilnej, do spotykanych na ulicy i w bliższych kontaktach obywateli Związku Radzieckiego? Jakie były o nich opinie, jakie emocje wzbudzali? Takie pytania padają czasem z ust dziennikarzy, nowych uczestników badań lub naszych znajomych zainteresowanych legnickimi doświadczeniami. Z tymi pytaniami przyjechaliśmy pierwszy raz do miasta. Czy po prawie czterech latach badań potrafimy dać jednoznaczną odpowiedź? Chyba nie. Ten rozdział jest zbiorem wielu głosów układających się w mozaikowy obraz stanowisk i sądów, z których każdy reprezentuje subiektywną prawdę o tamtych czasach i tamtych stosunkach.

★ ★ ★

Ach, jak obejrzałam film *Mała Moskwa*, odświeżył mi się kontakt z moją koleżanką ze szkolnej ławy i tam jej opowiedziałam o tym filmie, i tak dalej, a ona też zainteresowała się i mówi do mnie tak: „Aniu, czy my były... mieszkałyśmy w getcie?”. Wstrząsnęto mną to, bo to tak wyglądało, jakbyśmy... to właściwie oni za murami, prawda? Ale mury są po jednej i po drugiej stronie, prawda? Czyli kto tutaj mieszkał w getcie? Czy oni, czy my? Prawda? Bardzo problematyczne, prawda? [2010.02.31/LG]

★ ★ ★

Teraz to się mówi „Mała Moskwa”, ja wtedy pamiętam, że się mówiło w ogóle: „To jest Moskwa”. I nie wiadomo było, czy to my mieszkamy u Ruskich, czy Rosjanie mieszkali u nas. Bo jak wtedy szacowano, to mniej więcej ludność była pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Dokładnej ludności wojsk radzieckich się nie znało, bo przecież oni przyjeżdżali całymi rodzinami. Natomiast mówiono, że Polaków jest około sześćdziesięciu tysięcy. Ich prawdopodobnie na tamten czas, jak ja pamiętam, mówiono, że było osiemdziesiąt tysięcy, ale dokładnie nie wiadomo [2010.03.03/LG].

Legnica, ze względu na swoją pozycję na ówczesnej mapie politycznej, liczebność garnizonu, a także infrastrukturę – jak szpitale, sklepy, zakłady produkcyjne, szkoły, kino, teatr, linia autobusowa – oraz obecność rodzin oficerskich i służb cywilnych nazywana była drugą Moskwą, polską Moskwą, a najczęściej małą Moskwą. Ta ostatnia nazwa z czasem stała się wręcz nazwą własną. Pod nią miasto funkcjonowało przez kilka dekad w powszechnej świadomości, w sztuce filmowej (*Mała Moskwa*, reż. Waldemar Krzystek, Polska 2008) i w literaturze naukowej (Wojciech

Kondusza, *Mała Moskwa. Rzecz o radzieckiej Legnicy*, Legnica 2006, drugie wydanie 2011). Po sukcesie filmu w Legnicy otwarto również serwującą dania kuchni rosyjskiej restaurację „Mała Moskwa”, na ścianach której wiszą fotosy z filmu Krzystka autorstwa Grzegorza Spały.

Charakterystyczne jest też szacowanie liczby radzieckich mieszkańców miasta – rozmówcy podają wielkości rozstrzelone o dziesiątki tysięcy i różne proporcje, najczęściej pół na pół lub jedna trzecia (garnizon) do dwóch trzecich (Polacy). Wynikać to może z niejasności, czy chodzi o tych, którzy stacjonowali w obrębie samego miasta, czy również o mieszkańców koszar znajdujących się w podlegnickich lasach. Ponadto dokładna liczba obywateli Związku Radzieckiego przebywających tak w mieście, jak i jego okolicach, nie była znana stronie polskiej, a co więcej, ulegała zmianie w ciągu lat. Pojawiały się dane szacunkowe, określane na podstawie różnych przesłanek, np. ilości mleka zamawianego w legnickiej mleczarni. W efekcie podawane przez rozmówców dane liczbowe mówią przede wszystkim o przekonaniu, że „Ruskich” było bardzo wielu, zarówno w stosunku do ludności polskiej, jak i w wartościach bezwzględnych. Stąd – a także ze względu na specyficzną sytuację polityczno-prawną – sugestia nieoczywistości, kto właściwie jest gospodarzem miasta.

P: No, sowiecki Watykan w Legnicy, hehe!

S: Legnica to była taką drugą stolicą Rosji [2012.03.11/LG].

Tak, że Legnica miała swoją sławę. Zawsze mówili: „Legnica to stolica”, Ruskie [2011.04.10/LG].

Nazwa „sowiecki Watykan” jest szczególnie interesująca; poprzez religijny kontekst wpisuje się w nurt interpretacji komunizmu kaążących w nim widzieć erzac-religię, quasi-religię czy system religiopodobny¹. Istotne jest tu przywoływanie swoistej stołeczności Legnicy, które może służyć nobilitacji miasta, podkreśleniu jego istotnej roli w zimnowojennym świecie.

Rosjanie nigdy nie stanowili tu mniejszości, w tym znaczeniu takim, w jakim tu mówimy, bo po prostu stacjonowali tutaj, jak gdyby Legnica była eksterytorialna, bo jedna trzecia miasta należała do nich, to oni to traktowali jako swój teren, a nie jako mniejszość, jakoś, prawda. Przez to patrzymy, że to było takie rosyjskie miasto, stąd to określenie „Mała Moskwa”, prawda. Jest tak i w zasadzie i napisy, i te rampy kolejowe, i inne te elementy infrastruktury były tylko ich, więc, dlatego mówi się o tej rosyjskości [2010.02.07/LG].

Dość często, gdy mowa o wielokulturowości Legnicy, wymienia się jednym tchem Ukraińców, Łemków, Żydów, Niemców, Rosjan, Greków i Macedończyków. To obraz uproszczony, jako że każda z grup miała oddzielną historię przybycia do miasta, stanowiącą w pewnej mierze o jej specyfice i sytuacji społecznej. W największym stopniu dotyczy to „Rosjan” – a właściwie obywateli

¹ O religiopodobnym charakterze komunizmu pisało wielu myślicieli i badaczy, por. np. M. Bierdiajew, *Marksizm i religia*, brak tłumacza, Poznań 1984; tegoż, *Rosyjska idea*, przeł. JC-SW, Warszawa 1987; L. A. Andriejewa, *Religija i własť w Rosiji. Religioznye i kwazireligioznye doktryny kak sposob legitimizacji političeskoj własťi w Rosiji*, Moskwa 2001; M. Kula, *Religiopodobny komunizm*, Kraków 2003; R. Kupiecki, *„Natchnienie milionów”. Kult Józefa Stalina w Polsce 1944-1956*, Warszawa 1993; A. Zwołński, *Wobec komunizmu*, Kraków 1996.

Związku Radzieckiego różnych narodowości – których status był całkiem odmienny od pozostałych grup. Odzwierciedlało się to w prawodawstwie, ale i miało swój wyraz przestrzenno-wizualny, jak wydzielone obszary, inskrypcje, strój. W zasadzie o mniejszości rosyjskiej można mówić na dobre od 1993 roku, gdy pojawiła się społeczność tych, którzy pozostali w Legnicy lub do niej wrócili.

Zawsze mówili: „Czy ty to z tej naszej Moskwy przyjechałaś?”. Z polskiej Moskwy, bo tak wtedy u nas się przynajmniej mówiło, „polska Moskwa”. I pamiętam właśnie, że te nasze typowe ruskie pierogi, które zawsze, to teraz my mówimy ruskie, ale kiedyś w Legnicy, ja chodziłam bardzo często do baru, na właśnie pierogi ruskie, bo to taka moja ulubiona potrawa. Był moment, to był chyba sześćdziesiąty ósmy rok, kiedy ruskie zmieniły się w legnickie dlatego, że Rosjanie byli oburzeni jak kelnerka zza lady wołała: „Dwa razy ruskie, trzy razy ruskie!”. I Rosjanie się wtedy oburzali. Oni chodzili do tych samych barów, oni się burzyli, że coś takiego jest, że pierogi nazywane są ruskie i uważali, że to ich obraża, w związku z tym pierogi zostały zmienione na legnickie. To taka była głupota, no ale tak było [2010.03.03/LG].

W historii tej można odczytać przewrażliwienie i brak poczucia humoru – sieriozność – wojskowych radzieckich. O pierogach legnickich wspomina wiele osób, które odwiedzały Małą Moskwę, m.in. Wojciech Mann. Obecnie figurują w menu niektórych lokali jako wariant ruskich pierogów, np. z dodatkiem żółtego sera.

Ciekawe, że przemianowanie pierogów w Legnicy zostało w cytowanej wyżej wypowiedzi dookreślone czasowo przez rozmówcę w bardzo znaczący sposób. 1968 rok to data nieobojętna, może przywołać kontekst wydarzeń historyczno-politycznych, zwłaszcza że operacja „Dunaj” – interwencja wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w sierpniu i wrześniu 1968 roku – wiązała się silnie z Legnicą, skąd wyruszała część wojsk i gdzie (najprawdopodobniej) zapadły rozkazy o jej rozpoczęciu.

Warto zauważyć, że nazwa „pierogi ruskie” pojawiała się w licznych dowcipach i żartach wymierzonych w Związek Radziecki, jak np. dopytywanie się studentów w barach mlecznych na przełomie 1979 i 1980 roku: „Czy są ruskie w Kabulu?”.

No niemniej jednak, niemniej jednak, co by nie mówić, to to dla nich Polska była swoistego rodzaju wtedy katharsis, bo właściwie no cóż, no gdzie jeszcze ewentualnie mogli pojechać? Mogli być w NRD, ale w NRD byli całkowicie skoszarowani, tam nie było ewentualnie takiej wolności, prawda, jak w Polsce. Mogli być na Węgrzech, ale na Węgrzech z kolei nie byli tak tolerowani, jak u nas, prawda. No, nie mówiąc ewentualnie o Bułgarii, czy ewentualnie o Rumunii, bo tam to już, prawda, w tym wypadku czuli się jak u siebie. Ale to był też czas, kiedy właściwie tamte kraje były no uży... rzeźbłbym, użyłbym takiego sformułowania, nieco niżej w formule, w tym wypadku, świadomości politycznej i negacji akurat systemu, prawda, tak jak u nas [2011.11.06/LG].

Jakby nie było jedna trzecia mieszkańców to byli Rosjanie, więc kiedyś na siedemdziesiąt tysięcy mieszkańców dwadzieścia – trzydzieści tysięcy to byli Rosjanie. Oczywiście dużo żołnierzy, ale też ich rodzin, ale też tych mieszkających tu na stałe,

oni tu mieli zesłania, że tak powiem, dobre zesłania, bo im tu było lepiej niż tam. Na pięć, siedem lat przyjeżdżali i sobie tutaj żyli spokojnie [2010.05.10/LG].

Znów pojawia się szacowanie liczebności radzieckich legniczan. Ważne wydaje się też określenie „dobre zesłanie” – rozmówca syntetycznie ujmuje tu dwie pozornie sprzeczne kwestie dotyczące pobytu Armii Radzieckiej i służb pomocniczych w mieście. Z jednej strony pobyt był – przynajmniej częściowo – przymusowy; szczególne w przypadku wojskowych wiązał się z rozkazem i oddelegowaniem. Choć wiele osób starało się o taki właśnie przydział, nie wszyscy byli nim zachwyceni, np. gdy otrzymywali go zamiast skierowania do NRD. Z drugiej strony służba w Legnicy była zarówno pod względem finansowym, jak i cywilizacyjnym bardzo atrakcyjna. Sformułowanie „dobre zesłanie” trafnie oddaje tę dwuznaczność, jest też odwołaniem do historycznych doświadczeń Polaków w kontaktach z imperium rosyjskim w różnych jego wcieleniach, a więc doświadczeń przesiedlania czy zsyłania z różnych powodów jednostek i grup społecznych.

Każda ulica była zakończona wielkimi koszarami i to miało się wrażenie, że jesteśmy wszyscy otoczeni przez Rosjan, bo jakby się nie patrzyło, kierunek Wrocław, kierunek Złotoryja, kierunek Chojnów, wszędzie były jednostki radzieckie. Bardzo duże jednostki radzieckie [2010.03.03/LG].

To było tak, że bywały strefy zamknięte, prawda, otoczone murem. Oni zresztą te mury malowali w taki specjalny sposób, szczególnie bramy, które z daleka miały dawać wrażenie takich kolców [*demonstruje*]. Po prostu Kwadrat był pomalowany na biało-szaro-i-czarno w trójkąty, z daleka wie pan wydawały się takimi kolcami. Pewnie miało to budować jakieś takie właśnie zagrożenie, czy tam lepiej się nie zbliżać... [2010.03.01/LG].

Wie pani co, jak się przeprowadziliśmy do Legnicy, to miałem sześć – siedem lat. I właśnie pamiętam jeszcze tylko te strażnice, które stały na rogach, czy tam zablokowane ulice właśnie takimi murami, kratami [2012.03.10/LG].

To było takie martwe miasto wtedy, martwe jak twierdza [2010.03.01/LG].

Miasto-twierdza. Radziecka Legnica jawi się w tych fragmentach jako miejsce całkowicie zdominowane przez wojskowe przeznaczenie, miejsce odrutowane, okratowane. Jest to miasto-więzienie otoczone strażnicami. To obrazy odwołujące się do poetyki mówienia o okresie zaborów – noc Paskiewiczowska – i okupacji hitlerowskiej, budujące poczucie lęku i klaustrofobii. W świadomości niektórych mieszkańców Legnicy wojskowy charakter miasta determinował doświadczenie codziennego życia, ograniczając w sposób siłowy – czego symbolem dla części legniczan były kolory, którymi wojskowi malowali niektóre partie murów – swobodę przemieszczania się, jak również wpływał na stosunkową izolację miasta od reszty kraju.

Legnica już za czasów niemieckich była miastem garnizonowym, z dobrą infrastrukturą w postaci koszar i bunkrów, co zostało wykorzystane i rozbudowane przez Armię Czerwoną (w lutym 1946 roku przemianowaną na Armię Radziecką).

Tutaj te armie stały w lasach na tych poligonach, tak więc często nie można było wjechać, albo jakieś kolumny przejeżdżały wojskowe. I co jeszcze było takie uciążliwe? To lotnisko. Bo oni tutaj mieli, słuchajcie, samoloty transportowe potężne lądowały i posiadali tutaj eskadry ciężkich śmigłowców bojowych i lekkich. I oni z racji tego, że niedaleko granic zachodnich, cały czas musieli być w gotowości bojowej, prawda, bo zaraz uderzy w nas Zachód. To trzeba się bronić. Oni to paliwa nie żalowali tak jak w naszym lotnictwie, tam latali non stop. To było strach. Tak więc dzień czy noc, huk tych silników. Oni nie latali jednym, dwa. Tylko leciało kilkadziesiąt maszyn naraz. Oni ćwiczyli różne manewry. To tam chłopci z Bartoszowa mówią: „Ta panie, ta kury przestali nieść przez tych, co latali”. To było bardzo uciążliwe, i te ryczące silniki na tym lotnisku, tych samolotów transportowych [2010.12.08/LG].

Charakterystycznym – i uciążliwym – elementem pejzażu dźwiękowego Legnicy i okolic był huk silników samolotowych. Jego brak wspomina część mieszkańców jako jedno z ważniejszych wrażeń po wyjściu armii we wrześniu 1993 roku. Uderza przekonanie o ciągłej gotowości bojowej – a więc w pewnym sensie ciągłym zagrożeniu ze strony stacjonujących jednostek – a także rozrzutność, jeśli chodzi o zaopatrzenie („nie żalowali paliwa”). Analogiczne opowieści mówią o zużywaniu w dużych ilościach naboju. Zwraca też uwagę przytoczenie skarg bartoszkowskich chłopów – budowa wypowiedzi wskazuje na wysiedleńców z okolic Lwowa.

No, tak robiono infrastrukturę, że samoloty mogły się chować pod ziemię i były tylko gołe lotniska, nic więcej. Żadnych hangarów, żadnych torów kolejowych, nic. Jechał pociąg i zniknął. Nikt nie wiedział, gdzie. Teraz dopiero jak oni opuścili Legnicę, to można było zobaczyć. Miasto pod ziemią. I co jeszcze... W lasku Żłotoryjskim szpital. Prawdopodobnie ma poprowadzone tory podziemne z lasku Żłotoryjskiego na dworzec Główny [2012.03.11/LG].

Ale było rzeczywiście tak, że jak przywozili więźniów, to oni podziemnymi przejściami szli do sądu, teraz już tego nie ma. Tunelami przechodzili na rozprawę [2011.11.32/LG].

Legends miejskie czasów komunizmu mówią m.in. o moskiewskim „metrze-2” – tajnym systemie podziemnych torów pozwalającym na ewentualną ewakuację władz państwowych² – i o licznych tunelach pod Warszawą, łączących jakoby Pałac Kultury i Nauki z budynkiem Komitetu Centralnego PZPR u zbiegu al. Jerozolimskich i Nowego Świata lub dawną ambasadę ZSRR z Belwederem. Zazwyczaj legendy te wskazują na komunistycznych włodarzy jako na panów owych tuneli, a zatem ich władza to władza chthoniczna, podziemna, mroczna³ (w kulturze tradycyjnej podziemne przejścia i jaskinie prowadzą do dolnych zaświatów, a strzegą ich demoniczne postaci⁴). W przypadku opowieści o radzieckiej Legnicy wiedzą ta-

² Por. <http://www.metro.ru/metro2> [dostęp: 20.10.2014].

³ Por. Z. Grębecka, *Axis mundi i rany symboliczne*, w: *Pałac Kultury i Nauki: między ideologią a masową wyobraźnią*, red. Z. Grębecka, J. Sadowski, Kraków 2007, s. 142-146.

⁴ Por. M. Eliade, *Sacrum, mit, historia*, przeł. A. Tatarkiewicz, Warszawa 1974, s. 142-145; P. Kowalski, *Jaskinia*, w: tegoż, *Kultura magiczna. Omen, przesąd, znaczenie*, Warszawa 2007, s. 181-183.

jemną o podziemnym świecie – na który składają się jakoby tunele, bunkry, rozległe piwnice pod dworcem – dysponuje kasta tam uprzywilejowana, czyli radzieccy wojskowi. Tajemne przejście służące do transportu więźniów jest odpowiednikiem warszawskiej legendy o podziemnym korytarzu między gmachem KC a słynnym więzieniem przy ul. Rakowieckiej. Być może obraz tajnego transportowania więźniów jest podświadomym odwołaniem do utajnienia procesów politycznych i zapadających w nich wyroków.

Słuchajcie, Legnica jest miastem, gdzie Ruscy stali pół wieku i chyba tylko jedną osobę złapano za szpiegostwo. Odczytuje się to też jako porażkę naszych służb. Nie ma cudów, żeby tu nie było jakiegoś szpiega. Nie było cudów, ale byli takiej klasy... [2012.11.11/LG]

Ja przepraszam, bo tutaj bardzo ważne jest, jeżeli chodzi o te stosunki radziecko-polskie, no to jeżeli chodzi o politykę, to tak: władze Legnicy nie mogły same o niczym zadecydować. [...] Żeby czy wybudować, czy coś zrobić. Żadnej inicjatywy bez zezwolenia władz Armii Radzieckiej. Absolutnie. I takim przykładem jest choćby budowa... Bo ja miałem kolegę, który był później aż sekretarzem komitetu wojewódzkiego. [...] Z tym, że akurat ja jestem bez..., byłem zawsze bezpartyjny. No i... ale żeśmy się kolegowali na innym polu. I w związku z tym coś niecoś wiedziałem, bo pracowałem swego czasu jak gdyby po sąsiedzku i myśmy się spotykali w tym barku [...]. Myśmy sobie zawsze pogadali. I on mi kiedyś pokazuje takie piękne plany: „O – mówi – tu w Legnicy będzie wybudowana chłodnia z aluminium i szkła”. Pokazuje mi ten szkic, bardzo ładny, itd. [...] To była firma szwedzko-amerykańska, która miała to budować. I ci przyjechali tutaj już coś rozejrzeć się. Naraz dowiaduję się – nie ma nic: ani chłodni, ani nic, chłodnia została wybudowana, ale w Lubinie. A w Legnicy jak się Ruscy dowiedzieli, że tu będą Amerykanie, tak od razu zlikwidowali. Koniec [2010.02.31/LG].

Jedną z konsekwencji specyficznej roli Legnicy było, zdaniem niektórych rozmówców, nasycenie jej przedstawicielami służb specjalnych i wywiadów. Niemniej w historii miasta nie odnotowano żadnych wielkich afer czy procesów szpiegowskich, co w oczach legnicznan może świadczyć o doskonałości obcych służb wywiadowczych, a klęsce „naszych”, przy czym „naszych” może oznaczać tu zarówno służby polskie, jak i radzieckie. Lękiem przed agentami obcych wywiadów uzasadniano też niechęć strony radzieckiej wobec inwestycji realizowanych w mieście przez zagraniczne firmy. Historia niezrealizowanej wskutek radzieckiej interwencji inwestycji jest autentyczna⁵. Warto też zauważyć, że w efekcie nowoczesna chłodnia powstaje w Lubinie, z którym Legnica od dawna rywalizuje, co ma wpływ na wydźwięk tej historii – Legnica traci w porównaniu z Lubinem na pobycie wojsk radzieckich. Nie była to zresztą jedyna strata wynikająca ze stacjonowania w mieście wojsk radzieckich. Siedziba KGHM miała początkowo znajdować się w Legnicy, w gmachu Akademii Rycerskiej, jednak władze radzieckie zawetowały ten projekt.

★ ★ ★

Dla mnie to nie było jakąś taką zagadką, po prostu byli. Nigdy nie miałem w głowie pytania: „Tato, a co to za panowie”. Sobie chodzą, żołnierze też ludzie. Nigdy mnie to nie intrygowało [2010.02.05/LG].

⁵ W. Kondusza, *Mała Moskwa. Rzecz o radzieckiej Legnicy*, Legnica 2011, s. 100.

Zresztą to było naturalne, że oni tu byli. To jako dziecko, to właściwie nikt tutaj z mojego pokolenia i z podobnego, nie miał wątpliwości, oni tu są normalnym elementem. Od zawsze tu dla nas byli, są i pewnie będą. Nikt się nie zastanawiał [2010.02.10/LG].

Jak byłem młody, nie interesowało mnie, jak było tu na początku, za piłką się latało, a historia to... nie chcieliśmy wyrzucać Ruskich, byliśmy my i oni, to normalne. Życie dwóch narodów, jeden uprzywilejowany, ale jakoś to funkcjonuje [2011.11.31/LG].

O ile dla pierwszych powojennych mieszkańców Legnicy i późniejszych przyjezdnych „radzieckość” miasta była czymś, z czym trzeba było się oswoić (co zresztą nierzadko następowało bardzo szybko), o tyle dla urodzonych po wojnie rdzennych legniczan była to rzeczywistość zastana, a zatem oczywista, także w aspekcie różnic społecznych. Co więcej, owa rzeczywistość wydawała się niezmienna również w perspektywie przyszłości. Świadomość osobliwej sytuacji miasta pojawiała się wraz z edukacją historyczno-patriotyczną, prowadzoną zazwyczaj w domu rodzinnym.

Oczywiście sama ulica, więc obcość Rosjan na ulicach w uniformach wojskowych. [...] To była codzienność. To była codzienność, to dla nas młodych ludzi... Na przykład mieszkając na wsi... Tak naprawdę legniczaninem byłem w jakiś sposób mieszkając na wsi w podlegnickiej wiosce, bo na przykład wieś Komorniki, gdzie zostali przesiedleni, gdzie trafili moi rodzice, leżała, jak gdyby, w korytarzu powietrznym dla sowieckiej, dla sowieckich, radzieckich samolotów typu transportowych, kursujących regularnie na trasie Legnica – Moskwa, czy też eskadr śmigłowców, które latały tutaj cały czas na tym terenie, i te eskadry powiedzmy tutaj... Dla mnie widok eskadry kilkudziesięciu śmigłowców był widokiem codziennym, gdzieś tam powiedzmy krowy, które się pasaly, w cudzysłowie oczywiście, ale pamiętam te strejające wystrzały, huk [2010.05.08/LG].

Widać tu znów oczywistość tego, co powinno być osobliwym, jak przelot eskadry śmigłowców. Wrażenie robi też zestawienie wiejskiej sielanki obrazowanej przez krowy z manifestacją wojskowej techniki – wystrzały, huk samolotów – a także sielskiego spokoju ze stresującymi odgłosami. Rodzi się tu też pytanie, kto właściwie jest legniczaninem. Okazuje się, że w kontekście Małej Moskwy określenie to może dotyczyć nie tylko mieszkańców miasta, ale i tych mieszkańców regionu, którzy mieli bezpośrednie i częste kontakty z Armią Radziecką. Oznaczałoby to, że jest to określenie nie tyle wspólnoty administracyjno-geograficznej, co raczej wspólnoty doświadczenia.

★ ★ ★

Ale co pamiętam, myśmy mieli normalne już chyba kasy takie, no nie fiskalne, tylko takie bardziej już elektryczne, a u nich ogromne liczydło. Słuchajcie, jak oni na tych liczydłach liczyli. Zważała na przykład coś tam, no już nie mówię konkretną sztukę, cenę, ale wagę. Ona tą wagę tam z dekagramami, ciach zaraz tu cenę wbija, przerzuca tym tak szybko i tu zapisuje, zapisuje na tych krążkach, ile to było. Następną rzecz

dolicza do tego, jak kalkulatorem! Ja oczy zawsze stawiałam, jak ona się nie pomyli?! I faktycznie, liczyli dobrze na tym. To było dla mnie szokujące normalnie, bo u nas w sklepach tego nie było, żeby na takich liczydłach liczyć w ten sposób. Albo jak policzyła, to sobie gdzieś zapisała i następną rzecz, a ta nie! Wszystko po kolei jak z automatu. Wszystko to takie dziwne dla mnie [2010.02.12/LG].

Bez wątpienia obywatele Związku Radzieckiego byli w mieście obcy etnicznie i kulturowo. Już samo to – pomijając złożoną sytuację polityczną – wpływało na ambiwalentny do nich stosunek. Obcość fascynuje i drażni. W powyższym cytacie mamy wyraźnie do czynienia z dostrzeżeniem różnicy, zadziwieniem, ale o pozytywnym wydźwięku – widać tu podziw dla egzotycznej z polskiego punktu widzenia umiejętności biegłego liczenia na liczydłach, które nie stanowią przy tym dowodu na zacofanie ani nie dają asumptu do ośmieszania.

Więc zamiast tych zazdrostek były gazety typu „Prawda”, nie? I ta gazeta była wtedy najbardziej popularną gazetą, bo jak trzeba było ognisko rozpalić, to się kupowało „Prawdę” za pięć groszy, nie? A „Prawda” miała to do siebie, że ta czcionka była bardzo taka tłusta i zawijali przeważnie ryby smakosze piwa. Łowili ryby, jeździli tutaj na ryby i tą rybę później posypaną solą wieszali za ogon i właśnie nad tymi zazdrostkami. I ta ryba się suszyła i ta ryba nazywała się taranka i oni pod tą tarankę pili piwo. Więc coś co było słone, im to bardzo smakowało. A piwo wypijali skrzynkami, oni nie kupowali piwa na butelki, tylko na przykład zbierało się trzech, czterech sierżantów i kupowali trzy, cztery skrzynki i schodzili z tyłu, tam gdzie myśmy mieszkali na Głogowskiej, od strony garaży stawiali sobie te skrzyneczki, czapeczki, papieroska i na stojąco potrafili przez cztery, pięć godzin te wszystkie skrzynki obalić. I tak dzień w dzień. I pełno tylko było wszędzie kapsli [2010.02.08/LG].

Rosjanie, zawsze widać było od razu. Wchodziło się do knajpy, [...] rozłożoną gazetę, na gazecie te taranki i piwo pili, nie? I skubali to, nie? [2012.03.20/LG]

I znów widzimy etnograficzne wręcz zainteresowanie szczegółem życia Obcych i to w dziedzinie tak interesującej jak zwyczaje konsumpcyjne⁶. Tu zresztą, w tym, co pozornie bliskie i podobne, najłatwiej dostrzec różnicujące detale. Przypomina to obserwacje napowietrznych grup alkoholowych czynione przez Rocha Sulimę⁷. Podobnie jak w poprzednio komentowanym cytacie rozmówcy nie wartościują opisywanych zachowań, raczej dostrzegają egzotyczność Rosjan, pozornie przecież swoich braci Słowian, których dało się jednak odróżnić od polskich legnican: wystarczającą oznaką zdradzającą tożsamość bywalca knajpy była suszona taranka.

Tylko że są prawosławni, nie. Tak, że modlą się w prawą stronę, nie w lewą [śmiech]. Są tak samo religijni [2011.07.04/LG].

⁶ O tworzeniu przezwisk Obcych od zwyczajów gastronomicznych por. J. St. Bystron, *Megalomania narodowa*, Warszawa 1995, s. 102-103.

⁷ R. Sulima, *Semantyka libacji alkoholowej*, w: tegoż, *Antropologia codzienności*, Kraków 2000, s. 93-118.

Widać tu typowe rozpoznawanie odmiennych wyznań i religii po cechach najbardziej widocznych, w tym przypadku po gestach rytualnych. Rozmówca wskazuje na dialektykę podobieństwa i różnicy – „Ruscy” są religijni, „choć inaczej, to tak samo”. Rozmówca dokonuje generalizacji – prawosławie zostaje w tej wypowiedzi przypisane wszystkim obywatelom Związku Radzieckiego.

Małpi gaj – oni u siebie w Rosji mają zwyczaj, że tam całymi watahami, całymi rodzinami chodzą na łąkę. Piją, siedzą, jak mają wolne, nie? [...] A u nas pikniki nie były wtedy takie znane jak teraz, idzie się na grilla i tak dalej, a wtedy nie, my chodzili się nad rzekę opalać, kąpać, tego, a oni tam: tu kupka, tam kupka. No i my to nazwali małpi gaj, a jak się tam przychodziło, to nikt nie podchodził, bo jak Ruscy się napiją, no to co mogą zrobić... [...] Nawet nie podchodzili my do nich, bo tam z żonami, z dziećmi tam byli, to się nie podchodziło nawet [2012.03.22/LG].

Obserwacja odmienności kulturowej dotyczy tu specyfiki spędzania wolnego czasu, biesiadowania na wolnym powietrzu. „Małpi gaj” nadaje pozornie nieoceniającej wypowiedzi aspekt pejoratywny – obce zwyczaje nabierają wydźwięku zwierzęcego, ale i karykaturalnego (małpa jako nieudolny naśladowca człowieka)⁸. Dystans zachowywany wobec Obcych ma tu dwie wyeksplikowane przyczyny – lęk przed ewentualną agresją wzmoczoną alkoholem i rodzinność imprez. Być może oba aspekty się łączą – wobec swych rodzin „Ruscy” mogą chcieć popisać się brawurą lub po prostu bronić najbliższych przed polskimi zaczepkami.

A zapamiętałam, jeśli chodzi o zwyczaje, że oni mieli zwyczaj e... ciało zmarłego w otwartej trumnie przewozić przez miasto. I nie wiem właśnie, czy kiedyś nie widziałam pogrzebu tej Lidii, naprzeciwko mojego domu otworzyli tę bramę i wyjechała właśnie taka jakaś... taki jakiś odkryty samochód i na górze była otwarta trumna i pamiętam, że... jak wiatr rozwiewał włosy tej osoby. Nie wiem, czy to było lato czy zima, w każdym razie, że niesamowicie uroczyście się to odbywało i e... grała orkiestra wojskowa. Ale z kolei taką osobę, chyba że ze względu na żołnierzy na tą jej taką popularność może, w sumie nie wiem, czy ona była wtedy popularna, że oni chyba raczej pogrzebali ją po cichu, więc może to wcale nie była ona, ale jakaś młoda kobieta, może żona czyjaś, może córka... Tak, że dla nas to było takie zaskakująco nieprzyjemne doświadczenie, bo raczej no nieciekawy widok, prawda? U nas zazwyczaj się ogląda zwłoki tylko w kaplicy, w miejscu zamkniętym, a potem się już zamyka, a oni właśnie mają ten zwyczaj zupełnie inny [2010.02.01/LG].

Tu z kolei widzimy odmiennosc rytuałów pogrzebowych – rozmówczynie mówi wprost o „innym zwyczaju” – przy czym w odróżnieniu od wcześniejszych cytatów ta odmiennosc budzi niechęć, nie do końca wyartykułowane poczucie obrzydzenia, dyskomfort wynikający, jak sygnalizuje sama rozmówczynie, z odczuwanego dysonansu pomiędzy polskimi a rosyjskimi rytuałami pogrzebowymi.

⁸ O przekonaniu o zwierzęcej proveniencji Obcych por. J. St. Bystron, *Megalomania...*, s. 45-54, 104-105. Por. też Z. Benedyktowicz, *Portrety „obcego”. Od stereotypu do symbolu*, Kraków 2000; L. Stomma, *Antropologia kultury usi polskiej XIX wieku*, Warszawa 1986, s. 8-9, 11, 16, 20.

Zaobserwowany pogrzeb kobiety zostaje skojarzony z głośną, a pod koniec pierwszej dekady XXI wieku dodatkowo spopularyzowaną przez film *Mała Moskwa*, samobójczą śmiercią Lidii Nowikowej – choć sama rozmówczyni zastrzega, że to jednak musiało być inne wydarzenie, jako że pogrzeb samobójczynie-skandalistki został prawdopodobnie wyciszony.

A słuchajcie i jeszcze była taka ciekawostka, no nie, jak Ruscy przychodzili [...] na basen nasz, to oni mieli takie szorty czarne za kolana, to oni sobie wiązali takie można powiedzieć stringi [*śmiech*] i wskakiwali do wody, pamiętasz to? [*do kolegi*]. I to było piękne! Ludzie! On takie miał galoty, a potem zrobił takie, on chciał być Europejczyk, jemu takie galoty mu przeszkadzały, on sobie poskręcał tu, to były takie wojskowe, ludzie kochani [...]. I jeszcze jedno, potem jak ci ludzie się kąpali, my jako Polacy nie chcieliśmy się zaraz kąpać po nich [2012.03.22/LG].

Widać tu wyśmiewanie zarówno odmiennego stroju – „wojskowe galoty” – jak i prób upodobnienia się do polskiej normy, która zresztą staje się w tej relacji normą europejską, co buduje opozycję między Europejczykami (w tym Polakami) a obywatelami Związku Radzieckiego. Uderzająca jest też niechęć przed zetknięciem się z obcością nawet poprzez kąpiel w tym samym basenie.

A: To raz stałam, wyszłam z pracy, na Mickiewicza byłam, zaraz weszłam i zaraz za mną stanęły przy bufecie, stoją, a w gablocie tam i ciastka różne i sery były, ale za mną stanęło w kolejce dwóch żołnierzy rosyjskich, żołdatów, i tam leżały te ciastka eklery, takie długie, z budyniem. Stoją te żołnierzyki... normalne jak wojsko i tak, i mówią za mną, patrzą się na te ciastka, na te eklery i mówią: „Eto z kartoszku” [to z ziemniakami]. [*śmiech*]

B: Z kartofla!

A: Ja mówię: „To nie z kartoszku, tylko z budyniem”, ja się odwróciłam do nich, ale oni się nic nie odzywali, tylko się uśmiechnęli, bo widzą, budyń taki kremowy, jasny, podobny do kartofli [2010.05.19/LG].

Pomyłka żołnierzy wynika z innych zwyczajów gastronomicznych obu kultur i wizualnego podobieństwa budyniu i masy ziemniaczanej, co podkreśla rozmówczyni. Warto zauważyć, że nie ma tu mowy *explicite* o nieobyciu czy głupocie Obcych⁹, a śmiech może być zarówno wyśmiewaniem, jak i reakcją na zabawną pomyłkę. Można się tu też domyślać pokrytego uśmiechem zażenowania przyłapanych na nieznajomości polskich realiów i pouczonych żołnierzy.

Ale czekaj, kurde, raz miała... był jakiś zjazd, cała generalicja, bo tu stało w gazecie pisało zawsze, Północna Grupa Wojsk Radzieckich, cały pułk stał w Legnicy i tutaj o, zaraz koło stadionu, koło stadionu, był jakiś zjazd, może z Górnego Śląska, może mniej, ale wiem, że tak naprzyjeżdżał tymi wołgami czarnymi, różnych tych generałów, to było ich trzy kolory mundurów. Był w granatowych, w morskich i w zie-

⁹ O tradycyjnych stereotypach mówiących o głupocie Obcych por. Z. Benedyktowicz, *Portrety „obcego”...*; L. Stomma, *Antropologia kultury...*, s. 11, 15, 26.

lonych i tu obwieszono, w takich czapach, cafe. To ja szłam z [...] wnukiem swoim, chciałam przejść przez park tam do córki zawsze przechodzę, to wiesz, e mnie nie puścił, stał żołnierz w kasku, w rękawiczkach, z bronią, w białych rękawiczkach... [2010.05.19/LG]

Nie. Z tym, że no.. potem, tutaj był taki sklep... te magazyny, taki generalski. Tramwaj, tutaj musiałybyście zobaczyć [wskazuje na ulicę Złotoryjską], tutaj tramwaj jeździł, ale już jak ja przyjechałam, to już nie było. Kawalek torów tutaj został. I tu był za żółtymi firankami sklep, no wiadomo, samochodów było mało. Już jak wtedy żona generała przyjeżdżała, to przyjeżdżała M20 Warszawa, w zależności jaki to był generał. Generalskie wołgi, to znaczy potem jak ja już byłem... wiedziałem, co jest grane, się poznawało po tym, że było SZ-E i założony głównodowodzący miał [numer] 1, jego pierwszy asystent [numer] 2 i po numerze się poznawało rangę generała. Jak ktoś, wiedział o tym, co nie. Mój kolega, szef Komsomołu, jeździł 14 Wołgą [2012.11.11/LG].

Etnograficzne spojrzenie legniczan ogarniało nie tylko radziecką obyczajowość cywilną, ale i zwyczaje wojskowe. Czarne wołgi to charakterystyczne pojazdy łączone z „Ruskimi”, budzące często nieprzyjemne skojarzenia, zarazem z policją polityczną, jak i legendą miejską o porywającym dzieci samochodzie. Sklep „za żółtymi firankami” to potoczne określenie stosowane zazwyczaj wobec polskich sklepów dla dygnitarzy partyjnych.



Wiem, że z początku, jak ktoś z nich przychodził do lokalu, i zobaczyli, chodzi o herbatę, to nie wiedzieli, co z tym zrobić. To nasi wiedzieli już, że coś jest nie tak: woreczek do ust i popijali wodą, a oni to samo robili. [Śmiejemy się] No bo to przyjeżdżało gdzieś z buszu, nie wiedzieli co jest grane, zero cywilizacji [2010.12.07/LG].

Opowieść o dowcipie zrobionym „głupim Ruskim”, wyśmiewająca ich nieznamość zdobyczy cywilizacyjnych w postaci herbaty w torebkach, była popularna na całym terenie Polski Ludowej. Bohaterami była zazwyczaj wycieczka przodowników pracy z syberyjskich rubieży i „znajomy znajomego” osoby opowiadającej – mamy tu zatem do czynienia z typową legendą miejską, co więcej przyjmującą jedną z cech charakterystycznych dla peerelowskich legend miejskich, jaką było wyśmiewanie „Ruskich”. Inną typową cechą tych tekstów folkloru doby komunizmu jest przydawanie wydarzeniom kontekstu politycznego i obdarzanie ich dużym zaufaniem jako stanowiących antytezę oficjalnego obiegu informacji, uznawanego za kłamliwy, zmanipulowany i zafalszowany przez komunistyczne władze¹⁰.

¹⁰ D. Jarosz, M. Pasztor, *W krzywym zwierciadle. Polityka władz komunistycznych w Polsce w świetle plotek i pogłosek z lat 1949-1956*, Warszawa 1995; K. Kersten, *Spoleczna rola plotki*, w: *Plotka a monopol informacji*, Warszawa 1981; P. Łukasiewicz, *Pogłoska i dowcip polityczny w PRL. Próba analizy socjologicznej*, Warszawa 1987. Por. te same legendy w: D. Czubała, *Współczesne legendy miejskie*, Katowice 1993; P. Gajdziński, *Imperium plotki czyli amerykańskie śniadanie z niemowląt*, Warszawa 2000; W. Orliński, *Legends polskie*, w: M. Barber, *Legends miejskie*, przeł. K. Berger-Kuźniar, P. Błoch, Warszawa 2007.

Warto zauważyć, że obok nieobycia wysmianiu podlega przede wszystkim moment naśladownictwa domniemanego polskiego wzoru, a zatem próba mimikry. W ten sposób zbudowana zostaje sytuacja typu „kozi róg” – tak nieznamość zasad zachowania, jak i próba dostosowania się do nich podlegają wysmianiu.

Przenośne użycie terminu „z buszu” wyraźnie kreuje obywateli Związku Radzieckiego na etnograficznych, zegzotyżowanych Obcych, przedstawicieli „wschodniej barbarii”, którzy niejako z definicji nie są w stanie pojąć właściwych zasad: „nie wiedzieli co jest grane, zero cywilizacji”.

Ja mam takie migawki: łyżeczka w herbacie, śledź i ciasto na jednym talerzyku, tacy byli [2011.11.27/LG].

Opis Obcego zostaje tu sprowadzony do opisu jego atrybutów, wskazujących na brak obycia (brak kultury, a dokładniej brak znajomości zasad panujących w kulturze odbiorcy). Charakterystyczne zachowania – „migawki” – stają się kompletną definicją obcości, w tym wypadku odnoszącą się również do wyznaczników kulinarnych, łączenia ze sobą dwóch, zdaniem rozmówcy niedopasowanych, smaków.

A: Słuchajcie, ja nie mam pochlebnej opinii. I to jest moja opinia. To są barbarzyńcy i nic więcej. I tyle.

B: Ale kasety jak od ciebie kupowali na rynku, to było fajnie. [*cisza*]

A: No, to było fajnie, to było grane, to było zupełnie coś innego! Ale chodzi o mentalność! To barbarzyńcy są [2012.03.11].

Złe zdanie o „Ruskich” staje się tu jednoznaczne z sytuowaniem ich poza cywilizacją. Co więcej nie ma na to wpływu ewidentne czerpanie przez rozmówcę korzyści materialnych ze stacjonowania wojsk radzieckich – jednostkowe kontakty handlowe nie niwelują generalnej negatywnej oceny „Ruskich” jako grupy.

Na swoją modłę oni tutaj żyli. Na przykład z koszar – na własne oczy to widziałam, przecież można to zrobić jakoś niewidocznie – idzie oddział tych wojsk, tych żołnierzy takich prostych, w tych swoich butach juchtowych, w tych... każdy trzyma białe zawiniątko, więc tam najprawdopodobniej czyste gacie, jakiś ręcznik, czysta koszula. Przechodzą, tamci każą im tam śpiewać, no to coś tam zapiewają i idą do łaźni. A za nimi taki, czuje się taki odór, taki typowy, taki tego jucht, tego takiego... Brudu, potu. No! Gaci...Przecież to można [*śmiech*] zrobić, pójść do łaźni jakoś po cichu [*śmiech*] i bocznymi jakimiś drogami – nie główną ulicą, prawda? Ale to u nich było takie... taka jawność była [2010.05.20/LG].

Wcześniejsze fragmenty, bez względu na ich wydźwięk emocjonalny, były świadectwem niejako etnograficznego zainteresowania różnicą. Tu dostrzeżenie różnicy stanowi przede wszystkim podstawę do krytycznej oceny „Ruskich”-Obcych. I tak jawność staje się synonimem bezwstydu Obcych, którzy czynności w naszej kulturze uznawane za intymne wykonują publicznie.

Zauważmy z drugiej strony, że Polska nie ma kultury publicznych łaźni, bani czy saun, jak np. Rosja, Białoruś czy kraje skandynawskie, stąd jej mieszkańcy, zwłaszcza dawniej, nie byli świadomi związanej z tym obyczajowości. A i same normy są bardzo zmienne w czasie. Norbert Elias opisuje średniowieczne

nagie przemarsze do łaźni, które nie wywoływały zgorzienia na ulicach miast¹¹. Tymczasem w powyższym fragmencie zgorzienie budzi już samo publiczne pokazanie się z bielizną i akcesoriami kąpielowymi. Ważna jest też kwestia zapachu. W tradycyjnych dyskredytujących stereotypach dotyczących Obcych przypisuje się im nieprzyjemną woń¹². W powyższym fragmencie przykry zapach związany ze sferą techniczną – konserwacja obuwia – który mógłby wskazywać na dbałość o wyposażenie, zostaje zamieniony na zapach brudu, smród związany ze sferą intymną – cuchnące gacie.

Oni śmierdzieli plasteliną. Nie wiem, czy wiecie, buty mieli oficerki, ale... To znaczy wysokie buty, takie dotąd. Podeszwa była ze skóry, natomiast cała góra, cholewa, była z materiału... Jakie robi się tropiki. Takie namioty, jak się kiedyś robiło, brezent to się... O! To było z brezentu i oni ten brezent pastowali taką mazią, żeby... I ta maź była wtopiona w ten brezent i ona śmierdziała plasteliną, taki zapach. Tak, że jak szli to ich się po prostu tą plasteliną czuło. No i wtedy właśnie było, że: „O, idzie plastelina, Jezu jak śmierdzą”. I oni to słyszeli wszystko, to się mówiło wręcz nawet patrząc im w oczy, mówiło się: „Ale ten Ruski śmierdzi”, nie? Więc później już było tak, że jeśli wychodzili na miasto załatwić jakąś sprawę, czy na pocztę, czy jakieś tam inne swoje sprawy, czy przejść z jednostki do jednostki, to wychodzili już w mundurach na wyjściowo ubrani, z tym wielkim na pagonach SA napisem. I wtedy już tak nie śmierdzieli, nie? [2010.02.08/LG]

Znów mamy opis „żołnierskiego smrodu”. Trzeba zauważyć, że to wyjątkowo często powtarzający się we wspomnieniach o stacjonowaniu Armii Radzieckiej szczegół. Ów zapach, nieodmiennie uznawany za nieprzyjemny, bywa rozmaicie określany: jako zapach smaru, towotu, dziegciu, nafty czy nawet – jak w powyższym fragmencie – plasteliny. Podobnie jak w poprzednim cytacie drażniący chemiczny zapach zostaje potraktowany jako dyskredytująca woń brudu. Mary Douglas definiuje brud jako coś „nie na swoim miejscu”¹³. Wydawałoby się, że chemiczny zapach w przypadku żołnierzy jest jak najbardziej na miejscu – można zatem domniemywać, że albo mamy do czynienia z dominującym stereotypem „cuchnącego dzikusia”, który każe tak klasyfikować charakterystyczną woń radzieckiego umundurowania, albo „nie na miejscu” jest sama Armia Radziecka, której w czasie pokoju w polskim mieście być nie powinno.

Zauważmy też, że nieprzyjemny zapach znika, gdy żołnierze pojawiają się w galowych, wyjściowych mundurach, jak gdyby był on związany ze sferą prywatności i codzienności, reprezentowaną przez „zwykły” mundur.

Wyraźnie widoczna jest tu też agresja werbalna strony polskiej i specyficzny stosunek do żołnierzy traktowanych nie jako jednostki, tylko *en masse*, pozwalający na zachowania obraźliwe. Uznanie zmiany protokołu dotyczącego umundurowania noszonego poza jednostką za efekt zachowania Polaków może być sposobem kompensacji dyskomfortu związanego z polityczną dominacją przedstawicieli Związku Radzieckiego poprzez wyolbrzymienie siły oddziaływania polskiej opinii i reakcji.

¹¹ N. Elias, *O procesie cywilizacji. Analizy socjo- i psychogenetyczne*, przeł. T. Zabłudowski, K. Markiewicz, Warszawa 2011, s. 231.

¹² Por. Z. Benedyktowicz, *Portrety „obcego”...*; J. St. Bystron, *Wierzenia o obcych*, w: tegoż, *Tematy, które mi odradzano. Pisma etnograficzne rozproszone*, Warszawa 1980, s. 325-326; L. Stomma, *Antropologia kultury...*, s. 11.

¹³ M. Douglas, *Czystość i zmaza*, przeł. M. Bucholc, Warszawa 2007.

Litery SA na pagonach – oczywiście w zapisie cyrylicznym, CA – to skrót od „Sowietskaja Armia” – Armia Radziecka.

Spotykało się na ulicy faceta, który jest, ma skórę taką, dziwny kolor i jeszcze ma mongołowate oczy, nie? To prawie że Chińczyk, to prawie że Chińczyk. No bo takich żołnierzy mieli oni też, prawda? Jak on pochodził gdzieś tam spod granicy mongolskiej, no to on tak wyglądał. Myśmy zawsze na nich mówili „mongoły”, nie? „Mongoły” na tych takich chinowatych, no bo tak oni stamtąd pochodzili. Ogólnie się mówiło kacapy na nich, nie? [...] Potem „gmochy”, „gmochy”. Ale ogólnie „kacapy”, „kacapy”. „O, kacap”, „ten kacap”, „to kacap”. [...] Niektórzy byli normalni, ci powiedziałbym tam... A niektórzy to tak się odnosił trochę, wiesz... Najgorszymi Ruskimi to byli ci Ruscy, prawdziwi Ruscy. Bo ten pochodzący, nie wiem, z Litwy, z Łotwy czy z Kazachstanu, to oni byli tak samo... Mieli jeszcze gorzej, jak my, bo myśmy byli satelitą taką trochę wolnościową, nie? A tamci to byli pod jarzmem totalnym. Stalin zabrał wszystko z Leninem, pod siebie zagarnęli [2012.11.09/LG].

Opis zróżnicowania etnicznego i rasowego Armii Radzieckiej przybiera formę pogardliwą wobec żołnierzy o azjatyckich rysach. Z drugiej strony są oni wartościowani pozytywniej od rdzennych Rosjan – „prawdziwych Ruskich”. Widać też zestawienie sytuacji republik radzieckich z sytuacją Polski, w którym stają się one terytoriami podbitymi o sytuacji gorszej niż panująca w Polsce – „satelicie wolnościowym” – co prowadzi do współczucia i poczucia solidarności z etnicznymi nie-Rosjanami, a może także do poprawy samopoczucia rozmówcy.

Prócz popularnego określenia „kacapy” rozmówca wymienia słowo „gmochy” – jest to najpewniej regionalizm lub w ogóle określenie stosowane przez jakąś wąską grupę, którego etymologia jest niejasna.

Żołnierze Armii Radzieckiej – to nie zapomnę tych twarzy – to byli ludzie z całej Azji. To byli ludzie o różnych wyglądach, różne rasy reprezentowali. Widać było ludzi... Mongołów, mongolskie rysy, charakterystyczne właśnie dla tych jakichś południowoazjatyckich też regionów. Bardzo różne, bardzo różni byli ci żołnierze. Ja ich bardzo blisko widziałam – bo oni naszą ulicą szli. Szli w szyku, prawda? W szyku, czwórkami, plutonami – no, można by powiedzieć, że szli... szli z pieśnią, te pieśni ich też dźwięczą mi do tej pory w uszach. Takie mocne, takie wyraziste! Ale takie... coś takiego głuchego, takiego strasznego też w tych pieśniach było. Takie... tak pełne ekspresji [2010.02.31/LG].

Stacjonowanie Armii Radzieckiej sprawiało, że coś tak rzadkiego w Polsce Ludowej jak egzotyka związana ze zróżnicowaniem rasowym i kulturowym gatunku ludzkiego – z którą przeciętny Polak mógł się wówczas spotkać oglądając *Klub sześciu kontynentów* lub *Pierz i wanilię* albo przeglądając „Dookoła Świata” – było w Legnicy na wyciągnięcie ręki, dawało się dostrzec na ulicach miasta. Określenie „mongolskie rysy” staje się po części słowem-kluczem używanym zazwyczaj jako określenie różnych grup niebiałych obywateli ZSRR stacjonujących w Legnicy.

Pozorna sprzeczność – pieśni zarazem głuche i pełne ekspresji – a przy tym strasne i budzące lęk – przywołuje na myśl początkowe wersy *Elegii o śmierci Ludwika Waryńskiego* pióra Władysława Broniewskiego: *Jeżeli nie łkasz się pieśni, stłumionej, złowrogiej i głubej...*

Zawsze, np. na dworcu, jak szedł jakiś lejtnant wyższy, zawsze koło niego szedł jeden brudas, tzn. szeregowiec. Niósł mu walichę, coś tam. Jeden albo czasem dwóch, zawsze miał jakiegoś takiego ochraniacza, kamerdynera, adiutanta [2010.05.10/LG].

Oczywiste hierarchiczne zróżnicowanie panujące w wojsku – szeregowcy i oficerowie, adiutanci asystujący i wykonujący polecenia wyższych rangą – poprzez użycie słowa „brudas” nabiera klasowego czy wręcz kolonialnego charakteru. Samo słowo może odwoływać się do przypisywanego szeregowcom brudu i cuchnącej woni, ale może też wskazywać na wykonywanie przez szeregowca brudnej roboty.

I wiem, że oni byli głodni. Te mundury były bogulichne, z takich płócien. Te buty były beznadziejne. Te buty to były pomarszczone, te buty były z byle jakiej skóry, takim... jak pamiętam zapach tych butów. Takim jak gdyby towotem, jakby takim smarem były wysmarowane te buty. To był prymityw. Te warunki, jakie oni mieli, to były prymitywne. Żyła ponad stan, tutaj w Legnicy, generalicja. [...] I taki wartownik, taka biedaczyna: „Pan – do mojego wujka – pan, daj na bułkę, pan”. W ten sposób: „Daj papierosa, daj na bułkę”. Czyli takie sytuacje. Czyli ci żołnierze tutaj głodem przymierali, zmizerowani byli – taka była prawda. A rosyjska generalicja mieszkała w przepięknych ponemieckich willach – najpiękniejszych – których ja na oczy nie widziałam jako dziecko [2010.02.31/LG].

Znaczy, oni mieli wpojone przez tę ideologię, że w ogóle szeregowcy nie mogli wychodzić na miasto, oni mieli zakaz i tak wpojone. Oni mówili, że oni dlatego ich nie wypuszczają, że polskie pany ich po prostu zamordują, no, i to takie tego, i oni ich nie wypuszczali. Natomiast już oficerowie, podoficerowie mieli troszeczkę więcej takiego luzu i ci, co znali się z Polakami, tam, się przyjaźnili [2011.04.20/LG].

Oprócz motywu rozwarstwienia – szeregowcy „zmizerowani”, w „bogulichnych mundurach”, a generalicja „żyjąca ponad stan”¹⁴ – uderzające jest sugerowane przez drugiego rozmówcę budowanie wśród niższych szarż atmosfery strachu przed Polakami. Widać też radzieckie (i w ogóle wschodnie) identyfikowanie Polaków poprzez używane przez nich formy grzecznościowe – „pan”, „polskie pany”. Szczególnie to drugie określenie eksponowane było przez antypolską propagandę Rosji Radzieckiej i Związku Radzieckiego jeszcze w okresie przedwojennym, zwłaszcza podczas wojny 1920 roku.

Bo wszystkich Kocham, bo wszystkich Bóg kocha i nie mogę robić różnicy żadnej. Tak samo i z dzieckiem, i z pieskiem, czy obcokrajowcem, a ja ten język znam, rosyjski, ukraiński [2010.02.06/LG].

¹⁴ O konfliktach na linii wyżsi i niżsi stopniem pisze też w okresie pierestrojki garnizonowa radziecka gazeta „Znamia Pobiedy”, por. W. Kondusza, *Życie garnizonu radzieckiego w świetle „Znamia Pobiedy”*, w: *Wojska radzieckie w Polsce 1939-1993*, red. S. Dąbrowski, K. Jaworska, W. W. Szetelnicki, Legnica 2013, s. 431-432.

W tym pozornie bardzo proradzieckim cytacie, będącym wręcz deklaracją gorących uczuć, widać bardzo silne zdystansowanie do Obcych zestawianych z dziećmi i zwierzętami, a więc istotami nie będącymi pełnowartościowymi ludźmi. Przy tym pozytywny stosunek przedstawiony jest jako obowiązek religijny, a nie efekt pozytywnych emocji lub przemyśleń.

Na przykład muszę pani powiedzieć, że w pierwszych etapach nie wolno im było chodzić do kin polskich. Nie wolno było. Dopiero, dopiero gdzieś w latach, no ja wiem, późnych siedemdziesiątych, początek osiemdziesiątych lat ewentualnie już mogłem ich spotkać w kinie. Aczkolwiek w tym momencie też starali się być raczej niezauważalni, co było raczej w tym wypadku nie... niemożliwe, bo my, legniczanie, Rosjanki i Rosjanina rozpoznawaliśmy natychmiast. [...] Po wszystkim. Po wyglądzie. Panie po fryzurze. Po zapachu też. [*szeptem*] To było... to było instynktowne. Oni się nawet mogli ubrać w polskie garnitury, panie się mogły ubrać w polskie suknie – to było widać, że to była Rosjanka. [2011.11.06/LG]

Interesujące wydaje się stwierdzenie, że wychodzący z jednostek żołnierze próbowali wtopić się w polskie tło – to znów przypisywanie im tendencji do mimikry. Rozpoznawalność radzieckich wojskowych i cywilów po wyglądzie i zapachu jest bardzo częstym wątkiem legnickich wspomnień. Tu warto zwrócić uwagę na użycie słowa „instynktowne”, sugerującego przynależność obywateli ZSRR do innego gatunku lub co najmniej innego rodzaju ludzi; obcość staje się tu cechą, którą można wywęszyć lub wyczuć zmysłami. Równocześnie wskazuje to na nadludzkie kompetencje legniczan, umiejących „instynktownie” wyczuć Obcego-„Ruskiego” podobnie, jak w kulturze ludowej uznaje się, że niektóre osoby obdarzone odpowiednimi zdolnościami potrafią wyczuć, rozpoznać czarownicę – archetypiczną Obcą kultury ludowej.

Po prostu oni żyli w syfie. Im to nie przeszkadzało w takim brudzie żyć. Ani nie dbali o elewację tych domów, ani o... o warunki już takie pobytowe wewnątrz... Oni kompletnie byli w ogóle tacy niezadbani no, Ruska się pomalowała, no, ale to było tylko... to była fasada. Bardzo byli niezadbani, bardzo, zostawili w strasznym stanie zresztą to, że trzeba było potem te mury burzyć, prawda, czy odnawiać budynki, no to też były ogromne koszty, ale ja jestem tak szczęśliwa, że Legnica się podniosła po tym, jak ci Ruscy wyjechali, [*z wyraźną dumą*] że tak pięknie, że żyje... [2010.03.01/LG]

Obcy są pokazani jako niezachowujący czystości – to znów cecha świadcząca o ich dzikości i niecywilizowaniu – zarówno w wymiarze higieny osobistej, jak i w swym otoczeniu. Wyrazisty makijaż, często przywoływany w opisie radzieckich kobiet, staje się w tej wypowiedzi swoistym kamuflażem. Obecność armii jest tu przedstawiona jako niszcząca i degradująca dla całego miasta, jako ucisk, po zniknięciu którego miasto odżywa i rozwija się.

Tamci mieszkali w koszarach, no tam się nieraz szło, to tam i, i na tych... obok tych... koszarach, tam było... napis w podwórkach i było ich, i sprząтали te ulice, tam wszędzie było czysto. [...] Nie, oni mi nie przeszkadzali [2011.11.30/LG].

W wielu wypowiedziach opis radzieckiego brudu, jeśli nie jest wprost jedną z przesłanek budowania pejoratywnego wizerunku „Ruskich”, to co najmniej łączy się ściśle z negatywną postawą wobec nich. Tu natomiast mamy mechanizm odwrotny – wskazanie na ich dbałość o porządek prowadzi do akceptacji obecności radzieckich wojsk w mieście.

★ ★ ★

Nie, nie pamiętam, tak szczerze mówiąc, ale właśnie zapamiętałem, że te bloki gdzie mieszkali to były w złym, złym... i bardzo takie zdewastowane, charakterystyczny było to, że w oknach były tam gazety, a nie firanki. Ja to tłumaczyłem sobie tym, że jak on jest tu na trzy miesiące, to nie będzie inwestował w firanki, ale to chyba im wystarczy. Tam i gazety i tam ze dwa razy z teściową odwiedziłem Rosjan, to tam właśnie jakieś tam były. A tam była totalnie kultura materialna jednak u nich była niska. Brud jakiś taki [2011.04.04/LG].

Oni zrobili sobie na przykład toaletę domową, [...] wywalili dziurę w podłodze przez dwa stropy, żeby było śmieszniej, i wszystko ładowało w piwnicy i to nie jest żart, to jest naga, goła prawda [...] to nie byli [...] jakieś żołdacy czy coś, to byli cywile, [...] jakaś tam lekarka mieszkała, ktoś taki, wydawałoby się z jakiegoś poziomu inteligencji wysokiego. Nie. Zsyp po prostu i toaleta, i wszystko, rury przeciekające, przez które woda się sączyła [2010.02.10/LG].

Czuło się tę tymczasowość ich pobytu. Widać było, że oni się nastawiają na taki pobyt krótki, chociaż wielu mówiło, że chciałoby zostać dłużej, ale to było właśnie takie, że nie dbali o te mieszkania, nie dbali nawet o to, by sobie firanki powiesić. Albo gazety wklejali na szyby, aby ich nie podglądano, albo w ogóle nie zasłaniali okien niczym. Jak Polacy tam weszli, to te mieszkania były zdewastowane, tam czasem pomalowali czy coś, ale podłogi czy armatura sanitarna, no... to było takie, takie właśnie niedopieczzone, no oni tam specjalnie w to nie inwestowali, a użytkownicy się nie starali zanadto. Też jeszcze zależało, kto to był, ale to byli ludzie prości, chodziły takie słuchy, że niektórzy za bardzo nie wiedzieli, jak się zachować w toalecie, czy w domu, powiedzmy, nie mieli, pochodzili z jakiś takich powiedzmy bardzo dalekich miejsc, gdzie się tego nie miało. [2010.02.01/LG]

Gazety w oknach to jedno z najczęściej przywoływanych wizualnych wspomnień z czasów radzieckiej Legnicy, podobnie popularne są opisy zdewastowanych poradzieckich mieszkań. Pojawia się tu racjonalne wyjaśnienie takich zachowań, a mianowicie tymczasowość pobytu. Przy czym ostateczna konkluzja i tak wskazuje na ubóstwo kultury materialnej i brak higieny w życiu codziennym, w tym nieumiejętność obsługi WC. To ostatnie, wraz z opisami przebijania stropów aż do poziomu piwnicy, by powstała dziura wykorzystywać jako sławojkę, pojawia się często jako dowód dzikości „Ruskich” – zwłaszcza naruszanie reguł w sferze intymnej budzi zawsze duże emocje i służy jednoznacznemu odmawianiu Obcym posiadania kultury. „Niezasłanianie okien niczym” można tu również odczytać jako brak poszanowania własnej intymności.

Im wyższy oficer, tym większa szansa na franki w oknach, bo im niższy oficer, tym większa szansa na „Prawdę” w oknach. To rzeczywiście tak było, że były gazety w oknach bo... I to też nie wynikało tak, jak wówczas ja również myślałem, że to wynika z tego, że to brudasy, przepraszam, że tam bałaganiarze, że nie szanują. Nie, trzeba było mieć świadomość, że oni tu przyjeżdżali na trzy lata, czasem, nie wiem, na sześć lat, i za chwilę wyjadą. To był dla nich jakiś przystanek w życiu i oni sobie zdawali sprawę z tego, no więc żyli tak jak studenci, co niektórzy przynajmniej... [2010.02.11/LG]

Autor tej wypowiedzi zdaje sprawę zarówno z panującego stereotypu – „Ruscy”-brudasy – któremu sam ulegał, jak i z możliwego usprawiedliwienia. Widać tu też rozwarstwienie w Armii Radzieckiej, rozmówcy często wskazują, że im wyższa pozycja danej osoby, tym również wyższa kultura osobista. W ostatnim zdaniu fragmentu rozmówca reflektuje się, że przecież jego interlokutorzy to studenci, stąd zastrzeżenie, że „niektórzy przynajmniej”.

Taki kawał chodził, to nie tylko w Legnicy, ale szczególnie w Legnicy, że Rosjanie śpią w butach, bo nie wiedzą, kiedy będą uciekać [2011.11.04/LG].

Ten popularny w PRL-u antyradziecki dowcip brzmi znacznie dosadniej wypowiedziany w najważniejszym na ziemiach polskich garnizonie Armii Radzieckiej. Obok piętnowania domniemanej słabości i tchórzostwa radzieckich żołnierzy, kolejny raz pojawia się tu nadzieja na tymczasowość ich pobytu – tym razem nie poszczególnych jednostek, ale całej armii.

Legnica to... Tak jeszcze tak w skrócie tak. Legnica to miała z jednej strony dobrze, bo ci Ruscy, myśmy przez nich uświadomili sobie parę rzeczy, prawda? Że jest inny świat, że jest świat, który jest rządzony przez bardzo złych ludzi gdzieś tam. Ale sami ci ludzie nie są źli, prawda? Z drugiej strony bardzo dużo sama Legnica jako miasto straciła, bo bardzo dużo nie można było rzeczy zrobić, inwestować. Są miasta, są ładne, prawda? Pojedziesz do Poznania, do Krakowa, czy gdzieś – to zawsze były polskie od początku do końca. I zawsze coś tam się robiło, bo było to polskie, bo to należało do ciebie i było, prawda? A myśmy tu wiecznie siedzieli trochę na walizkach. Tak samo jak się pytam kiedyś gospodarza: „Panie, dlaczego pana syn dopiero teraz dom remontuje, a pan przez te sześćdziesiąt lat nie?”. A on mówi: „A jaką ja miałem pewność, że nie przyjdą Niemcy?”. [...] Tak samo tutaj. Nie wiem, czy wiecie, czy wyście wyczytali może gdzieś, że była taka sytuacja, że na przykład Polaków z tych urzędów miasta to raz przrzucali na Zakaczwie, raz z powrotem tutaj do centrum miasta. Myśmy tak naprawdę nigdy tu nie mieli władzy, władzą byli Ruscy tutaj i koniec. Przynajmniej do lat osiemdziesiątych na sto procent. Potem już się ta mentalność nawet naszych władz zmieniła, bośmy się zaczęli stawiać okoniem. My to widząc to samo żeśmy po prostu... Chociaż w zwykłych relacjach między ludźmi nie było źle. No, to byli tak samo ludzie, którzy oddychali tym samym powietrzem, co my, jedli to samo, co my – może trochę lepiej, bo po prostu więcej mieli w magazynach [2012.11.09/LG].

Poczucie tymczasowości dotyczyło nie tylko obywateli radzieckich, lecz także polskich legnican. Jedną z przyczyn było przekonanie, że władzę nad miastem i losami jego mieszkańców sprawuje radziecka generalicja, ale istniały też inne powody. Przytoczona rozmowa z gospodarzem wyrażającym niepewność, czy nie wrócą Niemcy, może pochodzić z dowolnych terenów poniemieckich, pokazuje jednak istotny także w Legnicy aspekt poczucia tymczasowości – panujące w latach powojennych obawy przed ewentualnym ponownym przyłączeniem Dolnego Śląska (a także innych tzw. Ziem Odzyskanych, szczególnie Szczecina) do państwa niemieckiego.

Sformułowanie o oddychaniu tym samym powietrzem może być uniwersalnym wyrazem przekonania o jedności ludzi, ale może też być echem głośnej wypowiedzi dotyczącej Niemców z RFN i NRD. „Oddychamy tym samym powietrzem, ono nie zatrzymuje się na granicy” – to wypowiedź Richarda von Weizsäckera, ówczesnego burmistrza Berlina, a późniejszego prezydenta RFN, wygłoszona 22 września 1983 roku w Wittenberdze podczas uroczystości z okazji pięćsetlecia urodzin Marcina Lutra.



To znaczy, czyli, że Ruski, że jednak okupant jakiś, nie, no. Więc, więc to to mi trudno określić. Ja myślę, że ulica była przyzwyczajona, ale jednak to drażniło mieszkańców tych, którzy nie żyli z Ruskich. No, no tak, tak. Oni się jakby panoszyli, jak, jak była jakaś okazja tam im ci pijackowie dowalali czasem [2011.04.04/LG].

Rosjanie byli prześladowani tutaj przez Polaków na pewno. Bo gdzie by nie poszli, to zawsze jakiś pułkownik jajkiem dostał. Albo śnieżką. Jak samochód jechał, to zawsze jakieś jajko poleciało [2012.03.11].

Polityczna dominacja i uprzywilejowana – przynajmniej formalnie – pozycja obywateli Związku Radzieckiego drażniła i powodowała niechęć domagającą się wyrazistej manifestacji. Oczywiście w latach czterdziestych i pięćdziesiątych raczej nie mogło być o tym mowy, jednak z czasem sytuacja się zmieniła.

Na przykład jeśli szły kompania na niedzielę do kina, oni mieli na początku lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych taki specyficzny sposób marszu. To myśmy nazywali to marsz noga w nogę. Czyli maszerował stopa-stopą i jak stawał, to tak, no, tegoż [blisko] tak, że kolumna, która u nas byłaby kolumną plutonu i zajmowałaby tam na przykład dwadzieścia metrów długości, to oni się mieścili w sumie chyba w siedmiu metrach i tak szli czwórkami czy tam szóstkami, piątkami, jeden w drugiego, noga w nogę, nie? I dla nas to była wtedy wielka frajda, bo jak oni szli, a było lato, a już najlepiej jak była późna jesień, to szli tymi plutonami, na przykład cztery plutony tak noga w nogę maszerowali. Na początku plutonu maszerował ten, który prowadził, dowódca plutonu, i obok gdzieś tam szli oficerowie. I było tego, idą Ruskie i teraz trzeba się trochę z nimi zabawić. [*śmiech*] Więc wszyscy biegliśmy na ogródki i z ogródków się ściągało zgniłe te, pomidory, zgniłe ogórki, nie? I tym się rzucało w tą kolumnę. [...] Ci w kolumnie w ogóle nie reagowali, spadały im czapki, nie podnosili tych czapek, bo nawet jakby chciał podnieść tą czapkę, to zatrzymałby całą

kolumnę i by go po prostu zdeptali, nie? Ale generalnie największą frajdą było, że, nie, rzucało się, to to mniejsi od nas rzucali w tą kolumnę, nie? I z okrzykami tam: „Ruskie pająki!” i tego... Oni sobie zdawali sprawę, że my o nich tutaj..., tak jako wojsko nie są lubiani, nie? Natomiast ci oficerowie, którzy tam gdzieś szli, to oni, taka cicha umowa, że największą frajdą było strącić temu oficerowi czapkę z głowy, nie? Wszyscy rzucali w tych oficerów, nie? Jak czapka spadła, wtedy było gromkie: „Hurrra!”. I oni biedni już później nie maszerowali, tylko ich wozili samochodami, nie? Jak wozili samochodami, to mieli plandeki podniesione, no więc rzucało się wtedy te ogórki i pomidory do tych, pod te plandeki tam. Może to i nie było takie grzeczne i miłe, ale w ten sposób okazywało się im tą niechęć, nie? [2010.02.08/LG]

Dziecinna złośliwość i chuligaństwo – manifestujące się w zabawach dzieci bez względu na warunki społeczne – zostają tu usankcjonowane, przeradzają się w formę oporu wobec okupanta. Widać też, że stosunek do wojskowych jest tym bardziej wrogi, im wyższy stopień – a być może chodzi o zwiększone ryzyko w przypadku zatargu z oficerem wyższym rangą. Z kolei dyscyplina wojskowa obowiązująca maszerujących szeregowców nie pozwala im na reakcję na zaczepki, czyniąc ich niejako bezbronnymi.

„Kacap” to po rosyjsku znaczy tyle co cham, nie? Coś takiego. To było pojęcie popularne, oddające jakby stosunek do Rosjan. Oni byli tutaj niemile widziani, generalnie jako Rosjanie, nie mylić z relacjami indywidualnymi, które miały zupełnie innych charakter. Natomiast tak, Rosjanie byli wyzywani, takie krzyczenie za nimi. Szurania butami to ja nie pamiętam. To była taka radoska, że człowiek odreagował i wyzwał ich tam [2010.05.10/LG].

„Kacap” to jedno z częściej używanych pogardliwych określeń wobec obywateli Związku Radzieckiego. Jest zaczerpnięte z ukraińskiego, gdzie także ma wydźwięk pejoratywny i oznacza bądź to Wielkorusa, bądź chłopca. Wzmiankowane szuranie butami na widok kolumny żołnierzy lub pojedynczych oficerów było inną często opisywaną przez legniczan metodą dawania wyrazu dezaprobacji. Podobnie jak w poprzednim cytacie, zaczepki pod adresem radzieckich żołnierzy służą jako wentyl bezpieczeństwa i przynoszą satysfakcję.

Myśmy tych Ruskich traktowali tak trochę z góry. A Ruski, a z Ruskim. To nie znaczy, że ja, prawda..., ale bo, bo ja nie miałam żadnych takich kontaktów ani nie handlowałam z nimi po prostu, prawda? Jako belferka nie miałam z nimi takiego kontaktu, ale... Ale wiem, że ludzie tak mówili między sobą... a, z Ruskim zahan-dlowałam... a Ruski to tam... a kawaler Ruski, prawda? I tak dalej... tak pół żartem, pół serio, tak... [2010.02.31/LG]

Powyższy fragment każe zastanowić się nad statusem określenia „Ruski”. Wielu rozmówców zdaje się używać go w sposób nienacechowany, wyłącznie opisowy. Tu jednak „Ruski” nabiera charakteru pogardliwego, a jego używanie staje się znaczące. „Pół żartem, pół serio” może oznaczać wytlumioną agresję – w sytuacji, gdy można byłoby użyć mocniejszego słowa, jak „kacap”, „Ruski”

staje się łagodniejszą obelgą czy jedynie przytykiem. Być może z kolei mówienie „Rosjanie” przy równoczesnej świadomości zróżnicowania etnicznego stacjonujących w Legnicy obywateli radzieckich bywa próbą uniknięcia pejoratywnego określenia „Ruski”.



W pierwszych latach oni zachowywali się jak panowie, jak po prostu tacy... no, najważniejsi. Bo rzeczywiście czuli się zwycięzcami i to jest zrozumiałe. I tutaj się panoszyli. Po prostu ich zachowanie było takie no... nie... jakby to powiedzieć? Nie zależało im zupełnie na tym, żeby się kulturalnie zachować. W tym sensie – o, na przykład – już w 1953 roku, jak mieszkaliśmy, to rano, czasem szósta godzina, słysząc, jak oni tupią i na cały głos śpiewają. I lecą do połowy rozebrani, taki mają jakiś to, jak się to – regułka czy coś, prawda? Ten swój trening [2010.05.20/LG].

Relacje polsko-radzieckie zmieniały się w czasie. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych strona radziecka była wyraźnie dominująca, przekazy wspomnieniowe i dokumenty mówią o samowoli i bezkarności radzieckich żołnierzy. W tym cytacie rozmówczynie daje na to swoiste przyzwolenie, wskazując na nich jako na pogromców faszyzmu, których czyn stawiał ich w pozycji dobroczyńców Polaków, równocześnie zdejmując z nich obowiązek empatii czy poszanowania lokalnych zwyczajów. Pozycja zwycięzców, a także niemiecka przeszłość Legnicy i jej tkanki miejskiej stają się też czasem usprawiedliwieniem czy przynajmniej wyjaśnieniem radzieckich dewastacji i retoryki „dawania”, a nie „oddawania” obiektów stronie polskiej. Mówi o tym wprost były wiceprezydent miasta, Ryszard Jaśkowski: „Oni nigdy nie traktowali Legnicy jak polskiego miasta. Tu wszystko było dla nich zdobyczne. Nawet czterdzieści lat po wojnie to, co w mieście było stare, dla Rosjan było ponemieckie. To dlatego wszędzie buszowali i wszystko sprzedawali, nawet fragmenty zabytkowego wyposażenia secesyjnych mieszkań”¹⁵.

Tu z Ruskimi tak samo, oni Polaków tutaj niszczyli, w Legnicy. Teraz tam, gdzie wybudowali ten duży gmach, tak, handlowy, tam gdzie teraz jest sąd, to przecież tam ile jest zabitych w ziemi ludzi, i za komuny, i za Ruskich. Wspólnie mordowali [2012.03.09/LG].

W tym drastycznym fragmencie rozmówca stawia na równi polski aparat bezpieczeństwa i lokalne władze radzieckie, czyniąc jednych i drugich współwinnymi zbrodniczej działalności. W nieprecyzyjnym opisie – wskazującym na budynek Sądu Rejonowego (dawniej komendatury radzieckiej) przy ul. Złotoryjskiej – chodzi o nieistniejące od lat dziewięćdziesiątych XX wieku więzienie, na miejscu którego stoi stacja Statoil. Niesprawdzone pogłoski mówią, że odbywały się tam egzekucje – nie zostało to potwierdzone ani nie znaleziono zakopywanych ponoć na dziedzińcu ciał, jednak w opinii wielu legniczan zyskuje to status prawdy¹⁶.

¹⁵ A. Guzicki, *Powroty bez rozkazu*, „Rzeczpospolita”, 18.09.2003, nr 218 (6598), s. A3.

¹⁶ Relacja na ten temat znajduje się m.in. w spisanych przez Jana Smalewskiego wspomnieniach Antoniego Rymszy „Maksa”, porucznika AK, który został w 1948 roku aresztowany przez MO na Pomorzu, a następnie przetrzymywany w radzieckim więzieniu w Legnicy, gdzie otrzymał wyrok śmierci, zamieniony później na 25 lat zesłania. O jego pobycie w tymże więzieniu por. J. S. Smalewski,

Ja powiem pani, na czym to może polegało. Ponieważ my nie mogliśmy wejść na ich teren absolutnie, wymagane były przepustki, cuda wianki. Natomiast oni chodzili, przynajmniej ta generalicja, bo ten taki zwykły żołnierz, który przyjeżdżał, on nie miał rodziny, prawda, siedział w koszarach. Natomiast ci ludzie i te Rosjanki chodzili po naszych sklepach, po naszych... po mieście i im wolno było wszystko. Natomiast nam, żeby przejść na tamtą stronę, no to mogły tylko rodziny policjantów, rodziny wojskowych, no i jakoś władze miasta, które miały specjalne wydawane przepustki. I w sumie dlatego oni byli tak nie lubiani, bo im było wolno więcej niż nam [2010.03.03/LG].

Tak się ich nazywało właśnie „kacapy” i mogliby się już zabrać, żeby ich nie było, nie? No mówię, człowiek miał w pewnym momencie dosyć. Myślę, że myśmy mieli żal w tym okresie kartkowym szczególnie, że my nie mamy pewnych rzeczy, że musimy karteczkę tak sobie wyliczyć i mamy dzieci też i w sumie temu dziecku kawałek czekolady, ten cukier czy to, czy tamto, a oni wszystko mieli. To też człowieka denerwowało [2010.02.12/LG].

Wielu rozmówców wskazuje na racjonalne, a nawet pragmatyczne przesłanki polskiej niechęci wobec „Ruskich”. Tu wyeksponowana zostaje uprzywilejowana pozycja strony radzieckiej, przekładająca się na wymierne, materialne korzyści – lepszy dostęp do dóbr. Co interesujące, w zasadzie nie pojawia się tu wymiar polityczny, a okres stanu wojennego sprowadzony zostaje w drugim cytacie do „okresu kartkowego”. Zresztą reglamentacja wyostrzyła kwestię różnic w zaopatrzeniu. W niektórych wywiadach pojawia się stwierdzenie, że w czasie stanu wojennego radzieccy żołnierze praktycznie przestali się pojawiać na ulicach. Powyższy fragment każe zastanowić się, czy motywacja była jedynie polityczna, czy także wiązała się z obawą przed rozruchami o podłożu ekonomicznym.

A: Steniu, jak obserwujesz, jak inni ludzie odnosili się do Rosjan?

B: W zależności, jak kto z kim rozmawiał. Niektórzy, wyjątki, agresywnie. No... mogę tak powiedzieć, że jak chodziłam do kościoła, to nawet ten, co już nie żyje, ksiądz krzyczał, żeby z nimi kontaktu nie mieć.

A: A dlaczego on tak krzyczał?

B: Nie wiem, miał takie usposobienie [2010.02.06/LG].

Autorka wypowiedzi uznaje negatywne opinie o „Ruskich” za nietypowe, jednak te właśnie przywołuje. Istotnym kontekstem może być przynależność rozmówczyń do wspólnoty świadków Jehowy – stąd być może przywołanym wyrazicielem negatywnej opinii jest tu ksiądz katolicki. Co ciekawe, motywacją jego stanowiska staje się charakter, nie zaś żadne zewnętrzne czynniki.

Opowiedział mi „Maks”. Aresztowanie, „dapros”, „wojennyj sud”, Legnica 1994, s. 36-49, 59-61, 66, 80-81, 95-99, 104-106, 110-114, 129-132 (o wykonywaniu w legnickim więzieniu wyroków śmierci), 144-145, 161-165, 173-175, 190-191, 195-196, 203-205, 212-213 (o wykonywaniu w legnickim więzieniu wyroków śmierci), 216-218, 223-225, 238-241, 244-246, 254-256, 262-266, 278-280, 285-294.

Wyobraźcie sobie, że już po osiemdziesiątym, dobrze po osiemdziesiątym roku, Rosjanie jeszcze się grodzili, jeszcze budowali ten swój mur. [...] To jest budynek po Armii Radzieckiej, prawda? Dookoła jeszcze stoją budynki niezagospodarowane, prawda, po Armii Radzieckiej. Obok jest tak zwany PWSZ, czyli Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa, która właśnie jest z odzysku, to jest dawne koszary niemieckie, a później radzieckie, czyli tu ogromny obszar i oni jeszcze ten obszar grodzili i stały przyzmy cegieł spięte metalową linką, prawda? Nowiusieńkie z fabryki, nowiusieńkie, zdrowa, świetna, klinkierowa cegła do budowania muru, więc ten absurd w głowie mi się nie mieści, że można było... Oczywiście, skąd oni to mieli? Skąd oni to mieli? Oni po prostu... żądali – miasto musiało to dać. To nie było tak, że oni za to płacili, absolutnie. [...] Nic nie płacili. No, przecież... później legendy opowiadali ludzie, jak to w puszkach po... niby w puszkach z etykietą „Farba taka i taka” jechały do Związku Radzieckiego szynki, balerony, Bóg wie co, prawda? Podczas kiedy tutaj rzeczywiście były takie kiepskie warunki, no ale to, to co Polska tam wy... Tam oddawała... [...] To lenno. [*śmiech*] Tak to nazwę, w postaci stali, węgla, no wszelkich możliwych surowców. Przecież byliśmy eksploatowani, powiedzmy sobie. Tu nie ma, tu nie ma... Nie ma możliwości takiego załagodzenia tej sprawy, tej wielkiej pomyłki politycznej, prawda? Łagodnie to możemy traktować się jako ludzie, prawda? Jako narody, prawda? Zawsze jeden naród jest ciekaw innego narodu, prawda? Jego kultury, no i zawsze to zostanie, zawsze człowiek łączy się do człowieka, prawda? I tak w tej Legnicy było, jakoś się uzupełnialiśmy... [2010.02.31/LG]

By podkreślić podporządkowanie Polaków władzom radzieckim w Legnicy, rozmówca przywołuje relacje związane z inwestycjami budowlanymi w latach osiemdziesiątych, więc w czasie, gdy już pozycja strony polskiej była zdecydowanie lepsza niż we wcześniejszych dekadach. Strona radziecka praktycznie przez całe półwiecze stacjonowania budowała zawsze – czy to na terenach zamkniętych, czy nie – ignorując polskie przepisy budowlane¹⁷.

Wśród legend miejskich i pogłosek doby Polski Ludowej popularne były opowieści o wywózce polskich dóbr do ZSRR, często w zalutowanych wagonach lub w zaspawanych puszkach z mylącymi napisami; istniało też sformułowanie „odlutowane od torów” na towary wykradzione ponoć z transportów do Związku Radzieckiego. Sytuacja Legnicy i całej Polski staje się tu sytuacją wasala wobec seniora, jednak końcowa konkluzja wskazuje na współpracę i bliskie relacje na poziomie człowiek – człowiek. Interesujące też, że pozytywną grupą odniesienia staje się tu naród.



Tak, tak... zresztą tam ja powiem, to było trochę dziwne, no bo tak o, z jednej strony był stosunek, ale to ogólnie chyba Polaków, do, do Rosjan niechętny, no bo to okupacja rosyjska tak naprawdę, prawda? To z jednej strony taka może niechęć, ale tak, ale tak do tych ludzi tutaj, którzy zamieszkiwali w Legnicy, no to jakiejś niechęci, myślę, że nie było. Myślę, że nie. Wśród dzieci, myślę, że czasami, no, bito tam te

¹⁷ W. Kondusza, *Mała Moskwa...*, s. 207–208.

ruskie dzieciaki; wiem, że bywały takie przypadki, kiedy jakieś tam: bo to Ruski, to coś tam – ale też były i przyjaźnie. Tak, że to tak, tak dziwnie, nie wiem, no... [...] Mieszane, no, no, no.. ogólnie, to tak jeśli chodzi... mhm... o ludzi, no, starszych ode mnie, no, to stosunek był pozytywny. Mówię, każdy miał jakiegoś znajomego w tym czasie Rosjanina i wszystko było ok, moim zdaniem [2011.04.20/LG].

Rozmówca wyraźnie oddziela relacje na poziomie grupy – „stosunek ogólnie niechętny” – od stosunku do znajomych, niejako oswojonych obywateli Związku Radzieckiego, przy czym, co ciekawe, już samo zamieszkiwanie w Legnicy niweluje częściowo niechęć, konstytuując kategorię „naszych Obcych”. Ambivalencja w stosunku do radzieckich obywateli wpisana jest w doświadczenie większości legniczan, co staje się widoczne podczas rozmów o przeszłości miasta. W ich narracjach ocena zachowania „Ruskich” zmienia się wielokrotnie; często rozmówcy zaprzeczają wcześniejszym słowom, a ostre krytyczne sądy ustępują miejsca znacznie pozytywniejszym ocenom, szczególnie kiedy mowa o prywatnych kontaktach. Zbagatelizowaniu ulegają bijatyki wśród dzieci – być może mamy tu do czynienia z przyzwoleniem społecznym na utarczki dziecięcych „band”.

Z jednej strony oczywiście narzekaliśmy, jak to cały nasz kraj, że Rosjanie nas tu tłamszą, że nie mamy wolności, że ten Wielki Brat to nas tylko eksploatuje na różne sposoby i tak dalej. A z drugiej strony... I to była taka jak gdyby powszechna opinia, która mniej lub bardziej z uzasadnionych powodów brała się [...] tam ogólnie i ona tam pokutowała. Tak no, fruwała sobie, że tak powiem, w powietrzu. Jednocześnie było też to życie już takie bezpośrednie. I w tych bezpośrednich kontaktach to były stosunki bardzo serdeczne. Natomiast, jeżeli, i to jest też prawidłowość nie tylko pewnie tutaj tej nacji, naszej nacji. Jak się działy jakieś złe rzeczy, czegoś brakowało i tak dalej, no to najłatwiej i najlepiej znaleźć jest wroga zewnętrznego. Stąd większość rzeczy była zwalanych na Rosjan. A oni tutaj spełnili, oczywiście, z jednej strony niedobłą rolę, bo tam jedna trzecia miasta ponad stutysięcznego nie do wykorzystania przez rodzimych mieszkańców, gospodarzy, bo to raczej nie jest nic przyjemnego. Ale z drugiej strony ktoś tam musiał robić to zaopatrzenie, sprzedawać to mięso i tak dalej. I to robili już Polacy, którzy tutaj mieszkali, więc jednocześnie... [...] Oczywiście, to nie było takie jednoznaczne, że to było tylko i wyłącznie represyjne, opresyjne... Stąd mówiłem o tych takich mieszanych tak uczuciach. Wiesz, jak gdyby fruwały równolegle wokół siebie takie dwie opinie [2011.11.25/LG].

Podobnie jak w poprzednim cytacie zostaje tu oddzielony poziom ogólny – w tym przypadku ogólnopolski – relacji polsko-radzieckich od kontrastujących z nimi kontaktów bezpośrednich, praktyki dnia codziennego, gdzie stosunki okazują się bardzo serdeczne. Rozmówca wskazuje na różne konsekwencje stacjonowania wojsk radzieckich – z jednej strony niemożność użytkowania całości miasta, ale z drugiej korzyści ekonomiczne.

Ich góra i nasza góra – to na pewno było znacznie bardziej pompatyczne, takie bardziej oficjalne, no, wiadomo, o co chodzi, a tutaj – prości ludzie, którzy chcieli po

prostu coś z tego ugrać. To znaczy... oni... potrzebowali pewnych rzeczy i myśmy potrzebowali pewnych rzeczy i ponieważ jakoś tak dwie strony umiały się dogadać, no to i dobrze, z tym, że no czuło się, że to jest inny naród [2010.02.01/LG].

Mamy tu skontrastowane relacje oficjalne zdominowane przez zasady protokołu i politykę oraz relacje prywatne, bezpośrednie, często ufundowane na obopólnie korzystnej wymianie handlowej, przy równoczesnym odczuciu różnic.

Oni po prostu widzieli, ja już pomijam tutaj relacje między Polakami a Rosjanami, ale oni obserwowali, co się w naszym życiu polskim dzieje, prawda. Nasze zachowanie w stosunku... obserwując, wynikające z obserwacji na ulicy, prawda, w stosunku do milicjanta, oni oglądali naszą telewizję, prawda, ta część z nich rozumiała po polsku. I, i oni widzieli, że tu się dzieją rzeczy, które w Rosji są nie do pomyślenia. Które w Rosji, w Związku Radzieckim, były nie do pomyślenia, że tutaj można odpyskować zwierzchnikowi, że można odpyskować, prawda, milicjantowi, że nikt nie boi się, prawda, że nie ma tego jakiegoś takiego, który był u nich wszechpanujący. [...] Umówmy się jedną rzecz. Generalnie polityka, władze radzieckie stanowiły problem. To jest jedna rzecz. Oddzielmy od tego indywidualnych ludzi. Indywidualnie Rosjanie są dusza-człowiek, jak się człowiek zaprzyjaźni. Naprawdę, to są tacy serdeczni przyjaciele, chociaż miałem sytuacje takie, z Wołodią, [...] taki znad Wołgi Wołodzia, proste chłopisko takie, ale szczerą duszą. Zaopatrywał mnie w zające, w dziczyznę, bo on dwa razy w tygodniu jeździł na polowania, był z żoną, a żona już miała potąd tej dziczyzny, nie. No to znalazł sobie miejsce zbytu, przynosił do mnie i nie chciał za to żadnych absolutnie pieniędzy, absolutnie nie, on się cieszył, że ma komu dać, prawda, że ma. Dla niego było przyjemnością polowanie, prawda, no, ale jak już zabił coś, to szkoda wyrzucić, [...] no to do mnie wrzucał. Ale już po dwóch miesiącach też miałem tego potąd, prawda. No i w każdym razie on, tak kiedyś siedzimy, wódeczkę pijemy, on mnie się pyta: „Maciek, a gdyby była wojna między Sojuzem, prawda, a Polską, czy ty byś do mnie strzelał?”. A ja mówię: „No co ty, Wołodzia?!”. A mówi: „Ja bym strzelał. Najpierw ojczyzna – mówi, – a potem wiesz...” No takie, takie coś. I tu trzeba by było go bronić. Oczywiście dla miasta, dla władz, dla mieszkańców, mówimy o masie, byli oni problemem. Ale nie przenoszono tego na indywidualnego obywatela, bo on był Bogu ducha winien. Myśmy ich żałowali, oni byli naprawdę w gorszych, indywidualni ludzie, w gorszych warunkach [2010.02.09/LG].

Znów widzimy wyraźne odróżnienie stosunku do polityki i jej konsekwencji od relacji międzyludzkich i oceny indywidualnej sytuacji stacjonujących żołnierzy. Pobyt w Polsce staje się tu dla obywateli Związku Radzieckiego szkołą oporu wobec systemu autorytarnego, może nawet budowania demokratycznej opozycji. Rosjanin z opowieści ma typowe zalety przypisywane tej nacji – jest serdeczny, hojny i szczerzy. Zostaje przedstawiony jako osoba zdominowana nie tyle przez politykę, ile przez postawę patriotyczną – czego zresztą rozmówca nie potępia – co również wskazuje na od-

mienność relacji na poziomie jednostkowym i grupowym, gdzie dla Polaka determinujący jest ten pierwszy poziom („No co ty?!”), zaś dla Rosjanina drugi („Strzelalbym, najpierw ojczyzna”).

Jeżeli chodzi o żołnierzy, którzy tu... tacy ludzcy oni byli. Oni byli szczerzy. Ekstra. [...] Chwileczkę. Proszę nie pomylić – wiadomo było, że siedzieli tutaj, żeby nas bronić nie wiadomo przed kim. No. Mieli tutaj swoją stolicę, że tak powiem. I tutaj siedzieli. Jeżeli chodzi o sprawy polityczne, to gnębili nas. Ale jeżeli chodzi o normalnego żołnierza, no to co on winien jest. Kazali mu tu przyjechać, przywieźli go tutaj i tu w koszarach siedział. A jak wyjeżdżali, to w eszelonie puszczały polskie czy angielskie przeboje, jak wyjeżdżali stąd. Pociągami. Jak ładowali czołgi, samochody, wszystko. Tutaj, na dworcu w Legnicy Północnej, bo tam przyjeżdżali pakować się i wyjechali z Legnicy. *Summa summarum*, jeśli chodzi o ludzi, to okej są ludzie, tylko ta polityka jest taka... [2012.11.05/LG]

No, to ja dokładnie wspominam, bo pomijając ten aspekt taki polityczny, ustrojowy, no, to, to bardzo sympatyczni ludzie byli, oni też tak wbrew sobie zostali tutaj rzućeni. Oni tak tego nie mówili, ale to się dało wyczuć, że to nie była taka ich... wybór, ale potem to się wiązało z pewną gratyfikacją materialną, no, bo oni tutaj odżywiali, oni przyjeżdżali tutaj jak na Zachód. Zobaczyli to życie, zobaczyli, że ludzie lepiej są ubrani, że lepsze rzeczy mają, jedzą i w ogóle, to był taki szok dla nich kulturowy [2011.04.20/LG].

Obok kolejny raz sformułowanej opozycji człowiek (pozytywny) *versus* system (negatywny) i kategorii „dobrego zesłania”, mamy tu obraz przyswojenia sobie polskiej kultury oraz poznania kultury Zachodu, u nas znacznie bardziej dostępnej niż w Związku Radzieckim. Ten wątek pojawia się też w rosyjskich wspomnieniach i opisach stacjonowania w Legnicy. Jak pisze Tatiana Kosinowa, „Ważne były również dzieci oficerów, którzy służyli – armia była w pogotowiu – na terytorium Polski. Wszystkie one były nastawione propolsko. W szczególności Oleg Zujew, bardzo dobry artysta, ilustrator. Fantastycznie znał język, uczył się tam w szkole i wiedział o wszystkim, co działo się w Polsce w życiu artystycznym i filmowym. On się tym po prostu upajał”¹⁸. W ogóle w ZSRR polska kultura odgrywała szczególną rolę. Konstantin Duszenko wspomina: „Oto jedna z najpopularniejszych audycji telewizyjnych czasów breżniewowskich, *Kawiarenka* »13 krzesel«. Co prawda, kawiarenka była ulokowana w jakimś bliżej nie określonym kraju środkowoeuropejskim, jednak bywalcy zwracali się do siebie przez »pan«, »pani«, materiał literacki i muzyczny zaś pochodził głównie z polskich czasopism humorystycznych i polskich płyt. Była to więc mieszanka ludowo-demokratyczna na polskiej podstawie. *Kawiarenka* »13 krzesel« to miejsce, gdzie ludzie spokojnie sobie siedzą, bawią się, tańczą, żartują; jest sposób spędzania czasu wolny od zbyt natrętnych oznak sowiecko-rosyjskiego sposobu bycia i życia. Jednym słowem, jest to socjalizm z ludzką twarzą”¹⁹. I dalej: „Dla inteligencji humanistycznej Polska przez długi czas pozostawała jeżeli nie oknem, to w każdym razie »furtką na Zachód«”²⁰.

¹⁸ T. Kosinowa, *Polski mit. Polska w oczach sowieckich dysydentów*, przeł. R. Szczęsny, J. Redlich, Warszawa 2012, s. 138.

¹⁹ K. Duszenko, *Polak i Polka w oczach Rosjan*, w: *Stereotypy i narody*, red. T. Walas, Kraków 1995, s. 161.

²⁰ Tamże.



Kiedy skupiamy się na pojedynczej osobie, to e... trudno jest tą niechęć jakoś tak... ja wiem, okazywać. Natomiast jeżeli myśli się o nich jako o całości, to momentalnie dochodzą do głosu te wspomnienia i... że to jest totalitaryzm, to znaczy myśli się z niechęcią o tym, że to są ludzie, którzy, no, napadli nas 17 września, że... że wtedy przypomina się opowieści tych osób, które przeżyły wojnę, przeżyły wywózkę, przeżyły wyrzucanie ze swoich domów we wrześniu i później, już nie mówię o tym, co zrobiono z tymi, no, no, z historią z tym, no, z Katyniem i tych innych miejscowościach, ale no to trzeba rozgraniczać, nie? To, że te dramatyczne wydarzenia, z którymi tu przyjechali nasi rodzice, dziadkowie... są przekazywane nam. Rodzice, kiedy pochyłali się nad naszymi podręcznikami, gdzie nie było prawdy, e... no prawdę nam dopowiadali po trochu, pomimo, że ostrożnie i e... jednak starali się nie zasiać w nas jakiejś niechęci do pojedynczych osób, bo my sami zaczynaliśmy rozumieć dość szybko, że tamten naród też jest ofiarą tamtego totalitaryzmu, te jednostki też i nawet to, że oni, powiedzmy, tam było mnóstwo donosicielstwa, takiej zwykłej podłości, to ci ludzie byli do tego zmuszani, że przykładów niemię, że tak samo chrześcijaństwo tam zostało zaduszone, przecież ten kościół, e... to znaczy ta wiara zaczęła się odradzać dopiero później. W większości z nich, to oni twierdzili, że osiemdziesiąt procent to są ludzie niewierzący, no i tam po prostu ta polityka tego państwa była, że w wielu wypadkach rozdzielanie rodzin. Jak ktoś na przykład kończył studia, dostawał nakaz pracy w jakimś miejscu straszliwie odległym i miał jeden wybór z jednego i musiał tam pojechać i przez jakiś wielki okres czasu nie mógł się w ogóle spotkać z rodzicami, załóżmy. E... później no to te wszystkie historie takie, to się po prostu wiedziało i czuło, wiedziało się o tym zakłamaniu, że em... nie jest mówiona prawda, że ta propaganda pokazująca ich sukces i sukcesy ich ideologii, że wszystko w barwach różowych i na hurra, że to nie jest prawda i że, że, że są jeszcze inne oblicza tej prawdy. I em... myśmy o tym wszystkim wiedzieli. I tak, to, że oni maszerują, załóżmy jeden obraz, że oni maszerują stylem, przepraszam, krokiem defiladowym i, i trzeba podziwiać, jak oni tu dumnie zasuważą i jest inny dzień, i ja widzę, jako młoda dziewczyna, widzę jak są te, powiedzmy, te ćwiczenia i ja widzę, że biegają chłopcy i nie widać, żeby oni byli uszczęśliwieni tym, że oni muszą dźwigać plecak, koc, karabin, coś tam jeszcze, że ci chłopcy jak niedługo to któryś padnie, ostatkiem sił gdzieś biegają i ani wody, ani nic i już słysząc jak oni powiedzieli, że tak, że taki chłopczyna wygląda na piętnaście lat, chudzina taka i jeszcze biegnie i coś tam. I to jest no, takie obrazki, obrazki. Trudno mi jest odpowiedzieć na tak postawione pytanie, bo wierzę, że nikt nie wpierał nam, przynajmniej w moim otoczeniu, moi rodzice nas tak wychowywali, żebyśmy nie jakoś, nie stali się jakimiś osobami niechętnie ustosunkowanymi do Rosjan. Niemniej jednak wiedzieliśmy, że to jest inny naród, który ma inne zwyczaje i ja na przykład raczej jeśli myślałam

coś takiego, że raz, dwa razy przypadkowe spotkanie, ale nigdy by mi nie przyszło do głowy, żebym jakoś na przykład kontynuowała tę znajomość w jakiś sposób taki poważny, nie? Czy coś. Po prostu dla mnie to był przedstawiciel innego kraju, nie? I to takiego kraju, który nam wyrządził wiele krzywd. Niemniej jednak również osoby które, powiedzmy, były również w obozach więzione, przeszły przez to piekło przesłuchań, ale mówiły, że w obozach spotykali się z różnymi ludźmi, że ktoś tam komuś uratował życie, jakiś lekarz czy jakiś kucharz powiedzmy wziął jakąś tą osobę słabą do siebie do kuchni do pomocy, żeby ona nie musiała chodzić na dwór do pracy czy coś tam i że, podkreśla, że te osoby zachowywały się naprawdę w sposób ludzki. Te osoby, które prezentowały takie postawy wrogie były bardzo proste, bardzo biedne, załóżmy. Poza tym ta propaganda – jeżeli e... powiedzmy, kobieta pracowała w biurze i została wywieziona, miała delikatne jakieś tam ręce, nie? I przyszła kobieta ze wsi, która spotkała się z nią, nie? Chciała tam z nią zahandlować i ona patrzy na jej ręce, bo oni w czasie rewolucji jeszcze oceniali według rąk, że bieleje ruki to jest ten, co ten, co nawet jak się przebierze, udaje, to jest to na pewno przedstawiciel klasy wrogiej, obszarnika, jakiegoś tam kołtuna, który jest wrogiem klasowym, więc tylko mu się śmierć należy i tak dalej. Więc to tak u nich było, nie, że taka kobieta miała to wpojone, w naszym pokoleniu może też, że no trudno oczekiwać jakichś takich zachowań, ta miała dużo dzieci, ciężko pracowała, a na przykład ta Polka, od której by chciała sobie kupić jakiś tam chleb czy coś, no i dawała jej pierścionek za chleb, na przykład, bo była tak już głodna i wynędzniała, nie, i ta jej dawała jakiś tam chleb, coś tam mleko i tak, że ja może mówię tak, no ja nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, bo e... nie wiem, czy ktoś wam odpowie jednoznacznie. W każdym razie, znaczy, nie mniej jednak słyszałam takie słowa, że od innych osób, że no, że Ruski to jakby w domyśle gorszy. Z takimi opiniami też się spotykałam w pewnym sensie. I to było takie... no zdarzało się [2010.02.01/LG].

Ten bardzo długi fragment wart jest szerszego omówienia. Poziom stosunku do jednostek zostaje oddzielony od oceny systemu – a dokładniej, wspomnienie faktów historycznych sprawia, zdaniem rozmówczyni, że na plan główny wybija się perspektywa zaszłości politycznych, ufundowana na wspomnieniach świadków historii. Co więcej, ci świadkowie to powojenni mieszkańcy Legnicy, którzy przynieśli pamięć dramatycznych wydarzeń wraz ze sobą. Z drugiej strony z socjalizacji domowej i własnych przemyśleń wyłania się właśnie oddzielenie systemu i jednostki, zwłaszcza że obywatele Związku Radzieckiego sami stali się ofiarami sowieckiego totalitaryzmu, który niszczył nie tylko poszczególnych ludzi, ale i więziotwórcze sfery życia, jak religia i rodzina. Ta świadomość pozwala sceptycznie potraktować propagandę – podobnie jak doświadczenie legnickie umożliwiające dostrzeżenie nie tylko defiladowego kroku, ale i zmęczenia zwykłego szeregowca. Współczucie wobec obywateli Związku Radzieckiego łączy się jednak z poczuciem obcości etnicznej, kulturowej i politycznej, która nie pozwala na zadziergnięcie bliższych relacji. Dla uwidocznienia różnic między systemem a jednostką rozmówczyni przywołuje sytuacje więzienne i łagrowe, wskazując, że często nawet prości ludzie są w stanie podjąć ryzyko dla ratowania cudzego życia. Pojawia się tu wątek wpływu propagandy antyinteligentkiej i antyobszarniczej („kołtun” to prawdopodobnie przejęzyczenie,

rozmówcy chodziło raczej o kulaka) wraz z toposem białych rąk zdradzających osobę, która nie parała się pracą fizyczną, a także możliwość przezwyciężenia tego wpływu. Wszystko to – kwestie pozornie odległe od legnickiej rzeczywistości – wskazuje, jaki może być szeroki kontekst formowania się opinii o „Ruskich” i niechęci wobec zajęcia jednoznacznego stanowiska.



Ale to się wcale nie przekładało na nienawiść do Rosjan, którzy są tutaj, bo myśmy zrozumieli jedną rzecz, że oni są po tej samej stronie, co my. Myśmy to zrozumieli – oni są tak samo ciemieni, oni są tak samo ubezwłasnowolnieni, oni tak samo trzymani są w tej, tak zwanej mówiąc, kompletnej puszczy, prawda, bez dostępu świeżego powietrza politycznego i kulturalnego, jak i my. Tylko że właściwie im tu kazano być. Więc jeśli już kazano, to my zrobimy ewentualnie coś, żeby i nam, i im było trochę lepiej w tych historiach [2011.11.06/LG].

Obywatele Związku Radzieckiego jako ofiary systemu na równi z Polakami to obraz niwelujący niechęć i budujący poczucie wspólnoty – zrealizuje się ona być może głównie w sferze kontaktów handlowych, jednak przezwyciężona zostaje moc polityki.

Najgorzej mi było żal tych młodych chłopców, którzy służyli tutaj w tym wojsku, no bo niektórzy faktycznie po siedemnaście lat mieli, w świat drogi ich wywozili, no bo praktycznie z całego Związku Radzieckiego, nawet z Dalekiego Wschodu tam. I tutaj te pięć lat, bo służba trwała pięć lat, więc tutaj tacy odizolowani, tacy biedni, oni tak, pamiętam, w tej chwili to jest tam Państwowa Wyższa Szkoła Zarządzania w tym budynku ładnie odremontowana, a oni tam mieli te koszary. Często wisieli tak prawie w tych oknach, tak patrzyli, żeby zobaczyć tak normalnego człowieka, cywila po prostu. Bo im właśnie, tym takim szaraczkom, nie wolno było wychodzić na zewnątrz [2010.02.12/LG].

Widok radzieckich szeregowców wywoływał w wielu rozmówcach odruch współczucia, przede wszystkim ze względu na ich młody wiek, zaniedbany wygląd i zamknięcie w koszarach, które zamieniały się wręcz w więzienia. Inna rzecz, że współczucie mogło w przypadku niektórych osób podbudowywać samopoczucie i likwidować wrażenie, że we własnym mieście jest się obywatelem drugiej kategorii w porównaniu z „radzieckimi legniczanami”. Wspomniana Państwowa Wyższa Szkoła Zarządzania to w rzeczywistości Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa.

Oficerowie rosyjscy mieli dobre noty, z pewną klasą, z pewnym sposobem zachowania. To nie był ktoś zły, obcy, negatywnie odbierany. To byli ludzie, którzy, jak się poznało, byli naprawdę fajni i sympatyczni, tyle że uwikłani w te swoje uwarunkowania ideologiczno-wojskowe. Ale oni o tym tak niechętnie opowiadali, nie chcieli narzekać i byli to ludzie bardzo prywatnie fajni [2010.05.10/LG].

Obok wielu opinii o niekulturalności „Ruskich” *en masse*, częste są wypowiedzi odmienne, wskazujące na wysoki poziom kultury osobistej, elegancję i dobre wychowanie radzieckiej kadry oficerskiej. Podkreślana jest też dyskrekcja w sprawach służbowych i niechęć do podejmowania tematów

politycznych – co więcej, rozmówcy wskazują, że nierzadko uszanowanie tego przez stronę polską było warunkiem utrzymywania relacji towarzyskiej, a poruszanie kwestii związanych z polityką świadczyło o dużym stopniu zażyłości (więcej na ten temat w rozdz. 5).

Bezpośredni kontakt inny – słowiańska dusza, jak siadali przy kielichu to jak bracia. Oni w ogóle lubili się bawić [2011.11.31/LG].

W każdym razie, jak będziecie oglądali *Matą Moskwę*, to tam pewne sprawy są przejaśkrawione. I to jest ustawienie Ruskich w nienależytym świetle. Ruscy sobie na to nie zasłużyli. Jako naród. Nie mówię o wielu grzeszkach politycznych, ale na dole żeśmy się z Ruskimi bardzo dobrze dogadywali. A po drugie, ja temu narodowi współczuję. Ten naród nie zasługuje na to, co ma. Ten naród jest otwarty i serdeczny, to są Słowianie [2012.11.11/LG].

W obu powyższych fragmentach wyeksponowana zostaje słowiańska wspólnota, poczucie gatunkowej wręcz jedności. Ze słowiańskością wiążą się pozytywne cechy – serdeczność, otwartość, skłonność do biesiadowania. Można się zastanawiać, czy poza poczuciem solidarności i dobrymi doświadczeniami nie mamy tu też do czynienia z wpływem propagandy komunistycznej przeciwstawiającej pozytywnych Słowian wrogim Germanom, co na terenie Dolnego Śląska było szczególnie silnie eksponowane.

Odwolywanie się do słowiańskiej wspólnoty i wynikającej z niej swoistej solidarności pojawia się też w narracjach dawnych wojskowych radzieckich. Pułkownik Borys Potapow wspomina ostatni okres swego pobytu w Legnicy, gdy korzystał z polskiej pomocy i życzliwości: „Dzięki Bogu Polacy to Słowianie i my, Ruscy, też Słowianie, więc łatwo się było dogadać.”²¹

Ja mówię panu jeszcze raz, ja do tych ludzi nic nie mam, bo to tacy sami ludzie jak my tylko inny język. Niektórzy po polsku rozmawiają, niektórzy troszeczkę zaciągali, a tym bardziej, że moi rodzice też z Białorusi pochodzą... Ja się urodziłem już tu. Tak, że po rosyjsku, dzięki temu, że tu dużo było Rosjanów i tak się z nimi rozmawiało, tym bardziej, że w szkole kiedyś był język rosyjski tylko, a nie tam jakiś francuski, niemiecki [2011.04.03/LG].

Jak słyszę szczególnie ludzi, którzy są naprawdę tak ciągle na nie, z taką zaciekłością, zawziętością: „Sowieci-okupanci!” – to się ciągle powtarza, jakaś taka mantra i klepią to w kółko przy każdej okazji, na nie, na nie, na nie [*uderza dłonią o poręcz krzesła, podenerwowany*], bo Ruscy, bo coś tam. Ja mówię też: „Ruscy”, ale ja [...] w innym kontekście tego słowa używam, a tam nie, tam jest ciągła taka stała nienawiść: nie, bo to ruskie, to musi być be, brzydkie, paskudne. Kurrrcze! No byli tu pięćdziesiąt lat, niejedną krzywdę zrobili, ale masa tych ludzi, którzy tu byli, nie mieli nic do powiedzenia. To była tylko wydana komenda, kazali przyjechać, on tu przyjechał, musiał służyć, służył i tyle. I gniewać się na, na w ogóle Ruskich i o każdym mówić,

²¹ A. Guzicki, *Powroty bez rozkazu...*, s. A3.

że on jest bolszewik? [zirytowany] Jaki bolszewik? Jakie to czasy? I, i, i coraz więcej ludzi tych starszych, pamiętających okupację, pamiętających początki Rosjan – to już ich nie ma. Ale za to są ci skażeni właśnie w wieku średnim, którym już nic nie wytłumaczysz. Tu nie ma już starego, który mógłby spróbować wytłumaczyć, że on trochę źle pojął historię. A młody od niego już też nic nie zyska, chyba, że kolejne zakażenie pójdzie i dalej będzie: „Sowieci” [2010.02.10/LG].

Obaj rozmówcy wskazują na kwestię, która może się wydawać paradoksalną – otóż starsze pokolenie, które przybyło do Legnicy tuż po wojnie, często wskutek wysiedlenia z terenu dawnych Kresów, które przeżyło najgorszy okres w komunistycznej historii Polski, okres stalinizmu, to właśnie starsze pokolenie miało i ma nierzadko znacznie bardziej pozytywny stosunek do przebywających w mieście obywateli Związku Radzieckiego niż pokolenie ich dzieci i wnuków. Drugi rozmówca piętnuje dodatkowo budowanie opinii na podstawie pobieżnie i niedokładnie poznanej historii, zaś postawę radykalnie antyradziecką traktuje jako chorobę – „zakażenie”.

★ ★ ★

Ten pomnik [wdzięczności dla Armii Radzieckiej], przy którym jesteśmy, w ogóle mnie nie kłuje w oczy. Uważam, że to jest fragment naszej historii – tak było nam podawane, zresztą my z narodem jako takim rosyjskim możemy się dalej przyjaźnić, bo to są ludzie, jak to Mickiewicz pisał w wierszu *Do przyjaciół Moskali*, który, jak pamiętacie, tam we wstępie do trzeciej części *Dziadów*, że tam też są ludzie, prawda i tam, na przykład, swojego Bestużewa przyjaciela pozdrowiał. I tak jest do dzisiaj – wszędzie znajdziemy przyjaciół, wszędzie znajdziemy wrogów, nie możemy generalizować [2011.04.21/LG].



fol. Wincenty Kotodziejski

To były lata osiemdziesiąte, gdzie była bryndza w Polsce, a tutaj wymieniano różne towary. Nawet w sklepach, które były zamknięte, tam często Polacy przychodzili, kupowali różne rzeczy, które nie były dostępne u nas – u nas na kartki były. Prócz tego, że niektórzy trudnili się handlem, niektóre firmy funkcjonowały, takie małe remontowe, na rzecz Rosjan, to były zlecenia. Rolnicy, ogrodnictwo, dostarczano towary, benzynę uzyskiwano za psie pieniądze często, przywozili Rosjanie mięso, inne rzeczy. Czyli to jakby była symbioza przez kilkadziesiąt lat... [2011.11.03/LG]

ROZDZIAŁ 2

Panie, będziesz miał pokrowiec na traktor

Według ideologicznej propagandy podtrzymywanej przez obie strony wszelkie kontakty polsko-radzieckie w Legnicy powinny były przebiegać jedynie w obrębie ściśle wyznaczonych granic. W rzeczywistości Polacy i „Ruscy” mieli ze sobą styczność na każdym kroku, a najintensywniejsze kontakty pojawiały się w sferze ekonomicznej. W mieście kwitł handel, zarówno oficjalny, uznawany przez władze obu państw, jak i ten nielegalny, realizowany pokątnie, przy obopólnym porozumieniu i podzielanym zaufaniu, po wielokroć przekraczając bariery polityczne. Codzienne życie w Polsce Ludowej stanowiło wyzwanie, któremu łatwiej było sprostać, wchodząc w interesy z przebywającymi na terenie Legnicy obywatelami Związku Radzieckiego. Niniejszy rozdział poświęcony jest opowieściom o handlu i wpływie, jaki miał on na wspólne codzienne życie przedstawicieli dwóch narodów.

★ ★ ★

Ruscy byli, handel był. No słuchajcie, powiem wam szczerze, u mojej teściowej to kawior stał wiadrami, bo moja teściowa zajmowała się trochę handelkiem [2012.11.11/LG].

★ ★ ★

W polskich sklepach bywali, w polskich knajpach, w polskich hurtowniach. Głównie na tym się opierał handel z nimi. Oni ożywili Legnicę. Ożywili Legnicę robiąc tutaj zakupy, chodząc do knajp polskich, w tych knajpach kupowali piwo, upija..., no w sumie alkohol. No i co tam... W hurtowniach to kupowali głównie do tych swoich sklepów, do zaopatrzenia swoich żołnierzy. Kupowali drób. I węgiel kupowali u nas [2012.03.11/LG].

Żyło się dobrze. Ja jestem rzeźnikiem i prowadziłem tu na targowisku takie stoisko mięsne. Kupowali tego całą masę, no, bo musieli się wyżywić. Ja dziennie dwadzieścia – trzydzieści baranów ubijałem. Rolnicy mieli dobrze, bo warzywa, wszystko brali [2012.03.14].

Handlowali, przyjeżdżali sprzedawać paliwo, różne rzeczy, cywile, wojskowi. To była codzienność nasza tutaj, to taka koegzystencja, współistnienie tych dwóch społeczności wbrew jakimś tam kwestiom politycznym, ona tu funkcjonowała bardzo mocno

i powiem szczerze: część legniczan po prostu żyła z Rosjan. Rosjanie handlowali. I to, sędzę, nieźle żyła na handlu paliwem, sprzętem, rzeczami różnymi codziennego użytku tak, że tutaj sadzę, że, jak gdyby, Legnica po prostu... Rosjanie byli częścią tego miasta i to wbrew temu, co się mówi, tak naprawdę wielu mieszkańców gdzieś tam dobrze w tym systemie sowieckim funkcjonowało tego państwa w państwie, i wpisywało się powiedzmy w ten model sowieckiej Legnicy, i potem bardzo mocno odczuło brak Rosjan, na przykład chociażby ekonomicznie. Do tego oficjalnie nikt się nie przyznaje, ale tak naprawdę było [2010.05.08/LG].

W doświadczeniu większości mieszkańców Legnicy handel z „Ruskimi” stanowił nieodłączny element codzienności. „Koezystencja” dwóch – w uproszczeniu – narodów w przestrzeni jednego miasta realizowana była w pierwszym rządzie właśnie w sferze ekonomii. Obecność wojsk radzieckich oraz służby cywilnej, tzw. wolnonajomnych pracujących na kontraktach, z jednej strony w naturalny sposób otwierała drogę do prowadzenia wspólnych interesów, choćby zaopatrywania garnizonu w żywność. Wiele gospodarstw rolniczych z podlegnickich wsi sprzedawało znaczną część plonów Armii Radzieckiej. Warto zauważyć, że przywołane przez rzeźnika barany cieszyły się popularnością zwłaszcza wśród azjatyckich obywateli ZSRR – a także wśród Greków i Macedończyków – i po zniknięciu tych grup z Legnicy popyt na baraninę spadł.

Z drugiej strony w Legnicy w najlepsze kwitł handel nielegalny, praktykowany pokątnie, z dala od czujnego oka systemu, za sprawą niepisanego – ale współodczuwanego – porozumienia i przy ewidentnych korzyściach zarówno dla strony polskiej, jak i radzieckiej. Obecność obywateli radzieckich „ożywiła Legnicę” ekonomicznie, umożliwiając cyrkulację produktów wszelkiej maści na skalę nieporównywalną z resztą Polski, w pewnym sensie nadając Legnicy cechy miasta przygranicznego lub portowego, choć o granicach znacznie bardziej płynnych niż wyobrażały je sobie władze obu państw. Wiele wypowiedzi legniczan ujawnia ową interesującą dynamikę pomiędzy oficjalnymi zakazami a wymiarem codziennej konieczności, specyficzny kontekst miasta, którego warunki jeśli nie wymuszały, to czyniły w ogóle możliwym wchodzenie w nieoficjalne relacje w celu osiągnięcia wymiernych korzyści¹. Różna bywa natomiast ocena owych szczególnych warunków – pojawiają się nierzadko głosy usprawiedliwiające dawne zachowania, przerzucające odpowiedzialność (np. za nielegalny handel) na system czy właśnie polityczną specyfikę Legnicy.



Polki też nawiązywały z nimi kontakty. Polacy bardziej pod kątem złota, takich towarów, które u nas były na kartki czy deficytowe: kawa, alkohol, szampan, takie rzeczy. To zawsze można było z nimi tam jakoś obgadać sprawy i załatwić dużo taniej niż normalnie, prawda. A one [Ruskie] z kolei szukały takich właśnie rzeczy, które można było kupić w naszych sklepach, kosmetyki szukały, takie normalne, ludzkie czy jakies takie ciuszki, które były bardziej europejskie na tamte czasy. Tak, że to tak ten handel taki wymienny, ta taka współpraca, też jakoś to wyglądało [2010.02.12/LG].

¹ Por. J. Burszta, *Razem, lecz osobno. Mała Moskwa Polaków i Rosjan*, „Mówią Wieki”, 2012, nr 3 (626).

W Legnicy handel zazwyczaj przybierał formę wymiany, a transakcje różniły się pod kątem oczekiwań oraz oferty. W wielu relacjach dominuje pogląd, że „Ruscy” byli przede wszystkim zainteresowani produktami zachodnimi, przez co na przykład szczególne upodobanie rosyjskich kobiet do „europejskich” ubrań jest interpretowane jako dowód na zachodzący podczas ich pobytu proces stopniowej akulturacji, nabierania ogłady czy wręcz kultury, choćby i poprzez odpowiedni strój zgodny z polskim wzorem kulturowym, o czym szerzej jest mowa w rozdziale trzecim.

Co ciekawe, choć w Legnicy kwitł faktycznie handel wymienny, barterowy, tu rozmówca używa tego określenia przede wszystkim dla opisanego różnicy podaży i popytu w sklepach polskich i radzieckich – w tych pierwszych pojawiały się owe „europejskie” produkty (ubrania, płyty, później kasety wideo z zachodnim kinem popularnym), zaś w drugich towary luksusowe, jak kawa, alkohol czy niewymieniony tu kawior. W efekcie wbrew pozorom nie tylko „Ruscy”, ale obie strony dysponowały w swoich sklepach dobrami deficytowymi z punktu widzenia potencjalnych partnerów handlowych.

Właśnie charakterystyczna rzecz, że Legnica fantastycznie prosperowała, [...] fantastycznie prosperowała, ponieważ ci oficerowie radzieccy, oni tutaj kupowali wszystko. A my, Polacy, byliśmy zainteresowani tym, żeby handel się rozwijał, bo niektóre prywatne interesiki, nawet mimo tego, że był okres komunizmu, to ludzie mieli koncesje, mieli pozwolenia – mnóstwo Żydów prowadziło prywatną inicjatywę, prywatne sklepy, prywatne zakłady, prywatne zakłady krawieckie, szewskie i tak dalej, prawda? A Rosjanie kupowali wszystko. Nigdy nie zapomnę osoby, która dzięki Bogu żyje, takiej pani Władzi – nie powiem nazwiska, bo nie o to chodzi – która miała kilka lat szkoły podstawowej, a dzięki kapeluszm, które produkowała w swoim zakładziku, pobudowała swoje dzieci – jeszcze w czasach komunizmu, prawda? – wyposażyła doskonale i została osobą no, niezwykle zamożną, prawda? Taka kariera. Bo Rosjanki te kapelusze wywoziły w głąb Związku Radzieckiego [2010.02.31/LG].

Tu bardzo dużo, na przykład tutaj, kurczę, ludzie zarabiali – mojej żony babcia z kolei, dość majątna osoba. A zarobiła na czym? No zarobiła, bo ona była krawcową. I ona szyła Rosjanom ciuchy, nie? Kiedyś no, nie kupowało się ciuchów, tak, że panie teraz sobie panie idziecie. To się szło najpierw do komisju kupić jakiś materiał przywieziony gdzieś skądś. I do krawcowej, nie? No, to ona szyła, tylko dla Rosjan szyła. I to tylko dla samych jakichś takich żon oficerów i tak dalej [2012.03.20/LG].

Niektórzy mieszkańcy miasta specjalizowali się w artykułach szczególnie cenionych przez obywateli ZSRR. Wiele Polek dorabiało sobie na boku szyciem ubrań dla radzieckich kobiet. Ujawnia to również charakterystyczny rozdźwięk między stroną polską i radziecką w zakresie postrzegania mody, a specyficzny – różnorodnie oceniany przez legniczan – gust kobiet radzieckich (o czym więcej w kolejnym rozdziale), nierzadko kompletnie rozmiijający się z ofertą dostępną w sklepach odzieżowych, zachęcał choćby do chałupniczej produkcji sukni skrojonych pod smak żon radzieckich oficerów. W „legnickim” numerze magazynu historycznego „Mówią Wieki” Anda Rottenberg opowiada o swojej matce, która specjalizowała się z kolei w ozdabianiu i wypalaniu w piecu porcelanowych zastaw stołowych dostosowanych do wschodniego gustu: „Najpierw działała poczta

pantoflowa, a potem mama dostała zezwolenie na prowadzenie oficjalnej działalności i wystawiła przed dom gablotę z pancernego szkła².

A: Bazar tu funkcjonował, to większość to sprzedawała dla Ruskich.

B: A mało tego – w sklepach miało się towar pod Ruskich.

A: Pod Ruskich.

B: Bo Ruscy to kupią.

A: Płaszcz, jakieś tam, tego.

B: Tak. Specyficzny towar. Taki tani towar. Taki... no wiadomo, że oni tam były czym się zachwyca, bo nie mieli... mieli fatalny – ten przeciętny człowiek w tym kraju miał fatalne warunki [2010.02.31/LG].

Jak widać, w niektórych sklepach „miało się towar pod Ruskich”. Intryguje ironiczny stosunek do gustu rosyjskich konsumentów, którym wystarczył byle jaki, tani produkt – z jednej strony traktowano ich jako uprzywilejowanych kontrahentów, dla których przygotowywano specjalną ofertę, a z drugiej, dla sprzedawców wiadomą rzeczą było, że „oni tam były czym się zachwyca”.

Oni byli biedni ludzie. Przyjechali tu trochę zarobić, zakombinować i tak dalej. I rozmawiam z Rosjanami i pamiętam: „A co kupiłeś za pierwszą wypłatę?”. Za pierwszą wypłatę, Rosjan jak tu przyjechał, kupował jeansy, dla dzieci czapeczkę, szaliczek, kurteczkę i wszystko wysyłał do Rosji, bo tam w ogóle nie było [2012.11.04/LG].

Jak ktoś był w dobrym układzie, to wtedy na przykład były peweksy, a nie można było kupić za złotówki, tylko trzeba mieć walutę. No waluta też była przez kombinację zdobywana, bo tam jeszcze później talony weszły, te takie... to można było tam wymieniać, ale... Kupowało się przede wszystkim widea, jak weszły. Oni to sobie wywozili, materiały jakieś takie, bistory, nie bistory w tym czasie były modne i oni to sobie... ale przywozili złoto, nie, tak, że... [...] A, no ciuchy to normalne, ciuchy to normalne. Jeansy to ja sam wywoziłem, jeździłem tam, handlowałem. Oni za jeansy musieli dać wypłatę, taki normalny człowiek, dwadzieścia pięć rubli zarabiali i dwadzieścia pięć rubli kosztowały jeansy [2011.07.04/LG].

Jeansy jako towar luksusowy: powiew Zachodu, w wersji paradoksalnie najbardziej wrogiej ideologii, bo kapitalizmu amerykańskiego. Siła symbolicznej wartości pary jeansów sprawiała, że według rozmówcy Rosjanie byli w stanie przeznaczyć na zakup – a tym samym na podniesienie własnego prestiżu – równoważność miesięcznej pensji. Wpisuje się to w narrację o chęci „ucywilizowania się” obywateli ZSRR, zachłyśnięcia zachodnim sznytem – modą, która była inaczej odczytywana przez obserwujących ich „akulturacyjne” zabiegi Polaków. Oczywiście były jeansy i jeansy – w Polsce,

² A. Rottenberg, „*Legnickie dorastanie*”, rozm. przepr. J. Krawczyk i T. Bohun, „*Mówią Wieki*”, 2012, nr 3 (626), s. 10-13. O produkcji i sprzedaży radzieckim klientom zdobionej porcelany przez matkę Anda Rottenberg wspomina również w autobiografii, por. A. Rottenberg, *Proszę bardzo*, Warszawa 2009, s. 411-412, 434-437, 443-445.

zwłaszcza lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, wymarzonymi młodzieżowymi spodniami były oryginalne Lee czy Wranglery kupowane na ciuchach lub w peweksach, przysyłane w paczkach z Zachodu lub kupowane w czasie okazyjnych wyjazdów zagranicznych³. Do radzieckich rąk trafiały przede wszystkim polskie spodnie z jeansu krajowej produkcji, zwanego teksasem, szyte m.in. w Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Odra” czy w nieistniejącym już legnickim Zakładzie Przemysłu Odzieżowego ELPO. Bardziej pomysłowi Polacy doszywali do nich metki amerykańskich firm. Inna rzecz, że polskie fabryki odzieży, przede wszystkim legnickie Zakłady Dziewiarskie „Hanka”, produkowały ubrania na potrzeby strony radzieckiej.

Tak, mieli dostęp przede wszystkim do muzyki, mieli dostęp do longplay, gdzie ten longplay był na wagę złota, gdzie był właściwie wyznacznikiem akurat pewnego poziomu, prawda, odsłuchowego, no i oczywiście do tych form muzycznych. No i tak, [...] film, film grał bardzo dużą rolę. Oni dosłownie daliby wszystko, żeby tylko ewentualnie móc dostać bilety i żeby się móc przemycić do polskiego kina [2011.11.06/LG].

Znów dostęp do kultury (kina, muzyki popularnej) interpretowany jest jako pragnienie doświadczenia zachodniości. Legnica (i, w szerszym kontekście, Polska Ludowa) działała jako pośrednik, komunistyczny „wolnościowy satelita”, który przybliżył zachodnią cywilizację wschodniej „barbarii”. Był tu dostęp – poprzez paczki z Zachodu, wyjeżdżających i przyjeżdżających z zagranicy czy tzw. ciuchy – do zagranicznych płyt długogrających; polskie zespoły big beatowe, jak Skaldowie, Czerwono-Czarni czy Czerwone Gitary, grały zachodnią w brzmieniu muzykę, sukcesy w ZSRR odnosiły polskie piosenkarki – Anna German, Ewa Demarczyk, Edyta Piecha – a kino Wajdy do dziś cieszy się wielkim uznaniem na Wschodzie.



Mieli [...] ubrania, które choć produkowane w Polsce, na Wschód były wysyłane i można było w ruskich sklepach polskie rzeczy, polskie towary dostać takie, które na polskich półkach były po prostu niedostępne. Raczej nie widziałam Ruskich w polskich sklepach, to się odbywało bardziej na zasadzie takiego pośrednictwa, czyli ci, którzy kontaktowali się z Ruskimi, na przykład choćby handlując złotem czy jakimiś innymi towarami, materiałami, to ja bardzo często pamiętam, że na przykład z ruskiego sklepu mięso zawinięte w gazetę albo jakąś suszoną rybę dostawaliśmy, albo ruską benzynę, ale to właśnie było na takiej zasadzie że, nie wiem, przy okazji sprzedaży złota czy tam handlu tym złotem Rusczy zawsze coś tam jeszcze przynosili dodatkowego [2010.03.01/LG].

Rozmówcy rzadko kiedy są zgodni w kwestii tego, czy „Ruskim” zdarzało się odwiedzać polskie sklepy. Być może zależało to od okresu i sytuacji politycznej. Z pewnością w późniejszych latach widok radzieckiej kobiety – symbolicznie reprezentowanej przez figurę „żony oficera z Kwadratu” – nie był czymś niespotykanym. W przywołanej wypowiedzi uderza też wątek kolonialny: polskie produkty (ubrania) obecne w radzieckich sklepach.

³ Por. A. Pelka, *Teksas-land. Moda młodzieżowa w PRL*, Warszawa 2007, s. 185-206.

Ale później, jak już u nas był ten kryzys z mięsem, to u nich też był kryzys. Natomiast w polskich sklepach bywało tak, że jak przychodzili kupować, na przykład u nas na Głogowskiej, to ekspedientki obsługiwały, ale wymagały, żeby mówiły po polsku, nie? Na przykład ona przychodziła, [...] no, mówi tam: „Adin sachar”, nie? A ona mówi: „Proszę powiedzieć po polsku, co chcesz”, nie? Ona: „Sachar. Nie wiem, ja nie znam”, nie? „Sachar”. „Jak powiesz po polsku, to ci dam” [2010.02.08/LG].

Reglamentacja zaopatrzenia z pewnością zaostriżyła uśpione konflikty. W przytoczonym fragmencie wizyta „Ruskiej” w polskim sklepie została odebrana jako afront, w związku z czym sprzedawczyni – nie mogąc w żaden oficjalny sposób odmówić sprzedaży – „upupiają” radziecką klientkę. Wskazuje to na odczuwany w mieście, przynajmniej przez część społeczeństwa, ostry podział mieszkańców zgodnie z linią podziału politycznego.

My stoimy w kolejce, a przychodzi Ruska w szlafroku jeszcze, piękna ta fryzura jest, ale w szlafroku, ona chce mleczko z czymś kupić, ale najchętniej bez kolejki jeszcze. No krew zalewa, że nam wszystkiego brakuje, a ona sobie przychodzi i tak, o, nie? [...] Awantura zaraz była. Ekspedientka była taka jeszcze harda, to wygoniła ją ze sklepu w ogóle [2012.11.09/LG].

Tu z kolei konflikt zostaje wyraźnie sprowokowany przez radziecką kobietę demonstrującą postawę wyższości, kojarzoną z radziecką pozycją „najeźdźców” i „okupantów”. Widać, że owa uprzywilejowana pozycja była w życiu codziennym dość iluzoryczna, skoro „harda ekspedientka” mogła pozwolić sobie na wygonienie klientki ze sklepu.

Jak to ksiądz powiedział raz, na Boże Ciało: „Co to za Polska teraz? Jak żołnierze chodzą w ruskich mundurach!”. Tu zaraz koło był sklep, skórzany. Ja tak patrzę... co to tam za hałas? Przychodzę i patrzę: kłócą się polskie z ruskimi kobiety. Ja tak stałem w drzwiach i Ruska podeszła akurat, bo jej kolejka, pyta się, co. I ona mówi, że trzy marynarki. No to pani jej dała, jak sobie życzyła, trzy marynarki, ona zapłaciła, zapakowała dwa do swojej torby. A jedna została. A ekspedientka: „A jeszcze jedna!”. „To dla was”. I obróciła się do tych kobiet i się z nimi kłóciła. „A u was jeszcze woda na kartki!”, znaczy... „masło na kartki. I już niedługo woda będzie na kartki!” [2012.03.07/LG].

Obrażona przez Polki zirytowana pojawieniem się „Ruskiej” w polskim sklepie kobieta demonstruje swoją wyższość ekonomiczną, wytykając kryzys gospodarczy i związaną z nim reglamentację, a zarazem dokonując hojnego gestu ofiarowania jednej z zakupionych marynarek polskiej ekspedientce. Jest to gest o wyraźnie potłaczowym charakterze⁴ – upokorzenie przeciwnika poprzez manifestacyjne rozdawanie dóbr materialnych.

⁴ Potłacz to „obrzędowa forma wymiany dóbr i osiągnięcia prestiżu społecznego przez jednostki i grupy, charakteryzująca się demonstracyjnym, noszącym znamiona rywalizacji obdarowywaniem się, a nawet niszczeniem dóbr”. M. Buchowski, *Potłacz*, w: *Słownik etnologiczny. Terminy ogólne*, red. Z. Staszczak, Warszawa – Poznań 1987, s. 288.

To były incydenty, to było raczej zakupienie wody, napoju. Nie byłoby honorowo, gdyby oni, mając zaopatrzenie swoje, kupowali w polskich sklepach mięso. Takiego Rosjanina chyba by pogonili. Ja nie pamiętam takiego obrazka. Oni stali za papierosami, jakimiś dodatkami, ale nie spożywcze jakieś zakupy, tylko na piwo [2010.05.10/LG].

Rozmówca wyraża opinię, że to honor obywatela Związku Radzieckiego powinien powstrzymywać „Ruskich” przed robieniem zakupów w polskich sklepach. Według propagandy strona radziecka miała nielimitowany dostęp do wszelkich dóbr i produktów, stąd sam pomysł, że mogliby oni ustawiać się w kolejkach po polskie towary, zwłaszcza tak podstawowe jak mięso, wydaje się czymś absurdalnym, nie na miejscu – albo zadaje to kłam propagandzie dobrobytu i obfitości, albo jest gestem wyzywającym wobec borykających się z kłopotami z zaopatrzeniem Polaków – a przy tym byłoby to niepotrzebnym narażaniem się na ewentualne nieprzyjemności, jak przywołane we wcześniejszych fragmentach. Dodatkowo w patriarchalnej kulturze republik ZSRR oficerowi w mundurze nie przystawało robienie podstawowych zakupów spożywczych, a już zwłaszcza nie w polskim sklepie – była to kulturowa rola kobiety.

★ ★ ★

Jak we wszystkich sklepach niczego nie było, a tam było wszystkiego w bród. I mięso, i wszystko, i można by było do jedzenia kupić. I zasadniczo można byłoby tam cement kupić, wszystko. No to chodziliśmy tam właśnie do nich, no to nieraz uprzejmie nas tam przyjmowali, no nieraz nas tam nie za bardzo wpuszczali, no ale my jako takie młode byłyśmy jeszcze kobiety, no i jak byłyśmy, nawet jak nas zawsze dużo było, to zawsze nie szły jedna tylko więcej nas szło do tych sklepów, żeby sobie wina kupić, i tego wszystkiego, bo wszystkiego brakowało w naszych sklepach. Wtedy było fajnie [2011.11.30/LG].

Ruskich na przykład, jeśli się lubiło tą rosyjską stronę, to za ich na przykład Dom Knigi. Dom Knigi był tutaj. To był sklep otwarty też dla Polaków. I do Domu Knigi się szło kupować te ichniejsze zeszyty. Z tego co pamiętam, coś było związane z Donaldem, ale nie jestem pewien. Takie drobne historyjki. U nas myśmy zbierali gumy Turbo, ale u nich można było kupić tego Donalda. Coś takiego, ale to już nie chcę ściemniać. [...] W każdym bądź razie w Domie Knigi się kupowało różne śmieszne rzeczy, których u nas nie można było zdobyć. No bo to jakby był też taki czas, że cokolwiek innego się miało w szkole, piórniki, wszyscy mieli te same buty, te same fartuszki, te same chińskie piórniki, gumki itd., nie? I jeżeli cokolwiek od nich było, no to można było to jakoś fajnie kupić. Więc na przykład to był taki element, gdzie wprowadza się jakiś taki koloryt i lubiło się ich, nie? [2012.09.01/LG]

Też mieli w ogóle piękny sklep z książkami rosyjskimi i światową literaturą, ale tłumaczoną na język rosyjski, tak, że ja bardzo korzystałam z tego sklepu. Tam były takie młode dziewczyny, tyle nawiązałam kontakty, że robili mi zakupy, ja im zostawiałam pieniądze, a one tam u siebie robiły mi zakupy... Ponieważ pracowałam

w zakładach dziewiarskich, gdzie bardzo ładne rzeczy robiliśmy, robiliśmy na eksport na Zachód, ja im załatwiałam i taka obopólna... [2011.11.04/LG]

Oczywiście nie tylko (i nie przede wszystkim) polskie sklepy były atrakcyjne dla radzieckich obywateli. Jak pokazuje wiele legnickich opowieści, w radzieckich magazynach – zarówno tych znajdujących się na terenie Kwadratu, jak i w obrębie miasta – można było kupić wiele produktów niedostępnych na półkach polskich sklepów. Obok produktów spożywczych, zwłaszcza wyrobów mięsnych, cukierków, alkoholu i kawioru, powodzeniem cieszyły się artykuły papiernicze, książki, szczególnie albumy, artykuły AGD i RTV. Problemy z wejściem do sklepów „tylko dla Rosjan” można było przezwyciężyć m.in. dzięki znajomościom; w grę wchodziła wymiana towarów polskich na radzieckie lub zakupy dokonywane poprzez radzieckich pośredników.

W pierwszej relacji wyprawa do radzieckich sklepów staje się niejako elementem rozrywkowo spędzanego wieczoru, czymś więcej niż metodą pozyskania deficytowego alkoholu – wyobraźnia podsuwa obraz roześmianej grupy dziewcząt wykorzystujących wdzięk i młodość, by „zmiękczyć” strażnika.

A: Ooo, pani, one miały takie sklepy, wszystko można było kupić. Luks malina te sklepy były.

B: Ciężko tam było wejść w ogóle, ale jak się im wcisnęło parę złotych, to dawali.

A: Tam zawsze była przerwa, o piętnastej – szesnastej wpuszczali. No to ja myślę – idę. Bo tam i mięso można było też kupić, wszystko tak naprawdę, jak się chciało. Nie zabraniali. Ale najlepiej było, jak pożyczylam kurtkę od bratowej, patrząc w kieszeń, a tam legitymacja, bo ona miała kontakty, mieszkała koło Ruskich i prawdziwa była ta przepustka, ze zdjęciem, ze wszystkim. No, ale nieważna była ta legitymacja, więc myślę sobie, że zasłonię datę, to nie zobaczą. I kilka razy mi się udało! A raz jeden przepuścił, a z tyłu drugi stał i zobaczył, że ja szybko schowałam. Jak zobaczył, to ja cała w nerwach, no bo nazwisko to nazwisko, ale jak zdjęcie zobaczy, to co będzie? Koniec świata... Myślałam, że milicję zawołają i tyle mnie będą widzieli wszyscy. Uprosiłam i mnie wypuścili, tylko mi zabrał tę przepustkę. No i bratowa się zdenerwowała, ale ja powiedziałam [Ruskim], że ją znalazłam.

B: A mnie się kilka razy udawało wchodzić na legitymacje związkowe [2011.11.32/LG].

Miałam legitymację... Udawało mi się. Miałam, pokazywałam tą legitymację autobusową, ale jedna zaraza, ten stróż, chwycił mnie tą legitymację: „O, ty pajdziosz w kamandu tam, milicja to tam, to...”. A ja mówię: „Wyrzućcie, wyrzućcie, niech nie ciągną...” [2010.05.19/LG].

Znaliśmy z mężem takiego kapitana Lipatowa, sympatyczni bardzo ludzie. Ja mam same dobre wspomnienia z kontaktów z nimi. Jedyne złe wspomnienie to było to, że było takie miejsce w Legnicy – Kwadrat – które, no właśnie, tam była taka enklawa, w której żyli bonzowie, VIP-owcy ich ówczesni i... i tam żyło się luksusowo. Natomiast my, żeby kupić rosyjskie cukierki, które były bardzo dobre, czekoladowe, to musieliśmy robić różne przekręty, żeby dostać się do ich sklepu, to wspomnienie

takie niemiłe [...] Tak, były takie osoby w Legnicy, które miały takie uprawnienie, legitymacje, wejścia do tego sklepu. To było na Chojnowskiej, no więc sobie pożyczaliśmy nawzajem, jeśli udało nam się z kimś takim skontaktować i pozwalano nam wejść. Co prawda, to legitymacja była ze zdjęciem, nie zawsze byliśmy podobni do tych osób, no ale, no, udawało się. Ci wartownicy jakby tak przymrużyli oko w tym momencie i wpuszczali nas tam [2011.04.22/LG].

We wszystkich powyższych fragmentach rozmówczynie opisują posługiwanie się bądź to cudzymi przepustkami/legitymacjami, bądź innymi dokumentami („legitymacja autobusowa”). Opis reakcji strażników we wszystkich trzech przypadkach wskazuje na nieco rytualny charakter kontroli – niektórzy wprost „przymrużają oko” na polskie „przekręty”, a nawet gdy osoby próbujące wejść na niewłaściwy dokument zostają zdemaskowane, kończy się ostatecznie na straszeniu – niemniej cała sytuacja odbierana jest jako przykra i opresyjna.

Interesujące jest użycie w drugim cytacie terminu „kamanda” – rozmówczynie ma prawdopodobnie na myśli komendanturę, komisariat lub posterunek milicji, ale używa słowa oznaczającego drużynę, spopularyzowanego przez należącą do kanonu szkolnego powieść Arkadego Gajdara *Timur i jego drużyna*, w oryginale *Timur i jego kamanda*.

Ostatnia rozmówczynie jako szczególnie charakterystyczne dla asortymentu radzieckich sklepów przywołuje czekoladowe cukierki, których wspomnienie – trochę na zasadzie sentymentalnych „ukochanych smaków dzieciństwa” (o czym więcej w rozdziale 4) – w symboliczny sposób organizuje zmysłową pamięć o czasach „radzieckiej Legnicy”. Wspomnienia legniczan często dotyczą materialnego wymiaru pamięci, wpisując się tym samym w zaproponowaną przez Igora Kopytoff’a optykę kulturowej biografii rzeczy, ujęcia skupiającego się na znaczeniach nadawanym przedmiotom, które w pewnym sensie żyją swoim własnym życiem, ujawniając – choćby i w przypadku najpospolitszego wydawałoby się produktu – bogactwo danych kulturowych⁵. Z antropologicznego punktu widzenia najbardziej znaczące stają się przedmioty w ruchu, mające wartość handlową bądź wymienną, a zatem cechujące się płynnością przypisywanych im znaczeń czy też ujednostkowień. W opowieściach legniczan pojawia się wiele przykładów zachodzenia owego procesu – pozornie pospolite produkty (choć niekoniecznie w okresie PRL-u) stają się „kapsułami pamięci”, odnoszącymi się do osobistych i niepowtarzalnych wspomnień⁶.

Co tydzień była zmieniana pieczętka. To były malutkie pieczętki, prawda, typu spadochron na przykład, a w następnym tygodniu już była marchewka jakaś, prawda. To były, prawda, dziecinne historie, i teraz nim się ktoś połapał i zrobił tą marchewkę, to marchewka już była nieaktualna, prawda, tylko jakiś zajęczek założymy, nie? [z *rozbawieniem*] Tak, że..., że oni mieli taki jakiś swój system i mało tego, że ktoś kto miał marchewkę, prawda, to zajęczka już mógł nie dostać. Bo na przykład ktoś naprawiał telefony, miał tam, był wezwany po to, żeby naprawić telefony i to trwało tam z dwa, trzy dni, no to miał wbitego zajęczka, ale już w następnym tygodniu nie

⁵ I. Kopytoff, *Kulturowa biografia rzeczy – uowarowanie jako proces*, przeł. E. Klekot, w: *Badanie kultury. Elementy teorii antropologicznej*, red. M. Kempny, E. Nowicka, Warszawa 2003, s. 249-274.

⁶ Por. T. Dant, *Przedmioty w czasie: nowoczesność a „biografia”*, przeł. W. Chodacz, O. Drenda, K. Nieweliński, W. Wilk, S. Zgud, w: *tegoż, Kultura materialna w rzeczywistości społecznej*, red. J. Barański, Kraków 2007, s. 143-146.

miał potrzeby tam wejścia, prawda, bo był niepotrzebny, czyli już tego króliczka, czy tam marchewki, prawda, nie dostał, nie [2010.02.09/LG].

Legalną metodą wejścia do obiektów radzieckich – do Kwadratu, do innych zamkniętych enklaw (też zresztą potocznie zwanych kwadratami), a także do sklepów – było posiadanie imiennej przepustki, zwykle ze zdjęciem. Miały one różny okres ważności, dotyczyły różnych sfer wydzielonych, ponadto zasady zmieniały się w poszczególnych okresach. W powyższym cytacie rozmówca, opisując ten system, wskazuje na infantylizm i prząsność symboliki.



To była taka nielegalna sprzedaż, trzeba było wiedzieć, do kogo się idzie, to wtedy... Bo tam Rosjanie przynosili do swoich takich zaufanych sprzedawców jakieś towary, były to na przykład lornetki – te teatralne czy takie już normalne. Przynosili zegarki. Co jeszcze... Złoto, pierścionki, takie rzeczy, to można było po cichu kupić, ale to trzeba było wiedzieć do kogo się idzie. [...] Każdy wiedział, że jak trzeba pierścionki, no to oni zawsze znaleźli jakieś wyjście, czy w bramie kogoś zaczepili, żeby przyszedł i sprzedał, jak to kiedyś już w czasach późniejszych, byli ci łapacze bonów towarowych PKO, gdzie tam nielegalna wymiana była. Tak oni tak samo, ale to głównie pierścionki i zegarki. Czy jakieś tam bransoletki czy łańcuszki, złoto. Złoto, złoto, tym handlowali. Natomiast na targu... O, jeszcze można było jakieś radyjko kupić, bo oni pierwsi mieli, przynajmniej widać było, jak mieli te tranzystory, bo chodzili. To takie śmieszne było, bo chodzili z tranzystorami po mieście. Antenka z przodu, w rękę tranzystorek i muzyka grała. To było takie śmieszne. Co jeszcze, kobiety kupowały u Rosjaneł perfumy, bo u nas specjalnie tego nie było na rynku, natomiast u nich można było takie rzeczy kupić [2010.03.03/LG].

Obok pokazanej wcześniej sfery handlu odbywającego się w sklepach, *gros* kontaktów miało charakter nieoficjalny czy wręcz nielegalny. Przywołany fragment obrazuje specyfikę handlu legnickiego, swego rodzaju „totalność” handlu z „Ruskimi”. W sytuacji permanentnego deficytu zaopatrzenia w polskich sklepach możliwość wchodzenia w transakcje z przyjezdnymi z ZSRR przyczyniała się do podnoszenia poziomu życia większości mieszkańców miasta. Co ciekawe, w wielu wspomnieniach pojawiają się opowieści o handlu towarami luksusowymi bądź ekskluzywnymi, począwszy od biżuterii i złota, poprzez sprzęt techniczny (telewizory, radioodbiorniki), skończywszy na tak niecodziennych artykułach jak pianina i fortepiany (co wiązało się m.in. z tym, że przedwojenna Legnica była znanym producentem tych instrumentów muzycznych i sporo z nich zachowało się w przejętych przez wojska radzieckie obiektach, w tym w bogatych willach na Tarninowie, m.in. w tzw. Kwadracie). Ważne było zaufanie, poczucie bezpieczeństwa – handel nieoficjalny odbywał się zazwyczaj w przestrzeni prywatnej, poprzez pośredników i „pocztę pantoflową”, czasem „z polecenia”, a czasem w ramach przyjaźni zawiązującej się pomiędzy przedstawicielami obu stron.

Specyficzna jest tu kwestia perfum. Radzieckie perfumy – duchy – zazwyczaj uchodziły za zbyt intensywne i nieatrakcyjne (o czym więcej w kolejnym rozdziale), niemniej jednak istniały pewne marki, jak Maska, cieszące się uznaniem Polek.

Nie, po cichutku, prywatnie. Bo Rosjanie znali już tych Polaków, Polacy znali tych Rosjan na tej zasadzie, no to jeden do drugiego przychodził i to był handel wymienny. Na tej zasadzie, nie tam że... No rynki tu były i teraz jest taka namiastka tego bazaru na osiedlu Kopernika. A przedtem to był targ olbrzymi, całe osiedle to był cały wielki bazar. Tam wszystko było. No dosłownie. Miód, mydło i powidło. Ja chodziłem tam z matką na bazar. I tam Rosjanie też kupowali. Wtedy kobiety dorabiały sobie robieniem np. obrusów, serwetek na drutach, później się to krochmałiło, naprężało. [...] Jednego razu też psa chciałem kupić, owczarka szkockiego collie. Wyczytałem ogłoszenie. Rosjanie to sprzedawali. Mówiąc szczerze w domu mieli biednie, ale psy kojec miały tak czyściutki, książeczki zdrowia, karmę specjalne. To byłem naprawdę pod wrażeniem. Te psy tak zadbane były, że nie wiem. Drogo nie sprzedawali. Rasowe to były, pochodzenie było udokumentowane [2010.02.04/LG].

No to było to gazety, franki, te zazdrostki z „Prawdy”, więc wszyscy się śmiali z tego, że... Bo im się po prostu nie opłacało, załonił, gazetę wstawił i nie było żyrandola, tylko była zwykła żarówka. I było tak, że ja miałem później kontakt na tym osiedlu, to znaczy na tej ulicy, na której myśmy mieszkali, dalej było też osiedle domków jednorodzinnych, w którym mieszkali ci wyżsi urzędnicy, tak od majora już do pułkownika. Oni mieszkali w domkach jednorodzinnych i to było tak, że i Polacy mieszkali na tych domkach i oni. I dzięki temu dochodziło do tego, że można było nawiązać z nimi jakąś współpracę, nie? Handlową zwłaszcza, w zakresie wymiany złota. I była rodzina, małżeństwo lekarzy i oni mieszkali tutaj pięć lat i oni przez te pięć lat jedyną rzeczą, którą mieli, to był stół. Na tym stole, cały stół był zastawiony kryształami, bo oni wręcz uwielbiali te kryształy, więc kupowali kryształy. Było zwykłe takie żelazne łóżko, dwa jakieś stare krzesła i oni tak żyli. Dwa pokoje i nic więcej nie było i te gazety w oknach, nie? Więc oni tak żyli i to była rodzina, małżeństwo lekarzy. I nie jakichś dziadów-lekarzy, tylko ona była okulistą, wysokiej tam klasy specjalistą, tak, że do niej to ludzie się w kolejki ustawiali, ale oni wszystko to, co tego, to w złoto albo dolary, albo kryształy, nie? [2010.02.08/LG]

Kontakty handlowe – zarówno na bazarach i targowiskach, jak i w prywatnych kwaterach – dawały wielu Polakom szansę na bliższe poznanie „Ruskich”-Obcych, a dzięki temu być może zweryfikowanie negatywnej opinii bądź stereotypu. Zdziwienie pierwszego rozmówcy, wywołane zażenowaniem psów, idzie w parze z przekonaniem o ogólnym braku dbałości o higienę „Ruskich”, popularnie utożsamianych w Legnicy z ubóstwem materialnym, brudem, zaniedbaniem, prowizorką, a czasem skrajnym niechlujstwem czy wręcz barbarzyństwem. Z kolei w drugiej historii szczególne, według rozmówcy, upodobanie pary lekarzy do kolekcjonowania kryształów można odczytać jako nałożenie na siebie kategorii etnicznych i klasowych. Rozmówca ma ambiwalentne emocje związane z niskim poziomem życia małżeństwa – z jednej strony to „Ruscy”, a więc ludzie definicyjnie gorsi kulturowo, z drugiej jednak strony oboje reprezentują wysoko ceniony i prestiżowy zawód lekarza, dodatkowo jeszcze ubóstwo wnętrza zostaje skonstrastowane z mnogością ozdobnych kryształów. Dla rozmówcy jedynym zrozumiałym wytłumaczeniem tego dysonansu

jest tymczasowość – skoro przyjechali do Legnicy na pięć lat, to czemu się dziwić, że chcieli przede wszystkim zarobić, inwestując całość pieniędzy w złoto i przedmioty luksusowe?

Skądinąd motyw kryształu jako zarówno ulubionego bibelotu zdobiącego peerelowskie meblówścianki, jak i atrakcyjnego towaru eksportowego i wymiennego pojawia się w wielu świadectwach epoki komunizmu – wspomnieniach, literaturze i filmie, jak np. odcinek 17. serialu *Czterdziestolatek* (reż. Jerzy Gruza, Polska 1975-1977) pod tytułem *Cwana bestia, czyli kryształ*.

No i, i też nawiązała jakieś tam znajomości z tymi Rosjankami. I przychodzi do niej Rosjanka i mówi, że kupiła kawior, nie, kawior nie, kawior [z *zachwytem*]. Ta matka nie znała za bardzo rosyjskiego, ta Rosjanka za bardzo polskiego, no ale tyle zrozumiała no i pokazuje jej, że ten [pokazuje coś okrągłego]. No to ta zrozumiała, że ma beczkę kawioru, bo oni w beczkach też – takie dwudziestopięciokilowe, piętnastokilowe, pięciokilowe beczułki, prawda, kawioru – przywozili. No oprócz tego przywozili też w słoikach małe. No to ta sobie wykombinowała:

– Ha, no masz beczkę kawioru – a tu się jakieś imieniny czy tam święta zbliżały, to mówi – to słuchaj, sprzedaj mi pół kilo.

– No jak ja ci sprzedam pół kilo kawioru, no co ty? No co ty?

I my wracamy z koleżanką, do jednej klasy chodziliśmy, wracamy z koleżanką, i po drodze wchodzimy do tej, do tej matki, tamta [...] coś chciała, nie wiem, coś tam od mamy chciała, prawda, nim do domu doszliśmy i patrzymy, że stoją. Ta [...] znała tą, tą Rosjankę. Tam prawie, że przyjaciółki z mamą, a tu stoją jakieś takie zwaśnione, nie, tego.

– Mama, co się stało?

– No patrz, nie, ma beczkę kawioru, ja tu chciałam, prawda, żeby sprzedała z pół kilo tego kawioru, przecież nie chcę za darmo, zapłacę jej, nie, a wiesz tata ma imieniny, to byśmy tam to... A ona nie chce.

Ta się jej pyta nie, o ten kawior, nie.

– No tak, ja kupiłam kawior, a twoja mama chce, żebym jej sprzedała pół kilo. No jak ja wytnę jej, prawda, z tego?!

Nie mogły się dogadać. No i mama jej mówi. Ona mówi do tej:

– Mamo, mamo, ona nie ma kawioru, ona ma dywan.

A Rosjanka krzyczy:

– Nie, nie dywan, kawior!

[...] Diwan to jest u nich tapczan, nie. Z kolei, nie [rozbawiony]. I takie właśnie były nieporozumienia też, nie. I ta Rosjanka krzyczy, że nie diwan, że ona ma kawior, nie. No i dopiero ta mówi:

– Mamo, kawior po naszymu to po ichniemu ikra, prawda, dywan po naszymu, to po ichniemu kawior, no a tapczan po naszymu, to po ichniemu dywan, nie.

No i tam jakoś w końcu załagodziła tą sytuację, prawda. A tak, tak się mogli, prawda, dogadać, jak ta nie chce sprzedać, nie, przyjaciółkom [2010.02.09/LG].

Handel umożliwiał kontakt kulturowy, a pierwszą rzeczą, jaka rzucała się w oczy, była inność, choćby językowa. Co istotne, semantyczne nieporozumienie wynikłe w trakcie targowania (kawior – ros. *ikra*; dywan – ros. *kawiar*; tapczan – ros. *diwan*) nie przeszkodziło dwóm kobietom finalnie zawrzeć satysfakcjonującej transakcji.

Z kumplem przychodziliśmy, [...] jego tam znali, ci co handlowali, to ich wpuszczali do mieszkania, ale jakby obcego przyprowadzić, to nie. Jak ja pierwszy raz z nim przyszedłem i one jak mnie zobaczyły, bały się mnie, ale później, jak już mnie znały, to my w dwóch przychodziliśmy. Ta przywiozła telewizor, ta pralkę, ta lodówkę, to złoto przywoziły – no i to trzeba było sprzedać, a one się bały, nie miały kontaktu, nie wychodziły na rynek, bo to wszystko pracowało. No to my to wynosili, sprzedawali, pieniądze im zwracali. Były zadowolone [2012.03.22/LG].

Tu, słuchajcie, chodzono przez tych, co handlowali tym złotem, jak się wchodziło w pierwszą uliczkę, to tam nie można było przejść. Ten tłok był sztucznie robiony i tak – tu stał bocian, tam stał bocian, tu stał bocian. Bocian to jest taki wysoki postawny mężczyzna czy kobieta, który obserwuje, czy nie występuje zagrożenie. I wystarczy, że on się odpowiednio odwróci, oni się od razu zwijają z tym towarem. I kilkakrotnie Milicja Obywatelska robiła takie akcje, że obstawiała ten cały rynek wkóło. **Kto handlował?**

Polacy. Ponieważ Rosjanie dostarczali, a Polacy kupowali. W tym momencie ci ludzie, co mieli przy sobie duże ilości nawet tego, to wyrzucali. Chodziło o to, żeby ich nie złapać z jedną nawet sztuką złota. I dzieci z tej szkoły numer trzy, co tutaj jest, wychodziły do domu i przynosiły czasami garści pierścionków złotych. Bo oni wyrzucali wszystko za płot... [2010.12.08/LG]

Handel na bazarze radzieckimi dobrami był nielegalny. Istniała jednak zasadnicza różnica. O ile Polacy ryzykowali utratą towaru, grzywną, w najgorszym przypadku aresztem, o tyle wojskowi i wolnonajomnyje bali się karnego odesłania do Związku Radzieckiego. Przy tym strona polska dysponowała znajomościami i *know-how*, czego brakowało świeżo przybywającym z ZSRR. Stąd pośrednictwo zaufanych Polaków było bardzo istotne dla wielu „Ruskich”.

Tam taka część Legnicy za Kaczawą, dosyć biedna, gdzie mieszkała bardzo duża społeczność Cyganów i oni mieli takie większe kontakty z Rosjanami, bo oni zaczęli razem ze sobą handlować. Tam był handel wymienny, tu złoto, tu jakieś szmuglowane inne rzeczy. Tam dochodziło do takich spotkań częstszych może, ale były... Ludzie byli prześladowani, jakiegokolwiek kontakty z Rosjanami to już, niestety, nie były miło widziane, ponieważ, no wtedy uważano, że szpieguje się, jeden drugiego i gdzieś nie jest to, że tak powiem... Nie było to miło widziane [2010.03.03/LG].

Obawa przed posądzeniem o szpiegostwo nie była w stanie powstrzymać naturalnego przepływu dóbr. Co ciekawe, to Romowie zostają przywołani jako grupa reprezentująca swego rodzaju

półświatek nielegalnego handlu, zakaczwaskich pionierów-przemysłowców, którzy jako pierwsi odważyli się wejść w nieoficjalne kontakty – tu określone jako „szmuglowanie” – z „Ruskimi”. Warto się zastanowić, czy tym samym określeniem można by się posłużyć przy opisie identycznych kontaktów handlowych ludności etnicznie polskiej.

Ona nie przywoziła, za Uralem mieszkała, raz przywoziła telewizor, to u niej w pokoju grał i później sprzedała go gdzieś. A tak to tylko złoto przywoziła, bo to najłatwiej przewieźć i dawała mi to złoto i musiała ufać, bo okraść można było. Były tam takie – na wałek przekręcali, różne numery robili wałkowicze [2012.03.22/LG].

Nieoficjalne kontakty handlowe opierały się na zaufaniu obu stron. Jak sygnalizuje rozmówca, zdarzały się jednak oszustwa i kradzieże, przy czym zazwyczaj stroną pokrzywdzoną byli „Ruscy”, którzy nie mieli komu się poskarżyć na niesprawiedliwie potraktowanie, stąd uralaska kobieta „musiała ufać”.

★ ★ ★

A: Oj, bardzo... byli ludzie, którzy oszukiwali ich w straszny sposób.

B: Oszukiwali ich, a oni nie mogli się bronić, bo im nie wolno było z Polakami mieć takie kontakty...

A: Bo też nie mogli nawet oskarżyć, prawda? Czyli można było ich oszukać.

B: ... a jak miał, to na własne ryzyko.

A: Wszędzie są szuje, prawda? [2010.02.31/LG]

Powyższa wymiana zdań pomiędzy dwójką rozmówców rzuca światło na inny jeszcze kontekst wzajemnych kontaktów ekonomicznych Polaków i obywateli ZSRR. Pojawia się wprost wypowiedziane uzasadnienie, czemu dopuszczalne było kantowanie „Ruskich” – chociaż dla obu stron transakcje były nielegalne, to handlarzom radzieckim groziły rzeczywiste sankcje. Jak wskazuje jeden z rozmówców, „nie mogli nawet oskarżyć”, co otwierało furtkę dla oszustów nierespektujących niepisanych zasad solidarności handlowców.

Pamiętam, że można ich było spotkać po jakichś rynkach czy coś, zawsze chcieli sprzedać jakieś złoto czy coś dla pieniędzy. Pamiętam taką sytuację z Megasamu, że jednej Rosjance wyrwano kolczyki. [...]. Zawsze było tak, po prostu no jak, no, z tego co mi dziadek opowiadał, że jak się robiło z Ruskimi interes to zawsze się robiło tak, że to oni byli na maksa stratni [2010.02.03/LG].

Widać, że pewnym marginesem wśród legnickich handlowców byli oszuści, którzy usprawiedliwiali swoje zachowanie – zawyżanie cen, sprzedawanie trefnego towaru czy fałszywek (np. tombak zamiast złota) i inne tego typu nieczyste zagrywki handlowe – kontekstem polityczno-etnicznym. „Ruskich” można było oskubać, bo to nie Polacy – jakakolwiek solidarność odczuwana na poziomie międzyludzkim zostaje zagłuszona przez barierę systemową, w zgodzie z ideologią akcentującą rozróżnianie na naszych i Obcych. Warto odnotować, że historie o wyrwaniu kolczyków (czy innej biżuterii) w centrum miast (Megasam stał na miejscu obecnej Galerii Piastów) można również potraktować jako jedną z wariacji legend miejskich, przy zastrzeżeniu, że tego typu sytuacje zdawały się faktycznie mieć miejsce w Legnicy.

Z królika, z króli zrobił kołnierz. On tą Rosjankę chciał oszukać. Ta Rosjanka patrzyła się – mówił do nas tak – patrzyła się, patrzyła się, później wzięta, zamiast lisa, a lisa sobie zabrał. To głośno było. [...] I ta Rosjanka się nie poznała, że to nie jest lis. Z królików toż jest inny kolor, inny włos! [2010.05.19/LG]

Tu z kolei nieuczciwy jest nie tyle handlarz, ile rzemieślnik – kuśnierz – oszukujący swoją raździecką klientkę. Interesujące, że jako wyjaśnienie sytuacji pojawia się niekompetencja kobiety.

A, u nas, przypomniało mi się – dowcip. Znaczy no nie, dowcipne zajście no. Koszar było pełno, a my jako chłopaki no każdy chciał jakoś zakombinować, zakręcić, coś mieć czy tam... no kilka złotych, czymś zaimponować, nie, przed rówieśników. No to wiedzieliśmy, że ci w koszarach – wódkę, potrzebują wódkę. A oni natomiast za flaszkę wódki, no to było przebitka duża była, trzykrotna bodajże, zegarek, dobry zegarek, a świetne mieli te zegarki, te Pobjedy nie-Pobjedy, do dzisiaj niektórzy w nich chodzą. [...] No i kolega przeszedł i mówi [z *rozbawieniem*]: „Kurna pa, jak mnie, cholera jasna, tam na Chojnowskiej wyrolowali Rosjanie!”. „Jak cię wyrolowali?”, no mówi, no tam podszedł, wartownik się odwrócił i żołnierz podleciał, nie: „Wódkę pokazałem tam przez płot przez te kraty – mówi – no pokazuje mi zegarek, że ma, nie, i dwa zegarki, no to dobra, masz – masz, żółte – żółte, Pobjedy – Pobjedy”, to najlepsze były te zegarki. No i to tak szybko, żeby nie widział wartownik, ich wartownik, to ręka w rękę, zegarki w rękę i puszczasz mu tą połówkę, te pół litra. No i ten, jeden w długą ucieka i drugi w długą, ten do bramy wpadł, no patrzy fajno ładny zegarek, ale coś nie chodzi [*śmiejąc się*] kręci – kręci, nic nie chodzi, otwiera – w środku wata, jest cyferblat, nie ma całego mechanizmu! [*śmiech*] A czekaj tylko, a czekaj tylko! Wtedy żeśmy się zmobilizowali i w kilku koszarach – tak, że żeśmy sobie to odbili, odbili chyba na trzynaście czy czternaście zegarków – braliśmy wodę, karbid, jeszcze rozpuszczali to, przeczekali aż się ładnie ostało, przecedzili i w butelki, takie inne od alkoholu jeszcze były, takie z lakiem były, i te oryginalne butelki żeśmy też na tą zamianę. I wyobraźcie sobie, że w międzyczasie tych ich znowu odbijania sobie tego, też mimo tego żeśmy dwa zegarki trafili z tą, oni się wycwanili i my też. Ale żeśmy sobie odbili właśnie w ten sposób na tej wódce z tym karbidem, [*ze śmiechem*] jaką on miał minę, jak otworzył sobie oryginalnie zapakowaną, zakapslowaną, łyknął, a tam woda z karbidem była [2010.05.03/LG].

Powyższa historia pod względem struktury narracyjnej przypomina opowieści o młodzieżowych potyczkach na podwórku, albo wojnach podjazdowych pomiędzy mieszkańcami dwóch zwalczających się osiedli bądź dzielnic. Wydaje się, że kontekst narodowy – ekonomiczna konkurencja pomiędzy przedstawicielami dwóch narodów – ustępował czasem miejsca lokalnym sojuszom, podporządkowanych innemu sposobowi myślenia. W Legnicy handel z „Ruskimi” odbywał się w obrębie szarej strefy, poza prawem, w zgodzie z niepisаныmi zasadami ulicy, które z łatwością można było kontestować. Każda ze stron za punkt honoru brała przechytrzenie przeciwnika – liczył się nie tylko sam pomysł na brawurowe oszustwo, ale zawarta w nim kpina, żart albo chęć

ośmieszenia – w tym wypadku szeregowców Armii Radzieckiej. Kontakty handlowe z żołnierzami różniły się od codziennych spotkań na bazarach i targowiskach; strona radziecka zdawała się być na jeszcze mniej uprzywilejowanej – i zachęcającej do kręactwa i manipulacji – pozycji niż przebywający w mieście oficerowie i wolnonajomnye.

★ ★ ★

O, ten nasz znajomy, Jura się nazywał. To ona mówiła tak po cichu, to on jeździł do Rosji, przecież im wolno było, czy na przepustkę, na urlop czy jak, dwadzieścia pięć obrączek złotych przewiózł w bagażniku w motocyklu, a motocykl zdał na pociąg. Przecież ja z nią sprzedawałam pierścionki... [2010.05/19/LG]

Historie handlowe nierzadko przyjmują formułę brawurowych, prawie że awanturnicznych opowieści o niesamowitych wyczynach szmuglerskich, jakich dopuszczali się przedstawiciele obu stron. Zazwyczaj to jednak obywatelom Związku Radzieckiego przypisuje się większą fantazję czy dezynwolturę – część rozmówców z niekłamany podziwem opisuje niezwykle przykłady codziennej „kombinatoryki” handlowej, na jakie wazyli się „ruscy” handlarze.

Nie odbywał się handel żaden. Owszem, czasami jak wchodząc do nich, to zahaczaliśmy o ich sklep za murem, bo tam było, tu nie było. Ale czasami wynosiliśmy właśnie spirytus, który udawało im się oszczędzać. Bardzo dobry. Zostawał im jako oszczędność przy starcie śmigłowca. Śmigłowiec jak się podnosił, szczególnie jak pogoda była około minusa, minus, to oni mieli wręcz w obowiązku włączać spryskiwanie szyb w swoich śmigłowcach, bo szyby prawie natychmiast zamarzały. Im nie starczało żadnej siły takiej wewnętrznej jak w samochodach, że się ogrzewanie włącza czy coś, żeby to ogrzać, więc oni mieli spryskiwanie spirytusem szyb. Dopiero jak się podniósł, to ten spirytus już nie był potrzebny, nie wiem, jak to dalej wyglądało. Ale wystarczyło, że... może się mylę, ale pewnie niedużo, że przez minutę oszczędził sobie przy podnoszeniu wypuszczenia tego spirytusu i miał czterdzieści litrów wolnego napoju [*śmiech badaczy*], który szedł na rynek, bo już sam już nie mógł tego przepić, bo były to ogromne ilości. Tak, że taki handel to się na pewno odbywał. Wiem, bo próbowałem, to ta woda była naprawdę pitna. Nie było po tym żadnych kłopotów. Było gęste, bo to był naprawdę spirytus, a nie żadna udawanka [2010.02.10/LG].

Mamy tu kolejny opis pomysłowości radzieckich wojskowych – którzy z brawury i dla zysku podejmowali ryzykowne, nielegalne działania – połączony z pochwałą pozyskanego w ten sposób spirytusu. W cytowanych wyżej fragmentach widać złożoną sytuację związaną z dostępnością alkoholu dla strony polskiej i radzieckiej. Dla obu był atrakcyjnym towarem, przy czym o ile strona radziecka – w zależności w dużej mierze od stanowiska w hierarchii – miała dostęp do spirytusu i trunków z wyższej półki, o tyle strona polska dysponowała atrakcyjną dla szeregowców wódką i bimbrem, a także piwem.

Charakterystyczne dla dynamiki wywiadów etnograficznych jest rozpoczęcie od deklaracji o braku kontaktów handlowych, a następnie przytaczanie kolejnych fałszyfikujących to stwierdzenie historii.

No więc on ma tego komarka i mówi, że on nie ma do tego komarka paliwa, bo tak to by częściej jeździł na polowania. A ten Ruski mówi: „Słuchaj – Wołodia mówi – A gdzie ty żywiesz?” „No, w Górze”. Dał mu adres i on mówi: „Dobra, to ja do ciebie przyjadę, to ci podrzucę”. I siedzimy kiedyś w niedzielę, jedzie ruski samochód ciężarowy i za nim jedzie cysterna z paliwem lotniczym, trzy i pół tysiąca litrów [śmiech] i wjeżdża na to podwórko i Wołodia: „No, ja тебе – mówi – tutaj benzyny przywiózł”, nie? No to Wołodia poleciał do góry, wziął kanister jeden, od sąsiada pożyczył drugi, trzeci, a ten mówi: „No, słuchaj, no to wsio dla ciebie”, nie? No to jeszcze tam beczkę jakąś zmontowali, dwieście kilo zalali tą beczką, ale mówi, tu cysterna dalej stoi, trzy i pół tysiąca litrów wysokooktanowej benzyny lotniczej, nie? I mówi, że zostawił mu tą cysternę tak, że miał wielkie przeżycie, bo się bał, żeby jak będą kradli Polacy, to żeby po prostu nie doszło do tego, że ta cysterna wybuchnie, nie? A on tutaj po przyjacielsku przywiózł, no pomógł swojemu kole-dze. I teraz jest taki moment, że on nie wiedział, jaka jest różnica między paliwem tym wysokooktanowym, a tym zwykłym, na którym jeździł tym swoim komarkiem, więc zatankował, odpalił i prawie jak odrzutowiec poszedł, mówił, że zapomniał, że są w ogóle hamulce [śmiech]. Więc przeżył to strasznie. Ale to było najmocniejsze: „Wołodia – mówi – ja tobie przywiózłem – mówi, tego – benzyny, żebyś miał jeździć na polowanie” [2010.02.08/LG].

Ja od nich benzynę kupowałem. W ilościach, kurczę... [śmiech] No nic, mieliśmy taką straż pożarną w Legnicy, gdzie była ruska, tu na Złotoryjskiej. Chociaż to jest Sejmowa chyba. [...] No to tam w podwórku, tam była straż pożarna kiedyś rosyjska. No, to mieliśmy tam takiego jednego i jechał na Białkę – taka wieś, już jej nie ma, bo ją zlikwidowali, tam huta. To jest na terenach, nie huty, ale oni tam... Z tej huty to tam takie rzeczy leciały, że [śmiech] zlikwidowali całą wieś, nie? No, to mieliśmy takie swoje miejsce i on – ja mu dawałem kasę, a on jechał i w takich baniakach, tak sześćdziesięciolitrowych plastikach, wrzucał mi tam w zboże [śmiech] i ja później podjeżdżałem, wiedziałem, gdzie leżało, i zabierałem, nie? [...] Bardzo niskooktanowe [śmiech]. To paliwo miało, ja wiem, nasza ta kurczę, nasza ta, niebieska wtedy, to miała siedemdziesiąt osiem oktan chyba. A tamta miała ze sześćdziesiąt może. Tak, że jak się silnik wyłączyło, to ten samochód jeszcze tak da-da-dam, da-da-dam, da-da-dam [2012.03.20/LG].

Mój kolega. Słuchajcie, to jest, oni odchodzą w 1993 roku, a mój kolega jeździ na ich paliwie, mając Wartburga, jeszcze chyba w 1997, 1998 roku jeździł na tym paliwie. [śmiech] Zgromadził wiele beczek, ja sam mu dałem dwie puste. Miał w domu garaż i zrobił tam ogromny skład paliwa. Ten mój kolega, taki znajomy bardziej, to straszna kutwa był, to zrobił wszystko, żeby tego paliwa jak najwięcej zgromadzić i tym Wartburgiem enerdowskim, dwusuwem. [...] I ileś lat tam żeśmy jeździli, już ja nawet

zaczęłam dobrze pływać i on przyjechał tym Wartburgiem, ale dowcip polegał, słuchajcie, na tym, że jadąc na ten Hel tuż gdzieś tam mu przed tym zabrakło paliwa, bo ten Wartburg tam nieźle przepalał, tam kilkanaście litrów w sumie, no i jakoś się tam dowlókł, lejąc tę naszą najniższą oktanową dziewięćdziesiątkę piątkę. Ten samochód nie chciał jechać, ponieważ zapłon w tym samochodzie był ustawiony na to liche paliwo radzieckie, a ono miało może osiemdziesiąt parę oktan, tak więc ten samochód prawie tam góra pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i tak dalej [2010.12.08/LG].

No, oczywiście. No to, słuchajcie, jeszcze z takich anegdotycznych historyjek, jak oni mieli już stąd odchodzić... oni sprzedawali wszystko co mogli, jak można było kupić karabin Kałasznikowa i wiadro amunicji za niewielką sumę. [...] Ginęło wszystko tam, ale ginęło i wszystko u nas. Do tego dojdę. W każdym razie w jednym z gospodarstw tutaj pod Legnicą, tam jest niedaleko, Bartoszów się nazywa. Tam się zaczyna droga schodzenia samolotów obok tej wsi na nasze lotnisko, Bartoszów. Tam nic nie można było budować, dlatego ci ludzie tam mają teraz taką kasę, bo ziemię sprzedają, bo tam będzie szła jedna z obwodnic miejskich. To tam już Rosjanie sami pilnowali, żeby nie było jednostki, więc taki kapitan z jakimś sierżantem wpadli na taki pomysł, a byli z tych wojsk pontonowych, desantowych, że na wielkim ciężarowym samochodzie wyjeżdżali z pontonem takim wielkim, który był zalany do pełna benzyną. Przyjeżdżali do tego chłopca, słuchajcie, na podwórko, wjeżdżali do stodoły, nalewali do beczek i znowu wracali napełnić ten ponton. I tak cała wieś i okolica prawie za darmo się tankowała, a wiem to praktycznie z pierwszej ręki, bo mój kolega jeździł właśnie po to z tego pontonu. Nie ten, inny. Tak, że takie sytuacje też miały miejsce [2010.12.08/LG].

Jak widać, we wspomnieniach legniczanie handel benzyną – i to w ogromnych ilościach – to nie-rzadko źródło wielu zabawnych anegdot o kołomotoryzacyjnych. Paliwo na lewo odlewali i sprzedawali przede wszystkim żołnierze, w pierwszej kolejności ci, którzy mieli dostęp do pojazdów wojskowych, a więc kierowcy ciężarówek, piloci śmigłowców itd. Co ciekawe, większość historii o handlu radzieckim paliwem zazwyczaj rozgrywa się poza miastem, wśród podlegnickich wiosek, na swego rodzaju „dzikich polach”, gdzie o wiele łatwiej można było niepostrzeżenie przemycić sześćdziesięciolitrowe beczki czy całe cysterny ropy, zrzucając je gospodarzowi przed chatę albo chowając w polu. W efekcie beneficjentem transakcji stawała się cała wieś, bądź to w porozumieniu z obdarowanym, bądź w wyniku kradzieży – jak w pierwszym fragmencie, gdzie kolega rozmówcy fatalistycznie podchodził do perspektywy okradzenia, martwiąc się wyłącznie ewentualnością wybuchu. Warto wspomnieć, że paliwo używane przez Armię Radziecką dzieliło się na kilka rodzajów w zależności od nasycenia oktanami – można je było rozróżnić po barwie, choć zdarzały się przypadki, że benzyna przeznaczona do śmigłowców w wyniku szeregu brawurowych transakcji lądowała w rękach polskiego motocyklisty.

Bo ludzie sobie po prostu pomagali, mnóstwo rzeczy można było sobie kupić na rynku. Rosjanie sprzedawali złoto, sprzedawali aparaty fotograficzne niezbyt drogo,

a poza tym u nas było wtedy... niedobory, tego... w sklepach i jak ktoś chciał sobie coś kupić właśnie z tych rzeczy, to szedł na rynek albo próbował przez znajomych, bo ludzie ludziom po prostu podawali, już nie chcę mówić co... co żołnierze wynosili z koszar typu [śmieje się] jakieś tam plandeki na armatę przynosił... eee... rolnikowi i mówił, że: „Panie, będziesz miał pokrowiec na traktor” czy coś takiego, nie? Potem się okazało, że to jakieś miejsce na lufę armatnią. „Co on mi tu dał?! Ale wziętem, nie” [śmieje się]. Tak, że ich pomysłowość była też wielka i w sumie, znaczy z jednej strony to było, że oni tam mieli swoją władzę, której się obawiali i tak dalej, a z drugiej strony to tam władza też przymykała niewątpliwie na wiele oko. Poza tym... już trudno mi jest nawet rozgraniczyć, co przyjeżdżało powiedzmy... co przyjeżdżało z zagranicy z ludźmi cywilnymi, a co mieli tutaj i sprzedawali, bo na przykład rąbnęli gdzieś tam z magazynów czy coś tam no, była okresowa wyprzedaż, toteż jakieś tam bielizny męskiej załóżmy, jakieś tam skarpetki zielone można było se kupić. Jak nic nie było, to kupowałam i zielone mężowi [śmieje się] takie ciemne wojskowe, ale to była czysta bawełna... [2010.02.01/LG]

Historia o plandecy na działo lub czołg sprzedanej jako pokrowiec na traktor trafnie wskazuje zasadniczą właściwość peerelowskiego handlowania – swego rodzaju brikolerstwo (z fr. *bricolage* – brikolaż), umiejętność radzenia sobie w obliczu niedoboru poprzez modyfikowanie dostępnych materiałów, wytworzenia nowej jakości przy wykorzystaniu potencjalnej wielofunkcyjności narzędzi, charakterystyczne dla kultury tradycyjnej⁷. Dla rozmówczyni jasne jest to, że warto kupić wojskowe skarpety – choćby wyglądały śmiesznie na stopach polskiego cywila – nie tylko dlatego, że pojawiła się taka możliwość, ale też przez wzgląd na jakość: „dobre, bo wojskowe”; kolor może nie pasuje, ale przynajmniej to „czysta bawełna”. Z jednej strony to okazja, którą szkoda przegapić – a z drugiej dobry produkt nigdy nie pójdzie na zmarnowanie. Taka praktyka kupowania na wszelki wypadek była charakterystyczna dla peerelowskiej kultury kolejki – każdy towar, jeśli nawet miał nie znaleźć bezpośredniego zastosowania, mógł stać się towarem wymiennym⁸.

Co więcej, w tego typu relacjach pojawia się inny jeszcze kontekst legnickiego handlu. Wydaje się, że poza oczywistymi ekonomicznymi powodami skłaniającymi do wchodzenia w tego typu transakcje, wzajemna pomoc to również dowód na istnienie porozumienia ponad podziałami. Przywołując wskazaną w rozdziale pierwszym opozycję człowiek *versus* system, obrazującą odmienny stosunek do „Ruskich” jako jednostek i jako grupy, można się zastanawiać, na ile sprawne funkcjonowanie nielegalnego handlu wymiennego w Legnicy miało ciche przyzwolenie władz radzieckich oraz polskich, być może służąc uspokojeniu społecznych nastrojów, niejako niwelując napięcia, jakie wywoływała sama tylko obecność w mieście wojsk obcego mocarstwa.

⁷ C. Levi-Strauss, *Mysł nieoswojona*, przeł. A. Zajączkowski, Warszawa 1969, s. 32-54. Przykłady takich brikolerskich praktyk w postkomunistycznej polskiej kulturze ęędzy por. T. Rakowski, *Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Etnografia człowieka zdegradowanego*, Gdańsk 2009, s. 226-230; przykłady z Białorusi por. Z. Grębecka, *Słowo magiczne poddane technologii. Magia ludowa w praktykach postsowieckiej kultury popularnej*, Kraków 2006, s. 55.

⁸ Por. M. Mazurek, *Spółceństwo kolejki. O doświadczeniach niedoboru 1945-1989*, Warszawa 2010, s. 63-68.

Broń... miałem okazję kupić, jak już wyjeżdżali, miałem kupić, miałem szansę kupić kałacha, z magazynkiem, półtora stowy chciał. No nie chciał nic. [...] No tysiąc pięćset złotych. I mówię do niego: „Chłopie, na co mi to?”, zawinięty jeszcze był, w tym smarze, w tym papierze. [...] No tak, nowiuteńkie wszystko. I magazynek, i ja do niego: „Chłopie, co ja z tym będę robił?!” a on mi drugi magazynek daje. A dzisiaj bym go wziął serdecznie, jeszcze bym mu dał dwa tysiące, żeby mi dał ten drugi magazynek, dwa magazynki, a całą torbę magazynków miał [2010.12.07/LG].

On miał takie kontakty z Ruskimi, on miał firmę na Bartoszowie, myśmy to nazywali takie ciche złodziejowo. Tam Ruscy też mieli tam swoje takie koszary z boku, tam można było kupić jakiegoś kałacha i wiadro patronu dostawali gratis do tego. Mówili, że tam każdy gospodarz ma karabin gdzieś schowany, bo po prostu się wyprowadzali, to sprzedawali wszystko. [...] Wiara do tej pory ma gdzieś tam na pewno pochowane. No nikt tego nie ujawni, no, bo idziesz siedzieć za to. No, ale na pewno, na sto procent mają. Ruscy handlowali wszystkim, wszystkim [2012.11.09/LG].

Zaczęli duże pieniądze robić. To jest ta cała nagła, co się okazało, ten boom na złom. Przecież tutaj powstał, to całe wagony szły złomu kolorowego niekolorowego, firmy powstawały, majątki. Od nich, to oni już zaczęli robić, na paliwie, na wszystkim. A zresztą, nie było też – powiedz, Wacek – kupić kałacha za sto pięćdziesiąt złotych. Za sto pięćdziesiąt złotych mógł człowiek kupić kałach na rynku czy na giełdzie. Tetetki to były takie, bo były po siedemdziesiąt złotych, no za sześćdziesiąt złotych już tetetkę kupiłem. Ale to już były przy tym, jak oni się żegnali z Legnicą [2010.05.03/LG].

Radzieccy żołnierze zapewniali legniczantom dostęp do specjalnego towaru – militariów. W wielu relacjach rozmówców pojawiają się – nierzadko wyolbrzymione – przechwałki o łatwości, z jaką można było zdobyć w mieście broń, jak karabin automatyczny Kałasznikowa (karabin AK, kałasznikow, „kałach”), radziecki pistolet samopowtarzalny Tułski Tokariewa (pistolet TT, „tetetka”) czy całe wręcz naręcza granatów, w skrajnie przerysowanych wariacjach sprzedawane ponoć wiadrami. Skutkiem tego w Legnicy do dzisiaj pokutuje przeświadczenie, że miasto to jest „nasycone” poradziecką bronią („każdy gospodarz ma karabin gdzieś schowany”); w przekazach medialnych (co ważne, również ogólnopolskich) regularnie pojawiają się choćby informacje o dostępności karabinów typu Kałasznikow w kontekście strzelanin mających miejsce w Legnicy. Czasem rozmówcy chwają się, że nadal trzymają na strychu egzemplarze broni zakupionej od radzieckich żołnierzy. Dodatkowym kontekstem przyczyniającym się do podtrzymywania wizji Legnicy jako postradzieckiej Strefy podobnej do tej, którą w powieści *Piknik na skraju drogi* wyobrażali sobie bracia Arkadij i Borys Stugaccy, są również niewybuchy wciąż odnajdywane na terenie podlegnickich lasów, na obszarach dawnych koszar i placów ćwiczeniowych Armii Radzieckiej.

Ceny podawane są raz w kwotach sprzed denominacji – tysiąc pięćset, dwa tysiące złotych – a raz w ich poddenominacyjnych odpowiednikach – sto pięćdziesiąt złotych.



No pod mur się chodziło, i kumpla brat jeździł tirem za granicę, taki starszy brat, i on przywoził świerszczyki. [...] I myśmy te świerszczyki zamieniali za dresy, nie? Stał taki ruski żołnierz na warcie, my go wołamy: „Dawaj!” [...]. On tam przychodził: „Sztó tam?”. A my mu: „Świerszczyki mamy!”. Pokazujemy. „Oooo!”, się naogładał. „Machniom?” „No, machniom”. „A za szto?”. Mówię: „Dawaj dresy!”. No to mówi: „Jutro. Zawtro”. No to myśmy przychodzili, on tam kumplowi gwizdnął dres, nam dawał dres, a my mu te świerszczyki [2012.11.09/LG].

To myślę, że w każdej rodzinie są takie legendy, wie pani, ja pani mogę opowiedzieć taką legendę z mojej rodziny ale... postaci bohaterów zostają anonimowe. No właśnie przy tym szpitalu, o którym mówiłem, kiedyś jedna z osób z mojej rodziny się przechadzała i, no, i tam Ruski stał, to poprosił o fajkę. I ta osoba nałogowo robiąca zdjęcia, ciemnię posiadająca i robiła zdjęcia, nagle skojarzyła kilka faktów. Otóż nieco wcześniej ktoś przywiózł tam ze znajomych, no, wideo z Zachodu, z jakiejś tam Francji czy skądś. I żeby to wideo jakoś wykorzystać, bo w Polsce jeszcze tanio za bardzo nie było wówczas, żeby wykorzystać to wideo trzeba było mieć jakiś film, a starczyło na trzy najtańsze, jakie były, z lekko przebrzmiałymi gwiazdami porno. Czyli trzy pornosy takie... po prostu takie żenada kompletna. No i ta osoba z mojej rodziny wpadła na genialny pomysł, że papierosy papieroskami, ale żołnierze to może by chcieli takie jakieś odbitki. No więc do znajomego poszła, zrobili sobie sesję z tymi filmami i tam na stopklatkach porobiono zdjęcia, później jakieś odbitki, które były oczywiście... praktycznie nic nie było tam widać, potrzeba było potwornej wyobraźni i dobrej woli, żeby ujrzyć coś, co rzeczywiście jest jakieś tam rajcujące. No i dwa czy trzy dni później już polowano na tego sołdata, on wyszedł sobie na spacer i oczywiście podszedł no i: „Czy zakurit ti miejesz?”, no on: „Zakurit to zakurit, ale tu mam coś lepszego!”. Oczy mu się zaświeciły, no i zaczęto handlować tym. To znaczy wyglądało to tak, że osoba, mój krewny, praktycznie rzecz biorąc nie spał, tylko po nocach siedział w łazience, gdzie ustawił sobie ciemnię i wcześniej się spotykał z tym kolegą swoim, i na tych stopklatkach tam co ciekawsze sceny, i później walił, ile wlezie tych, bo szło jak woda, jak świeże bułeczki, i szło tak do momentu, którego... A...! Oni się spotykali na ulicy Chojnowskiej, już na wylocie z miasta, tam były koszary – dzisiaj są teraz takie osiedla małe – tam były koszary i za tymi koszarami trzeba się było przez jakieś chaszczce. Nie było to prosto, zwłaszcza że zimą to... jakiś taki właśnie okres zimowy był, czy może taki jak teraz [luty], i na kolejne spotkania się umawiał się chyba na to spotkanie raz na tydzień, wydaje mi się. Kolejne spotkanie, idą, a tu idzie jakiś kapitan i im się miękko zrobiło. No to cholera, co będzie, nie? A kapitan mówi, że teraz z nim będziemy handlować. No i też się trochę skończył... Problem największy się pojawił

– no, kapitan przejął rynek, bo musiała być rzeczywiście dobra przebitka na tych fotografiach. I... i pojawił się problem, ponieważ kapitan mówił: „Ale to już było, to już widziałem”, to trzeba było nowy film kupić, co nie było rzeczą łatwą. No, ale jakoś tam sobie poradzono [2010.02.11/LG].

Zamknięci w koszarach szeregowcy okazywali się idealnymi konsumentami zachodniej pornografii. Co istotne, najatrakcyjniejsze „świerszczyki” musiały pochodzić spoza Polski, a opowieść o kapitanie „przejmującym” rynek pornograficznych odbitek dowodzi tego, że nawet szara strefa handlu rządzi się ściśle określonymi, acz nieformalnymi zasadami – w tym wypadku hierarchicznością przeniesioną ze struktury wojskowej.

Warto zauważyć, że kultura radziecka, która w pierwszej, rewolucyjnej fazie (określanej przez Władimira Papiernego jako „kultura jeden”⁹) była awangardowa, odśrodkowa i promowała wolność seksualną – *vide* projekty nacjonalizacji żon i postulaty legendarnej komunistycznej prekursorki feminizmu Aleksandry Kołłontaj – w fazie socrealistycznej (zwanej „kulturą dwa”) stała się konserwatywna, a w obyczajowości wręcz drobnomieszczańska, co przekładało się na – obowiązującą z mniejszym lub większym natężeniem aż do Gorbaczowowskiej pierestrojki – negację erotyki¹⁰. W efekcie, gdy w Polsce i innych krajach bloku zaczęły pojawiać się treści o charakterze erotycznym – w PRL-u w początkach lat siedemdziesiątych odbyły się kolejne wystawy fotograficznego aktu kobiecego „Wenus”, w NRD rozkwitał ruch nudystyczny – ZSRR był nadal purytański. Świerszczyki, filmy pornograficzne, erotyczne zdjęcia i plakaty były zatem z punktu widzenia skoszarowanych radzickich żołnierzy tym atrakcyjniejsze.

Uderzające w pierwszym fragmencie jest aprioryczne założenie rozmówcy, że oferowany w handlu wymiennym przez radzieckiego żołnierza dres jest z pewnością kradziony.



Codziennie przyjeżdżał pociąg z Brześcia na dworzec Północny, to on obsługiwał pociąg z Rosji i ten pociąg przyjeżdżał cały załadowany Ruskimi, oni przyjeżdżali z towarem. [...] To, co przywozili, chcieli się tego pozbyć, bo jeszcze sobie dodatkowo zarabiali, a u nas tego nie było. To do mnie przyjeżdżał znajomy z Poznania. Mówi: „Załatw mi lodówki, pralki, bo u nas nie ma” – bo to wtedy był kryzys. Ja mówię: „Dobra!” i załatwialem, i on przyjechał z Poznania taką ciężarówką, busem, i ładował te pralki. Ja mówię: „Na co ci to?”. On mówi: „U nas nie ma, u nas trzeba czekać na te kartki pół roku, rok” [2012.03.22/LG].

Tu znów mamy obraz totalności legnickiego handlu z „Ruskimi”. Wyjątkowa sytuacja geopolityczna Legnicy sprawiała, że dla wielu jej mieszkańców dostęp do określonych dóbr materialnych był czymś znacznie bardziej powszechnym niż dla pozostałych mieszkańców Polski. Przywołany fragment dobrze ilustruje owo specyficznie legnickie „nasylenie” rynku – dla mieszkańca miasta zdobycie pralki czy lodówki nie stanowiło w zasadzie większego problemu. W tym względzie Legnica z okresu stacjonowania Armii Radzieckiej przypominała miasto portowe, oplecione gę-

⁹ Por. W. Papierny, *Kultura Dwa*, Moskwa 1996.

¹⁰ Por. J. Sadowski, *Rewolucja i kontrrewolucja obyczajów. Rodzina, prokreacja i przestrzeń życia w rosyjskim dyskursie utopijnym lat 20. i 30. XX wieku*, Łódź 2005, s. 53–81.

stą siecią handlowych powiązań i potencjalnych źródeł zaopatrzenia, a co więcej, cyrkulacja dóbr wychodziła czasem poza miejskie granice, sięgając nawet odległych rejonów kraju.



Kontakty na podłożu ekonomicznym sprawiły, że dotychczasowi Obcy – niedostępni, odlegli kulturowo, często niezrozumiani i przez to nacechowani negatywnie jako dzicy, a przy tym w sferze politycznej odbierani jako okupanci – zmieniali się w jednostki, wśród których można było pozyskać partnera handlowego, ten zaś stawał się kimś swojskim, zwykłym człowiekiem, który tak jak każdy musi sobie jakoś radzić. Widać, że z perspektywy czasu wielu legniczan dostrzega pozytywny wpływ obecności „Ruskich” właśnie przez pryzmat wymiernych korzyści, jakie płynęły ze wzajemnej współpracy ekonomicznej. Tej zaś towarzyszyła dużo szersza wymiana – kulturowa, obyczajowa, językowa – a nierzadko zawiązywały się też trwalsze relacje, kontynuowane nawet po zakończeniu kontraktów i wyjeździe radzieckich obywateli. Parafrazując końcowe zdanie *Casablanki* (reż. Michael Curtiz, USA 1942), bywał to początek prawdziwej przyjaźni.

Jak tylko była taka możliwość, to rzeczywiście część osób handlowało z nimi. To była też korzyść Legnicy, że myśmy widzieli jakby to drugie dno. To nie byli Rosjanie jako przedstawiciele uzurpatorów jakichś, prawda, agresorów, tylko ludzie, z którymi można było handlować, spotykać się, wymieniać różne rzeczy [2010.02.15/LG].



fol. Wincenty Kotodziejski

Były płoty, magazyny itd., gdzie było odizolowane, bo żołnierze pilnowali, ale tu myśmy się spotykali. Przyszła kobieta z ruskim... z dzieckiem, wiecie, i tam sobie go kołysze, on tak samo płacze jak nasze dziecko, nie? Nieraz tam pogadała tam matka z synem. No wiecie, czy to będzie Ukrainka czy, nie wiem, czy z Kamczatki, to tak samo karmi cykiem dzieciaka, jak i nasza matka, prawda? [2012.11.09/LG]

ROZDZIAŁ 3

Te słowiańskie nacje to były piękne kobiety

Bardzo delikatną kwestię stanowią relacje miłosno-erotyczne łączące obie legnickie społeczności. Temat ten, spopularyzowany przez film Waldemara Krzystka *Mała Moskwa* (2008), budzi wiele emocji, ale też stanowi jedną z najbardziej tabuizowanych sfer legnickiej koegzystencji polsko-radzieckiej. Również opinie na temat radzieckich kobiet i ich wyglądu są często skrajne – od zachwyty po ostrą krytykę. Z tej ambiwalencji zdajemy sprawę w niniejszym rozdziale.

Zresztą, Rosjanie byli bardzo kochanymi ludźmi, zwłaszcza ci cywilni, prawda, kobiety, żony... [2011.04.21/LG]

★ ★ ★

Bo ich naprawdę było widać na ulicach. Naprawdę ich było widać. Było widać od razu, która kobieta to Rosjanka. One miały specyficzne fryzury i makijaże. Ostry niebieski – tusz, kredka, takie koki miały ufryzowane, tak, że to od razu było widać. Rosjanin – po zapachu można było ten... [2010.02.15/LG]

Te Rosjanki rzucały się od razu w oczy, bo one taki miały ten makijaż taki ostry, z takimi rumieńcami tutaj, ostre usta. No to wiadomo – niebieskie cienie tu na pół twarzy prawie. No to rzeczywiście, tak, one się rzucały w oczy [2011.11.01/LG].

Rosjanka... To nawet się mówiło: „Wymalowałaś się jak Ruska” [2010.02.31/LG].

Właściwie wszyscy rozmówcy pytani o radzieckie kobiety twierdzą, że dało się je łatwo odróżnić na ulicy od Polek. Na pierwszym miejscu wymieniany jest wyrazisty, ostry i kolorowy makijaż, zazwyczaj oceniany jako niegustowny.

Ruską można było poznać na kilometr. Szła, ja nie wiem, jak się to działo, ale one nosiły w inny sposób torebki. Jakos tak dziwnie [*pokazuje na sobie*] trzymały na dole te torebki, oczywiście były wymalowane wszystkimi kolorami tęczy i na odległość śmierdziały takimi strasznymi perfumami rosyjskimi pod tytułem „Biez”, albo polskimi „Być może”. Po prostu „Być może” były absolutnym hitem, i właśnie Rosjanki były wymalowane, wyfryzowane, szczególnie te żony rosyjskich oficerów takie bogatsze, ważniejsze [2010.03.01/LG].

Radzieckie kobiety zostają tu zdecydowanie zdyskredytowane – „śmierdzą na odległość”, są przesadnie wymalowane, nawet specyficzny sposób trzymania torebki zostaje określony jako „dziwny” i zestawiony z negatywnymi cechami. Gust i wygląd „Ruskich” spotykanych codziennie na ulicy stanowił stały temat rozmów – porównywano styl ubierania się legnickich kobiet, zazwyczaj wartościując negatywnie wszelkie odstępstwa od mody polskiej. Rozmówczyni zwraca też uwagę na aspekt klasowy, odróżniając „bogatsze” i „ważniejsze” żony oficerów od ludności cywilnej lub żon niższych szarż.

„Rosyjskie perfumy Biez” to prawdopodobnie perfumy Białaja siriień (biały bez), jedne z najpopularniejszych obok Ognia Moskwy (światła Moskwy) i Krasnaja Moskwa¹ (czerwona Moskwa) radzieckich perfum. Rozmówczyni przetłumaczyła częściowo nazwę i posłużyła się zruszczoną wymową polskiego wyrazu.

To znaczy miały dużo złota na palcach [*demonstruje*], tak powiedzmy niezbyt gęsto były czasem odziane, zwłaszcza na początku, to znaczy te powiedzmy jeszcze lata sześćdziesiąte czy siedemdziesiąte, to rzucało się w oczy to, że one zlewały się perfumami niezbyt dobrej jakości i bardzo obficie tak, że jeżeli pani minęła, to ten odiekołan, jak się mówi, to była woda kolońska, a duchi to perfumy, a, że używały dużo, zawsze i takich dusznych. To się zmieniało, bo potem już one się bardzo... bardzo umiejętnie upodobały do tych eleganckich właśnie kobiet... eee... no... do Polek powiedzmy, tam gdzie przyjeżdżały powiedzmy, bo jeździły także do Niemiec, tak, że... ale, aha, tak przepraszam, że mówię, [*ciszej*] ale one miały złote zęby. Tak. I mężczyźni również. Myśmy zawsze już starali się wtedy powiedzmy te swoje ubytki tuszować, to znaczy w kolorze ząbka albo srebrne tak dyskretnie prawda, a one nie, to był taki po prostu jakiś szpan u nich, że to złote musiało być, kurna! To dowodziło, ja wiem, może wartość osoby podnosiło [*śmieje się*] nabywcą jak oni jakieś dziewczyny czy coś nawet. W każdym razie... to już, że tak powiem, kalikrowało narodowościowo bez słów, nie musiał mówić nic... [2010.02.01/LG]

Oj bardzo się różniły! Baardzo! Na ulicy można było na kilometr poznać. Rosjanka była zawsze uczesana w takie włoski zrobione, miała inny rodzaj ubrania. No były takie pstrokate, takie trochę inaczej, świeciły złotem na odległość, pierścionki, wiśiorki, kolczyki. To ewidentnie. Rosjan było widać po złotych zębach, Polak tak nie miał tych złotych zębów na wierzchu, więc oni mieli złote zęby itd. Z daleka można było poznać, że to Rosjanka. Zapachy też takie mocne, więc to było tak kulturowo. Bardzo łatwo się rozpoznawało, mieszkając w takim terenie jak ja, to człowiek się nauczył odróżniać. [...] No różniły się. [...] Dla mnie to były lampucery, że tak po-

¹ Tych perfum użyła artystka performerka Alicja Rogalska podczas performance'u „Widmo II”, będącego częścią szerszego projektu „Odcienie czerwieni”, współorganizowanego przez legnicką Galerię Sztuki z okazji dwudziestolecia wyjścia wojsk (post)radzieckich z Legnicy. Artystka spryskała się obficie perfumami Krasnaja Moskwa i chodząc po mieście dokumentowała reakcje ludzi. Zapach był przez większość legniczanki kojarzony z obywatelami ZSRR, nierzadko wywoływał nostalgiczne reakcje, czasem nawet rozpoznawano markę perfum.

wiem. To były takie kobitki, że tak powiem, napsikane, ale nie ma tego... no, jąderka, że tak powiem, tej istoty rzeczy. Tak, że to były dla mnie takie kobitki mało ciekawe, w zasadzie ja je tak obserwowałem jako takie kury domowe [2010.05.10/LG].

Przede wszystkim... wszystkim czerwien, przede wszystkim czerwien i potem... różne odcienie zieloności, inne, tak, odcienie zielonego. Czern absolutnie nie. To, co ewentualnie było przyznane elegancji polskich kobiet, znaczy w ogóle kobiet światowych i europejskich, prawda, czern jest zawsze elegancka, niepodważalna – Rosjanki absolutnie tego nie, nie akceptowały. Natomiast, jeśli to była, dajmy na to, czern, ale nasączona złotem albo ewentualnie nitką srebrną do niej, albo jakimiś cekinami – tak, to już tak. Coś musiało błyszczeć [2011.11.06/LG].

Zbyt wyzywający wygląd i zapach – „niezbyt gustownie były odziane”, „pstrokate”, „pierścionki, wisiorki, kolczyki”, „napsikane”, ostentacyjnie demonstrowane złote zęby, zestawione z polską dyskrecją w tej dziedzinie – „Polak nie miał tych złotych zębów na wierzchu” – to częste elementy opisu radzieckiego sznytu. Co ciekawe, złote zęby oceniane są jako wyraz braku gustu i niepotrzebne afiszowanie się z bogactwem, a zęby srebrne – przeciwnie, podkreślają funkcję użytkową, nie wiążąc się ze statusem materialnym. Pierwszy z rozmówców wskazuje na przyjmowanie z czasem polskich wzorców elegancji; obfite przyozdobienie nie zastępuje w oczach drugiego rozmówcy braku naturalnego uroku i wdzięku – „jąderka”; trzeci zestawia zamiłowanie do wyrazistych kolorów i błyszczących dodatków krawieckich z powszechnymi standardami elegancji. W drugim fragmencie zaskakuje nazwanie kobiet radzieckich „kurami domowymi”, kontrastujące z opisem zbyt wyzywającego wyglądu oraz wskazujące na ambiwalencję w postrzeganiu ich statusu – przesadna dbałość o strój, o którą oskarżane były „Ruskie”, nie idzie w parze z obowiązkami domowymi, jakie wiążą się z byciem „kura domową”. Przepisanie radzieckich kobiet do przestrzeni domowej sugeruje być może odmiennie rozumienie podziału sfer życia pomiędzy płciami w kulturze rosyjskiej.

„Odiekofoń” jest rosyjskim odpowiednikiem francuskiego *eau de cologne*. Epitet „lampucera” to określenie pochodzące z języka niemieckiego, od terminu oznaczającego czyszciciela lamp – *Lampenputzer*. Nazywano tak ulicznice (tradycyjnie stojące pod latarnią), a z czasem podstarzałe, zbyt wyzywająco ubrane i umalowane kobiety. „Lampucera” to odpowiednik określenia „pudernica”.

Oni spacerowali środkiem jezdni. Taki dziwny zwyczaj mieli. Ruskie się strasznie perfumowały, one miały na sobie nawalone tych perfumów. Ładnie się ubierały, fajne kobiety, ale perfumy... One, nie wiem dlaczego, ale strasznie, strasznie mocne. Minąłeś, to wiedziałeś, że to była Ruska [2012.11.09/LG].

Rosjanki w ogóle słynęły z tego, tak jak mówiłem, no ładnie się ubierały, mocno pachniały. Te perfumy były sakramencko mocne. No i te peruki takie nosiły, peruki, no włosy zawsze ładnie zrobione [2012.11.09/LG].

Ładnie się ubierały. Ładnie. Pięknie chodziły uczesane, chodziły takie damy, pawie tak... jak to... jak paw. Ale jak już przyszło... 8 marca, to już było pełno od fryzjerek szły, wybazowane, wylokowane. Takie te koki były czesane. Były pięknie ubrane, bar-

dzo ładnie się ubierały, naprawdę ładnie się ubierały. Nigdy nie było coś takiego rażącego, żeby był... co by powiedziała: o, jak się wystroiła, prawda? To było ładny strój, czysty, bardzo ładnie uczesane, takie schludne były te kobiety [2011.10.06/LG].

„Damy”, „pawie” – nie wszystkich raziła strojność „Ruskich”; wśród rozmówców jest sporo koneserów ich wyglądu, podkreślających zadbanie i staranne kreowanie wizerunku, a także „schludność”, co może być polemiką ze stereotypem radzieckich brudasów. Co istotne, obecność radzieckich kobiet w przestrzeni publicznej – a zarazem ich niedostępność – dawały asumpt do zachodzenia procesu ich uprzedmiotowienia, sprowadzenia do roli przedmiotu poddanego władzy męskiego spojrzenia, wyraźnie dostrzegalny w wypowiedziach wielu rozmówców. Peruki to element elegancji z lat sześćdziesiątych, popularny również wśród Polek.

A: No mężczyźni też, ale zębami to szczególnie, a może nie szczególnie, bo zapachem szczególnie, te perfumy to mieli strategiczne, strategiczne. A zęby, no może nie wszystkie, ale złote, całe szczęki złote. Się bawili tym, bo to bogactwo, złoto, wrywali sobie zdrowe zęby i wstawiali złote.

B: Ruska kobieta jak szła przez miasto to kok wysoki, ten zapach taki...

A: No ten zapach, nie wiem co to za perfumy mieli.

C: Co za zapach! [*wszyscy się śmieją*]

A: No lubiły te koki, ale ogólnie ładne dziewczyny, urodę Słowianki dało się rozpoznać od razu, rzucało się w oczy, nie to, że znałem, ale było widoczne [2010.12.07/LG].

Obok złotych zębów i „strategicznymi” perfum rozmówcy przywołują też typowe fryzury – wysokie koki, tapirowane i lakierowane na sztywno. Włosy stanowią jeden z elementów ludzkiego ciała, któremu w kulturze przypisuje się szczególne i różnorodne znaczenia symboliczne, związane choćby z ich długością, kolorem, rodzajem fryzury czy w ogóle z obecnością bądź brakiem owłosienia². W odniesieniu do radzieckich kobiet symbolika włosów zdaje się odsyłać ku odczuwanej przez legniczan sztuczności, negatywnie kojarzonego „ufryzowania” czy noszenia peruk, stawianych w opozycji do naturalności fryzur Polek. Z drugiej strony zwraca uwagę, że pozytywnej recenzji urody wschodnich dziewcząt towarzyszy przywołanie ich słowiańskości. „Urodę Słowianki dało się rozpoznać”, stwierdza rozmówca, utożsamiając słowiańskość z rosyjskością czy radzieckością, pomijając fakt, że Polki to też Słowianki. Na poły żartobliwa sugestia, że „Ruscy” celowo wrywali sobie zdrowe zęby, żeby zastąpić je „złotymi szczękami”, po raz kolejny dowodzi podzielanego przez wielu legniczan przekonania o specyficznym radzieckim uwielbieniu przepychu oraz ostentacyjnego obnoszenia się z bogactwem, a więc zachowania, które Polakom kojarzy się raczej z kiczem.

No, ja pamiętam 1967 rok, to akurat było pięćdziesięciolecie rewolucji październikowej, wszędzie, całe miasto na czerwono, transparenty i ta pięćdziesiątka. I akurat była jakaś taka sytuacja, że chciałam pójść do fryzjera, a tam pełno Rosjanek, kolejka jak nie wiem. No i te nasze dziewczyny trochę zdenerwowane, że muszą tak długo czekać w kolejce. I mówi tam [fryzjerka] (a to wtedy się takie koki chesało tapiro-

² Por. K. Banek, *Opowieść o włosach. Zwyczaje – rytuały – symbolika*, Warszawa 2010; P. Kowalski, *Włosy, w: tegoż, Kultura magiczna. Omen, przesąd, znaczenie*, Warszawa 2007, s. 602-609.

wane, teraz znowu są modne), czy mają też na tym koku zrobić tę pięćdziesiątkę [śmiech]. Z brokatu się robiło, brokat się sypało na włosy. A ona się obraziła i powiedziała: „Nie, ja nie chcę pięćdziesiątki!” [2011.04.10/LG].

Tu z kolei radzieckie fryzury i zwyczaj szczególnego strojenia się i upiększania z okazji świąt państwowych zostaje brutalnie wyśmiany, widać tu kobiecą złośliwość pod adresem przedstawicieli własnej płci. Co ciekawe, z powyższego cytatu wynika, że już w latach sześćdziesiątych uprzywilejowana pozycja „Ruskich” w Legnicy nie była na tyle wysoka, by nie można było sobie pozwolić na kpiny, i to o podtekście politycznym – wszak propozycja „zrobienia pięćdziesiątki na koku” może być odczytana jako wyśmiewanie nie tylko radzieckiej elegantki, ale i samych obchodów rocznicy rewolucji październikowej.

Ale to pamiętam do dziś, że jak przyjeżdżała zmiana czy nowi przyjeżdżali, to oni mieli specyficzny taki zapach tych rosyjskich bardzo mocnych perfum, tak zwanych duchy. Wiadomo było, że to oni są i jeszcze pamiętam, przyjeżdżali w walonkach często, jeśli to była taka pora roku, a panie były nie w takich moherowych, tylko z takiej angorki chustach. Takie zawinięte, takie pozakrywane dokładnie. Też było widać, że to są świeżo, które przyjechały. One z czasem jak tutaj były, one już zaczynały pomalutku się ubierać bardziej podobnie do... no, bo mogły chodzić do sklepów polskich [2010.02.12/LG].

Przecież te Rosjanki początkowo to takie były jak pod sznurek. Niskie, pękate, z olbrzymimi biustami i okropnie ubrane, i to tak jakoś od razu było widać, że te. A później nie, później przyjeżdżały tutaj bardziej kulturalne kobiety, rodziny oficerów [2010.05.20/LG].

A jeszcze były takie śmieszności, jak był jakiś bal w mieście, zaproszeni zostali Rosjanie z żonami, to one przyszły w nocnych koszulach, bo to dla nich była elegancka suknia, jak ładna koszula była, nie? I tak to... takie rzeczy... Ubierane przyjechały strasznie w tych swoich walonkach takich, w tych swoich kurtkach, w chustkach. No potem się tu troszkę wyrobiły, ubrały się [2012.03.13/LG].

A: Rosjanki bardzo ładne...

B: Tutaj mówili kobiety, jak ja pracowałam, że jak tylko tu Ruscy przyjechali i rodziny później najechało, to Rosjanki nie wiedzieli, co tu jest, kupowali nocne koszule i tu gdzieś na zabawę szli, znaczy damskie, bo takie ładne koszule były. [...] A tam było takie zacofanie, że nie odróżniali nocnej koszuli od balowej sukni, nie.

A: Nie! Jak ona długa była, tak myślała, że to sukienka. [śmiech]

B: I dobrze....

A: Później to samo.

B: Nauczyli się.

C: Pierwsze słyszę... Zaczęli się przyzwyczajać do tego, po latach, do tej kultury naszej [2010.05.19/LG].

No i je można było poznać od razu, no. Podomki się takie pokazały, no to one w tych podomkach chodziły jak w płaszczach, prawda. Nakładały podomkę i szły do miasta, takie fajne, prawda, wzory takie, prawda, bo to takie było szlafrokowate trochę, to znaczy inny materiał, ale w takich kolorach, no, podomka po prostu, no. Narzucić rano na siebie i przejść zrobić kawę, nie. No to one wychodziły na miasto. Tak, że było poznać po prostu Rosjanki od razu. No ta Natasza po pół roku to już póki się nie odzywała, to nikt nie wiedział, że to Rosjanka, bo jednak akcent, prawda, no i słownictwo jeszcze, bo nie opanowała polskiego, ale po stroju już nie można było poznać, już podrobiła się [2010.02.09/LG].

Chusty i męskie stroje to typowe elementy opisu świeżo przybywających ze Związku Radzieckiego kobiet – nieumiejących zadbać o wygląd i podkreślić swych walorów, nieobeznanych ze standardami elegancji. Ewidentnym, często przywoływanym dowodem nieobycia jest mylenie podomek i koszul nocnych ze strojami dziennymi lub wręcz sukniami wieczorowymi. Podobne opowieści znane są też z innych miast (np. Krakowa czy Wiednia) i dotyczą zachowań radzieckich żołnierek w okresie bezpośrednio po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Inność „Ruskich” dla niektórych rozmówców uwarunkowana jest biologicznie – radzieckie kobiety charakteryzowane są jako „niskie, pękate, z olbrzymimi biustami”, a przez to nieatrakcyjne niezależnie od stroju, makijażu czy fryzury.

Częsta narracja o przyjmowaniu przez „Ruskie” polskich wzorców modowych, przedstawiana jako swoiste ucywilizowanie się, z jednej strony wspiera stereotyp „ruskich dzikusów”, a z drugiej pozwala budować poczucie wyższości kulturowej. Sformułowanie „podrobiła się” może wskazywać na pewną podejrzliwość wobec radzieckiej mimikry – jest to akt uzurpacji, a jego efekt, nawet udany, ma w sobie coś sztucznego, nieprawdziwego, jakiś fałsz bezbłędnie identyfikowany przez czujne oko Polaka.

Nie miały dostępu do tej mody, nie miały kontaktów z tą modą. Nasze dziewczęta i te panie, no... ładnie się ubierały zawsze, miały dryg i miały dostęp – czy przez rodziny, czy przez tę bliskość, czy coś-coś te katalogi czy jak to się nazywa damskie – dostęp, no i w ogóle inaczej ubierały się, i kobietę czy Rosjanina to na ulicy na kilometr można było. Tak jak my tu mieszkamy, od razu: „O! Rosjanka”. [...] Tylko oczywiście, to wtedy... Teraz się bierze, że Rosjanki, to był całokształt, te wszystkie republiki: te Mongołki, Kaukaski, wiadomo – inne rysy – to brzydota, mi się do dzisiaj te mongolskie rysy nie podobają. Ale to było wszystko: „Rosjanki”, nie było, że to Białorusinka czy tego, my żeśmy się tak jakoś orientowali. Te słowiańskie nacje, te to tutaj ze strony nad Bugiem, o to były piękne kobiety, bardzo ładne kobiety, żadnej różnicy, zresztą teraz popatrzeć na Ukrainki czy Rosjanki, czy Białorusinki tutaj, no, to były bardzo ładne kobiety i... tylko z tym, kontakt był już ograniczony, jeżeli już tam się dochodziło do szesnastu czy siedemnastu [lat], to już zero kontaktu było, większa świadomość. Kontakt tak do czternastu, trzynastu, dwunastu lat [2010.05.03/LG].

Obok wyróżniającego stroju, który rozmówca uznaje za konsekwencję mniejszego niż w przypadku Polek kontaktu z zachodnimi wzorcami przekazywanymi m.in. przez żurnale z „Burdą” na czele, rozmówca podkreśla zróżnicowanie etniczne. Egzotyczne rysy nie stanowią bynajmniej w jego oczach atutu, a zwrot „mongolskie rysy” znów pojawia się jako metonimiczne określenie nieeuropejskiej urody. Rozmówca podkreśla natomiast urodę Słowianek, rozróżniając tym samym różne typy radzieckich kobiet nie dających się zakwalifikować do wspólnej kategorii „Ruskich”.

Można było od razu jakoś stwierdzić, że to nie jest Polka, zresztą w tym okresie to nasze panie też nie błyszczały specjalnie elegancją, ale to można było wyczuć. Tak samo, jak na przykład porównanie Polki z Niemką, to też w tym czasie to było od razu można wyczuć, że to jednak nie jest ta nacja. To samo z Rosjankami, po prostu ubierały się po swojemu. Pamiętam po jakimś czasie, jak już tu były trochę dłużej, to się oswoiły i już wtedy po ubraniu trudno było poznać [2010.02.14/LG].

Obok motywu przejścia polskich wzorów modowych – „oswojenia” – pojawia się tu obiektywizująca konstatacja, że okres Polski Ludowej nie sprzyjał też modnemu wyglądowi Polek, zwłaszcza w zestawieniu z zachodnimi sąsiadami. Zauważmy przy tym, że rozmówca mówiąc „Niemka” nie wskazuje, czy chodzi mu o mieszkankę NRD czy RFN, niejako zrównując oba kraje i realizowane w nich wzorce elegancji, prawdopodobnie za punkt odniesienia przyjmując kapitalistyczną RFN lub po prostu propozycję modową słynnego żurnala „Burda”, a nie komunistyczną i jednak ascetyczną NRD.

Taką właśnie Nataszę mieliśmy. Gdzie... Bardzo podziwialiśmy, jak się zaprzyjaźniliśmy. Ale ona dosłownie przychodziła do mojej żony, mówiła: „Lida, chodź, idziemy do miasta, bo ja chcę kupić sobie spódniczkę, a ty wiesz jakie, jakie są modne, wiesz, jakie ja mam bluzki. No, mogę kupić tylko jedną, chciałabym taką dobrą, prawda, żeby to było stonowane”. Bo inne to były takie, że żółta bluzka, czerwona spódnica, prawda, niebieska apaszka, prawda, byle bardziej kolorowo, byle jak najbardziej kolorowo [2010.02.09/LG].

W relacji towarzyskiej czy wręcz przyjacielskiej Polka staje się arbitrem elegancji dla swej radzieckiej przyjaciółki. Obok przyczyn pojawiających się już wcześniej – m.in. lepszego dostępu do światowych trendów poprzez paczki z Zachodu i ciuchy, istnienia rynku zagranicznych żurnali zwierających wykroje, a także akcji rozwijania gustu Polek, prowadzonej m.in. na łamach „Przekroju” przez Barbarę Hoff³ – ważnym czynnikiem może być też istniejący w rosyjskiej kulturze⁴ i literaturze⁵ motyw pięknej Polki. Jest to stereotyp pozytywny, przypisujący Polkom nie tylko wyjątkową urodę, ale i to, co rozumie się potocznie pod terminem klasa – elegancję, wdzięk, dobry gust. Stąd w kulturze rosyjskiej zasugerowanie, że dana kobieta ma polskie korzenie, uchodzi za komplement. Próbę przejmowania przez przyjeżdżające z ZSRR panie polskich wzorców w dziedzinie mody można zatem widzieć i w tym kontekście.

³ Por. J. Jaworska, *Cywilizacja „Przekroju”*. Misja obyczajowa w magazynie ilustrowanym, Warszawa 2008, s. 115-148.

⁴ K. Duszenko, *Polak i Polka w oczach Rosjan*, w: *Stereotypy i narody*, red. T. Walas, Kraków 1995, s. 159-161.

⁵ Por. J. Orłowski, *Z dziejów antypolskich obsesji w literaturze rosyjskiej: od wieku XVIII do roku 1917*, Warszawa 1992.

Było sporo jubilerów, prowadzili też skup, prawda, skupowali właśnie złoto. Często było też tak, że niektórym paniom się udzielała ta moda rosyjska. Naszym Polkom! I na każdym palcu były pierścienie, czasem po dwa, obwieszane złotem i w tym stylu. No, skończyło się, kiedy zaczęto im na ulicach w tych latach dziewięćdziesiątych tego bandytyzmu ściągać, zrywać te łańcuszki, wykręcać palce i tak dalej, tak, że od tej pory widać, że tych pierścionków kobiety prawie na palcach nie noszą w Legnicy [2010.12.08/LG].

Wpływ kulturowy nie mógł być jednokierunkowy. Choć gros rozmówców podkreśla przejmowanie przez kobiety radzieckie polskich wzorców, oddziaływanie musiało też iść w drugą stronę. Przy krytycznej zazwyczaj opinii o radzieckim guście ta druga strona medalu nie budziła entuzjazmu. Tu rozmówca przywołuje modę na noszenie licznych złotych ozdób, wynikającą z przyjmowania radzieckich standardów, ale też z dostępności na legnickim rynku dużej ilości biżuterii. Trudno oprzeć się wrażeniu, że autor wypowiedzi jest zadowolony ze skutku bandyckich napadów – radziecki wpływ został wykorzystany.



I na przykład w tej szkole, gdzie była ich dziesięciolatka – ponieważ to blisko, więc ja to nieraz widziałam – jak rozpoczęcie było roku, to tak uroczyste, z orkiestrą i taki apel, i wszystkie dzieci jednakowo ubrane. Dziewczynki chodziły w mundurkach brązowych i od święta miały fartuszki z takimi falbankami. To tak jak w carskiej Rosji. Moja mamusia na zdjęciu też. I tutaj stójeczka z koronkowym kołnierzykiem takim, a na co dzień, na mundurek, czarny fartuch. Chłopcy mieli troszkę brzydsze mundurki, bo takie jakby... no, długie spodnie i taki kolor [...] jakiś taki nieokreślony był. Beż, brązowy czy coś, zielonkavo-brązowy. Ale dziewczynki ślicznie wyglądały. I pamiętam też, jak było u nich już zakończenie roku, pewno zabawa – i szły takie wszystkie, mniej więcej w jednym wieku, na tą zabawę, każda w innej su... innego koloru sukience. Każda sukienka była tak samo uszyta, to było lato, taka zwiewna, cieniutka jakaś, cieniutki materiał, jedna niebieska, druga kremowa, trzecia żółta, ta czerwona, to ślicznie wyglądało [2010.05.20/LG].

Oni mieli tutaj szkoły, oni mieli bardzo dużo szkół tutaj średnie i podstawówki. Mieli takie, pamiętam, dziewczynki miały brązowe fartuszki z takimi tutaj falbankami. Jak szły pierwszego, nie pierwszego, kiedy one pierwszego września też szły do szkoły, warkoczyki, kokardy koniecznie czerwone w tych włosach i takie teczki w rękach nosiły. Tornistry, może one nawet miały te teczki takie paski, ale często gęsto w ręce niosły [2010.02.12/LG].

Ale to, to takie zjawiskowe były te dziewczynki, te Rosjaneczki, prawda? Tak widać było, że te dzieci oficerów, to są, tak, tam kształcone i hołubione, i widać takie, takie domuskane, prawda? [2010.02.31/LG]

Z krytycznym często stosunkiem do stylu radzieckich kobiet kontrastują zachwyty nad strojami i fryzurami – podziwiane kokardy – uczennic. Brązowe mundurki i fartuszki z falbankami budzą nie tylko estetyczny podziw, ale i sentymentalne wspomnienia czasów przedwojennych, a nawet carskich. To swoisty paradoks tamtych czasów, że widok radzieckich dziewcząt przywoływał obrazy sanacyjnego i carskiego systemu szkolnego, odsądzanego wszak wówczas od czci i wiary. Aprobataę zyskuje też, piętnowana w innych kontekstach, uniformizacja i przywiązywanie szczególnej wagi do wyglądu – „domuskanie”.

Dziewczyny miały takie piękne sukienki, takie fartuszki, to one były brązowe, wiem że chyba... kurczę... brązowe fartuchy takie tu z falbankami, potem oczywiście biała bluzka, czerwona ta pionierska chustka i oczywiście warkocze. Słuchaj, śliczne to było naprawdę, a nie takie tam lampucery jak dzisiaj. Z kokardami dziewczuszki albo kokarda we włosach – to naprawdę to było ładne [2010.05.04/LG].

Zachwyty nad atrakcyjnym wyglądem radzieckich uczennic, obejmujący w tym przypadku także strój pionierski, służy krytyce współczesnych dziewcząt – prawdopodobnie młodych Polek – ubierających się, jak można wnioskować z epitetu, wyzywająco.



No mówiłam pani o tym Ruskim, co mi piłeczki podawał na korcie. Kiedyś mi gdzieś „dzień dobry” powiedział na mieście. Moja mama mówi: „A co to za przystojny facet?”. A ja mówię: „To Ruski”. I właśnie się tak zastanawiałam przez moment – ach! – jakby tu się jakieś uczucie pojawiło. Fajny facet był, bardzo sympatyczny, może nie jakoś szczególnie przystojny, ale taki no naprawdę, wizualnie fajny i taki – pełna kultura. Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym, czy były jakieś związki. Musiały być. Tak, tak no, bo jakby on tak częściej się koło mnie przemykał i jeszcze bardziej był miły, to ja nie wiem, jakby to wyglądało. Ja nawet nie wiem, jak facet miał na imię.

Ale rodzice byliby pewnie niezadowoleni?

Nie wiem, to musiałyby być coś straszego. Bo to tak jakby... kompletnie dwa światy. Do pewnego stopnia to tak jak przez kurtynę mogliśmy ze sobą rozmawiać: „dzień dobry”, jak tu miło sobie piłeczkę podać, rękę podać, ale już tylko tak się złapać za przegub nie można [2010.03.02/LG].

Dwa światy i przerzucona nad przepaścią nic porozumienia, sympatii – „chemia”, która łączy obcych (a może wręcz wrogich) sobie społecznie, kulturowo i politycznie młodych ludzi. Zarysowany problem jest w istocie uniwersalny – gdyby między tym dwojgiem wydarzyło się coś więcej, mogłyby to być nie tylko scenariusz kolejnego wariantu *Małej Moskwy*, ale przeniesiona w nowy kontekst kulturowy reinterpretacja *Romea i Julii* czy *Dziejów Tristana i Izoldy* – ponadczasowych romansów tragicznych.

Interesująca jest też sceneria – kort tenisowy – jak gdyby przedwojenna, pozornie kontrastująca z realiami komunistycznego miasta garnizonowego, dodająca wdzięku całej historii. Zarysowane przez rozmówczynię surowe ramy obyczajowe akceptowalnych gestów – podanie piłeczki dopuszczalne, ujęcie za rękę już nie – mogłyby równie dobrze pochodzić z minionego świata dworaków

czy z epoki wiktoriańskiej. Zinternalizowany zakaz jakichkolwiek bliższych kontaktów damsko-męskich reguluje wzajemne kontakty do tego stopnia, że dopiero z perspektywy lat rozmówczyni zaczyna kwestionować swoją ostrożność – „nie wiem, to musiałyby być coś strasznego”. Próbuje znaleźć wytłumaczenie, sformułować na potrzeby rozmowy z etnografem odpowiedź na nie zadane pytanie: na czym właściwie polegała odczuwana przez nią niestosowność bliższych kontaktów pomiędzy Polakami a „Ruskimi”.

Ale ze mną też się chcieli spotykać [*uśmiech*]. Tak:

- Nu, a u mnie jest muž. [No, a ja mam męża]

- No i szto? On nam nie mieszajet, nie mieszajet. [No i co? On nam nie przeszkadza, nie przeszkadza]

- No i kak że...? [No i jak to...?]

- Wazmiotie sumoczku i pajdiom! [Niech pani weźmie torebkę i pójdziemy!]

To spotykaliśmy się. A ile razy szłam ze szkoły, u dzieci byłam na wywiadówce... Siadałam na ławeczce w małym parku, a tym było po drodze do Domu Oficera.

- A wy nawierno Ukrainka? [A pani na pewno Ukrainka?]

- Niet, ja nie Ukrainka. No, z Ukrainy to pochodzę, z tamtych, stanisławowskiego, Stanisławów, no. Ale nie Ukrainka. Po-ukraiński gawarit umiu [Po ukraińsku umiem mówić].

No nieraz to tak było:

- Dawaj, Masza, idziom. [Chodź, Masza, idziemy]

- A nikuda nie pajdu. [A ja nigdzie nie pójde]

Ale śpiewaliśmy bardzo dużo z nimi. Mąż nie umiał. No, bo nie umiał, nie znał języka. Ale lubił. Lubiał, jak ja mu śpiewałam: „Tiomnaja noc...” [2011.10.06/LG].

Tu z kolei flirt jest znacznie wyraźniejszy, biegła w rosyjskim i ukraińskim rozmówczyni przekomarza się z radzieckimi oficerami. Można stąd wnioskować nie tylko o sympatii, ale i o poczuciu bezpieczeństwa Polki w kontaktach z „Ruskimi”. Dodatkowym czynnikiem wzmacniającym zażyłość staje się wspólne śpiewanie piosenek.



Wiem, że znajomość z Rosjaninem nie była mile widziana. Kobieta, która się zadawała z Rosjaninem była traktowana źle, to znaczy to było coś takiego jak puszczenie się. Tak, że jak już, to puszcza się z Polakami, krótko. Oczywiście, że jak z wyższym rangą to może to i miało jeszcze ręce i nogi, ale to było traktowane jako pewnego rodzaju zdrada społeczna, po prostu. Na pewno taka kobieta nie mogła się chwalić tym [2010.05.10/LG].

Mamy tu bardzo wyraźnie sformułowany nakaz endogamii, doboru partnera seksualnego w obrębie własnej grupy – „puszcza się z Polakami”. Pojawia się też motyw klasowy: poziom naganności zachowania uzależniony jest od pozycji partnera w hierarchii. Przywołuje to skojarzenie z dozwoloną w niektórych społeczeństwach kastowych hipergamią – małżeństwem z mężczyzną

z wyższej kasty. Widać tu też wyraźnie dyskurs męskiej dominacji, połączony ze strukturalnym podejściem do relacji społecznej jako wymiany kobiet między grupami mężczyzn – stąd znacznie bardziej restrykcyjne normy społeczno-obyczajowe obowiązują kobiety. „Zdradą społeczną” byłoby tu równoczesne złamanie nakazu endogamii i kierowanie się wyłącznie własnym zdaniem przy doborze partnera z grupy Obcych.

Ja widziałem tylko jedno. Pod koszarami i polskimi, i rosyjskimi, zawsze sobota – niedziela były panie. Jakie one były, ja byłem za głupi na to, żeby rozpoznać siostrę od jakiejś tam takiej. Natomiast tak, pod koszarami na czas odwiedzin weekendowych kręciło się pod koszarami bardzo wiele kobiet, ale jakiego one były rodzaju – nie jestem w stanie powiedzieć [2010.05.10/LG].

A nawet tak było, że kobiety takie gorsze z kraju przychodziły pod samo lotnisko i wino przynosiły ze sobą tym Rosjanom [2011.04.10/LG].

Rozmówcy wyraźnie unikają słowa „ prostytutki” lub „puszczalskie”, używając eufemistycznych sformułowań „jakaś tam taka” i „kobiety takie gorsze” – być może ma to w intencji osłabić wymowę ich postępowania. Autor pierwszej wypowiedzi wzbrania się przed jednoznacznym zakwalifikowaniem przywoływanych zachowań, nie różnicuje też koszar polskich i radzieckich. W przypadku drugiego fragmentu rodzi się pytanie, czy przynoszenie wina ma wskazywać na towarzyski, a nie tylko erotyczny charakter spotkań, czy raczej pogrążyć moralnie i obyczajowo kobiety-dostarczycielki alkoholu.

W głośniejszej powieści *Lubiewo* Michała Witkowskiego pojawia się podobny wątek. Bohaterowie dzielą się opowieściami o homoseksualistach zjeżdżających z całej Polski do miast, w których znajdowały się garnizony Armii Radzieckiej, i odwiedzających nocami koszary, m.in. w Legnicy: „Gdy przyjechałam do Bydgoszczy, chciałam jechać najpierw do Legnicy, bo wiedziałam już od innych ciot z dworca Bydgoszcz Główna, że tam przychodzą cwelówki, zjeżdżają specjalnie z całej Polski. Ale tam się okazał już zbyt duży tłok, oni się już odgonić nie mogli. Ale przecież, myślę sobie, u nas, we Wrocławiu też stacjonują wojska. I Ruscy nie mają pieniędzy na prostytutki, bo ich tam bez pieniędzy trzymali w koszarach i nawet nie mogli wychodzić. A tam u nich przecież nikt nie chciał być cwalem. [...] [L]egnickskie cioty chodziły pod koszary poprzebierane za kobiety. Początkowo w ogóle udawały kobiety, i mówiły, że od przodu nie mogą, bo mają akurat te trudne dni... Albo jak która co bezzelniejsza, to mówiła: «jestem jeszcze dziewicą i chcę taką pozostać» [...] i oni w tej ciemności nawet przez jakiś czas się na to dawali nabrać. Podobno. Ale istniała szkoła legnicka, żeby się przebierać, i szkoła wrocławska, której my jesteśmy założycielkami, żeby się nie przebierać, bo oni są do cweli przyzwyczajeni, to im wszystko jedno – ich cwel im robi laskę czy ktoś spoza koszar”⁶.

Oni tutaj chodzili, np. w czwartki czy w piątki tutaj jednostki były tzw. wajenny pajok. Ja mówię: „Ty stary, ty mi nie gadaj »wajenny pajok«, powiedz mi, co to jest”. On za dwadzieścia rubli dostawał tam kopę czy ileś jaj. Na każde dziecko jeszcze dodatkowo dostawał mąkę, konserwy. I ja mówię: „Co to jest?”. A on mówi: „Słuchaj, [...] bo wiadomo, że jak nie ma co robić, to co robić. To pies jaja liże, jak nie ma co

⁶ M. Witkowski, *Lubiewo*, Kraków 2005, s. 48, 50-51.

robić”. Przepraszam, ale musicie się osłuchać w pewnych rzeczach... Tak samo i wojsko – młodzi oficerowie – przecież każdy żył, chciał potańczyć, chciał z dziewczyną pobyć, dlatego z Rosji przyjeżdżały też dziewczyny do sklepów, do urzędów, do tego, do tamtego... No słuchajcie, jesteście dorośle, osiemnaście lat chyba macie... [...] Armia amerykańska to miała burdele. I inne armie zachodnie. Żołnierz był miesiąc czy ileś na froncie i wracał i szedł do burdelu. Oni... ustrój im nie dopuszczał takich rzeczy. Ale jeżeli przyjechała Rosjanka do sklepu – była sprzedawczynią – czy do kina, czy gdzieś, czy artystka i się poznali, i inne jeszcze stosunki mieli, to kto im to zabroni? [2012.11.11/LG]

Tu z kolei rozmówca, powołując się na relację z pierwszej ręki, wyjaśnia „politykę erotyczną” radzieckiego dowództwa, nakierowaną na utrzymanie realizacji potrzeb seksualnych w obrębie własnej grupy. Istnienie domów publicznych sprofilowanych specjalnie dla potrzeb skoszarowanych żołnierzy jest przez rozmówcę traktowane jako niekwestionowana oczywistość – dodatkowo uargumentowana przykładem wojsk amerykańskich – wynikająca z takich a nie innych realiów życia „na froncie”. W realiach radzieckich, oficjalnie purytańskich, domy publiczne były, zdaniem rozmówcy, zastąpione specjalnie wykreowanymi sytuacjami sprzyjającymi zbliżeniom.



Aczkolwiek bywało czasami w ten sposób, że jak były Rosjanecki sprytne jakieś takie, prawda, no to dochodziło do kontaktów z Polakami, ale to było w bardzo głębokim zakamuffowaniu, w bardzo głębokiej tajemnicy. Bo to natychmiast w tym wypadku kończyło się deportacją z Polski, no i olbrzymim skandalem, wie pani, no, no. Po rosyjsku bładź to jest bładź, no i to jest to [2011.11.06/LG].

Generalnie do, z takiego osiedla jak stąd, jak chciały dziewczyny iść na... do miasta na zakupy, albo do kina, do teatru, generalnie byli wożeni autobusami. I to były ich autobusy, nie nasze jelcze czy sanosy, tylko ich takie... No typowo ich, to było od razu widać, że to jest autobus ruski. I oni byli zawożeni i przywożeni. Tak, że dziewczyny jak nawet chciały gdzieś sobie tam bryknąć, czy chłopcy, to oni faktycznie stąd musieli też uciekać, gdzieś tam po kryjomu albo gdzieś wyjeżdżali [2010.02.08/LG].

Oczywiście nie tylko strona polska pilnowała moralności swoich kobiet – w jeszcze większym stopniu dotyczyło to strony radzieckiej. Jako przyjezdne pracownice wojska lub członkinie rodzin oficerów były na wpół oficjalnymi reprezentantkami Związku Radzieckiego, dlatego też ich wykroczenia stanowiły jednocześnie kalanie dobrego imienia kraju, zdradę ojczyzny i idei komunizmu. W związku z tym sankcje były znacznie poważniejsze – o ile Polkę spotykającą się z „Ruskim” mógł spotkać ostracyzm społeczny, o tyle kobieta radziecka ryzykowała karnym odesłaniem do kraju. Również system kontroli był dużo bardziej rozbudowany – od fizycznego utrudniania kontaktów po wszechobecne donosicielstwo. Opisany przez rozmówcę zwyczaj rozwożenia cywilnych pracownic radzieckich specjalnie przeznaczonym w tym celu autobusem podkreśla obraz kontroli sprawowanej nad kobietami, którym miano jakoby ograniczać w ten sposób możliwości „brykania”.

Mi się nie zdarzyło i ja też nie pamiętam takiego faktu, żebym na przykład widział Polaka, który zaprosił Rosjankę do kawiarni, bo to raczej było niemożliwe. Nie w tym sensie, że to było zabronione, tylko ani jedna, ani druga strona za czymś takim nie przepadały. Bo one były tu, zamknięte w tym obozie takim i jeżeli już to, a jeżeli nawet wychodziły gdzieś do kawiarni, to owszem, widziałem, w kawiarni siedziały dwie czy tam trzy Rosjanki, ale też raczej wypity kawę, czy tam herbatę i uciekały, bo one były rozpoznawalne, wszyscy wiedzieli, że to są Rosjanki. [...] Nie, raczej tak do dziewczyn [nikt się nie przysiadł], jeżeli już to jakiś tam pijany i one zaraz też uciekały i być może też między innymi z tego względu też nie chodziły. Ja nie spotkałem się z takim czymś, że Rosjanki wchodziły do kawiarni, sobie siadały i się czuły tak jak nasza młodzież, nie? Nie było czegoś takiego, one, oni mieli swoje i raczej pilnowali się tutaj, bo to jeszcze nie jest tak, że pani się dogadała z koleżanką, żeście sobie poszły, nie? Bo oprócz tego jeszcze była trzecia koleżanka, a ta trzecia koleżanka poszła i doniosła. Więc one się tego wszystkiego bały, nie? [2010.02.08/LG]

Widzimy tu znów skoszarowanie i lęk przed donosicielstwem, a przy tym unikanie ewentualnego narażania się na zaczepki ze strony Polaków, którzy, zwłaszcza pod wpływem alkoholu, czuli się na własnym terytorium bezpieczniej od „Ruskich”. Warto też dodać, że jeszcze w latach siedemdziesiątych przesiadujące w kawiarni bez męskiego towarzystwa Polki również bywały narażone na niewybredne męskie zaczepki.

I te dziewczyny, te panny i pielęgniarce, i te nauczycielki przychodziły nad rzekę się opalać. No to przychodzą laski, tego: „No to chodźmy, pograjmy w piłkę!”. I tak się poznawało. Ale to tylko nad rzeką, w mieście nie chciały, bały się, nie chciały umawiać się, tylko nad rzeką. No to po cichu, gdzieś ktoś komuś podobał się, umawiał. No i koleżanki nie widziały, że się umawia, bo się bała jedna drugiej, bo jak się pokłóć, to podkabluję i przyjdzie NKWD i psiiiiit! – jedzie do Rosji [2012.03.22/LG].

Tereny nad Kaczawą stanowią tu obszar neutralny, również przez swoje wyeksponowanie – relacje są dzięki temu transparentne, widać, że nie zostaje przekroczona żadna granica, są to też kontakty pomiędzy całymi grupami młodych ludzi, a nie jednostkami, co również pozbawia je dwuznaczności. Poza przestrzenią miejską, pośród natury, ściśle uregulowane dotąd kontakty mają szansę na pełniejszą realizację, jak gdyby kontekst miasta jako areny poddanej ciągłej obserwacji – w dodatku przez obie strony – hamował jakiegokolwiek spontaniczne działania towarzyskie. Krótkotrwałe spotkania w plenerze zostają przeciwstawione naznaczonym strachem przed donosem i jego konsekwencjami tajnym spotkaniom o bardziej intymnym charakterze. Zastanawia, czy rozmówca mówiący o NKWD miał rzeczywiście na myśli policję polityczną, czy określił tak po prostu radzieckie służby.



Natomiast też ja pamiętam, że był taki jeden koleś, który regularnie przechodził koło mojego domu, to już była końcówka lat osiemdziesiątych, i zawsze z siostrą. I tak dziewczyna była tak piękna, no zjawiskowa, ja się regularnie w niej kochałem

platonicznie, bo jak to, z wrogiem nie będziemy się bratać, nie, ale..., bo to też jest istotne: Rosjanki można było zdefiniować od razu, jak się je widziało. Szło piętnaście kobiet, w tym trzy Rosjanki, myślę, że każdy, kto mieszkał w Legnicy, sto na sto trafiał, która Rosjanka. [...] Natomiast tamta dziewczyna była zjawiskowo piękna, naprawdę, i nawet przez myśli mi nie przeszło, żeby coś tam... To nie było takiej opcji. Myślę, że wiele osób tak funkcjonowało. Chyba, że mieli jakiś bliższy, że tak powiem, dostęp, to gdzieś tam po cichutku, no, bo – jakież inny był romans pokazany w tym, on był taki! Trochę po cichutku, bo gdzieś mieli tam styczność, i w głębokiej konspiracji. A, że jakby państwo nie panowało za bardzo nad sobą, to wylazło. Ja myślę, że takich tak naprawdę takich związków, może nie takich romantycznych, ale takich po cichutku to pewnie było. Bo to po prostu Rosjanki były... no były atrakcyjne, znaczy się no były, pewnie... [2010.02.11/LG]

Ale też fajne dziewczuchy były. Ja akurat z żadną Rosjanką nie kręciłem, ale moi koledzy też. Pamiętam taką jedną Wiki, Wiktoria ona miała na imię. [...] Te akurat te dziewczyny, to już było w okresie, kiedy... Myśmy mieli tam po dwadzieścia lat, one już pracowały tutaj. To one też miały gdzieś po dwadzieścia lat, nie? To nie takie dzieciaki. One tu przyjechały do pracy, jako pracownicy cywilni, nie? [...] No to... Z reguły to wyglądało w ten sposób, że tak – jak... gdzieś oni wypatrzyli dziewczynę swoją z naszym, nie? Im się to nie podobało i w drugą stronę nam też, nie? [*śmiech*] [...] No, raczej to działało... No, pewnie, no a jak nie? Raczej to działało w tą stronę, że nasi chłopcy kręcili im laski [*śmiech*]. A nie oni nasze [*śmiech*]. Nas tu było więcej, nie? Ale też tam się gdzieś tam spotykali, gdzieś. Może... Chociaż z mojego towarzysstwa, prawdę powiedziawszy, to nie pamiętam, żeby ktoś gdzieś z jakimś Rosjanem, żeby któraś z dziewczyn, żeby kręciła z którymś z chłopaków. Natomiast w drugą stronę, jak najbardziej [*śmiech*] [2012.03.20/LG].

Atrakcyjność radzieckich kobiet, nierzadko „zjawiskowych dziewczyn”, skłania rozmówców do wniosku, że jakieś ponadkulturowe relacje erotyczne musiały istnieć, choć utrzymywane w dyskrekcji – acz może nie tak spektakularne jak romans stanowiący fabułę filmu *Mała Moskwa*. Zakazy zakazami, a życie życiem – zwłaszcza od lat sześćdziesiątych, gdy zmniejszył się poziom indoktrynacji, a stosunki polsko-radzieckie stały się nieco bardziej partnerskie w porównaniu z okresem stalinowskim, siłą rzeczy dochodziło częściej do nieformalnych kontaktów między młodymi ludźmi. Widać tu wyraźne przyzwolenie na wybieranie partnerek z grupy Obcych, przy jednoczesnym silnym zakazie egzogamii dotyczącym kobiet z własnej grupy. Wielu rozmówców podkreśla, że mający w mieście większość Polacy byli skuteczniejsi w pilnowaniu swoich dziewcząt niż strona radziecka, częściej też reagowali agresją wobec zainteresowanych Polkami „Ruskich”. W relacji rozmówcy zwraca też uwagę aspekt rywalizacji – „nasi chłopcy kręcili im laski [...] a nie oni nasze” – ustanawiający inny porządek rozumienia sfery towarzysko-erotycznej; w tym wypadku radzieckie dziewczyny są doceniane nie tylko ze względu na swoją urodę i atrakcyjność, ale stają się też potencjalnymi trofeami, o które zabiega się też ze względów ambicjonalnych, chcąc przechylić na swoją stronę szalę w nieformalnej rywalizacji.

Pamiętam, kolega mój, już w tej chwili... no już mnóstwo lat, jak na studia wyjechał, to w tej chwili w lubelskim mieszka, to on był... jego mama była nauczycielką i on tak właśnie opowiadał nieraz, że też taki już był taki wiek nastolatka, to już tam przyjaźnił się bardzo z taką dziewczynką rosyjską i ona musiała później właśnie opuścić Polskę z rodzicami. To, mówił, płakała strasznie, że odjeżdża. Dzięki niej właśnie bardzo ładnie opanował język rosyjski, bo tak przyjaźnił się z nią dosyć dużo [2010.02.12/LG].

Pamiętam, tu taki chłopak u nas tutaj na tej Okrzei mieszkał, imienia nie pamiętam, ale... Mirek. O, Mirek. On chodził z Ruską kupę czasu. Kupę czasu. To byli młodzi ludzie, nie było szans na to, żeby ten związek zalegalizować, bo jak się ma siedemnaście lat, nikt ci ślubu nie da, nie. Chodzili, chodzili długi czas ze sobą i nagle patrzemy, a jej nie ma, nie ma. Znikła. U nich to było tak, że dostali prikaz i dzisiaj dostali, jutro musieli wyjeżdżać. I koniec. I chodził Mirek zrozpaczony i mówi: „Pojechała Swietłana!” – czy jak ona miała na imię, bo już teraz nie pamiętam. Nie ma, nie ma. I myśmy wiedzieli o tym, że tak będzie kiedyś, że to nie ma szans, no ale chodzili ze sobą, po prostu mieli się ku sobie, coś tam chemia zadziałała i chodzili [2012.11.09/LG].

A Sieriożkę poznałam... bo tatuś był właśnie tam u nich w gościnie. I mamusia mnie wysłała po tatę, bo już za długo go nie było w domu. [...] No i ja... ile ja miałam wtedy? Piętnaście lat? [...] A on miał chyba z siedemnaście – osiemnaście. [...] I weszłam... poszłam tam do nich, no i ten papa [...], no jego tato otworzył – no i wyszedł Sierioża, pokazał się Sierioża. No i tak jakoś nasze te spojrzenia się spotkały jedno na drugie... No, ja tam chwilę jeszczeostałam, no wróciłam z tatą do domu. I ja zawsze wieczorem wyprowadzałam psa. No. No i tak też jakoś zaczęło, że Sieriożkę chyba spotkałam, czy on tu przed domem stał? Później zaczęliśmy się śmiać, że ja go nauczę polskiego, a on mnie podszkoli w rosyjskim. No i... z tym, że nie pamiętam, czy on przyszedł tutaj do naszego domu, czy nie. [...] No, ale ja później tam u nich w tej szkole byłam na zabawie, z tymi jego kolegami – tam był i Żenia, i Wiktor [...]. To z tej samej bramy. No i tak jakoś się trzymaliśmy dosyć długo, chyba. Chyba aż do ich wyjazdu z Sieriożką. [...] To była moja taka wielka miłość. Pamiętam jak on mi lalkę kupił. [...] Później dostałam od niego płytę Sliczenki, też – z dedykacją. Tak... i wyryte nawet na parapiecie tam – nie wiem, pewnie parapety pozmieniane... Ja byłam Aneż, a on był Żum. Od... od końca przeczytać, wiadomo: muż i żena. No, i to były takie fajne historie... [...] Zresztą oni i tak wyjeżdżali i... No, myśmy pisali przez jakiś czas do siebie. [...] Chyba przez rok pisaliśmy do siebie. No, ale tak to to wyszło, no. Drogi się rozeszły i... Ale nie pamiętam, czy on jeszcze kiedyś tu... Chyba przyjechał. On chyba jakoś był w Legnicy. Ja jeszcze go, chyba raz się z nim spotkałam. Ale ja już chyba miałam wtedy

innego chłopaka... Tak, miałam innego chłopaka i... i od kogoś się dowiedziałam – z tym, że ja już nie pamiętam od kogo – że ten Sieriożka szedł za nami. I on mnie widział z tym innym już... [2011.10.06/LG]

Jak się wydaje, najmniej kontrowersji budziły związki nastolatków, uczniów legnickich szkół, którzy chodzili ze sobą często za przyzwoleniem rodziców i środowiska rówieśniczego. Przy czym warto zauważyć, że akceptacja ze strony rodziny niekoniecznie oznaczała wzajemne odwiedzanie się w domach. Związki te siłą rzeczy nie mogły zostać zalegalizowane i były tymczasowe – ich końcem stawało się zakończenie kontraktu radzieckich rodziców i konieczność powrotu do Związku Radzieckiego. Rozpacz z powodu rozłąki nakładała się na niechęć i obawę przed wyjazdem do Kraju Rad. Wymiana prezentów, wspólne prywatki, poznawanie języka ojczystego chłopaka bądź dziewczyny są typowymi elementami wspomnień owych młodzieńczych uniesień. W ostatnim fragmencie zwraca uwagę gra w anagramy – żum i aneż – pojawiająca się jako znak młodzieńczej miłości w dramacie Nikity Michalkowa *Spaleni słońcem* (*Utomlonnyje sołncem*, Rosja 1994).

Sliczenko, którego płytę dostała rozmówczyni, to najpewniej Nikołaj Sliczenko, aktor teatralny i kinowy, kierownik teatru Romen.

W każdym mieszkaniu jak były np. trzypokojowe z kuchnią, no to mieszkało w każdym pokoju po dwie, trzy dziewczyny – dwie, trzy, dwie, trzy i w takim mieszkaniu mieszkało sześć osób, dziewczyn. [...] Do domu ona nie mogła zaprosić, może koleżanka, może ta, może podkablować, z kim się zadaje i ona na drugi dzień wyjechała... Ona była po studiach, pracowała w szkole, uczyła w szkole tutaj na Jaworzyńskiej, nauczycielką była. I ona mówi: „Nie możesz do mnie przyjść”. Ja mówię: „To przyjdź ty do mnie”. Miesiąc czasu ona, że przyjdzie, nie przyjdzie – i w końcu się zgodziła, że przyjdzie. [...] I ona się umówiła ze mną na moście tam na Marchlewskiego [od 1991 roku Kartuska], tam most taki kamienny, co jest nad rzeką, ja tam blisko mieszkam. Na moście, ja mówię: „Ja ci dam adres, to przyjdiesz do mnie”. „Nie, nie, ja się boję!”. „No dobrze, przyjdę na noc”. Przyszedłem na noc, ona stoi, czeka, idziemy, a ona mówi: „Ty idź pierwszy, ja idę za tobą” – taka była wystraszona, a już znaliśmy się z pół roku tu znad rzeki, przez lato, jesień, październik... Bała się. Ja mówię: „Przecież tutaj cię nikt nie zna, tutaj Ruskich nie ma”. „A może ktoś zauważy, a może tego...”. I w cywilne ciuchy, takie polskie, się ubrała, żeby nie było znać, że to Rosjanka. Podeszliśmy pod bramę i mówi: „Ty idź pierwszy, a ja za tobą”. No to ja wszedłem do bramy, ona jeszcze raz przeszła ulicę, drugi, z powrotem, dopiero weszła do kamienicy na piętro. Gdy weszła do mieszkania, to się trzęsła ze strachu, taka była wystraszona. [...] No i później oswoiła się i mówi: „Jezu, jakby mnie zobaczyli, to już bym wyjeżdżała!” [2012.03.22/LG].

Strach przed donosem, zdemaskowaniem i karnym wydaleniem z Polski zmusza bohaterkę relacji do podejmowania serii dość upokarzających działań – widać tu antyhumanizm systemu komunistycznego. Zauważmy, że dopiero „oswojenie się” pozwala kobiecie zwerbalizować i zobiektywizować własny strach. „Cywilne ciuchy” to polskie ubranie – wskazuje to nie tylko na omawianą wcześniej odmienność odzieży, ale też pokazuje, że narrator nawet o codziennym ubiorze radzieckich wojskowych i wolnonajomnych myśli w kategoriach umundurowania. W ten sposób milita-

ryzm zdaje się cechować wszelkie sfery bytowania legnickich „Ruskich”, a tym samym kategoria „cywilności” dotyczy tylko polskiej Legnicy.

Była młoda dziewczyna, miała ze dwadzieścia lat, już miała dziecko. Dziewczynkę miała chyba dwuletnią. Wcześniej wyszła za mąż i jej mąż zginął w wypadku. No, no to z tą córeczką tak chodziła. Od Toruńskiej jest też taki dziki park, tam strach było chodzić, bo tam Ruskich dużo było, a ona tam chodziła z tą córeczką. Któregoś dnia podszedł do niej taki Ruski, jakiś tam... no twierdzi, że oficer, no może był oficer, może nie, ale mniejsza o to. No i zaczęli rozmawiać, rozmawiać, no i umówili się na następny raz, potem na następny raz, no i on zaczął ją odwiedzać w domu, a ona się bała, żeby sąsiedzi nie widzieli. Jak wszedł do niej, czapkę zdejmował, chował gdzieś tam, żeby nie było widać, czekał gdzieś na nią, albo to raz w piwnicy, to gdzieś znowu, żeby ktoś nie widział. I tak przez pewien czas razem, jakoś później to troszkę tak bardziej... Nie wiem, kiedy ona ten ślub w końcu wzięła, tak, że w końcu za niego wyszła za mąż. Ale mieli duże, duże trudności, ponieważ nie wolno było jemu się żenić z Polką. Za karę wysłali ich gdzieś aż na Ukrainę do tej huty... kopalni... Krzywy Róg... Już nie pamiętam, jak to się nazywało... Tak, że tam przepracowali parę lat i wrócili do Legnicy, to już tu nie było wtedy tego wojska, już wszystko się zmieniło [2012.03.13/LG].

A: Ale czekaj, moja znajoma wyszła za ruskiego wojskowego, to jego od razu do Rosji odesłali. Później ona się starała, dziecko miała, chciała tam jechać, mówię o Kryśce, puścili ją później.

B: Moja też zapoznała, miała troje dzieci i teraz z tym Ruskim też ma dziecko, żyje do tej pory, ale wtedy go zabrali. Dopiero później wrócił [2011.11.32/LG].

Ja mam na przykład kolegę, który [...] w Legnicy prowadzi... zakład samochodowy, wymiana olei, wymiana zawiesznień, podwozi samochodowych. On był oficerem, porucznikiem był, no i właśnie zaprzyjaźnił się z Polką, zaszła w ciążę, urodziło się dziecko. No jak to wyszło na jaw, no to go wywieźli, bo nie wolno było w takie związki wchodzić. Ale kobiecina była uparta i doszło do tego, że poprzez Czerwony Krzyż przywieźli go tutaj. Żyją do tej pory, są małżeństwem [2011.07.04/LG].

Ślub pary polsko-radzieckiej wymagał specjalnych, niechętnie wydawanych pozwoleń, a i te nie chroniły przed odesłaniem obojga małżonków lub tylko męża, gdy był on oficerem Armii Radzieckiej do Związku Radzieckiego, co nierzadko kończyło się dramatycznymi poszukiwaniami podejmowanymi przez żonę. Oprócz trudności natury prawnej, związanych z małżeństwem międzynarodowym, można tu doszukiwać się wpływu polityki komunistycznej dotyczącej rodziny, nakierowanej na osłabianie tego rodzaju więzi. Radziecki komunista – a szczególnie wojskowy – powinien być przede wszystkim lojalny wobec komunistycznej wspólnoty i państwa, a dopiero na dalszym planie wobec współmałżonków, dzieci czy rodziców. Silne więzi na poziomie jednostek postrzegane były jako potencjalne zagrożenie dla systemu, zwłaszcza gdy w grę wchodziły związki z obywatelem innego państwa, przy tym tak problematycznego i niesubordynowanego jak Polska.

W pierwszej historii znów mamy motyw upokarzającego ukrywania znajomości – tu chowania się radzieckiego kochanka w piwnicy – a także strach Polki przed niesławą.

Oni już wiedzieli, że będą wyjeżdżać, to ostatnie sześć, osiem, dziesięć miesięcy, to na gwałt się żenić chcieli. Parę dziewcząt tu zostało, do tej pory je spotykam. Ja miałem taką znajomą, która chciała się żenić, ale jeszcze wtedy byłem żonaty, to nie mogłem, nie? To prosiła mnie, przychodziła do domu, chociaż żeby zameldować na stałe, żeby nie wracać do Rosji. Ja powiedziałem to kumplowi. Mówię: „Daj tu jakiegoś faceta, bo mam fajną, ładną Rosjankę, ona chce tu zostać, pielęgniarka”. A on pracował w hucie, no i tam znał takiego kawalera, na osiedlu miał kawalerkę. No i powiedział mu: „Słuchaj, jest Rosjanka, chce zostać, ożenisz się, tego, i będziesz miał dziewczynę”. I on się zgodził, i ona do mnie przyszła, i umówiliśmy się. Przyszli my do parku i on przyszedł z tym kumplem, zapoznała się, tego, i jak mu się spodobała. [...] I słuchajcie, i jemu się spodobała. I ona też... Gdzieś tak trzydzieści pięć lat miał facet, a ona dwadzieścia parę i była zadowolona. [...] Później ja spotkałem tego kumpla, ja mówię: „Jak tak tego?”. On mówi, żeni się z nią, wziął cywilny ślub, zameldował ją. To ona miała jeszcze cztery czy pięć miesięcy, no i złożyła tam papiery, zgłosiła to wszystko, to ambasada, tego... I pozwolili jej zostać, i ona została. No i kiedyś ją widziałem z dzieckiem, z wózkiem, po dwóch latach, trzech. I idzie tu do parku, a ona... „Cześć – tego, ja mówię – to ty?”. I dopiero mówi, że dziecko, że dobrze, że zadowolona i cieszy się, że nie musiała tam wyjeżdżać [2012.03.22/LG].

Chęć pozostania w Polsce powodowała poszukiwania przez wielu obywateli i obywaterek ZSRR możliwości zawarcia małżeństwa z Polką lub Polakiem – zjawisko to było szczególnie nasilone i przybrało cech desperackich w okresie ostatecznego wychodzenia wojsk z Legnicy w początkach lat dziewięćdziesiątych. Wiele ślubów było z założenia fikcyjnych, ale zdarzały się też przypadki takie, jak powyższy, gdzie związek okazuje się korzystny i satysfakcjonujący na wielu płaszczyznach. Przy czym samo swatanie, choć wiążące się z przymusem politycznym, przybiera klasyczną formę zapoznawania ze sobą samotnych znajomych znajomych. Zawieranie fikcyjnych małżeństw przez pragnących pozostać w Polsce obywateli Związku Radzieckiego jest też przywołane w rozdziale szóstym, poświęconym okresowi wyjścia Armii Radzieckiej.

Coś naprawiałem pani pułkownik i tato też był pułkownik. I mamie coś tu naprawiałem, była z córcią. Przepiękne dziewczę i tak dalej. A mama jeden raz przyszła, drugi raz przyszła z tą córcią i jakoś zagadałem, no i się spotkałem. Zaraz zdjęcie pokażę jej. A pamiętam jeszcze, że ona jeszcze coś słabo, nie, że słabo widziała, coś miała, musiała mieć okulary. Ale oczki, czy jakoś tak się nazywają [po rosyjsku]. Nie miała денег. No, ale ja człowiek pracowity. „Pokaż no ten kwitek”. Jakie okulary i tak dalej. I tak żeśmy się zapoznali. Wziętem dziewczę do auta, pojechaliśmy do optyka, tam u optyka z godzinę, bo pani musiała przymierzyć z dwadzieścia par okularów. Wybrałem eleganckie okularki pozłacane i tak dalej. Oczywiście zafundowałem. One

wtedy były drogie, to z siedemset złotych, to gdzieś tak z jedna trzecia pensji. Ale to była dla mnie duma i tak dalej. No i od tego się zaczęło. Dziewczę było tak piękne... to miałem wielką przyjemność... [...] Myślę, że by mi pozwolili się z nią ożenić. Tato mi ją przywiózł na Sylwestra i tak dalej. Byłem dość bogatym człowiekiem, bo w wieku dwudziestu pięciu lat już sobie dom kupiłem. I Nataszka mi gotowała rosyjskie pierogi. Ona gotowała, a ja próbowałem i tak dalej. Właśnie żałuję, że to się tak... [...] Poza tym woziłem ją harleyem. Jeździliśmy na złoty. Jestem żeglarzem, miałem swój jacht, żeśmy pływali sobie i tak dalej... No i byłem chory na tle jej. Spełniałem wszystkie wymagania. Jeansy do peweksu – oczywiście, proszę, dla pani jeansy czy kozaki za kolana. To dla niej był szok. Ona mówi, jak pojedzie na uczelnię, to tam chłopcy będą zębami zgrzytać na jej widok i coś takiego. Czy tam jakaś spódniczka ze skóry. Tam to było nieosiągalne. Tak, że bardzo mile wspomynam i zaraz pokażę zdjęcie. [...] Gdyby jeszcze z rok tu była, rodzice byli, [...] to bym się ożenił. Może trochę był stres, ale miałem możliwości. Miałem pracę, pieniądze, dom, harleye, jachty, że tak psychicznie dobrze żyć tutaj [2012.11.04/LG].

To bardzo niecodzienna oprawa legnickiego romansu, prawdziwy *communist dream*: piękna, seksowna kobieta w jeansach z peweksu i kozakach za kolana przygotowująca pierogi, „dom, harleye, jachty” – znamiona luksusu nie tylko w komunistycznej rzeczywistości... Aż trudno w tę opowieść uwierzyć, ale kto wie?

Symbole statusu układają się tu w dwa plany – na jednym jest dom, odsyłający do dostatku, bezpieczeństwa i stabilizacji życiowej; na drugim jachty i harleye, kojarzone z wolnością i konsumpcyjnym „życiem na pokaz”. Zwłaszcza motocykle i motory, niekoniecznie i nie najczęściej kultowej marki Harley Davidson, raczej swojskie WSK-i, komary czy junaki, pojawiały się często w peerelowskich tekstach kultury. Motorowi WSK poświęcona jest znana piosenka *Jeden zero dla nas*, z kolei lambrettą jeździ po Warszawie Bazyli, bohater filmu *Niewinni czarodzieje* w reżyserii Andrzeja Wajdy (Polska 1960), jacht jako symbol sukcesu życiowego pojawia się w *Nożu w wodzie* Romana Polańskiego (Polska 1961), a młodzieżowy kult „motóra” przeciwstawiający się komunie, kościołowi i małomiasteczkowej rzeczywistości pokazany jest w retrospektywnym, nostalgicznym filmie *Motór* Wiesława Palucha (Polska 2005).



Młodzież zapraszała właśnie z tych dzielni, gdzie mieszkali w sąsiednich budynkach, bo czasem było tak, że brama była polska, brama rosyjska i później znów polska. Wymieszanie było i po prostu widywali się tam, poznawali się tak, że na takich młodzieżowych prywatkach na pewno bywali u siebie. [...] Może nie tyle Polacy u nich, co dziewczyny. O, dziewczyny mieli ładne [*śmiech*], to prędzej właśnie dziewczyny były zapraszane [2010.02.12/LG].

I znów, tym razem w kontekście prywatek młodzieżowych, mamy motyw, który żartobliwie można byłoby nazwać porywaniem Sabinek – przyciąganie do swojej grupy przedstawicielek Obcych.

Spróbowałem kiedyś to z ich szklanki, tak mnie momentalnie wysuszyło, pytam się, co to jest, a oni mówią, że spirytus lotniczy. Mówię: „Uuu...!”, a oni, żebym nic się nie bał, bo to jest czyściutki spirytus, oni to piją normalnie, bo to jest w samolotach, w tych rurkach, żeby samolot w zimie nie zamarzał, woda by zamarzała, a to nie zamarza, nie, czyli tak dla ogrzania samolotu. I po szklanie walnęli, poszli na zabawę, ja tam już nie mogłem wejść do nich, do klubu oficera. A zabawy mieli fajne, ciekawe, dziewczyny stawały w jednym, tak jakby pod ścianą tu, a mężczyźni po drugiej stronie pod ścianą i stali. Kiedy zaczęło się granie, no nie, jak dyskoteka, co tam wtedy leciało... I wychodziło się na środek, tańczyło się, ale nie można się było dotknąć, złapać, nie było tak, że złapał facet dziewczynę, a dziewczyna chłopaka i się ściskali, nie. Osobno! Osobno się tańczyło. A jak ktoś tam bardziej się przytulił, to zaraz przychodził, bo wojsko stało pod następną ścianą i obserwowało [2010.12.07/LG].

Po raz kolejny widzimy surowe normy obyczajowe, nie pozwalające młodzieży na zbyt bliskie kontakty. Ciekawy jest też obraz wojska odgrywającego rolę przyzwoitek.

Końcówka PRL-u była taka, dużo pieniędzy było drukowanych, nie było co z tym zrobić, bo nie było towaru, więc dużym powodzeniem cieszyły się tak zwane dancin-gi, knajpy. Ludzie szli tam, nie pili w domu, jak teraz. W legnickich knajpach też były dyskoteki, dancin-gi, zespoły grały. Bywało tak, że trzydzieści procent, czterdzie-ści procent sali zajmowali... w takiej słynnej knajpie Zodiak na przykład... zajmowało towarzystwo radzieckie – cywilni pracownicy, oficerowie i tak dalej. Ja też czasem tam bywałem – 1986, 1987 rok – od czasu do czasu, powiedzmy raz w miesiącu, dwa razy w miesiącu, z kolegami, z mieszanym towarzystwem. Był taki przebój *O, Ela, straciłaś przyjaciela* – kto to grał? Chłopcy z Placu Broni? *O, Ela, straciłaś przyjaciela*. To taka powolna piosenka. Dotknęło mnie to strasznie. Ona trwa jakieś pięć minut, a z tymi improwizacjami to nawet siedem. Zagrali *Ele*, fajna dziewczyna, Rosjanka, siedziała naprzeciwko, ja ją zaprosiłem, odtanńczyliśmy wszystko, a jakiś Ruski zapłacił. Orkiestra mówi: „Jeszcze cztery razy *O, Ela* od Saszy dla Tatiany”. Czy tam Tamary. Te cztery czy trzy razy musiałem jeszcze przetańczyć. Pół godziny tańczenia *O, Ela*. Tak mi to weszło w nogi, że do dzisiaj pamiętam. W pewnym momencie próbowałem już tam namówić tą partnerkę, że zapraszam do baru, albo... A ona: „Niet, krasiwyye takie” – piękne takie [2010.02.21/LG].

Lata osiemdziesiąte, jak często wspominają rozmówcy, to czasy intensywniejszej niż przedtem i potem kultury kawiarnianej, w której uczestniczyli i polscy, i radzieccy mieszkańcy Legnicy. Choć istniały nadal bariery – większość osób podkreśla, że zazwyczaj towarzystwa nie mieszały się przy stolikach – to jednak były na tyle osłabione, że dopuszczały internacjonalizm na parkiecie. Tu rozmówca realizuje stereotyp szarmanckiego Polaka. Radziecka partnerka, oprócz przyjemności z tańca, mogła odczuwać sytuację jako prestiżową, nobilitującą, stąd niechęć przerwania jej. Odmowa pójścia do baru być może wiązała się też z obawą przed zbyt bliskim zbliżeniem,

przekroczeniem publicznie niepisanych granic. Generalnie dyskoteki, organizowane najczęściej w Domu Oficera, choć także w polskich lokalach, były wydarzeniem, podczas którego napięte relacje pomiędzy Polakami a „Ruskimi” ulegały chwilowemu rozluźnieniu – można sobie było pozwolić na więcej, otwarcie flirtować i spędzać razem czas bez obaw, że którąkolwiek ze stron spotkają za to sankcje.



Opowiem pani fajny numer ze sklepu. Opowiem pani, jak Rosjanka kupowała suknię. Rosjanka wpada o godzinie dziesiątej, leci po wieszakach, leci, leci, leci, a na takiej fajnej, takiej miałem taką fajną historię... zawieszoną do góry, tak piramidalnie, rzeczy szły, żeby można było je łatwo oglądać i ona wypatrzyła suknię, mówi: „Proszę mi dać tą suknię”. „Jaki rozmiar?”. „Ten i ten”. „Dobrze”. „Nie mam czasu mierzyć, daję panu tutaj tyle i tyle pieniędzy”, zresztą pamiętam, to było nawet przed reformą Balcerowicza, tak że, wie pani, pieniądze szły, szły, szły, prawda? [*śmiech*] Więc ja oczywiście te pieniądze do tego, do kasy, zapakowałem suknię, ale jest godzina gdzieś przed dwunastą – ona wpada z powrotem, mówi: „Nie – mówi – przymierzyłam, niedobra suknia, niezbyt się dobrze...”. Więc pieniądze z kasy, suknię na... Oni mieli przerwę obiadową. Przed przerwą obiadową ona wpada: „Czy jest ta suknia?”. Ja mówię: „Jest”. „To ja bym... jeszcze bym przymierzyła ją przy mężu, może ewentualnie byłaby dobra”. Więc oczywiście znowu te pieniądze do kasy, prawda, zawiązałem jej w reklamóweczkę ładnie tą suknię, prawda, i poszła do domu. Ale skończyła się przerwa obiadowa, przyszła z powrotem: „Nie – mówi – mężowi też się nie podoba. Mi się też nie podoba, to...”. No to dobrze, no to ja pieniądze z kasy, prawda, i sukieneczkę na wieszak. Za trzy szóstą, już drzwi prawie że zamykam [*śmiech*], wpada Rosjanka z rozwianym włosom: „Czy jest ta suknia?”. Ja mówię: „Jest”. „Biorę ją!”. No i tak właśnie akurat po tych [*śmiech*] trzech kolejkach wydał, przydał itd., kupiła tą suknię [2011.11.06/LG].

Mnie na przykład strasznie wkurzało, to, że oni mieli tyle kasy i..., że Rosjanka potrafiła podejść do mnie na ulicy i pytać się, gdzie tu można kupić futro. Ja się tak patrzę, Boże Panie, futro? [*śmiech*] Ja przerażona, cieszę się, że mnie stać na płaszcz, a ona futro chce sobie kupić, nie? [2010.05.20/LG]

„Ruskie” jako klientki bywały uciążliwe, o czym świadczą fragmenty przywołane w rozdziale wcześniejszym. Przytoczone tu dwie historie sklepowe wiążą się z radzieckim głodem elegancji i ukazują bohaterki jako realizatorki jednego ze stereotypów kobiecości – osoby kapryśnej, rozrzutnej (a zarazem mającej po temu środki materialne) i nieco aroganckiej. Ugruntowuje to podzielany przez część legniczan obraz radzieckich kobiet jako istot obdarzonych bujną (wręcz wyzywającą, krzykliwą i nadmiarową) kobiecością, odślaniając kulturowe i społeczne (przebiegające również wzdłuż podziałów etnicznych i narodowych) uwarunkowanie wzorów kobiecości – i, niejako w rewersie, wzorów męskości ujawniających się w postawach rozmówców.



Ja byłam za młoda, ale moja mama z Nadiną – tak mama na nią mówiła... To ta przychodziła do nas do domu, ale był taki dla nich to czas niedobry, oni nie mogli się oficjalnie z Polakami przyjaźnić, więc to tak pod osłoną wieczoru przychodziła, żeby nie widzieli, ona tam musiała kłamać, bo to było niewskazane. Jakby to całe centrum tutaj pilnowało, prawda, żeby nie było zbyt tych zażytych... [2011.04.21/LG]

Ona w promkombinacie pracowała, jako krawcowa. Tak. To było w Rynku, tam u nas, to tam teraz już co innego stoi, tego tam nie ma. No, nawet szyła mi płaszcz, szyła mi kostium, fajna była Tonia, ładna była dziewczyna. I pamiętam, jak nieraz sobie tak troszkę popiliśmy, to ona mu ciągle śpiewała: „Wot kto-to z gorki spuściłsa, nawierno miły mój idzjot, na nim zaszcitna gimnastjorka, ana s uma mienia swiediot” [Ktoś zszedł z górki, na pewno idzie mój miły, ma na sobie koszulkę gimnastyczną, wariuję na jej widok]. A potem znów jak się tak, on założył: „Nu, Tonia!”, no to ona później zaczęła tak: „Zacziom, zacziom ja tiebia powstrieczała na swojej żiżni, na puti” [Czemu, czemu spotkałam cię w swoim życiu, na swej drodze]. I on znów: „Nu, Tonia!”. To było bardzo fajne [2011.10.06/LG].

A w ogóle opowiem wam o tej rodzinie, bo ją najbardziej zapamiętałem. Oni mieszkali przez pięć lat, nam dużo pomagali. Znaczący nie oni, od razu. Ona, tak? Ta kobieta. Ona była Litwinką. Dla nas wtedy wszyscy to byli Ruscy, a rzeczywistość jest inna troszeczkę. Oni się... Tak oni się mieszkali i wiem, że ona była Litwinką. Fajna taka. [...] Ona zawsze wołała, mówiła: „E, Marcin, zawołaj... – mówi – Mama jest?” „Jest”. „Zawołaj”. I ona się pytała matki, co kupić tam tego, tylko, mówi, [mąż] opieprzy ją, jak się dowie, że ona nam pomaga. Ona brała mamy pieniądze, szła do sklepu, kupowała nam zakupy. Sobie i przy okazji nam. [...] Zdaje się, że pracowała. Wiem, że była taka troszeczkę zahukana kobieta i... On, tak jak mówię, on był takim oficerem, typowym takim oficerem, nam się nie kłaniał. Ja go nawet nie pamiętam obrazowo tak twarzy. Ona taka fajna, kawał takiej baby ruskiej. Ruskiej. [...] Ładnie zawsze uczesana, ale fajna kobieta taka. I ona tak zawsze potajemnie nam troszeczkę te zakupy robiła [2012.11.09/LG].

W wielu rozmowach powtarza się obserwacja, że choć zazwyczaj kontakty polsko-radzieckie zaczynały się od relacji służbowych, angażujących przede wszystkim mężczyzn, to z czasem, wraz z przechodzeniem na stopę towarzyską, zażyłość zaczynała łączyć przede wszystkim kobiety. Z kolei w relacjach sąsiedzkich w ogóle inicjatorkami były raczej kobiety, a platformę porozumienia stanowiło wychowywanie dzieci i prowadzenie domu. W rozdziale drugim zostały opisane wzajemne kontakty handlowe kobiet, jak również wymiana usług, np. szycie sukien. W zależności od okresu zmieniała się szczelność bariery budowanej przez system pomiędzy obiema stronami – czasem kontakty należało skrzętnie ukrywać, a czasem można było sobie pozwolić na zażyłość,

wspólne żarty i zabawy – różnie też wyglądało to w poszczególnych środowiskach, niemniej często relacje między kobietami były szczególnie serdeczne i bliskie.

Określenie „ruska baba”, użyte przez ostatniego z rozmówców ewidentnie w pozytywnym znaczeniu, odsyła do stereotypu serdecznej prostej kobiety o dobrym sercu, a także odwołuje się do wyobrażenia o „szlachetnym dzikim”, a więc kimś prezentującym co prawda niższą kulturę, ale pozytywnie odbieranym, oswajającym właśnie poprzez swego rodzaju poczciwość.

Nierzadko, jak w ostatnim przykładzie, kobieca solidarność ponad podziałami polityczno-społecznymi przeciwstawiała się męskiemu dystansowi. Widać tu też ukryty kobiecy bunt przeciw męskiej dominacji patriarchalnego radzieckiego świata. W ten sposób żywioł kobiecy pokonuje dzielący polskich i radzieckich legniczan system.

Fajne były nieraz dziewczyny, wiecie, tego. Ale one chyba miały z góry gdzieś prikaz, żeby się z Polakami za bardzo nie zadawać. Choć znam takie sytuacje, że chodzili ze sobą. Były pary normalnie, ruska dziewczyna... Ale były pary w sensie takim, że chodzili ze sobą chłopak z dziewczyną. No bo trudno, żeby komuś wytłumaczyć, że ty jesteś Ruski, a ty Polak, to nie możecie ze sobą [2012.11.09/LG].



fol. Wincenty Kołodziejski

Ja to tylko, wie pani, że najwięcej to, że tak powiem, kontaktów z nimi, to tak za łepka, bo tam się gdzieś w jakąś piłkę z nimi razem grało, czy coś takiego... [2012.03.20/LG]

ROZDZIAŁ 4

Myśmy te gwiazdki różne zbierali do wariacji

Wspomnienia o radzieckiej historii Legnicy bardzo często dotyczą czasów dzieciństwa rozmówców. Dla dzieci urodzonych i wychowanych w mieście obecność żołnierzy Armii Radzieckiej stanowiła nieodłączny element codzienności, dziwny świat, w który „wrastało się”, naturalizując specyficzne uwarunkowania polityczne, które sprawiały, że zadziwienie często mieszało się z rozumieniem, podlegając procesowi racjonalizacji. Mała Moskwa widziana z perspektywy dziecka różniła się od miasta postrzeganego przez dorosłych legniczan. Niniejszy rozdział prezentuje różnorodność wspomnień o dorastaniu w cieniu Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej – to opowieści o wspólnych zabawach z „ruskimi” dziećmi na podwórku, bijatykach i awanturach, interakcjach z żołnierzami, zagrożeniach i korzyściach płynących z życia w mieście garnizonowym, a także wyprawach na teren Kwadratu, symbolicznego serca Małej Moskwy.

★ ★ ★

Mówiło się o nich kacapy, prawda, itd. To było takie... Aczkolwiek no, wie pani, młody człowiek puszcza to uszami, prawda, i idzie się bawić na podwórko [2011.11.06/LG].

★ ★ ★

Z dziećmi żeśmy się bawili, ale tylko w szkole podstawowej. Potem ja już nie byłem w Legnicy... Żeśmy się normalnie bawili... ci, co mieszkali w otwartych rejonach miasta, to można się było z nimi bawić, chociaż normalnie nam zabraniano, no, bo czorty, nie pamiętam dokładnie, ale ci, co mieszkali, no, w zamkniętych obszarach, no to tam już wchodzić nie można było. Chociaż chodziliśmy do ruskiego sklepu [2012.11.11/LG].

Bo żeśmy się kumpłowali z synami oficerów, którzy tam mieszkali. Tu chodzili do szkoły, przecież szkoła, szkoła była na Jaworzyńskiej, na ulicy... naszej, gdzie nie było to ani okoszarowane, ani nic. Teraz jest nasza szkoła tam. Oni wtedy tam chodzili do szkoły, każdy tam miał swoich jakichś kumpli, przyjaciół. Oni rozmawiali, ci młodzi to rozmawiali po polsku tak, jak niektórzy [2011.07.04/LG].

Wspólna zabawa na podwórku była możliwa w tych dzielnicach Legnicy, w których Polacy i „Ruscy” byli sąsiadami w jednej kamienicy. Kontakty pomiędzy dziećmi, mimo że czasem obwarowane zakazami – na co wskazuje pierwszy rozmówca – były w zasadzie niemożliwe do powstrzymania.

Dzieci radzieckich obywateli, zarówno służby cywilnej, jak i oficerów, stanowiły nieodłączny element najbliższego otoczenia dorastających legniczan; jedni i drudzy chodzili tymi samymi ulicami, uczyli się w pobliskich szkołach („Ruscy” przeznaczonych wyłącznie dla dzieci i młodzieży radzieckiej), korzystali z tych samych podwórek i, co ciekawe, zdarzało się, że rozmawiali ze sobą po polsku. Reakcje rodziców były, jak się zdaje, różnorakie: od zakazów (niezbyt jednak surowo egzekwowanych) do pełnego przyzwolenia; najczęstsza była najprawdopodobniej obojętność.

Wie pani co, tu wszyscy po rusku mówili. Przecież tutaj... Po pierwsze, żeśmy chodzili, to była siódma, ósma klasa podstawówki, czyli już ile lat miałem – ten rosyjski mnie tam gdzieś w szkole uczyli. Po drugie się miało ciągle z tymi ludźmi styczność. No, więc się człowiek mimochodem nauczył, nie? Przecież z tymi łepkami żeśmy tam chodzili gdzieś, czasami... no, wie pani, różnie było, czasami myśmy ich lali, czasami oni nas [*śmiech*]. To zależy których było więcej, nie? No, ale... Znaczy, generalnie oni mieli jednak tak bardziej, się trzymali tak... Nie bardzo im wolno było się integrować, o tak bym powiedział, nie? [2012.03.20/LG]

Rozmówca zwraca uwagę na wyraźny izolacjonizm dzieci rosyjskich, narzucony im odgórnie. Młodzi „Ruscy” generalnie trzymali się razem, co nie przeszkadzało im wchodzić w mniej lub bardziej zażyłe kontakty z polską młodzieżą. Stwierdzenie, że „czasem myśmy ich lali, czasem oni nas” wskazuje na pewną naturalność układów koleżeńskich oraz wymiennosc ról – żadna ze stron nie wydaje się być bardziej uprzywilejowaną, przeciwnie, zgodnie z demokratycznymi zasadami organizującymi życie na podwórku każdy może dostać po zębach, niezależnie od narodowości. Bijatyki z „Ruskimi” stają się nieodłącznym elementem codzienności, podobnie jak wszelkiego rodzaju spięcia pomiędzy rówieśnikami polskimi; kontekst etniczny czy narodowy nie zdaje się, według słów rozmówcy, determinować zachowań młodych „łepków”.

Na marginesie opowieści o międzypaństwowych „wojnach podjazdowych” pojawia się sugestia, że istniała jednak pewna niesymetryczność stosunków – to polska strona obsadzona jest w roli aktywnej, otwartej na kontakty, mogącej wyjść z propozycją wspólnego działania, strona radziecka natomiast pozostawała ograniczona przez uwarunkowania systemowe. „Ruska” młodzież trzymała się ze sobą, a jakiegokolwiek szanse na integrację z Polakami – wykraczające poza kontekst bójek – zależały w znacznej mierze od inicjatywy polskich legniczan.

Język rosyjski w szkołach był obowiązkowo. I oni nam pomagali się uczyć języka rosyjskiego. Pomagali, w relacjach bezpośrednich, w rozmowach. Miałem kolegę, co razem szkołę średnią później robili, to mieliśmy tzw. razgawori... nie wiecie, co to znaczy – rozmówki. To myśmy z kolegą na tyle znali rosyjski, że wychodziliśmy bez konspektów, bez żadnych tam przygotowań i mówiliśmy po rosyjsku. Oceny tu mieliśmy bardzo dobre. Inni tam stronili troszeczkę od Rosjan, jakieś uprzedzenia mieli względem Rosjan, takie oddziaływania psychologiczne. Moja matka pod tym względem dawała mi wolną rękę [2010.02.04/LG].

Poprzez bliską zażyłość w dzieciństwie – i w połączeniu z obowiązkiem nauki języka rosyjskiego w szkole – wiele legnickich dzieci charakteryzowało się specyficznym quasi-bilingwizmem. Przebywanie na jednym podwórku i uczestniczenie we wspólnych grach i zabawach sprawiało,

że zarówno Polacy, jak i Rosjanie uczyli się od siebie wzajemnie; każdy znał przynajmniej podstawowe słownictwo umożliwiające porozumienie. Co ciekawe, podczas rozmów wielu legniczian automatycznie przestawia się na język rosyjski lub wtrąca rosyjskie zwroty (*code switching*), szczególnie kiedy mowa o wspomnieniach z dzieciństwa.

Wiem tylko jedną rzecz, że matki Rosjanki czy ojcowie nie chcieli, żeby oni bywali u nas w domu. Tam, wie pani, się wpadło na minutę czy na dwa itd., ale to było... oni już mieli to we krwi, że dosłownie tylko omietli wzrokiem, wie pani, dajmy na to, mieszkanie, czy ewentualnie przysiedli na trochę i natychmiast już chcieli wychodzić, bo wiedzieli, że nie wolno, nielzja. Jak nielzja, no to nielzja, prawda. Myśmy byli raczej rzadko zapraszani do nich do domu, ja nie pamiętam tego, żebym bywał jako dziecko gdzieś tam u Rosjan, u Rosjan w domu, nie, nie, to nie. To nie [2011.11.06/LG].

W powyższej wypowiedzi zwraca uwagę szczególne napięcie pomiędzy antropologicznie rozumianą przestrzenią publiczną a prywatną, Goffmanowską sceną a kulisami¹. O ile na podwórku dzieci mogły przebywać ze sobą bez kontroli czy ograniczeń narzucanych przez dorosłych – przede wszystkim dlatego, że tworzyły wspólnotę homogeniczną, składającą się wyłącznie z dzieci – o tyle wizyty w domu, w przestrzeni prywatnej, nierzadko okazywały się punktem granicznym koegzystencji. Jak wskazuje rozmówca, jego radzieccy koledzy wiedzieli, że nie wolno im odwiedzać polskich domów – być może dlatego, że był to teren dorosłych, których obecność w znaczącym stopniu zmieniała układ sił istniejący w wielonarodowej grupie młodzieży. Polityka pojawiała się dopiero poza podwórkiem, hamując większość interakcji międzypokoleniowych.

To znaczy w Domu Oficera się właściwie... Chociaż tam były o, na przykład były fajfy dla młodzieży, gdzie się bawiła młodzież polska i rosyjska, dawniej radziecka. Bardzo często, i to były ogólnie dostępne dla młodzieży z miasta. Normalnie mogli wchodzić bez żadnych problemów. Bo już nie mówię o współpracy szkół. Bo szkoły dużo współpracowały [2012.11.06/LG].

Było Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, ale tak naprawdę, bo ja do takiego towarzystwa należałam, tych spotkań z młodzieżą radziecką nie było. Te towarzystwa właściwie miały za zadanie pogłębianie języka rosyjskiego i nic poza tym. I nic poza tym, natomiast ja należałam do poczty sztandarowego w Legnicy, w ogólniaku przez trzy lata i wszystkie takie główne uroczystości, które były organizowane w Legnicy, to były polskie i rosyjskie, wtedy ze sztandarem, no trzeba było stać na tych wszystkich capstrzykach na placu Słowiańskim, gdzie odbywały się defilady radzieckie z okazji tej rewolucji październikowej, z okazji zakończenia wojny światowej. Tu już uczestniczyło wojsko polskie i radzieckie i jako takich kontaktów z młodzieżą nie było. Nie było, one były jednak mimo wszystko, gdzieś jak ktoś się spotykał, na pewno się spotykali, spotykała ta młodzież [2010.03.03/LG].

¹ E. Goffman, *Człowiek w teatrze życia codziennego*, przeł. H. Śpiewak, P. Śpiewak, Warszawa 2000, s. 135-168.

Dla mnie jako dziecka podzielone miasto było trochę magiczne, nie wiadomo, co było po drugiej stronie. Pamiętam, byłam w szóstej klasie, obchodzono jeszcze wtedy pochody majowe, moja szkoła podstawowa była wytypowana do organizacji obchodów i wyścigu pokoju. Razem z dziećmi rosyjskimi miałyśmy tańczyć na obchodach. Na stadionie miejskim około trzystu dziewczynek polskich i tyle samo rosyjskich. Zwalniane byłyśmy z zajęć, więc się nam to podobało. Miałyśmy wszystkie takie same stroje: białe spódniczki i bluzeczki, a oni mieli swoje charakterystyczne czapeczki. Wiadomo, dzieci nie zastanawiały się, że jesteśmy różni [2011.11.27/LG].

Oficjalne kontakty młodzieży w wymiarze systemowym miały się ograniczać wyłącznie do oficjalnych uroczystości państwowych. Podczas wszelkich defilad czy manifestacji młodzież podzielona była na grupy narodowościowe, chociaż, jak zwraca uwagę jedna rozmówczyni, „na pewno się spotykali, spotykała ta młodzież”. Z tej perspektywy oficjalnie aprobowane kontakty można więc uznać za stosunkowo niepowodzenie; większość dzieci i tak wchodziła ze sobą w interakcje prywatnie, bez pośrednictwa Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Jak podsumowuje ostatnia rozmówczyni, „dzieci nie zastanawiały się, że jesteśmy różni”. Dziecięcy idealizm bądź naiwność nie były jeszcze zdeterminowane ani polityką, ani socjalizacją rodzinną – to pojawiało się później, w zależności od osobistych przeżyć, historii rodzinnej i indywidualnych przekonań rodziców, którzy mogli wywierać wpływ na stosunek ich dzieci do przebywających w mieście „Ruskich”. W ostatniej wypowiedzi widać też, że ekscytacja wspólnym występem i zwolnieniem z obowiązków szkolnych stanowi główną emocję wspomnianą przez rozmówczynię – brak tu zupełnie kontekstu politycznego, czy to sugerowanego przez propagandę poczucia braterskiej przyjaźni, czy nieprzyjemności z powodu „kolaboracji z okupantem”. Propagandowe budowanie wspólnoty wizualizowane przez identyczne stroje odnosi skutek nieco inny od zaplanowanego – niwelując różnicę, likwiduje równocześnie miejsce na bratnią przyjaźń narodów, pozostawiając po prostu grupę identycznych, nienacechowanych etnicznie i państwowo dzieci. W pewnym sensie podważało to więziotwórczy (na planie politycznym) charakter rytuałów sankcjonujących władzę – dzieci pozostawały na marginesie tworzonej w ten sposób rzeczywistości politycznej, komunikowanej przez symbole, obrazy, całą sferę ideologiczną rytualnego dramatu².

Bardzo lubiłem się z Iriną chować w piwnicy. Dalej pani już nie powiem. Natomiast następną zabawą to było przede wszystkim tak: wyścig pokoju. Wyścig pokoju był bardzo w tym wypadku akurat tą... fajną zabawą, bo się rysowało trasę, każdy miał jakiś swój guzik, swojego koloru i ten guzik się nazywał nazwiskiem kolarza. Więc myśmy oczywiście byli, prawda, albo tam Fornalczyk, albo Króolak, albo Chwiendacz, albo itd., a oni mieli też swoich, prawda? No i to już były zacięte historie [*śmiech*]. Bo tak jak, prawda, nasi kolarze się nie lubili, prawda, z rosyjskimi kolarzami, tak i my robiliśmy wszystko, żeby jednak dołoić w te guziki, prawda, w ten wyścig pokoju, Rosjanom. Ale to było naprawdę, wie pani, nic... niezaprawione żadną nienawiścią czy agresją [2011.11.06/LG].

² Por. D. I. Kertzer, *Rytuał, polityka, władza*, przeł. Z. Simbierowicz, Warszawa 2010.

Rzeczywistość przekładana na zabawę – struktura „wyścigu pokoju”, dziecięcej gry wedle klasyfikacji zaproponowanej przez Rogera Caillois przynależącej do kategorii *agon*³, a więc opartej na idei współzawodnictwa i wykorzystaniu umiejętności graczy, odzwierciedla ówczesny układ polityczny. Każda ze stron identyfikuje się ze sportowcami swojego narodu, co więcej, rozmówca zwraca uwagę, że w polskim środowisku profesjonalnych kolarzy trudno było mówić o sympatii wobec sportowców radzieckich. Opisany przez niego „wyścig pokoju” nie wydaje się jednak przesadnie nasycony agresją, być może podlegając raczej odczytaniu rytualnemu jako swoiste odtworzenie i powtórzenie wydarzeń mających miejsce w rzeczywistości.

I tu na tym podwórku w środku, bo to było nasze tutaj, tam dalej poczta i tam takie wąskie podwórko było. I tam mieliśmy właśnie kumpla, myśmy się przyjaźnili, jak takie berbecie byliśmy małe. Nie pamiętam, ile miałem, mieliśmy po osiem lat, czy dwanaście, już nie pamiętam, ale myślę, że nawet troszkę mniej, dwanaście chyba nie, może dziesięć. Myśmy go przezywali Puszkina, jak ten ruski poeta, tak? [...] Taką ksywkę. Jak miał na imię, nie pamiętam do dzisiaj, powiem wam szczerze, dlatego że tam zawsze Puszkina, Puszkina, prawda? I gdzieś tam jak myśmy byli na swoim podwórku, to myśmy krzyczeli przez te dwa płoty i on się tam odzywał [...]. No jak to dzieci, nas polityka nie interesowała jakoś tam [2012.11.09/LG].

Integrujące się na podwórku dzieci, wbrew twierdzeniom niektórych rozmówców, często miały świadomość odrębności radzieckich kolegów i koleżanek. Jak wskazuje powyższy przykład, młodego chłopca przezywano „Puszkinem”, identyfikując go jako „Ruskiego” poprzez odniesienie do rosyjskiej kultury. Warto zauważyć, że takie odniesienie jest charakterystyczne dla kultury popularnej, także zachodniej, gdzie w filmach sensacyjnych z okresu zimnej wojny wojskowi i dygnitarze radzieccy nosili często nazwiska znanych postaci rosyjskiej kultury, sztuki i nauki. W kilku filmach z serii o superszpiegu Jamesie Bondzie⁴ występował radziecki generał Anatol Gogol, w jednym wspomniany był generał Puszkina⁵, a w *Polowaniu na Czerwony Październik* pojawił się radziecki ambasador Andriej Łysenko⁶.



Pamiętam, że wymyślaliśmy wspólne zabawy. Mało tego, jak się szło, dajmy na to, do domu po kromkę chleba z cukrem, to wtedy był najlepszy przysmak, kromkę chleba

³ R. Caillois, *Gry i ludzie*, przeł. A. Tatarkiewicz, M. Żurowska, Warszawa 1997.

⁴ *Szpieg, który mnie kochał* (*The Spy Who Loved Me*, reż. Lewis Gilbert, USA 1977), *Moonraker* (reż. Lewis Gilbert, USA 1979), *Tylko dla twoich oczu* (*For Your Eyes Only*, reż. John Glen, USA 1981), *Ośmiorniczka* (*Octopussy*, reż. John Glen, USA 1983), *Zabójczy widok* (*A View to a Kill*, reż. John Glen, USA 1985), *W obliczu śmierci* (*The Living Daylights*, reż. John Glen, USA 1987), *Licencja na zabijanie* (*Licence to Kill*, reż. John Glen, USA 1989), *GoldenEye* (reż. Martin Campbell, USA 1995), *Świat to za mało* (*The World Is Not Enough*, reż. Michael Apted, USA 1999).

⁵ *W obliczu śmierci*.

⁶ *Polowanie na Czerwony Październik* (*The Hunt for Red October*, reż. John McTiernan, USA 1990). Trofim Łysenko był radzieckim (stalinowskim) agronomem i agrobiologiem, twórcą pseudonaukowej teorii zwanej łysenkizmem.

się lekko moczyło w wodzie, prawda, tą jedną stroną i posypywało się cukrem, i to było kapitalna historia. Jak się wychodziło, to zaraz inne dzieciaki: „Daj kromkę” czy tam: „Daj gryza”, czy coś tam. Więc wiadomo, że często, że czasami się brało te dwie czy trzy kromki i się częstowało. One też częstowały nas. Szczególnie pamiętam te rosyjskie fantastyczne, bardzo pachnące landrynki. One były w takich metalowych pudełkach. I Rosjanie bardzo często, ci mali Rosjanie czy Rosjanki, prawda, wynosili to z domu i nas częstowali. Więc ja nie pamiętam nigdy, akurat niech pani wie, że ja przecież całą szkołę podstawową, prawda, spędziłem na tym podwórku razem z tymi Rosjanami, z Rosjankami. Nie pamiętam nigdy żadnego konfliktu, żebyśmy się pobili. Między sobą się laliśmy, prawda, jako Polacy. Ale nigdy nie pamiętam, żebyśmy się pobili z Rosjaninem czy Rosjanką, nie. Tego nie było [2011.11.06/LG].

Wspomnienia o dzieciństwie spędzonym w Legnicy i roli, jaką pełnili radzieccy koledzy i koleżanki, różnią się znacznie w zależności od rozmówcy. Niektórzy idealizują przeszłość za pomocą szeregu mniej lub bardziej uświadomionych zabiegów retorycznych, starając się dowieść niewinności dziecięcych zachowań; historia o dokonywanych na podwórku wymianach łakoci – tu: moczony chleb z cukrem za landrynki – ukazuje z jednej strony siłę wspomnień sensualnych, a z drugiej podtrzymuje wyobrażenie o pokojowej, niepolitycznej atmosferze panującej na legnickich podwórkach. Dzielenie się chlebem można naturalnie odczytać w kluczu symbolicznym, jako wyrastające z kultury tradycyjnej obrzędowe łamanie się chlebem. Stwierdzenie rozmówcy, że nie przypomina sobie żadnych konfliktów z radzieckimi dziećmi, stoi w sprzeczności z opowieściami powtarzаныmi przez innych legniczan, po raz kolejny dowodząc tego, jak kłopotliwe staje się operowanie ogólnymi sądami i generalizacjami w przypadku narracji o przeszłości.

To zacznijmy od tego, że ta zabawa z tymi Ruskimi to było właśnie, jak byliśmy tacy mniejsi. Potem jak już tam... nie wiem, powiedzmy lat dwanaście, piętnaście czy tam nawet do osiemnastki, już relacje były całkiem inne. Zналиśmy się, widywaliśmy się. Poza tym zacznijmy od tego, że te rodziny ruskie najczęściej [były tu] pięć lat, potem wracali z powrotem. Te przyjaźnie trwały dosyć krótko. Zanim się zawiązały i tak dalej. I... No i jak tak mieliśmy... blisko siebie mieszkaliśmy, to było okej, w porządku. Zналиśmy się, mówiliśmy sobie cześć. Ale tak na porządku dziennym raczej żeśmy się nie, nie było tak, że przyszło pięciu Ruskich [...] i myśmy się bawili. No, żeśmy się tam spotkali razem, nie, takiej opcji nie było. Wiecie, jak to młodzież. Spotkają się gdzieś tam parę razy na dyskotekach. To papieros, to wino, czy tam. Tego z Ruskimi nie było. No dlaczego? Nie wiem, dlatego że myśmy z nimi zawsze wojnę prowadzili jakąś taką. No w cudzysłowie wojnę, nie? Ale gdzieś ktoś kogoś zaczepił z drugiego podwórka, dostał po łbie, no to zabrał pięciu chłopaków Polaków, poszli skopali tamtemu, nie? Potem był zemsta odwrotnie i to tak wyglądało praktycznie zawsze, nie? Były takie nawet większe bójki. Powiem szczerze, spotykały się takie grupy Polaków z Ruskimi, po dwadzieścia, po trzydzieści osób i [...] ustawki, tak, tak. Oczywiście, słył kamienie, wszystko, prawda? Gonitwa, policja zaraz. Oni łapali swoich... [2012.11.09/LG]

Interakcje z „Ruskimi” ulegały przekształceniom. Jak tłumaczy rozmówca, zmiana stosunków następowała wraz z dorastaniem, im starsi byli koledzy, tym częstsze były sytuacje konfliktowe. Można pokusić się o stwierdzenie, że w porównaniu z dziećmi nastoletnia młodzież o wiele silniej odczuwała specyfikę Legnicy jako miasta podzielonego między dwoma narodami. Z „Ruskimi” się nie spotykało, co najwyżej trafiało się na nich – zamiast sytuacji spotkania, świadomego wyboru towarzystwa do zabawy, w późniejszych latach wszelkie interakcje z radzieckimi rówieśnikami wydają się raczej kwestią przypadku, natknięcia się na siebie na dyskotecę, na ulicy, w drodze do szkoły – wyjątek stanowią tu relacje międzypłciowe, chodzenie ze sobą przedstawicieli obu nacji, opisane w rozdziale wcześniejszym. Drugim wątkiem pojawiającym się w przytoczonym fragmencie rozmowy są „ustawki”, z opisu kojarzące się z analogicznymi układami funkcjonującymi w środowiskach „kiboli”, pomiędzy grupami Polaków i „Ruskich”. Odbywające się „bitwy” stanowiły, wedle rozmówcy, nieodłączny element szerzej zakrojonego konfliktu, współodczuwanej „wojny” o niejasnych powodach ani celach, rozgrywanej w uporządkowanym schemacie wzajemnych podjazdów, rejterad i kontrataków. Co ciekawe, utarczki musiały być rozgrywane otwarcie i na tyle brutalnie („szły kamienie”), że wymuszały reakcję milicji, znów odsłaniając specyficznie legnicką dwudzielność jurysdykcji – każda ze służb łapała młodych „bojówkarzy” swego państwa.

To tam był duży chyba sklep. Bo pamiętam, że w tamtym miejscu stanęliśmy w kolejce. Oni mieli dużo rzeczy w tym sklepie, takich nie do kupienia u nas. I pamiętam, że staliśmy w kolejce, i podeszli do nas te białe pasy, ta ich żandarmeria i... I mnie dorwali. I zapamiętałem to dosyć strasznie. To znaczy pamiętam, że wtedy pojawiło się coś takiego, jak nienawiść, nie? [...] Bo ja pamiętam, że jak on mnie złapał, bardzo długo mnie tak trzymał pod pachę ściśniętego i... Pamiętam, że najpierw pokazał mi taki otwarty kanał [*śmiech*], więc ja się po prostu tam... Mówiąc dosłownie – mało nie zesrałem ze strachu. Bo ja nie wiedziałem, co on robi. Przypomniałem sobie te historie z wołgami, z tym pokrojonym kimś. Jemu chodziło tak naprawdę o pieniądze. I zabrał mi te wszystkie pieniądze, wyprowadził mnie po drugiej stronie Kwadratu na takie jakieś było wąskie. I mnie tak podsadził, i rzucił. I ja tam spałem. To pamiętam, że to były rejony Złotoryjskiej. To już był wieczór. Ja byłem strasznie przestraszony. Pierwsze co, to pobiegłem do swojego kumpla z klasy tutaj gdzieś. I obiecałem sobie, że będę teraz jakby... Że musimy bić wszystkich Ruskich takich w naszym wieku, musimy ich okradać, nie? To był taki... Dziwne uczucie. No po prostu, nie wiem, miałem tam trzynaście lat czy dwanaście i taki rodzaj odwetu, zemsty, nie? Pamiętam, że obliczałem ile on mi tych pieniędzy zabrał, że mogłem za to kupić ileś, ileś, nie? A teraz nie mam nic. I od tamtej pory mi się pojawiała już taka niechęć [2012.09.01/LG]

Traumatyczne doświadczenie zasiało w rozmówcy niechęć do „Ruskich”, której postanowił dać upust wobec radzieckich rówieśników. W tym wypadku niewinność czasu dzieciństwa zostaje przerwana gwałtownym i okrutnym w odczuciu rozmówcy czynem radzieckiego żołnierza, który, poniżając młodego chłopaka, wywołuje w nim poczucie niesprawiedliwości i nienawiści do całej grupy, nie tylko radzieckich żołnierzy, symbolicznych okupantów miasta, ale w ogóle wszystkich mieszkających w Legnicy „Ruskich”, nawet dziecięcych partnerów wcześniejszych dość niewinnych bójek podwórkowych.

To wystarczyło, to nie musiał być jakiś konkretny powód. Wystarczyło [śmiech]. Wie pani, to się szło gdzieś tam jakieś tego, no te to łepki, chuligany, nie? Gdzieś jakichś tam się dorwało, to i nastukali, nie? A później trzeba było omijać ulicę szerokim kołem [śmiech]. Albo można było się załapać na bęcki, nie? Chodziło się tam. Takie, wie pani, na lotnisko, żeśmy pamiętam chodzili, tutaj teraz gdzie jest... te markety, nie? Tam się dziurę gdzieś znalazło, czołgaliśmy się, kurczę, żeby tam pod helikopter gdzieś podleźć, nie? Jakies historie tam [2012.03.20/LG].

No, ale wojny nieraz były okrutne. Mówię wam, normalnie kamienie, patyki i z kartonów się robiło jakieś hełmy na głowę, coś tam, nie, tak gdzieś któryś dostał, łeb rozwalony i tak... Nam się wydawało, że takie ustawki konkretne były. [śmiech] Oficjalnie, oficjalnie władze na to... Władze udawały, że tego nie widzą, chociaż to było. Wicie, no, bo to źle wyglądało w dokumentach. No jak może młodzież polska tłuc się z młodzieżą ruską? [2012.11.09/LG]

W relacjach o potyczkach z młodzieżą radziecką powtarza się wyrażany bezpośrednio pogląd o oczywistości tego typu zachowań, wpisujących się niejako w „awanturnicze” dojrzewanie na ulicach miasta, naturalny układ sił i powiązań, który systemowo zakładał istnienie napięć napędzających agresję i brutalność. Swego rodzaju uliczny spryt był potrzebny, żeby móc bez kłopotu lawirować pomiędzy strefami wpływów, wiedzieć, że należy „omijać ulicę szerokim kołem”; z pewnością garnizonowy charakter miasta przyczyniał się do intensyfikacji tego typu doświadczeń poprzez samą potencjalność konfliktu – wkradnięcie się na teren wojskowy (np. lotniska) było aktem brawury, odwagi, ale i dość świadomego przeciągania granic tolerancji. We wspomnieniach niektórych legniczan uderza brutalność młodych ludzi, widoczna przy opisie „ustawki” przypominającym przygotowanie do bitwy, łącznie z doborem broni i pancerza. W przeciwieństwie do wcześniejszych opinii, rozmówca twierdzi, że władze starały się ignorować przejawy agresji młodzieży – w oficjalnym dyskursie była to rzecz nie do pomyślenia, kompletnie sprzeczna z doktryną i ideologią braterstwa narodów, która w sferze symbolicznej spajała podzielone społeczeństwo miasta. W tej perspektywie w bójkach młodych Polaków i „Ruskich” dostrzec też można formę wyartykułowania sprzeciwu wobec systemu, za sprawą którego w Legnicy byli obecni przedstawiciele obcego mocarstwa; niedostępni i wszechwładni, pozostający poza zasięgiem, w odróżnieniu od dzieci wojskowych i cywilnych pracowników, którzy mieszkali w tych samych kamienicach, po sąsiedzku, na wyciągnięcie ręki – i pięści.

Ja wspominałem o takich bójkach i tu można w ogóle użyć cudzysłowiu, bo bójki polegały na tym, że po prostu wyrwaliśmy kępy traw, kałuże i tak się rzucaliśmy. I ja to dzisiaj wspominam jako coś śmiesznego, bo moja mama ciągle krzyczała, że znowu jestem brudny, że... [...] I pamiętam taką sytuację, kiedy mama zaczęła, wybiegła i po stronie rosyjskiej jakaś rosyjska matka to samo do tych rosyjskich dzieci. Mówię „dzieci”, bo to był czas podstawówki. Nie zdarzało się to notorycznie, bo byśmy w ogóle nie mieli trawy, prawda, w okolicy. Ale takie rzeczy się zdarzały [2012.09.01/LG].

Rozmówca zwraca uwagę na symetryczność doświadczenia polskich i „ruskich” dzieci, w równym stopniu ganionych przez matki za podwórkowe bójki – ale nie dlatego, że może z tego wyniknąć jakaś krzywda, lecz po prostu mogą się ubrudzić, przysparzając rodzicom niepotrzebnego kłopotu.

Pamiętam, taka sytuacja była, że kolega tu na Okrzei mieszkał też na samym narożniku, gdzieś wracał ze szkoły i dostał lanie tam od Ruskich. Tam była taka, pamiętam, grupa Ruskich, jak te leningrady, taka młodzież, wiecie, jak u nas – i fajki popalali, i na gitarze coś tam... A on gdzieś wracał z działki rowerem. Z działki czy ze szkoły, już nie pamiętam. I gdzieś ten Ruski, tam był taki jeden, no taki odważny był, hardy taki facet, jak gdzieś przypieprzył temu naszemu, tam zdrowo poturbował, z rowera spadł. No przyszedł, się pożałił nam tutaj. No to się już grupa chłopaków zebrała, lecimy tam. No to myśmy wpieprzyli im za przeproszeniem tam. Akurat tego całego gieroja nie było. Bo on tam gieroj, nie. Dostali lanie. I potem siedzimy tu na tym boisku, patrzymy – Ruscy przychodzą. No to myśmy dostali z kolei. O, to się odbywało na zasadzie, wiecie, no wendeta, nie? [...] W końcu dorwaliśmy do swojej grupy takich dwóch chłopaków. Jeden boks trenował, drugi taki był Zygmunt, pamiętam jak dzisiaj [...]. Wszyscy się go bali, był taki chłopak charakterny, nie? Zygmunt mówi: „A co wy tam tego głąba się boicie?!”. I zebrałiśmy ekipę, poszli i tak bezpośrednio do walki między nimi sami doszło. Wpierdzielili temu Ruskiemu. I potem był spokój taki dosyć [2012.11.09/LG].

Myśmy to nazwali „potupaja”, ale skończyło się na tym, że jak się zaczynała „potupaja” myśmy tam byli, to przyjeżdżała policja, zabierała nas na komendę. Myśmy tam spędzali ze trzy, cztery godziny. Jak się „potupaja” skończyła, to nas puszczali. [...] Bo myśmy tam rozrabiali. Na tej zasadzie, nie? Żeby był spokój. Policjanci wymyślili taką metodę [2012.11.09/LG].

„Wojny podjazdowe” i „ustawki” przyjmowały czasem postać regularnego chuligaństwa, a bohaterowie podwórek stawiali się młodocianymi bandytami.

„Leningradami” nazywano budynki z wielkiej płyty, stawiane w Polsce w latach osiemdziesiątych na potrzeby Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Montowano je z elementów przywożonych z ZSRR, zazwyczaj miały pięć kondygnacji i trzy lub pięć klatek schodowych. W Legnicy powstało ich około dwudziestu.



W Lany Poniedziałek ruskie dzieci były po prostu totalnie oblewane wodą, a my siedzieliśmy w domu i kibicowaliśmy przez okno, żeby tylko Ruskiemu dokopać [2010.03.01/LG].

Albo pamiętam taką scenę, że przyszedł śmigus dyngus, przyszedł Ruski, właśnie ten Sierioża, i pyta się, co robimy, nie. „My się wodą oblewamy”, nie? A on: „Po co?”.

Zdziwiony. [śmiech] „No jest takie święto”. Jemu to się spodobało, ubrał sobie [...] całe takie ogumowane i z wiaderkami latał z nami. [...] I tam takie okna duże, siedzimy na drugim piętrze, idzie Ruska, nie wiem, skąd ona wracała, taka wielka, wiecie, na głowie, one pięknie się czesały, zawsze były takie wykwintne damy, pół wiaderka wody, jak kura zmokła. Oczywiście pojechała prosto na komendę [2012.11.09/LG].

Lany Poniedziałek był dniem, podczas którego polskie dzieci mogły sobie pozwolić na dokuczanie „Ruskim”, zarówno rówieśnikom, jak i dorosłym. Instytucja śmigusa dyngusa, w duchu antropologicznym rozumiana jako okres święta, podczas którego ulegają zawieszaniu zwyczajowe normy i zasady, wyzwalała w dzieciach krnąbrność, która przez pozostałą część roku nie była akceptowana. Tego dnia „dokopywanie” radzieckim dzieciom, a nierzadko i dorosłym stanowiło punkt honoru – pierwsza rozmówczyni z entuzjazmem wspomina, jak kibicowała polskiemu kolegom i koleżankom, którzy pod płaszczykiem niewinnej zabawy – polania wodą „Ruskiego” – wedle niej dokonywali znaczącego aktu sprzeciwu wobec obecnych w mieście „sił okupacyjnych”. W drugiej przywołanej historii uderza fakt, że Sierioża decyduje się dołączyć do obozu polewających, tym samym stając się „jednym z nas” – swojakiem, z którym wspólnie można dokuczyć „Ruskiej”. Potrzeba znalezienia akceptacji u polskich rówieśników dla Sierioży wiązała się z chwilową zdradą własnej tożsamości, a być może po prostu odnalezienia wspólnego języka nie jako przedstawiciel obcego narodu, ale dziecko nie różniące się niczym od Polaków.

Dla władz miasta stanowiło to niejaki problem: z jednej strony była to polska tradycja wielkanocna, wywodząca się z kultury ludowej, z drugiej zaś – chuligańskie ataki na radzieckich obywateli. Obowiązującym przez pewien czas rozwiązaniem było przyzwolenie na przedpołudniowe polewanie – wraz z ostrzeżeniem radzieckich legniczan, by trzymali się wówczas własnych rejonów miasta – zwalczanie zaś grup „polewaczy” w drugiej połowie dnia.

Mój tata, który jako dziecko bawił się ze swoimi kolegami, nie wiem, w piłkę z Polakami, no to opowiadał taką sytuację, zabawna historia, że położyli piłkę skórzaną na środku drogi, do której do środka wysypali gruzu, jakichś ciężkich przedmiotów, gwoździ, no i tę piłkę zostawili, krzyknęli tylko: „Ruski, podaj!”. Ruski podał i sobie złamał kość w stopie, i to było [rozbawiona] po prostu bardzo zabawne [śmiech]... Nie było przyjaźni, po prostu były takie... taka wojna podjazdowa można powiedzieć [2010.03.01/LG].

„Wojny podjazdowe” przybierały czasem formę wyjątkowo okrutną, jak w powyższej historii, w której łamiący sobie nogę „Ruski” staje się przedmiotem kpiny. Okrucieństwo dzieci w tym wypadku ma podwójne znaczenie – „psikus” sprawiony jest zarówno koledze z podwórka, w ramach dziecięcej złośliwości, jak również „Ruskiemu”, któremu nie należy się współczucie, ale co najwyżej wysmianie. Obrazuje to złożoność relacji pomiędzy dziećmi polskimi i radzieckimi, w znacznej mierze wynikającą z indywidualnego postrzegania i oceniania obecności Armii Radzieckiej w Legnicy. W domach, w których „Ruscy” traktowani byli jako opresyjni uzurpatorzy, tego typu zachowania dzieci mogły być akceptowane. Przywołajmy tu choćby fragment wspomnień legniczanki Beaty Tadli: „W moim najbliższym otoczeniu nie brakowało odpowiednich wzorców. Mam bardzo odważnego tatę, który – od kiedy pamiętam – nosił wąsy *à la* Wałęsa i znaczek »Solidarności«. Nie zapomnę powrotów od babci po różnych świątecznych spotkaniach. Kończyły się

późnym wieczorem, autobusy już nie jeździły, a taksówki były tylko przy dworcu. Zresztą – kto wtedy myślał o taksówkach? Powrót naszym dużym fiatem też nie wchodził w grę, tato – kierowca – zazwyczaj po takich biesiadach był niedysponowany. Trzeba było więc przejść piechotą pół Legnicy, a po drodze mieszkali Ruscy. I o to chodziło! Nie można sobie wyobrazić lepszego miejsca na prowokację. To były jedyne momenty, w których słyszałam ojca śpiewającego! Ale nie byle co. Wszystkie pieśni patriotyczne, jakie znał, począwszy od *Roty*. Na całe gardło! A ja razem z nim. Bardzo mi się to podobało. Od krawężnika do krawężnika z pieśnią na ustach docieraliśmy przed Dom Oficera, który był po drodze (dziś jest tam kuria biskupia!). Na pobliskim skwerze stało popiersie marszałka Konstantego Rokossowskiego. Pomnik trzeba było opluć i dopiero potem mogliśmy iść dalej. To nie był wybryk, to było świadome działanie. I lekcja historii dla mnie”⁷.



Ruscy ogólnie nie obchodzili świąt, chociażby chcieli. Wiecie, oni tam Dzien Moroz, Nowy Rok itd. – Boże Narodzenie nie bardzo. [...] Ale myśmy mieli taki zwyczaj, że jak przychodził Nowy Rok, to się nazywało takie coś u nas, że chodziło się na siejew. Wiecie, co to znaczy? [...] że się zbierało dwóch, trzech, czterech chłopaków, parę dziewczyn i chodziło się po mieszkaniach, tak jak u nas na kolędzie. Pukało się do drzwi, Ruski otwierał, śpiewało się piosenkę: „Siejew, siejew, posiewajem, z Nowym Godom pozdrawlajem... – takie coś tam myśmy – ... i szto dajecie, zabierajem”. I jeden: „Ło, paszoł won!” i drzwi zamknął. A jeden tam gość, tam do swojej żony: „Swietłana, dawaj tu kanfiety!”. Ona przynosiła garść cukierków. Drugi co bardziej nawalony mówi: „O, dawaj, dawaj!” – buch i kielicha nam. Autentycznie tak było. A jak już tak za dużo tych grup, wiesz, już tak chodzili nieraz po trzy razy dziennie do jednej chałupy, to Ruscy mówili: „Paszoł won, już tu byli!” – mówił. Ale, no, tak było, wiesz, rzeczywiście [2012.11.09/LG].

Intrygująca była zdolność dzieci do rozpoznawania różnic kulturowych i przekładania ich na tradycje polskie. W tym wypadku obrzęd kolędowania został zmodyfikowany pod kątem odmiennych zwyczajów „Ruskich”, zamiast w Boże Narodzenie grupa dzieci odwiedzała więc mieszkania radzieckich sąsiadów z okazji Nowego Roku, święta promowanego przez władze w Związku Radzieckim jako ateistyczny zastępnik Bożego Narodzenia. Co ciekawe, napięcie pomiędzy sakralnym charakterem kolędy a świeckim wymiarem uroczystości noworocznych nie stanowi problemu i dzieci korzystają z tradycyjnej struktury kolędowania, śpiewają tradycyjną pieśń rosyjską, otrzymując w zamian cukierki.

„Siejew, siejew, posiewajem, z Nowym Godom pozdrawlajem...” to lekko przekształcony tekst bardzo znanej rosyjskiej kolędy „Sieju, sieju, posiewaju, s Nowom Godom pozdrawliaju” (ew. „Siejem, siejem, posiewajem, s Nowom Godom pozdrawlajem”), której dalszy ciąg zawiera dobre życzenia dotyczące nadchodzącego sezonu wegetacyjnego (co wskazuje na płodnościowy charakter obrzędu kolędowania) i przymówki do gospodarzy o datki pieniężne lub rzeczowe. Do tego odwołuje się zacytowany dalszy fragment pieśni: „i szto dajecie, zabierajem” – choć takich dokładnie słów tej pieśni raczej się nie notuje w rosyjskim materiale etnograficznym.

⁷ B. Tądla, *Pokolenie '89 czyli dzieci PRL-u w wolnej Polsce*, Warszawa 2009, s. 349-350.

Pamiętam, myśmy taki numer zrobili. Były akcje na przykład zbierania pieniędzy na PCK. Młodzież chodziła z puszkami. I pamiętam, myśmy się kiedyś zapuścili w tą sowiecką dzielnicę i pukaliśmy do mieszkań Rosjan, a tam taki szok. Potem dostaliśmy burę od kogoś, dlaczego myśmy tam poszli w ogóle. No wrzucali do tych skrzynek też te pieniądze. [...] Zdziwieni byli, że nagle ktoś zapukał do ich drzwi. Ich dzielnice były wydzielone, ale nie były, jak gdyby, zagrodzone, zamknięte, to musiało być... pierwsza połowa lat... może 1985 rok. Pamiętam, myśmy pukali, weszli na te klatki i nawet sporo pieniędzy, nawet sporo nam rzucali, a oni byli zaskoczeni. Myśmy potem sobie uświadomili, co zrobiliśmy, że nagle stanęliśmy na granicy, na teren dla nas niedostępny, ale takie gdzieś tam tematy tabu się gdzieś tam łamało z nieświadomości. Takie historyjki się też pojawiały [2010.05.08/LG].

Dzieci przekraczają granice wyznaczone przez dorosłych, i w dodatku spotykają się z pozytywną reakcją radzieckich sąsiadów. Zbieranie pieniędzy na Polski Czerwony Krzyż od „Ruskich” dorosłym wydaje się czynem niespotykanym, wręcz zuchwałym – dzieci natomiast nie widzą w tym niczego zdrożnego, sprawnie wykorzystując tradycję „kolędowania”; refleksja przychodzi dopiero po czasie, z zastrzeżeniem, że będąc nieświadomym dzieckiem „tematy tabu się gdzieś tam łamało”. Pozostaje pytanie, na ile reakcja obywateli Związku Radzieckiego była świadomym wyborem, a na ile wynikała z chęci upodobnienia się do polskich sąsiadów – skoro oni wrzucają do puszek pieniądze, widać jest to właściwe zachowanie. Nie jest też wykluczone, że pozytywny odbiór młodzieżowej akcji był związany z odczytaniem jej jako znaku akceptacji „Ruskich” we wspólnocie sąsiedzkiej, potraktowaniem ich jako pełnoprawnych uczestników społeczności poprzez narzucenie im obowiązku wsparcia akcji zbiórki charytatywnej.

Młodzież szkolna chodziła w mundurkach przeważnie. Nie wiem, czy im w ogóle było wolno bez tych mundurków poruszać się po mieście. Czy może mieli takie zarządzenie, że jak są poza Kwadratem, to muszą być w mundurkach. W każdym razie chłopcy mieli jakieś takie szaro-bure spodenki, a dziewczynki takie nawet śmieszne, bo to takie brązowe spódniczki z jakimś fartuszkim, jakieś białe falbanki. Ale takie bardzo, bardzo tradycyjne, niemalże dziewiętnastowieczne, ale fajne [2010.03.02/LG].

Pracę zaczynałem w szkole nr 10, to jest na ulicy Janka Krasickiego, niedaleko. A... I obok... a tam mieszkali Rosjanie. A tamtędy się szło do ich szkoły przy ulicy Jaworzyńskiej. No i tak kiedyś wyglądam przez okno, miałem na parterze swój ten, ten pokoik wuefisty, wyglądam przez okno i tak patrzę – idzie grupka tych dzieci radzieckich, a to widać od razu, bo oni pięknie chodzili, chłopcy chodzili w garniturkach... [...] granatowe mundurki, czerwone oczywiście albo chusty, albo krawaty, no i idą, idzie taka grupka, i tak sobie rzucają jakąś piłeczką. I przechodzą akurat pod moim... i piłeczka wpadła za ogrodzenie, na teren szkoły. No i tam któryś przez płot z tych młodzieńców włązi: przelazł przez ten płot, bierze tą piłeczkę, ja się wychylam

i mówię: „A ty co tutaj robisz?”, a on tak patrzy na mnie przestraszony i mówi „Pan, pan, my Paljaki! My Paljaki!” [2012.11.06/LG].

Wypowiedzi rozmówców pokazują, jak radzieckie dzieci widziane były przez dorosłych. Mundurki obowiązujące w szkołach rosyjskich znajdują uznanie w oczach Polaków, są waloryzowane pozytywnie jako piękny strój reprezentacyjny młodzieży. Z drugiej strony odstawały one od polskiej rzeczywistości, przykuwając wzrok legniczan; przywoływane są z wyraźnym sentymentem, być może kojarząc się niektórym rozmówcom ze szkolnymi mundurkami obowiązującymi w Polsce przedwojennej. W odróżnieniu od mody prezentowanej przez dorosłych Rosjan, przede wszystkim kobiety, których wycucie stylu często było obiektem kpin, mundurki noszone przez radzieckie dzieci były odbierane pozytywnie, wręcz z podziwem dla zuniformizowanego ubioru (piszemy też o tym na s. 79). Uderza to, że w momencie kontaktu z rozmówcą młodzi „Ruscy” podają się za Polaków – być może z obawy, że w innym wypadku reakcja na prośbę o zwrot piłki mogłaby być diametralnie odmienna. Jest to lustrzane odbicie wypraw polskich dzieci do Kwadratu i udawania młodych „Ruskich”.

Natomiast moi rodzice znali się z Rosjanami i były to kontakty takie niegłębokie, ale towarzyskie, nawet nie chcę mówić o jakimś interesie, ale lubili się rodzice z dwoma małżeństwami rosyjskimi, ale raz na jakiś czas, nie to, żeby jakoś systematycznie się odwiedzali. Był taki kontakt. Natomiast jeśli chodzi o nas, młodych, nie byliśmy dopuszczani wtedy do takich kontaktów, bo wiadomo, to było „gość w dom”, więc dzieciaki won, więc myśmy się tylko przyglądali, przysłuchiwali... [2010.05.10/LG]

Z perspektywy dziecka prywatne spotkania rodziców – wzajemne wizyty w mieszkaniach, czasem będące wynikiem kontaktów zadzierzgniętych przy okazji handlu albo pracy, a czasem po prostu wyrazem sympatii – były czymś, co można było jedynie obserwować z boku, podsłuchiwać, ale nigdy nie uczestniczyć na równych zasadach. Separacja dzieci od dorosłych, którą można było zaobserwować na podwórku, gdzie nie obowiązywały (albo były ignorowane) restrykcje, jeśli chodzi o wzajemną interakcję, w przypadku sytuacji zaaranżowanej przez dorosłych oznaczała, że dzieci nie traktowano jako pełnoprawnych uczestników – starano się raczej izolować je od „świata dorosłych”.

Pamiętam, że stoję na balkonie tutaj, a idzie Ruski, widzę. Niech ktoś procę... Nie wiem, czy ten sąsiad, co mi te szabelki robi, czasami mi procy nie tego. Ja stałem i strzeliłem temu Ruskiemu, wiecie [...]. On stanął, zaczął coś krzyczeć. Matka na balkon wyszła, a on mówi, że nie wolno, mówi, że syn w niego strzelał. Pamiętam, że dostałem ścięgą po łbie od matki, nie, za to strzelanie w Ruskich [2012.11.09/LG].

W tym wypadku łobuzerska psota – strzelanie z procy do przechodzących ulicą „Ruskich” – spotyka się z ostrą reprimendą matki. Ganiąc syna, matka rozmówcy przywołuje go do porządku zapewne po części z poczucia przyzwoitości, a po części w obawie, że tego typu akt skierowany przeciwko obywatelowi obcego państwa może mieć o wiele poważniejsze reperkusje niż analogiczny czyn wymierzony w Polaka.

I generalnie chodziło o to, że szliśmy do takich leningradów, czyli budynków, bloków rosyjskich, do tej radzieckiej obsługi, tych żołnierzy itd. I po stronie, tak jak każdy blok ma jedną stronę bez okien, staliśmy na tym podwórku. Zabawa polegała na tym, że się po prostu rzucało tymi atramentami. One... Gdyby to dzisiaj, to można to podciągnąć pod współczesne grafitti, *street art* albo cokolwiek, nie? To były piękne wzory. To były rozgwiadzy, one ściekały, one itd. No i zabawa polega na tym, że się tym rzucało. Jak ktoś nas wyczał albo próbował donieść, to myśmy uciekali [2012.09.01/LG].

W tym wypadku chuligańskie zachowanie polskich dzieci wydaje się być do pewnego stopnia umotywowane politycznie – w blokach typu leningrad mieszkali wyłącznie obywatele radzieccy. Interesujące, że rozmówca, przywołując współcześnie te praktyki – trochę kpiąco – odwołuje się do *street artu*.

Jako przykład takiego dobrego wspomnienia, jakie z nimi [Ruskimi] mam: mieszkam akurat w bloku, który towarzyszył szkole radzieckiej wtedy. Mieliśmy troszeczkę problemu z tymi dziećmi, w tym znaczeniu, że w naszej klatce kiedyś domofonów nie było i popalali sobie dzieci, ale na nasze zgłoszenie do nauczycieli reagowali natychmiast i kiedy wyjeżdżali... nauczyciele reagowali, wszystko wydawało się pomyslnie; kiedy wyjeżdżali, bardzo sympatyczny taki gest wobec nas był, em... przyszli do naszej klatki i każdy dostał tego rosyjskiego, radzieckiego goździka czerwonego na pożegnanie, przepraszając nas, że sprawiali kłopoty [2011.04.22/LG].

Jak wynika z przytoczonego fragmentu, radzieckim dzieciom również zdarzało się podpadać dorosłym Polakom. Wbrew etosowi każącemu brzydzić się kapowaniem, rozmówca bez wahania zgłasza wybryki dzieci dyrekcji szkoły radzieckiej. Warto zwrócić uwagę na specyficzny i jednoznacznie negatywny stosunek wobec donosicielstwa, jakim przesiąknięta była kultura komunizmu – czy raczej antykomunizmu. Samą instytucję donosu pisarz Aleksander Wat określił jako „ekstrakt komunizmu”, a tajnego współpracownika – jako istotę totalitaryzmu⁸. Również w próbach kreślenia sylwetki *homo sovieticus* wskazywano na jego erozję moralną i bezkrytyczne podporządkowanie władzy, stwarzające dogodne warunki dla donosicielstwa⁹ – a zatem przypisywano je nisko ocenianym przez środowiska zdystansowane wobec komunizmu „produktom systemu”. Przywołana wypowiedź sugeruje jednak, że niechęć do kapowania mogła pozostawać ograniczona do ram narodowych, a poza tym nie dotyczyć sytuacji, w której potencjalnym obiektem donosu jest dziecko łamiące zasady, a zatem sytuacji, gdy „donos” i następująca po nim kara stają się elementem procesu socjalizacji. Nauczyciele reagują natychmiast, być może w obawie, że uczniowie swoim nagannym zachowaniem podważają ideologiczny przekaz, mówiący o dobrych stosunkach pomiędzy dwoma państwami, źle świadcząc o legnickich obywatelach Związku Radzieckiego.

⁸ Więcej na temat historii donosu zob. w: *Accusatory Practices. Denunciation in Modern European History 1789-1989*, red. S. Fitzpatrick, R. Gellately, Chicago 1997; F.-X. Nérard, *5% prawdy. Donos i donosiciele w czasach stalinowskiego terroru*, przeł. J. Szymańska-Kumaniecka, Warszawa 2008.

⁹ Por. m.in. A. Zinowiew, *Homo sovieticus*, przeł. S. Deja, Warszawa 1987; H. Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, przeł. M. Szawił, D. Grinberg, Warszawa 1993; J. Tischner, *Etyka solidarności oraz Homo sovieticus*, Kraków 2005.



Dziewczynie tam było łatwiej, bo Ruski nie nakopał do dupy, nie? A nam było, Jezu, ile razy. Ja do dzisiaj pamiętam, [...] jak pociągnął po tyłku, to o Jezus, Maryja! [*śmiech*] Albo jeszcze z takiego buta wojskowego, nie? [2012.11.09/LG]

No jako gówniarz, częstośmy śnieżki robili, za krzakami się chowali i tych Rosjan rzucali, i to „kacap” – pojęcie to było tradycyjne, „kacap” to takie przezwisko brzydkie – i żeśmy tych Rosjan rzucali! No i zdarzyło się kiedyś raz, pamiętam sam na własnym tyłku, jak odczułem takiego kopa z takiego buciora wysokiego. Zaskoczył mnie któryś tam Rosjanin z tyłu, oddechu nie mogłem złapać przez kilka ładnych minut. Prawda była taka, że potrafili tam czasem nas pogonić, no ale byliśmy gówniarzeryą taką dwunastoletnią, więc... była to taka zabawa w kotka i myszkę czasami [2010.05.10/LG].

Osobny wątek pojawiający się w wielu wspomnieniach legniczan to różnego rodzaju podchody i psikusy sprawiane skoszarowanym w mieście żołnierzom, za którymi, jak wskazuje rozmówca, popularnie i obraźliwie wołano na ulicy „kacapy”. Zaczepianie szeregowców czy oficerów niosło ze sobą ryzyko wkalkulowane w każdą tego typu interakcję; „zabawa w kotka i myszkę” mogła się skończyć brutalnym potraktowaniem młodocianego delikwenta kopniakiem z wojskowego buta. Z dzisiejszego punktu widzenia oczywistość, z jaką młodzi legniczanie przyjmowali wymierzane im dość brutalne kary, wydaje się zastanawiająca, obrazując historyczne zmiany, jakie dokonują się w powszechnym postrzeganiu instytucji dzieciństwa. W okresie peerelowskim żołnierz – nawet obcego państwa – mógł bez szczególnej obawy zdyscyplinować dziecko uciekając się do kar cielesnych.

Ja mieszkałem na Zakaczawiu, to jest tam z *Ballady o Zakaczawiu*, tam do boiska, tak zwanego ruskiego, mieliśmy niedaleko, często się tam chodziło. Ale z kolei zaraz. W zasadzie to boisko to było ruskie, ale nieogrodzone. Natomiast wkoło były koszary ich. Ogrodzone, z wieżyczką wartownika, który, no, pilnował terenu. Zdarzało się, że piłka nam wpadała gdzieś tam do nich. No to odwrotnie, wylatywała albo cała, albo znikwała, albo wylatywał kapeć. No bo, no bo któremuś tam wpadło nie w tym momencie akurat. Zdarzyło się też, że Ruski na wieżyczce strzelał. To ja wiem, bo to uciekaliśmy stamtąd jak zające. Było słycać, przeładował i strzelił. [...] I czym strzelał, nie wiem. Czy to były ślepaki, czy prawdziwe, ale oni raczej na ślepakach nie pracowali. No to on mógł naprawdę strzelić i załatwić problem definitywnie [2010.02.10/LG].

A drugie to oczywiście nasi chłopcy, pokazywałam [*wskazuje na rysunku*], tu jest ta szkoła, tu był mur oddzielający naszą szkołę od garaży, znaczy on może nie był na całej tej przestrzeni. No, chłopcy mieli zwyczaj wspinać się na ten mur, a tutaj to, co narysowałam, to były garaże ich, no i oni sobie biegali i tupali po tym garażu,

im więcej Ruskich zdenerwowali, tym lepiej. Pamiętam, że był taki moment, że dyrektor szkoły zwołał wszystkich uczniów do auli i powiedział tak, że właśnie był u niego oficer rosy... radziecki i bardzo prosi, żeby nauczyciele zwrócili uwagę, więc on nam to od razu przekazuje, żeby zaprzestać tego sportu i tego biegania po tych dachach, ponieważ wartownicy mają rozkaz strzelać. Taki rozkaz otrzymali i oni oczywiście strzelać nie chcą, ale oni taki rozkaz dostali, jeśli ktoś będzie dokazywał to, o... nieszczęście gotowe. No, on może nie chce trafić, ale w każdym razie postraszyli chłopaków i trochę to się uspokoilo [2010.02.01/LG].

Groźba użycia broni zostaje wykorzystana w celu powstrzymania chuligańskiego procederu. Przemoc obecna w życiu młodych legnicznan była na tyle naturalnym składnikiem codzienności, że nikogo nie dziwiła ostra reakcja żołnierzy radzieckich, jakkolwiek raczej nie miała ona przeniesienia na rzeczywiste rozkazy. Co ciekawe, gra typu *agon*, w której uczestniczyli polscy uczniowie i radzieccy żołnierze, oparta była na nieformalnym zbiorze reguł, wśród których kluczową było „prze-trzymanie” drugiej strony – w tym wypadku żołnierze pierwsi złamali niepisane zasady, udając się ze skargą do dyrektora szkoły. Z kolei stanowcze przekonanie pierwszego rozmówcy, że radziecki żołnierz mógłby bez problemu zastrzelić w biały dzień naprzykrzające mu się dziecko, świadczy o funkcjonowaniu, przynajmniej w niektórych środowiskach, rzeczywistego strachu przed wszechwładzą i okrucieństwem przedstawicieli Armii Radzieckiej. W narracji tego rozmówcy teren koszar nabiera cech kojarzonych z przestrzenią, na której toczona jest wojna – strzały są czymś naturalnym, nawet jeśli celem nie jest wrogi żołnierz, ale zabłąkana piłka.

Należy zaznaczyć, że poziom przemocy, jakiej dopuszczali się radzieccy żołnierze, w okresie tuż powojennym bardzo wysoki, z czasem się zmniejszał, o czym szerzej piszemy w rozdziale piątym. *Ballada o Zakaczawiu* to oparte na legnickich opowieściach przedstawienie Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy w reżyserii Jacka Głomba, później zrealizowane jako spektakl telewizyjny (reż. Waldemar Krzystek, Polska 2001).

No to jeszcze mówię – pamiętam z osiedla helikoptery, że latały samoloty, że był taki hałas, notoryczny hałas, bo one gdzieś tam leciały przez to osiedle. [...] [Ulica] Astronomiczna to już jest ta końcówka osiedla, tej dwójki. I tam zaraz się zaczynały działki. I zaraz są działki, i zaraz było też lotnisko. [...] Myśmy się tam nieraz zapuszczali w dzieciennych zabawach. To tak, no to było trochę niebezpieczne też, nie? No bo jednak oni tam stali na tych posterunkach. Krążyły różne opowieści, że oni tam strzelają do dzieci. [...] Tak, że w ogóle... Krążyły takie opowieści, że wyłapują dzieci. Znaczy nie dzieci, jak ktoś tam przez bramę do nich, jakoś do sklepów chce się dostać czy gdzieś, że łapią ci żołnierze, potem trzeba toalety czyścić szczoteczkami do zębów. Boże, takie różne opowieści. Ale no, to pamiętam właśnie te helikoptery i, że tam była ta, to lotnisko, nie? [2011.11.01/LG]

Zrozumiałą rzeczą była fascynacja polskich dzieci terenami wojskowymi – przestrzenią tajemniczą, obwarowaną zbiorem zakazów, jak również otoczoną nimbem miejsca niebezpiecznego, w którym dzieją się dziwne rzeczy. W tym wypadku powtarzane z ust do ust opowieści o zniknięciach dzieci, pod względem struktury narracyjnej kojarzące się z legendą miejską o czarnej wółdze,

zostają rozwinięte w pełnoprawną historię spuentowaną wizją niesfornych dzieci zmuszonych do poniżenia poprzez czyszczenie muszli klozetowych szczoteczką do zębów. Co więcej, taka a nie inna forma wymierzenia kary za wejście na teren wojskowy stanowi przeniesienie rytuałów kocenia (inaczej fali, a w radzieckim wojsku diedowszczyzny) – nieodłącznego elementu kultury wojskowej – w kontekst utarczek dzieci z żołdatami i wyobrażenia o możliwych ich reperkusjach. Sama wyprawa na teren lotniska, poza dreszczykiem adrenaliny, zdawała się być umotywowana również fascynacją radziecką myślą techniczną, pragnieniem ujrzenia na własne oczy i z bliska słyszanych na co dzień helikopterów.

Jak przyjeżdżały te samochody do parku maszyn, to myśmy dawniej z nudów, dla jaj, kosze na śmieci – nie były tak jak teraz takie baniaki czarne, tylko taki kosz blaszany z takimi dziurkami – to myśmy taki, wiesz, kabel gdzieś antenowy albo coś. I tam haczyk się robiło z drutu, wiesz, i ten samochód tu stanął [...], ktoś podbiegał z tyłu, cyk mu za zderzak ten haczyk i Ruski jedzie z tym kubłem na śmieci. [śmiech] Bo to było tak, że on podjeżdżał pod tą bramę i tylko trąbił, a ten od zrazu mu otwierał, nie, i on wjeżdżał do środka. Mieli tam nie stać czy coś, nie wiem dlaczego tak było. A ten się na niego drze, a ten z tym kubłem jedzie. A my to mamy pociechę taką, że aż po nogach szczamy [2012.11.09/LG].

Istniały dziesiątki sposobów, w jakie można było dokuczyć radzieckim żołnierzom, i pod tym względem inwencja polskich dzieci zdawała się bezkresna. Co ważne, figle płatanе szeregowcom miały nierzadko podwójną motywację, odwołując się do dwóch rodzajów młodocianej ambicji – po pierwsze zdenerwować dorosłych, w dodatku przedstawicieli służb mundurowych, a po drugie stanowiły sposób na uprzykrzenie życia obcemu elementowi w mieście.

Aczkolwiek wie pani, dzieciaki to tam czasami różne psikusy tej generacji nawet też robiły, bo sama też takie psikusy robiłam. [...] Oni chodzili często naszymi ulicami, moją ulicą również. Jako dzieciaki zimą zasypywaliśmy śniegiem ślizgawki i patrzyliśmy, czy jakiś tam wysoko postawiony idący się nie przewróci, bo wtedy czapka by mu spadła na przykład z głowy. No głupoty, ale innym się nie robiło, a im się właśnie takie głupoty robiło. No tak wie pani, dzieciom to tam wszystko można było, bo sobie nie zdawały ze wszystkiego sprawy, a dzieciaki poza tym zrobią jakiś dowcip, uciekały, chowały się, no dla nich to było... no coś innego... [2010.03.03/LG]

Nawet oficerowie Armii Radzieckiej nie byli bezpieczni przed wszechobecnymi, wyzłośliwiającymi się dziećmi. Jako osoby reprezentujące godność żołnierza radzieckiego, stanowili znacznie bardziej nacechowany symbolicznie obiekt dziecięcych dowcipów – w tym przypadku symboliczny gest zrzucenia oficerowi czapki z głowy ma na celu zarówno ośmieszenie wysokiego rangą oficera, jak również wskazuje na jego specyficzną pozycję jako reprezentatywnego przedstawiciela obcego mocarstwa. Jak podkreśla rozmówczyni, „innym się nie robiło” tego typu kawałów.

Mieliśmy taką historię, jeszcze jedną pamiętam. Idziemy sobie kiedyś z kolegami na basen, na Artyleryjskiej, taka ulica jest, koło tej szkoły takiej... Jest taka duża

szkoła teraz, Centrum Kształcenia Ustawicznego to jest chyba. [...] To było kiedyś gimnazjum rosyjskie. Czy coś takiego. Jakaś tam szkoła. I tam jest basen obok. Ale po drodze się idzie, jak są korty te tenisowe, też nie wiem, czy się pani orientuje, gdzie to? [...] Tu, w tej okolicy. Jest taki długi mur. I myśmy szli, jako łepki, włąziliśmy na ten mur i żeśmy sobie maszerowali tym murem. Na basen. A z drugiej strony... oni mieli tam taki, nie wiem, jakieś ćwiczenia robili, czy coś, bo takie były słupy telegraficzne, tyle, że takie niskie. Pewnie gdzieś tam się uczyli kable wiązać, albo coś. No i my sobie po tym murku zasuwamy, zasuwamy. No, a tu Ruski wyskoczył, tamten strażnik i tam, coś nam tam, kurczę, żebyśmy zleźli z tego muru, nie? A my oczywiście: „Spadaj, gościu!” [*uśmiech*], delikatnie powiedziane. No, ale uszliśmy kawałek, on podleciał do tego muru, kurczę, do nas, no to myśmy z tego muru zeskoczyli, kurczę. Ale nie... zapomnieliśmy, bo jak jest cały, była ta główna brama, się wjeżdżało tam, co ta wyższa szkoła, teraz ta, zawodowa. No to myśmy już tutaj dalej szli, szli, szli i, kurczę, jak zeskoczyliśmy z tego muru, a tam były drzwi w murze takie. Prosto przed nos drugiemu [*śmiech*]. Drapnęli jednego z koleśków, my w długą. I jego też gdzieś zamknęli. Mój kolega wymyślił, że musimy do domu wracać jak najdłuższą drogą, bo przestępcy zawsze chodzą najkrótszymi [*śmiech*]. Żeśmy takie koło rypnęli, wkoło Legnicy, żeby przyjść z powrotem... Jak przyszliśmy z powrotem, to od razu, to ten Stachu już siedział i się śmiał, nie? Wyciągnęli mu kliszę z aparatu i też go tam postraszyli, postraszyli i tyle, nie? Co mogli zrobić? Takie historie [2012.03.30/LG].

Pojawia się interesująca dynamika pomiędzy strachem, jaki wywoływali żołnierze, a awanturniczą żyłką polskich dzieci, które świadomie igrały z ogniem. Opisani w relacji chłopcy wiedzieli, że popełniają czyn zakazany – chodzenie po murze okalającym radzieckie terytoria – co ujawnia ich reakcja na konfrontację z wartownikami. Jednocześnie historia, opowiedziana po latach, nabiera cech typowych dla tego typu reminiscencji z dzieciństwa; czarne charaktery – żołnierze – pojawiają się jako siła porządkująca i regulująca, w dodatku ich działania są podyktowane potrzebą zachowania tajemnicy wojskowej, co sugeruje wyciągnięcie klisz z aparatu.

Pamiętam, jakaś taka plotka krążyła, że Ruscy złapali jakiegoś chłopaka, pokroili go na kawałki, trzymali go w piwnicy. No i w tej podstawówce tak się nawzajem strasziliśmy. To jakaś bzdura była, no bo w każdym bądź razie był taki... Był jeden chłopak u nas w klasie, który wchodził na bezczela przez bramę. I było tak, że strażnik chyba coś się zorientował, że to nie jest Ruski po prostu, że to jest obcy. I pamiętam, że go jakoś strasznie... [...] ten strażnik go wziął, chwycił go za łeb i zaczął go tak tarmosić. I na koniec go tak pchnął, i on tą głową uderzył w murek. I to było takie... Ta historia krążyła u nas i myśmy wtedy wiedzieli, że to jest niebezpieczne, że to może coś być. I sytuacja była taka, że jak uzbieraliśmy jakieś kieszonkowe itd., to od strony ulicy właśnie Rataja, tu, gdzie dzisiaj kręciliśmy, na dole pod tym murem, bo ten mur zawsze był na takich jakby stopniach. Często było

przysypywane ziemią. I myśmy po prostu tu sobie zrobili taką dziurę pod murem, i żeśmy tam się przekradali [2012.09.01/LG].

Krążąca wśród dzieci legenda o złapanym i torturowanym przez radzieckich żołnierzy chłopaka zostaje w pewien sposób uprawomocniona historią, która rzeczywiście miała miejsce. Brutalne potraktowanie przez wartownika kolegi z klasy rozmówcy stanowiło po części dowód, że przekradanie się na teren Kwadratu może nieść ze sobą realne niebezpieczeństwo.

Więc powiem teraz parę historii. Więc jedna była taka, że lataliśmy często na poligon, bo strasznie nas jako chłopaków małych – no... dziewięć, dziesięć lat, rajcowały znalezione łuski po strzelaniu. Oczywiście poligon był ostry, więc łożenie tam było... no ale teren był niezabezpieczony, otwarty w zasadzie, tyle tylko, że wszyscy wiedzieliśmy, że tam można dostać porządnego kopa od jakiegoś wartownika, ale się nie przejmowaliśmy, lataliśmy tam po te łuski, zbieraliśmy różnego rodzaju ładunki, używaliśmy ich z większą wyobraźnią, bo to wszystko było nieczynne, no ale co? Chłopakom nie trzeba nic, atrakcja była wielka [2010.05.10/LG].

Tereny wojskowe stanowiły atrakcyjne miejsce dziecięcych wypraw. Z pozoru niebezpieczna przestrzeń zostaje oswojona przez wszędobylskie dzieci, które traktują ją jak jedną jeszcze białą plamę na mapie Legnicy, którą należy eksplorować podobnie jak wszelkiego rodzaju ruiny, opuszczone domy itp. Obawa przed natknięciem się na wartownika – który mógł wymierzyć rzeczywistą karę – nie zniechęca rozmówcy i jego przyjaciół, nadrzędnym celem staje się bowiem kolekcjonowanie wartościowych łusek, poddanych procesowi resemantyzacji, nadania im nowego sensu i indywidualnego rysu; łuski nie są już wyłącznie pozostałością po ćwiczeniach szeregowych żołnierzy, ale nabierają cech swoistego reliktu, przedmiotu, który wtedy „używało się z większą wyobraźnią”, a do którego obecnie odwołuje się jako do materialnego katalizatora wspomnień z dzieciństwa.



Tak, myśmy chodzili z kolegami do koszar ruskich, dziury robiliśmy w płocie i przez nie przechodziliśmy, i tam były aleje tych rajskich jabłek. A tutaj Herbapol kiedyś je skupował na jakieś specyfiki, one w smaku były super. My tak nazwaliśmy rajskie jabłka i zostało. Zawsze pazuchy wypchane albo torby. Rosjanie nam nic nie mówili. Albo niekiedy jak chcieli, żebyśmy im wina przynieśli, to oni nam już przygotowali te rajskie jabłka. A my zadowoleni podawaliśmy torby. Żeśmy do skupu przynosili i były pieniądze [2010.02.04/LG].

Zakoszarowani, nie szwendali się absolutnie. No za dzieciaka było jeszcze, na Złotyryjskiej były Glinki. Tam były takie jeziora... jezioro, no takie wertepy. Wspaniałe były motocrossy organizowali i tam też były właśnie na terenie, przy terenie ruskich koszar – nie było żadnych problemów. Na Sosnowej, to boczna Świerczewskiego, był... jest, do tej pory jest, zapuszczony, zaniedbany, był stadion. Zawsze był żużel [2011.07.04/LG].

Przebywanie na terenie graniczącym z koszarami nie zawsze kończyło się nieprzyjemną konfrontacją. Jak wynika z przytoczonych powyżej historii, zdarzało się, że żołnierze akceptowali (albo przynajmniej ignorowali) obecność dzieci, a czasem wchodzili z nimi w interesy, jak w przypadku czysto handlowej transakcji – rajskie jabłka za wino.

Największą frajdą było dla nas, mówię o młodych ludziach, bo myśmy zbierali różne odznaczenia, co by nam nie dali, to myśmy te gwiazdki różne zbierali do wariacji. To rzeczywiście tego miałem sporo, różnego rodzaju. To były zwykłe rzeczy, ale dla mnie bardzo ważne [2010.05.10/LG].

To jedna z emblematycznych opowieści powtarzanych przez wielu rozmówców: dzieci zaczepiające przechodzących szeregowców i grzecznie proszące ich o „gwiazdki” z munduru.



Na pewno jadąca ruska kolumna była złowróźbna, znaczy to był taki... jednak pojawiał się jakiś lęk, poza tym w nas, dzieciach, wtedy panowało takie przekonanie, że my jesteśmy w Legnicy, więc jeśli dojdzie do wyścigu zbrojeń i ataku pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, to na pewno Legnica zostanie zaatakowana jako pierwsza, jest celem, bo tutaj są Ruscy. Więc my baliśmy się tego, potwornie baliśmy się wojny atomowej, to po prostu był lęk w dzieciakach jak... nie wiem, co dzisiaj może powodować, co jest porównywalne? Ale dzieciaki potwornie bały się ataku nuklearnego, wiedząc, że my możemy być tym pierwszym, jednym z pierwszych celów. Natomiast nie miałam żadnej przyjaciółki Rosjanki małej, raczej nie mieszały się dzieci, być może, bo ja nie mieszkałam też w takiej dzielnicy, gdzie oni mieszkali, tylko jak jeździłam do babci, ale tam to wychodziłam na podwórko i się bawiłam z polskimi dziećmi [2010.03.01/LG].

W tym wypadku obecność w mieście Armii Radzieckiej odcisnęła piętno na rozmówczyni, stając się swego rodzaju traumą, symbolizowaną przez „złowróźbny” widok ruskich wozów pancernych jeżdżących całymi kolumnami ulicami Legnicy. Co więcej, rozmówczyni odwołuje się do popularnego w latach osiemdziesiątych przeświadczenia o możliwości wybuchu wojny nuklearnej. Warto zauważyć, że związane ze specyficzną sytuacją polityczną w początkach tej dekady zaostrenie propagandy zimnowojennej, połączone z nagłośnionymi negocjacjami rozbrojeniowymi sprawiło, że nie tylko młodzi legniczanie, ale w ogóle całe pokolenie wychowujących się wówczas w Polsce dzieci żyło w znacznie większym strachu przed bombą atomową niż ich starsi koledzy.

No wie pani co, zaraz po wojnie jako dziecko to miałam zakodowane, że mundur wojskowy, jeszcze obcy, to jest coś złego. Natomiast mi tato wytłumaczył, że oni pomogli nas oswobodzić i, że głównym złem byli Niemcy. No to jeszcze jako dziecko pamiętam. Natomiast, no, ich obecność w tym jest, zwłaszcza jak jeździli tymi czołgami, to było dla takich dzieci troszeczkę stresujące, bo nie wiedzieliśmy, co to

z tego może być. Natomiast potem już się wrosło w to, że oni są i to tak musiało być [2010.03.03/LG].

W przeciwieństwie do zacytowanej wcześniej wypowiedzi, rozmówczyni prezentuje postawę akceptacji obecności Armii Radzieckiej – chociaż wszechobecność wojsk była czymś nieprzyjemnym, mogącym wywoływać u części dzieci grozę i poczucie zagrożenia, socjalizacja w domu często miała determinujący wpływ na odbiór specyficznej sytuacji Legnicy. Rodzice rozmówczyni tłumaczyli jej, że nie powinna się obawiać radzieckich żołnierzy, ponieważ funkcjonują oni trochę na prawach „oswobodziciela”, politycznej siły, która pomogła zakończyć drugą wojnę światową. Lokalizując Niemców jako głównych adwersarzy i antagonistów w europejskiej historii, rodzice wytwarzają mentalną hierarchię obcości, w której „Ruscy” sytuują się jako bliżsi Polakom, nawet pomimo tego, że widok radzieckiego munduru wojskowego był dla rozmówczyni „obcy”, „zły”. Dokonując procesu racjonalizacji, tłumaczy ona sobie obecność armii, tłumiąc tym samym negatywne emocje.

Moja córka teraz ma czterdzieści osiem lat, ale jak miała piętnaście, za tym laskiem – jak mi powiedziała, myślałam, że mi serce pęknie. U ciotki przy lasku poszła pozbierać kwiatki, wracała sama i mówi, Ruski ją przewrócił i dobrze, że był jakiś Polak, zaczęła mi krzyczeć. Przyszła wystraszona, ubrudzona i mówiła, że się przewróciła. Szczęście, że ktoś tam był, bo by ją ten żołdat zgwałcił. Ale teraz nie ma Ruskich i gorzej jest. Dzieci porywają [2011.11.32/LG].

Ja sama pamiętam, jak żołnierze szli i nas zaczepiali, to my jako podlotki mówiłyśmy: „Wy durne kacapy!”. A oni już nie reagowali dalej, bo oni wiedzieli, że ich się przeżywa. Oni wiedzieli, oni sobie doskonale zdawali sprawę z tego, że oni są taką niechcianą grupą społeczną w mieście [2010.03.03/LG].

Specyfika miasta garnizonowego, w którym skoszarowane są duże liczby młodych szeregowych żołnierzy, wpływała na poczucie zagrożenia, jakie odczuwały niektóre nastoletnie dziewczyny. W Legnicy krążą powtarzane na zasadzie plotek – choć czasem prawdziwe – opowieści o gwałtach, do których miało jakoby dochodzić w Miejskim parku czy lasku Złotoryjskim; jest to szczególnie widoczne w narracjach osób starszych, pamiętających pierwsze lata obecności Armii Radzieckiej, kiedy miasto funkcjonowało jeszcze trochę na zasadach obowiązujących podczas wojny. Powtarzają się relacje o żołnierzach zaczepiających młode kobiety i zdecydowanie przekraczających granicę niewinnego flirtu. Jak dowodzi drugi przywołany powyżej cytat, w Legnicy nie było zezwolenia na to, żeby „Ruscy” zwracali uwagę na dziewczyny w jakimkolwiek kontekście erotycznym – można się zastanowić, na ile etniczna tożsamość „podrywającego” miała tu kluczowe znaczenie, a na ile wykonywany zawód żołnierski. W pierwszej narracji rozmówczyni opisuje bezpośrednią próbę gwałtu dokonaną na piętnastoletniej córce, a więc realne zagrożenie – co więcej, zwerbalizowane *explicite* stwierdzenie, że gdyby nie pojawienie się Polaka, to „by ją ten żołdat zgwałcił”, stanowi potwierdzenie złej opinii, jaką mieli radzieccy żołnierze w oczach przynajmniej części Polaków.

Poza tym ci żołnierze w koszarach, którzy siedzieli, no oni takie... Jak widzieli... Siedzieli masowo w oknach, jak po południu nie mieli tych swoich zajęć, wykrzykiwali

na te dziewczyny młode i tak naprawdę... Z takimi uwagami, bo w końcu wszyscy znaleźmy język rosyjski... Nam się to nie podobało, po prostu traktowali nas, tą młodzież tak... Nieładnie [2010.03.03/LG].

I znów, szeregowcy interesujący się polskimi dziewczynami – pokrzykujący na nie z okien koszar, co przywodzi na myśl więźniów zaczepiających kobiety zza krat, ale i polskich skoszarowanych szeregowców – postrzegani byli jako potencjalne zagrożenie, a przynajmniej element zakłócający porządek tym dotkliwiej, że byli obcy etnicznie. Ostatnie zdanie łagodzi nieco wypowiedź rozmówczyni, tonując jej oburzenie wobec niewybrednych zapewne komentarzy, jakie kierowane były do młodych Polek.

Jak byłam jeszcze taka dosyć mała, nie wiem ile mogłam mieć, dziesięć lat, jedenaście to góra, to chodziło się do kościoła dosyć daleko na godziny duszpasterskie, znaczy tam uczyli śpiewu kościelni, pieśni nowych, no i zimą jak się wracało o siedemnastej nawet czy osiemnastej, to to już było ciemno zupełnie, no i nie zawsze mamy mogły przyprowadzić, nie? No to pamiętam, że szłyśmy właśnie w cztery albo pięć, a to już było niedaleko domu, tam gdzie teraz jest PWSZ, taka uliczka, wiecie, gdzie jest Sejmowa... jeszcze nie doszliście... W każdym razie to jest taka uliczka, że z jednej strony jest mur i koszary, a z drugiej były ich domy, tak, że w sumie myśmy sobie tam skracały drogę, nie wiem czemu, może było przyjemniej iść czy się poślizgać chciałyśmy... w każdym razie idziemy sobie, zza rogu wychodzi chyba z sześciu takich rosyjskich żołnierzy w takich waciakach, oni gdzieś musieli jakieś prace wykonywać, może gdzieś zrzucali węgiel czy coś i szli do koszar, nie, no i zrobiło się nieprzyjemnie, zrobili krąg. No i moje dziewczyny uciekły wszystkie, ja zostałam, nie zorientowałam się w porę, że trzeba uruchomić nogi, [...] nie wiedziałam wtedy co to gwałt czy coś, że mogą mi coś zrobić, no tak, dopiero jak zobaczyłam, że oni się zaczynają śmiać, to pomyślałam: „Kurczę, coś niedobrze”. I tak się wzięli za ręce, i zaczęłam ich walić piąstkami po tych, po rękach, nie, i krzyzczeć, pamiętam, że im się głupio zrobiło, jeden mówi: „Ostawcie ją, ona baitsia”, boi się. I poszli, głupio im się zrobiło. No to jak powiedziałam mamie, to chyba się skończyły te samotne powroty, ale w sumie nie doszło do czegoś takiego, żeby tam ktoś mnie dotykał czy coś, żebym się musiała bać, ale strachu się najadłam strasznie... [2010.02.01/LG]

Powyższa historia uświadamia istotną rolę relacji pomiędzy wyobrażeniami o radzieckich żołdactwach a rzeczywistością. Rozmówczyni określa ówczesną siebie jako naiwną dziewczynkę, która nie wiedziała nawet o czymś takim jak gwałt, a jednocześnie dziwne, niepokojące zachowanie grupki spotkanych na ulicy szeregowych wywołuje u niej przerażenie. Można sądzić, że żołnierze nie mieli zamiaru aż tak bardzo jej przestraszyć, ani tym bardziej zaatakować; głupi dowcip – złapanie się za ręce i otoczenie samotnej dziewczyny – miał być może na celu wywołanie śmiechu, a w każdym razie był raczej, jak się zdaje, rodzajem wygłupów niż faktyczną agresją seksualną. W momencie, w którym żołnierze dostrzegli przerażenie rozmówczyni, „głupio im się zrobiło”; być może zniechęciła ich

wizja możliwego posądzenia o próbę dokonania gwałtu, a może w swojej naiwności nie spodziewali się, że ich szczeniacki wybrzek może zostać w taki sposób odebrany przez dziewczynę.



Ale ci tam, żołdaki, wpuszczali takie dzieciaki, nie, tam. Parola. Wie pani, co to parol? [...] No – dawaj karczycho, ciach, strzelił parola, wchodź [*śmiech*]. Po jakies cukierki, po jakies takie pierdoty, no wiadomo, nie? [2012.03.20/LG]

Ruscy nas ganiłi, myśmy przez płot przechodzili, a żeśmy wchodzili dlatego, że ja już w podstawówce paliłem papierosy. I u nas kosztowało dziesięć sztuk sportów bądź mazurów – wy nie pamiętacie takich rzeczy, takie małe pudelczka były, o, papieroski – złoty pięćdziesiąt. A u nich dwadzieścia, dwadzieścia pięć sztuk krasna zwiędza, albo białomorkanał, albo privot, już nie pamiętam... prima czy tam coś, kosztowało złoty pięćdziesiąt, ale dwadzieścia pięć sztuk! Na te czasy to była zasadnicza różnica [2012.11.11/LG].

Kwadrat, odgródzone tereny części ponemieckiej dzielnicy willowej Tarninów, w którym mieszkała generacja Armii Radzieckiej, stanowił niezwykle kuszący cel dziecięcych wypraw. W Kwadracie znajdowały się świetnie zaopatrzone sklepy – dostępu do nich bronił wysoki mur otaczający radziecką enklawę, do której wjeżdżało albo wchodziło się przez bramę strzeżoną w dzień i w nocy przez radzieckich wartowników. We wspomnieniach łęgniczian jednym z najpopularniejszych wątków są właśnie historie przekradania się na zakazany teren, najczęściej motywowane albo chęcią zobaczenia na własne oczy niedostępnej dzielnicy, albo – przede wszystkim – zaopatrzenia się w jednym ze sklepów. Uwielbiane produkty bywały najróżniejsze, co sygnalizują przywołane powyżej wypowiedzi – od cukierków po papierosy. W pierwszej relacji znów zwraca uwagę przyzwolenie na przemoc: rytualny „parol”, trzaśnięcie w kark, zostaje przedstawiony jako normalny element procedury wchodzenia do Kwadratu, w tym wypadku za przyzwoleniem wartowników.

Jak już się weszło, to już można było chodzić, gdzie się chce. Bo najłatwiej było wejść dzieciom, dlatego że jak żołnierz sprawdzał przepustki, a ta kolejka była dosyć duża, bo tam na przykład o godzinie szesnastej otwierano magazyn i żołnierz wtedy otwierał swoją budkę i sprawdzał przepustki, a wiadomo, ludzi było dużo, to dzieciaki między ludźmi zawsze gdzieś tam się przecisnęły i poleciały do sklepu. To już jak weszliśmy do sklepu, to nam można było chodzić, zwłaszcza, że przychodziły polskie rodziny tych milicjantów, władz miejskich, żołnierzy i oni bardzo dobrze po polsku rozumieli, Rosjanie. Tak, że to nawet nie trzeba było po rosyjsku mówić, żeby się z nimi dogadać [2010.03.03/LG].

Natomiast jako dziecko, ja to pamiętam, jak coś trzeba było kupić w domu, to mama mi mówiła: „Idź tam do nich”, ale żeby tam do nich przejść, no, nie było łatwo, dlatego że trzeba było mieć specjalne przepustki. Natomiast dzieci, jak otwierał się...

Oni otwierali taki... Taką bramę, gdzie były sprawdzane przepustki i wtedy dzieciaki po prostu prześlizgiwały się i uciekały szybko do sklepów rosyjskich. Wiadomo, po cukierki dla siebie, ale jeszcze dla rodziców, żeby kupić tam mięso, wędliny, jakieś tam tekstylia. No i tak myśmy się prześlizgiwały [2010.03.03/LG].

Istniał szereg skutecznych sposobów na przedostanie się do Kwadratu. W tym wypadku wystarczyło wmieszać się w tłum zbierający się przed bramą o wyznaczonej godzinie i liczyć, że w tłoku nikt nie zwróci uwagi – albo świadomie zignoruje – „prześlizgujące się” polskie dziecko. Interesujący jest językowy wymiar wizyty w radzieckim sklepie. Według rozmówcy po dotarciu na teren magazynu nie trzeba było już podszywać się pod „Ruskiego”, można było komunikować się po polsku. Obrazuje to również specyficzny status Kwadratu jako przestrzeni odrębnej od pozostałej części miasta, docelowo przeznaczonej wyłącznie dla ludności radzieckiej, a jednocześnie nie wykluczającej tego, że w sklepach pojawiają się Polacy – niektórzy legalnie, okazawszy przy bramie przepustkę, inni, w tym przede wszystkim dzieci, nie. Popularność historii o zakupach w Kwadracie to świadectwo tego, że przy odrobinie sprytu przedostanie się do oddzielonej murem enklawy nie stanowiło trudności.

Był duży, z tym, że on był w bloku mieszkalnym tak, że obiegało się po piętrach, no i ponieważ ja miałam małego braciszka, to mama mnie wysłała, żebym kupiła dla niego cielęcinę, a dla nas wołowinę, nie, no bo były już wtedy problemy w latach sześćdziesiątych, no i pamiętam, że raz weszłam i udało mi się, to się wchodziło – mówił już ktoś, jak się to załatwiało? No więc ja miałam taką słuszną posturę, więc mogłam uchodzić za ruskie dziecko takie dobrze odżywiane i ubrałam się tak jak one się ubrały, to znaczy tak: dość jaskrawa spódniczka w kratkę i jaskrawy sweter. Mama mnie ubrała i zostałam pouczona, że mam podejść do Rosjanki sympatycznie wyglądającej i zapytać się, czy mogę z nią wejść, no i że ona się zgodziła, to brała mnie za rękę i szliśmy, szłam jako jej dziecko. A wychodziłam już sama, żeby kobita nie miała kłopotów w razie jakby się okazało, nie... No, a ona się mnie spytała: „Kuda?” [dokąd?], ja mówię, że w magazyn, czyli do sklepu, nie... Dobra, wejść weszłam raz, kupiłam, oczywiście mama mi pozwoliła, jeszcze sobie kupiłam, pamiętam, uwielbiałam takie cukierki rosyjskie w kształcie toffików... owocowe, nazywały się warwarisy albo barbarisy... Inni tam wspominają te raczki takie, które przypominały nasze kukułki zdaje się, tylko w czekoladzie... No mniejsza z tym, w każdym razie raz mi się udało i wyszłam spokojnie, a drugi raz... Nie wpuścił mnie. I już jakoś mama tak po tym jednym razie pomyślała sobie: „Ach, nie będę dziecka narażać” i daliśmy sobie spokój [2010.02.01/LG].

Powyższa historia wymaga dłuższego komentarza. W celu przedostania się do Kwadratu matka postanawia przebrać córkę za „ruskie dziecko” w oparciu o stereotyp tego, jak wygląda odpowiednio ubrana dziewczynka w jej wieku („ruski” kolorowy strój), rozmówczyni sama wskazuje też na podobieństwo w posturze, które działało na jej korzyść. Pojawia się tu znów, podobnie jak w rozdziale trzecim, ponadnarodowe porozumienie kobiet; matka instruuje córkę, żeby poprosiła o pomoc którąś z „sympatycznie wyglądających” Rosjanek, zakładając, że nie odmówi ona

dziecku. Być może mamy tu do czynienia przekonaniem o uniwersalności instynktu macierzyńskiego, a może chodzi o altruizm zwrotny, ufundowany na oczekiwaniu, że w odwrotnej sytuacji obca – tu: polska – matka pomoże dziecku „sympatycznie wyglądającej” kobiety.

Często poruszonym przez legniczan wątkiem jest właśnie wysyłanie przez rodziców dzieci na teren Kwadratu – bez obaw, że stanie im się krzywda, zgodnie z kulturowym wzorcem wskazującym na funkcyjność dziecka w społeczeństwach tradycyjnych. Dziecko zostaje w pewnym sensie wykorzystane, aby zdobyć produkt niedostępny w polskich sklepach (jak na przykład mięso), przy okazji dla własnej korzyści kupując też słodycze. Relacje o wypadach na teren Kwadratu zleconych przez rodziców ukazują również odmienne rozumienie samej instytucji dzieciństwa, której historyczny i kulturowy wymiar rozpatrywał francuski badacz Philip Ariès, pokazując proces konstruowania nowożytnego oblicza tej instytucji w kulturze przemysłowej¹⁰. Miejsce dziecka i rodziny różniło się w kulturach tradycyjnych, a odrębność tego okresu życia – jak również związana z tym separacja dziecka od rodziny, wynikająca m.in. ze specyfiki nowożytnego systemu edukacji – stanowi produkt stosunkowo niedawnych przemian kulturowych, daleki od bycia naturalną formą biologiczną.

To był sklep, nie, na... dzisiaj trudno to mi to nazwać Kwadratem, bo to było jak gdyby początkiem Kwadratu na Chojnowskiej, on niby był dostępny z ulicy, ale tam się przedostać, to trzeba było niemałego sprytu. Ja się dostawałam do tego sklepu, jak to dziewczyna, tam no umiałam się doczepić do jakiegoś Rosjanina, Rosjanki, em, em no, przytulić i udawałam, że idę, tak? „Charaszo, da, da”, nawet kiedyś miałam taki przypadek, kiedy szłam koło majora i z nim wchodząc, mówiłam do niego: „No, da, charaszo dziadzia, charaszo” – jako do wujka, a on patrząc na mnie, ten major, super gość, po prostu się uśmiecha, mówi: „Da, da, no, chadi, chadi”; on wiedział, że to Polka i kombinuje [*śmiech*]. No, tak, że macie. No, jakoś po te zeszyty, po te cukierki się wkradaliśmy [2011.04.21/LG].

Jak widać, czasem przedostanie się do Kwadratu zależało jedynie od uprzejmości i sympatii napotkanego radzieckiego wojskowego lub cywila. Można się pokusić o stwierdzenie, że zazwyczaj przymykano oko na obecność polskich dzieci; w dodatku większość znała język rosyjski ze szkoły i podwórka w stopniu wystarczającym, żeby móc porozumieć się z napotkanymi obywatelami Związku Radzieckiego.

Chodziliśmy tam poza tym po jakieś... mama kupowała jakieś konserwy. Dla mnie to w tym sklepie to tak śmierdziało trochę. Jakimś tak śmierdziało, nie wiem, dlaczego, ale no dla mnie to nie było jakieś takie. Ale wchodziło się i po prostu trzeba było iść, nie? Mama mówiła: „Nie oglądamy się, idziemy po prostu tak, o, żeby nas na wartowni tam nie zatrzymali”. Bo Rosjanie sobie tam chodzili. No i żebyśmy wyglądali tak jak oni, na pewniaka, a nie, że jakiś przestraszony, zalękniony, będziemy się rozglądać, no to wiadomo, że ściągniemy ten, nie, uwagę. Więc wchodziliśmy tam po prostu na pewniaka [2011.11.01/LG].

¹⁰ P. Ariès, *Historia dzieciństwa*, przeł. M. Ochab, Warszawa 2010. Por. L. Stomma, *Dzieciństwo*, w: tegoż, *A jeśli było inaczej... Antropologia historii*, Poznań 2008, s. 7-24.

Czasem samo przebranie się za radzieckich obywateli nie wystarczyło. Istotne było zachowanie – należało iść „na pewniaka”, dbając o to, żeby nie zdradzić swojej tożsamości. Zaczerpnięta z socjologii kategoria *passingu* odnosi się do umiejętności przystosowywania się przedstawiciela jednej grupy społecznej tak, aby być postrzeganym jako przynależący do innej grupy (w wymiarze płciowym, klasowym, etnicznym czy seksualnym)¹¹. Wchodząc na teren Kwadratu, pouczony przez matkę rozmówca świadomie przyjmuje sposób bycia odpowiedni dla „Ruskich”, ukrywając w ten sposób swoją tożsamość narodową; najważniejszym wyznacznikiem było okazanie pewności siebie, zamaskowanie faktu, że znajduje się poza swoim otoczeniem, na wrogim terytorium, gdzie „ściągnięcie na siebie uwagi” oznaczałoby demaskację.



A na Kwadracie pan bywał?

Bywałem. Bywałem, tam Dubynin nawet miał willę taką poniemiecką. Z fontannami, gdzie można było ręce myć przy siadaniu do stołu [2011.07.04/LG].

Ja bardzo często przechodziłam, bo ja chodziłam do Szkoły Podstawowej nr 18, do której się szło... Jak tu jest powiedzmy park, tu jest ul. Oświęcimska, Traugutta, potem się szło Jaworzyńską. Tutaj malutka uliczka. I tu była ta nasza szkoła, teraz jest jeszcze tu technikum budowlane. I szło się do domu przeważnie drugą stroną i tu już był ten Kwadrat. To był taki wysoki płot. Tu jeszcze było jakieś boisko sportowe, to znaczy stadion rosyjski. I to wszystko było za takimi płotami. [...] Wie pani, ja zawsze byłam zdziwiona, ale przyznam, że po prostu dla mnie była to rzeczywistość. Były takie wysokie płoty, to trochę jak jakiś zaczarowany ogród czy coś takiego – coś tam jest za tym płotem, fajnie by było zobaczyć, ale nie bardzo było jak tam przejść. Ale potem się dowiedziałam, że jakieś koleżanki miały... no, że tam Rosjanie są, że koleżanki miały rodziców, którzy tam pracują. Przynosiły landrynki stamtąd [2010.03.02/LG].

Poza wymiernymi korzyściami, jakie niosła wizyta w radzieckim sklepie, sama przestrzeń Kwadratu działała na wyobraźnię młodych legniczan. W pierwszym cytacie willa generała Wiktora Dubynina została opisana jako miejsce luksusowe, trochę magiczne, gdzie mycie rąk w fontannie jest czymś zrozumiałym i powszechnie praktykowanym. Druga rozmówczyni określa Kwadrat jako „zaczarowany ogród”, odgradzony płotem; aby przedostać się do środka, wystarczyło jedynie odszukać „drzwiczki”. Dzielnicę zamieszkałą przez radziecką generalicję wizualizowano na różne sposoby, ukazując dynamiczną relację pomiędzy zdziwieniem niesamowitością a oswojeniem, oczywistością tej przestrzeni – innej, trochę egzotycznej, owianej tajemnicą i powtarzanymi z ust

¹¹ E. V. Stonequist, *Asymilacja i podawanie się za członka innej grupy (passing)*, przeł. P. Polak, w: *Metoda biograficzna w socjologii. Antologia tekstów*, red. K. Kaźmierska, Kraków 2012; M. A. Dawkins, *Clearly Invisible: Racial Passing and the Color of Cultural Identity*, Waco 2004; B. Dreisinger, *Near Black: White-to-Black Passing in American Culture*, Amherst 2008; M. Melchior, *Zagłada a tożsamość*, Warszawa 2006 (*passing* w kontekście ukrywania przez Żydów swojej tożsamości w czasie drugiej wojny światowej).

do ust często niestworzonymi legendami. Kwadrat można więc w równej mierze odczytywać jako krajobraz symboliczny, semantyzowaną przestrzeń fizyczną, która staje się reprezentacją zarówno panującej ideologii (propaganda wizualna realizowana m.in. przez dydaktyczne czy perswazyjne ikonoteksty towarzyszące posągom czy pomnikom), jak i indywidualnych wspomnień rozmówców, porządkujących tę przestrzeń w komunikujące różnorodnie treści obrazy¹². Codzienne zdziwienie Kwadratem sprawiało, że wyobrażenia o tym miejscu nakładały się na zastaną rzeczywistość. Stąd zresztą, przywołane w ostatnim rozdziale, pielgrzymki zainteresowanych legniczan na teren Kwadratu po wyjściu wojsk.



Liceum ukraińskie granaczyło bezpośrednio z koszarami, ze sklepem, z magazynem. Pamiętam, jak uczniowie tej szkoły znający język, nieraz udawało nam się przemykać przez kontrole żołnierskie do magazynu czy do sklepu. A internat szkoły ukraińskiej granaczył z największym sklepem sowieckim w Legnicy i w sklepie tym można było kupić rzeczy, które były niedostępne na przykład w naszych placówkach, w naszych sklepach. Oczywiście pamiętam te spotkania, rozmowy z żołnierzami pełniącymi wartę przed sklepem. Internat bezpośrednio granaczył właśnie z tym dużym sklepem, magazynem, z koszarami. [...] Na terenie właśnie podwórka tej szkoły, która jest obok tego nowego budynku, stał internat IV Liceum Ogólnokształcącego, w którym kiedyś też niegdyś mieściła się sama szkoła i ten obiekt bezpośrednio przez mur granaczył właśnie ze sklepem, z tym magazynem i z koszarami, i stąd ten kontakt z Rosjanami był bardzo bliski. Tak jak powiedziałem, on się przekładał chociażby na wypadły młodzieży z tej szkoły do sklepu na zakupy, o ile się udało przejść, a czasami się udawało właśnie przechytrzyć, bo nie poznawali. Na przykład znajomość języka sprawiała, że mogliśmy nieraz tam się w taki sposób przedostać i zrobić fajne zakupy. Pamiętam, kasety kupowaliśmy zawsze, na które się nagrywało jakieś tam rzeczy, melodie ukraińskie, pieśni ukraińskie, a wtedy kasety były bardzo trudno dostępnym towarem na rynku polskim. [...] Powiem tak, oni tam ściągali masę rzeczy na przykład z Niemiec, z DDR-u i na przykład dobre kasety, które być może Niemcy mieli jeszcze z drugich Niemiec, nie wiem jak to tam było, w każdym razie ja osobiście chyba tam nie chodziłem, nie miałem na tyle w sobie tyle odwagi, żeby zaryzykować przejście, natomiast moi koledzy rzeczywiście bardzo regularnie, czasem zostali przyłapani, nawet trafiali na komendę. Bywało, że zostali przesłuchani, przetrzymani przez noc, potem ich wypuszczano. Byli tacy, którzy używali swoich zaprzyjaźnionych już sowietów, żołnierzy, z którymi się umawiali, że będą mieli wartę, że ich wpuszczą, ale wiadomo, czasami chodziły kontrole po sklepie i sprawdzały tożsamość obywateli, i wtedy była taka wpadowa, i niestety konsekwencje też ponosili ci,

¹² P. Burke, *Naoczność. Materiały wizualne jako świadectwa historyczne*, przeł. J. Hunia, Kraków 2012.

którzy wpuścili, więc to było ryzyko, ale moim... A czasami było tak, że przez mur przeskakiwali i przez okno z internatu po murze można było też przeskoczyć, ale to było jeszcze większe ryzyko [2010.05.08/LG].

Przywołana relacja ukazuje odmienne spojrzenie dziecka z rodziny ukraińskiej (właściwie łemkowskiej) mieszkającej w Legnicy. Rozmówca przyznaje, że znajomość języka ułatwiała przedstawianie się do Kwadratu, ale jednocześnie zastrzega, że przyłapani na przekradaniu się koledzy nie zawsze byli traktowani ulgowo. „Sowietci”, jak identyfikuje ich rozmówca, zabierali delikwentów na komendę, gdzie czekały ich przesłuchania – w jego wspomnieniach dzieci odarte są z niewinności, traktuje się je jak potencjalnych szpiegów, którzy przedostają się przez mur w celu infiltracji środowiska radzieckich wojskowych. Warto też zwrócić uwagę na sugestię rozmówcy, że w przypadkach przyłapania jego kolegów na terenie Kwadratu do odpowiedzialności byli pociągani wartownicy – jako potencjalni współspiskowcy, albo po prostu żołnierze źle wykonujący swoje obowiązki.

Interesująca jest gra między utożsamieniem grupowym, każącym mówić rozmówcy: „nieraz udawało nam się przemykać”, a osobistym doświadczeniem, w którym nie było owych eskapad: „ja osobiście chyba tam nie chodziłem, nie miałem na tyle w sobie tyle odwagi, żeby zaryzykować przejście”.



Co do sklepu na lotnisku, to jakby inny etap. Wróć teraz, cofnę się do młodzieńczej kariery albo wręcz dziecięcej. Jednym z najpopularniejszych sklepów w Legnicy to był tak zwany piąty magazyn. Piąty magazyn przy Chojnowskiej, teraz to piękny budynek, zresztą niedawno wyremontowany dopiero przez firmę. I do tego piątego magazynu wejść było bardzo trudno. Przez bramę czasami udało się przełazić, zależy, jak strażnik pilnował. Czy chciał dobrze pilnować. No, ale z reguły niestety... A dzieciaki jak to dzieciaki, radziliśmy sobie inaczej. Można było przez bramę, podwórko, mur, od tyłu, ale oni takie ścieżki też znali. To ile razy byłem – za kark, do bramy i jeszcze z buta. No, ale trudno się było gniewać, w końcu to ja byłem nie w tym miejscu. Ale jak się udało wejść, to rzeczywiście, to piąty magazyn to, jakby to teraz porównać, to była galeria handlowa. Oczywiście w skali znacznie mniejszej, ale tam było mydło, powidło i rzeczywiście to wszystko było. Bo sklep na lotnisku to był sklepik taki bardziej spożywczy. Jakies tam cukierki, kanfiety różnej marki, mięso było. [...] Tak, że ten piąty magazyn, to miejsce historyczne w mieście [2010.02.10/LG].

Wspominając dzieciństwo, rozmówca automatycznie zaczyna mieszać ze sobą język polski i rosyjski, co stanowi przykład charakterystycznego dla wielu legniczan quasi-bilingwizmu (*code switching*), który ujawnia się właśnie podczas rozmów o przeszłości. Co więcej, opisując zawzięty upór, z jakim próbowano przedostać się do radzieckiego sklepu, rozmówca daje swego rodzaju przyzwolenie na stosowanie wobec dzieci przemocy – rozumiałe, że żołnierze „wymierzali kopniaki”, skoro „to ja byłem nie w tym miejscu”. Obrazowe porównanie „piątego magazynu”

– sklepu nr 5 – „historycznego miejsca” dla wielu Polaków, do współczesnej galerii handlowej ukazuje jakościową różnicę w zaopatrzeniu, zestawienie szarżyny polskich sklepów z pstrokacizną, bogactwem smaków, kolorów, kształtów i zapachów kojarzonym z oficjalnie zabronionymi miejscami – radzieckimi sklepami.



Symbolicznym celem wszystkich prawie dziecięcych „wypraw łupieżczych” na teren Kwadratu, albo do pozostałych radzieckich sklepów zlokalizowanych w innych dzielnicach Legnicy, były słodycze, przede wszystkim cukierki. Poniższe zestawienie fragmentów wspomnień z dzieciństwa ukazuje sensualny charakter pamięci, połączony z wyraźnym sentymentem, z jakim przywoływane są – i opisywane z użyciem różnorodnego języka – smaki, zapachy, kolory, zdobienia pochodzących ze Związku Radzieckiego łakoci.

I tam, no, przede wszystkim cukierki, maczki, karakume, takie jakieś jeszcze, nie wiem, już nawet nie pamiętam nazwy. No pamiętam tylko karakume. [...] Maczki po prostu to było niezapomniane. W ogóle niezapomniany smak, i karakume. Z takim wielbłądem karakume była, a maczki pamiętam były czerwone, nie? Takie czerwone maczki. A to były cukierki czekoladowe, nie? I to rzeczywiście były takie... No niepowtarzalny, niezapomniany smak tych cukierków [2011.11.01/LG].

Żeśmy tu na Chojnowskiej, był sklep, żeśmy przechodzili przez murek jako dzieci. Tam było troszkę złotówek. Żeśmy kupowali cukierki rosyjskie. Były duże, czekoladowe, smaczne. Nie jak polskie tam iryski, toffi. Tam żeśmy przez murek przechodzili [2012.11.04/LG].

Najczęściej, tak jak mówię, dla nas, dla młodych ludzi to najczęściej słodycze, prawda. Słodycze, słodycze i jeszcze raz słodycze. No tego nie było, a u nich mieli świetne cukierki – raczki, w takich blaszanych pojemniczkach, takie pudełeczka zamykane, no coś niesamowitego. To było takie typu landrynek, wiecie, landrynek, tylko że każda z nich miała jakiś tam wygląd pieska, misia, coś takiego, no. No świetne. Tu świetne były ciastka, tam też taka cukierenka właśnie była, co mówię, tam się wchodziło, nie wiem, jak się to nazywało, ale to było takie ciasto, ja wiem... I taką grubą posypką posypane, taką, taką... No nie wiem, jak to nazwać. No, nie była jak drożdżówka. Nie, nie. To coś innego. Świetna sprawa. Ja to tak za tym przepadałem, że zawsze stałe tam i heja [2012.11.09/LG].

A: Ja idę do Domu Oficera, bufet, pierwszy raz, ja nie wiedziałam, że tam bufet jest, więc ruski żołnierz chodzi, strażnik, koło Domu Słowa, w parku, z karabinem.

B: A ty wszystko wiesz, ja teraz się dowiaduję. [*śmiech*]

A: [...] Ale już skończę z tym Domem Oficera. Podchodzę do tego żołnierza [...]. Ja mówię: „Proszę pana, gdzie tu jest bufet?”. „W niżu”. I ja poszłam. I prawda, tych cukierków maków nietu – maki były tańsze, takie też czekoladowe, na tym papierku był mak narysowany – „Tolko biełki jest”, a biełki to wiewiórki, wiewiórka na papierku narysowana. To tych biełek wzięłam pół kilograma i jeszcze jakieś, bo miałam jechać do swojej rodziny... [2010.05.19/LG]

Do piątego magazynu było łatwiej wejść. No, po co się tam wchodziło? Przede wszystkim po cukierki, prawda. Mieli bardzo dobre słodczy, te ich w porównaniu z naszymi, prawda, to był jakiś dla nas rarytas. [...] No, handlarze wchodziłi, ci zwłaszcza starzy ludzie z okolicznych miasteczek przyjeżdżali, kupowali po dziesięć, po dwadzieścia kilo cukierków, prawda. No, to trzeba przyznać, były w porównaniu z tym, co nam rynek oferował, były naprawdę dobre [2010.02.02/LG].

Do tej pory pamiętam takie trójkątne, były obsypane kakaem, aksamitnym kakaem. Pyszne to było, rzeczywiście. Biełki to były takie duże, płaskie, orzechowe, z narysowaną wiewiórką. Tak, że tak, pamiętam. Albo maczki. Maczki, maczki, to znaczy to ja je nazywałam maczki, to były takie iryski z sezamem. Pyszne, naprawdę [2010.02.15/LG].

Dla tych dzieci to oni dawali pełne kieszenie. Podobnie jak tych słynnych... te cukierki czekoladowe – biełki. [...] Biełki, wiewiórki takie. Bardzo dobre były. Wspaniałe były te... daktyle suszone, prażone. Prasowane, suszone, prasowane [2010.02.04/LG].

To było bardzo tanie, to kosztowało normalnie grosze i takie... cukierek taki radziecki to ja wiem, najmniej dwa – trzy razy większy był od polskiego tak, że dzieci próbowały się tam przedostawać przez różne dziury i tak dalej, prawda, do tych kasyn, czasami się udało, czasami zarobiło się kopniaka od wartownika. Ale na przykład mój kolega, to miał jakąś tam fałszywą legitymację, dostał od jakiegoś cywila, który wyjeżdżał, i wchodził bardzo długi czas, chociaż inne zdjęcie było i tak dalej. I ten wartownik, który raz chciał go sprawdzić, to aż go zaczął gdzieś tam prowadzić, ale niezbyt uważał i tamten gdzieś tam zdążył się wyrwać i uciec. Jechaliśmy samochodem i mi opowiadał tę historię, że tak się skończyło jego chodzenie po cukierki [2010.12.08/LG].

To były inne czasy, człowiek się cieszył, że ciastka i cukierki były od Ruskich. Mor-doklejk! Takie co się przyklejały [2011.11.32/LG].

Poczekaj, przepraszam, że tak powiem! Te cukierki... Stan tych cukierków nie oddawał tej rzeczywistości, która naprawdę istniała w ówczesnym czasie. Cukierki były pyszne.

A rzeczywistość?

A rzeczywistość była gorzka [2012.03.11/LG].



fol. Wincenty Kołodziejski

To już doszło do tego, że poszczególne jednostki współpracowały z poszczególnymi zakładami. Na 1 Maja, na Dzień Zwycięstwa oni mogli ich zapraszać... Ja byłem w trochę innej sytuacji, bo ja potem byłem mundurowy też. Ja na przykład do Ruskich nigdy – to znaczy jak szedłem na wódkę nad jezioro, to nie szedłem – ale tak to szedłem zawsze w mundurze. A dla nich mundur, no... [...] A już później, jak miałem generalski wężyk, to już panie...! [2012.11.11/LG]

ROZDZIAŁ 5

Nie codziennie Ruski mi helikopterem macha

Oprócz handlu, romansów i dziecięcych zabaw dwie legnickie społeczności łączyła przez prawie półwiecze skomplikowana, zmienna w czasie siatka powiązań i kontaktów. Oficjalna współpraca, nieoficjalne życie towarzyskie, przypadkowe spotkania w lokalach gastronomicznych i instytucjach kultury, incydenty kryminalne – wszystko to budowało dynamiczną sytuację społeczną miasta. Nie sposób tu dokładnie opisać wszystkich jej aspektów, dlatego rozdział ten służy wymapowaniu najważniejszych przestrzeni kontaktu społecznego.

★ ★ ★

Przychodziliśmy do siebie w gości normalnie jak, jak z Polakami. Nawet lepiej było. Nawet fajniej. Bo oni byli zawsze honorowi tak jak... i są, jak się pójdzie, to stół tak, jak po polsku zastawiają, bo... zastaw się, a postaw się [2011.07.04/LG].

★ ★ ★

Oni mieli swoje szkoły i niestety nie było jakichś, z tego co ja pamiętam przynajmniej, nie było jakichś takich kontaktów pomiędzy szkołami, natomiast więcej było kontaktów pomiędzy urzędnikami bądź oficerami różnego typu, prokuratorami tam, sędziami. I także z ich strony ludzie mniej więcej z zarządu, że tak powiem, tego wszystkiego, tej armii tutaj. To więcej było takich, one były w jakiś sposób też obligatoryjne, te spotkania, no bo to jednak był Układ Warszawski – to były konsekwencje tego. Mój szwagier świętej pamięci był pułkownikiem, więc oni mieli bardzo często jakieś spotkania, narady, rozmowy. Nie wnikałem w to [2011.11.25/LG].

A z reguły najpierw to były spotkania służbowe, myśmy blisko współpracowali z Rosjanami jako Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, wspólne konferencje żeśmy robiliśmy, jak żeśmy robili nasze np. konferencje ogólnopolskie, to jak było w Legnicy, to wiadomo było, że było zwiedzanie jakichś poligonów, Rosjanie wozili, pokazywali naszym ludziom. Więc najpierw to się zaczynało od takich typowo służbowych historii, a później to się takie te przyjaźnie zawiązywały bardziej osobiste, gdy człowiek chodził do domu, odwiedzał, oni przychodzili do mnie do domu,

odwiedzali, i tak żeśmy ze sobą utrzymywali kontakty. Oni wyjeżdżali, później żeśmy pisali do siebie, wielokrotnie się spotykaliśmy, z tym, że już u nich [2012.11.06/LG].

Kiedyś było dużo pracy. Dużo Rosjan. Tak pół na pół oceniam. Pół Polaków, pół Rosjan w Legnicy. I dużo miałem klientów. Zegarki były rosyjskie. Rosjanie mieli rosyjskie zegarki, które wymagały napraw. I miałem dosyć dużo klientów. I nieraz.. poznałem ludzi, Rosjan zegarmistrzów i była taka wymiana, zamiana części. O, coś takiego. Współpraca [2012.11.04/LG].

Część legniczan, zwykle na początku rozmowy, zarzeka się, że nie miała żadnych kontaktów z obywatelami ZSRR – jakby utrzymywanie takich relacji było czymś wstydliwym, o posmaku kolaboracji. Dłuższa rozmowa jednak ukazuje zwykle inny obraz. Tu warto zauważyć, że owe kontakty niekoniecznie musiały wynikać z chęci obu stron; pewne grupy zawodowe – nie zawsze oczywiste, obok wojskowych czy działaczy politycznych także np. zegarmistrze – były do nich po prostu zobligowane, a od preferencji poszczególnych osób zależało, czy przekroczą one ramy stosunków oficjalnych, czy nie. Zawiązane w ten sposób przyjaźnie potrafiły przetrwać nawet powrót do Związku Radzieckiego i funkcjonować w formie listownej czy wzajemnych odwiedzin.

Oni w tych latach sześćdziesiątych ósmych, to oni musieli uzyskać zgodę. To znaczy, jeśli oficer chciał się z kimś spotkać, to musiał uzyskać zgodę swoich przełożonych. I dopuszczono do pierwszych kontaktów działaczy politycznych po pierwszej stronie i po drugiej [2012.11.11/LG]

Przyzwolenie na kontakty – oficjalne i nieoficjalne – zależało od okresu, a przede wszystkim od sytuacji politycznej w Polsce i w krajach bloku wschodniego. Tu akurat rozmówca przywołuje czasy Marca '68 i interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, używając określenia „lata sześćdziesiąte ósme” – znaczący rok staje się umowną nazwą całego periodu.

Te przyjaźnie były na zasadzie, jak się poznaliśmy, tośmy się przyjaźnili. Jak byliśmy obcy, to tylko tak wiecie, chłodno, zimno dzień dobry, do widzenia. Ale wiecie, no, nikt nikogo nie bił kołkami [...] w biały dzień. Nie wypadało [2012.11.09/LG].

Inną drogą pozyskania radzieckich znajomych były relacje sąsiedzkie. Wspólnota terytorialna – jeden z najbardziej podstawowych typów wspólnot ludzkich, przykład Tönnisowskiej *Gemeinschaft*¹ – znosi do pewnego stopnia obcość kulturową i polityczną. Istotną rolę odgrywał brak anonimowości i trwałość kontaktu – nie była to przypadkowa interakcja na ulicy, która dopuszczała zachowania obraźliwe i agresywne, przywoływane w rozdziale pierwszym i czwartym. Ważne znaczenie miała tu też kontrola społeczna – „nie wypadało” zachowywać się nieuprzejmie. Zwraca też uwagę zaniżona norma tolerancji – dobrosąsiedzkie stosunki to takie, w których „nikt nikogo nie bije kołkami”, a w każdym razie nie robi tego publicznie, „w biały dzień”.

¹ F. Tönnies, *Wspólnota i stowarzyszenie. Rozprawa o komunizmie i socjalizmie jako empirycznych formach kultury*, przeł. M. Łukasiewicz, Warszawa 1988, s. 34-37.

Poszedłem wtedy z kolegą na to spotkanie, był tutaj taki człowiek od rekreacji i sportu, takie stanowisko było, nie ma go już od stu lat, ale wtedy było. No i pojechaliśmy sobie tam na to spotkanie. Gdzieś tam z brzegu lotniska, nigdzie nas nie prowadzili, żeby nie za głęboko, ale pogadaliśmy sobie chwilę, no i ustaliliśmy z Igozem i z Jurkiem – to oni dwaj zostali wyznaczeni, też jako zajmujący się chyba z tamtej strony taką działalnością. Piloci śmigłowców obydwaj, w stopniu chyba poruczników, czyli już taki średni poziom. No i pogadaliśmy, ustaliliśmy termin meczu, zagramy w piłkę nożną. Mecz doszedł do skutku, wyniku nie pamiętam, ale pamiętam, że po meczu było bardzo towarzysko. Graliśmy wtedy na Bielańskiej w Legnicy, nie na ich terenie, na terenie naszego wojska nawet. Wtedy to boisko podlegało pod nasze wojsko, które sąsiadowało tylko murem z jednostką radziecką. Oni byli od muru w stronę lotniska, bo to było ich, a nasi w drugą stronę do miasta. Tak sobie jednostki żyły obok siebie wtedy. Po meczu piłkarskim wyszło na to, że, no, znajomość się zaczęła tak fajnie, no, to może kontynuujemy. To zaczęliśmy się umawiać na siatkówkę. Zegraliśmy mecz siatkówki w ich sali gimnastycznej. Oni to nazywali hala, ale to było, przypominało malutką salę gimnastyczną na terenie jakiejś jednostki przy Chojnowskiej. Lotnisko jest tam, sala była tam. No i tak to zaczęło się toczyć. Zaczęliśmy się zapraszać wzajemnie i my żeśmy w końcu wylądowali u nich na lotnisku w hangarze na turnieju halowej piłki nożnej. Na czas turnieju wyprowadzili swoje te różne mniejsze i większe [samoloty], bo to olbrzymie hangary były. Boisko namalowali. Piękny turniej zegraliśmy w hangarze. A nawet żeśmy wygrali wtedy z nimi. Po meczu do bani, bo okazało się, że tam mają banię swoją. Różgi, gorąco, potem do zimnej wody. Potem było wesoło. Były taranki – stały punkt programu wtedy. Ziemniaki. Najprostsze dania – smakowały. I w moim przypadku wyszło na to, że ta, ta, ta przypadkowa dość znajomość z Jurkiem i z Igozem, no, przetrwała dużo lat. No, w głównej części, do ich wyprowadzenia, no, bo przyszedł rozkaz i chłopcy zabrali swoje helikoptery i poleciecieli. Ale ta znajomość była bardzo mocna. Okazało się, że jesteśmy w podobnym wieku wtedy, że mamy bardzo podobne rodziny, czyli dwa plus jeden, na dodatek mamy córki w podobnym wieku. No, ten układ był po prostu przypadkowy, ale dość niesamowity. Charaktery podobne, sportowcy podobnie. Było bosko. Niejedna godzina spędzona na omawianiu wszystkiego w sposób bardzo taki luźny, niepolityczny. Jak trzeba było, to oni mówili prawdę, pozawojkową prawdę, bo ja nawet unikałem pytania ich o takie rzeczy, ale każdy inny temat – czemu nie! Kiedyś zdarzyło się tak, że zapytałem Igora. Aha! Dostałem możliwość wchodzenia do nich, na ich kwaterę na terenie lotniska. To było takie dość niezwykle, szczególnie pierwsza wizyta, no bo przechodzimy, no ja z rodziną. Ja jako ja już tam byłem, ale tak cywilnie. Proszę bardzo, tam sprawdzili mnie chyba z dowodu wtedy, czy z czegoś. Poszliśmy do nich. I tak te wizyty odbywały się wzajemnie. My chodziliśmy do nich już przez bramę przechodząc luźno. Ale kiedyś mnie tknęło

i pytam się Igora, słuchaj, a jak to jest, że o tak, bez problemu tak się stało, że ja na to lotnisko mogę do was wchodzić, że wynosimy spirytus? Kolejne elementy mi się przypominają. Zaraz wam powiem. Okazało się, Igor mówi, że był wezwany przez jakiegoś ichniego politruka. Został wypytany na mój temat i tenże polityczny oficer na... wręcz jak najbardziej, niech ta przyjaźń trwa, oczywiście tak, tu trzeba pomóc nawet. Oczywiście miał w tym swoje pewnie zamiary. No, ale nie wiem, czy byłem dla nich jakimś kontaktem przydatnym, czy czymś takim. Raczej nie, no... Głównie imprezowaliśmy [2010.02.10/LG].

Powyższy cytat doskonale pokazuje dynamikę przechodzenia od kontaktów oficjalnych, realizujących się „z brzegu lotniska”, „nie za głęboko”, trochę na marginesie codziennego życia, po przyjaźnienie się całych rodzin – „znajomość się zaczęła tak fajnie, no to może kontynuujemy”. Nastrój opowieści buduje wspomnienie wspólnych – prostych, ale smacznych – posiłków. Wspólne biesiadowanie, dzielenie się jedzeniem jest jednym z kulturowych gestów wspólnotogennych, a prostota jadła odpowiada prostocie i bezpośredniości relacji. „Pozawojkowa prawda” ukazuje relację, w której obie strony szanują wyznaczone przez ustrój i stanowisko bariery. Zwraca uwagę akceptacja, a właściwie bagatelizowanie przez rozmówcę możliwości bycia wykorzystywanym przez radzieckich przyjaciół jako OZI – pojawia się to jako z jednej strony oczywistość, a z drugiej mało znaczący kontekst znajomości, przywoływany w tonie pobłażliwym, prawie żartobliwym.

Rozmówca specyficznie zarysowuje związek między pilotami a ich maszynami – staje się on osobisty, przypominający relacje między kowbojem a jego koniem: „chłopcy zabrali swoje helikoptery i polecieli”. Podobny osobisty związek ukazuje kino radzieckie, z takimi filmami jak *Śluby kawalerskie* (*Niebiesnyj tichochod*, reż. Siemion Timoszenko, ZSRR 1945) czy *Opowieść o prawdziwym człowieku* (*Powiest' o nastojaszczem czełowiekie*, reż. Aleksandr Stolper, ZSRR 1948, ekranizacja powieści Borysa Polewoja pod tym samym tytułem). Złączenie radzieckich pilotów z maszynami wyraża również przekonanie o hybrydyczności tożsamości, redefiniowanej poprzez związki z technologiami, w tym wypadku radziecką myślą wojskową; postrzeganie stacjonujących w mieście żołnierzy przez pryzmat maszyn, którymi operowali (jeżdżących po ulicach ciężarówek, wozów bojowych, czołgów itp.) pojawia się w wielu wypowiedziach rozmówców.

W relacjach o przyjaźni polsko-radzieckiej często widać, jak Polacy spolszczają rosyjskie imiona – Jurij staje się Jurkiem – a „Ruscy” rusyfikują polskie, mówiąc na znajomych Wołodzia, Stiopa itp.

Ruscy jak Skandynawowie, u nich to jest na porządku dziennym. Oni nawet mają takie, że zimą się... zimą wychodzą sobie na śnieg czy do przerębli, od razu z sauny, jak Finowie. Tutaj mieli taką naprawę, w Krzywej. I tutaj nawet w Legnicy, jak było to, to nie było chyba koszar, gdzie nie było takiej bani. Tu była akurat oficerska, duża taka, wielka. Ale tam były takie... mniejsze, ja jeździłem tam do tego Saszy, no to tam kilku koleżków przychodziło, siadali. Był taki basenik, gdzie się wskakiwało do zimnej wody. I na przykład taka ich tajemnica – wchodzi się do sauny z ręcznikiem, mają te swoje witki i w gumowych butach. O, w gumowych butach. [*śmiech*] I do każdego buta albo troszeczkę wódki, albo troszeczkę piwa. I normalnie posiedzi się, siedzi się, siedzi... [*śmiech*]. Tu niby głowa normalnie pracuje, tak alkohol przez skórę się dostaje [2011.07.04/LG].

No, to ta sauna to była rewelacyjna, taka prawdziwa. Tam były kamienie normalnie, takie rozżarzone, kurczę. Polewali wodą, całe pomieszczenie takimi deskami, pamiętam czarne takie dechy. I tam były takie schody, takie stopnie gdzieś po pół metra jeden, drugi i trzeci. Im wyżej się weszło, to tym większa temperatura była. I oni to polewali wodą z piwem te kamienie. [...] No i okładali się tymi gałązkami. [...] No, super, super. I się wychodziło, taki mały basenik był, ale taki płytki, taki, ja wiem, po kolana wody było, nie? Na środku tego i tam dookoła jakieś przebieralnie, coś tam, prysznic jeszcze były, coś tam, coś tam. [...] Nie, tam nie wolno było wchodzić Polakom. Myśmy tam wchodzili ze względu na to, że trenowaliśmy to judo. I w koszarach. I mieliśmy przepustkę, żeby tam wejść. Ale tam nie można było sobie wejść z ulicy [2012.03.20/LG].

Jednym z rodzajów kontaktów polsko-radzieckich były kontakty sportowe. W legnickim garnizonie przebywało sporo dobrych sportowców, a etos radzieckiego obywatela, tym bardziej żołnierza, nakazywał dbać szczególnie o tężyznę fizyczną. Odbywały się mecze towarzyskie i zmagania w różnych dyscyplinach sportowych, uczestniczono wspólnie w treningach, a radzieccy sportsmeni – między innymi bokserzy – występowali obok Polaków w reprezentacji miasta. Ta wspólnota owocowała pewnymi przywilejami, jak pozwolenia na korzystanie z radzieckich łaźni – saun, bani – do których nie mieli wstępu ludzie z ulicy. Spotkania w bani przeradzały się często w imprezy towarzyskie, podczas których Polacy poznawali łaźnie *know-how* – od posługiwania się witkami aż po różnorodne metody spożywania alkoholu. Wskazuje to na sporą zażyłość, jako że bardzo sensualna i cielesna atmosfera buduje poczucie intymności i bliskości (niekoniecznie w erotycznym sensie).



Ja myślę, że to, że to właściwie myśmy nadawali ton i myśmy niejako ucłowieczyli i... te kontakty z Rosjanami. To oni byli o wiele bardziej nieufni, oni byli bardziej na „nie”. Aczkolwiek, wie pani, to była taka... To „nie” było ubrane w taką ciekawość drugiej strony, prawda, jak to ewentualnie może wyglądać. Czasami wiadomo, że to jest świeżo malowane, a tu trzeba jednak dotknąć, prawda? Być może jest gorące, a może nie jest gorące, może jest chłodne, może się da. I tak samo robili Rosjanie. Natomiast ja sądzę w tym wypadku, że to myśmy prowadzili przede wszystkim... wiodącą rolę w tym dialogu i to myśmy ich uczyli odruchów. To myśmy akurat byli tą stroną zapraszającą bardziej, a oni bojaźliwie się oglądali na wszystkie strony, prawda, czy już można, czy jeszcze nie można, czy to można powiedzieć, czy tamto nie można powiedzieć. Myśmy ich uczyli właściwie akurat, wie pani, bardzo wielu rzeczy. Tego jestem zupełnie pewien i zupełnie jestem tego świadomy, że to myśmy wiedli prym w tym, w tym wszystkim. Myślę, że to się odbywało na pewno w tym wypadku akurat powoli. Bo teraz, wie pani, z perspektywy tylu lat, to ewentualnie można pewne historie, procesy przyspieszać, jeśli chodzi o formułę myślową. Natomiast myślę, że to trwało długo. To trwało długo, o wiele, o wiele dłużej, niż można było sobie wyobrazić. Ale, no, skończyło się tym, co się... Jak się to skończyło.

Myszę, że to Rosjanie bardzo mocno korzystali na kontaktach z nami. Myszę, że to właściwie oni akurat mogli sobie akurat przyswoić trochę kultury materialnej, trochę kultury również i duchowej [2011.11.06/LG].

A: Oni zrobili tam i poczęstowali nas, a mój mąż: „Zdrawstwujić!”, wchodził. Oni bardzo nie lubieli! Ja mówię: „Dzień dobry”. „Dzień dobry” – jego żona. Oni nie lubieli jak „zdrawstwujić” po rosyjsku.

B: On chciał być Polakiem. [*śmiech*]

A: Później mówi do mnie ta Ania, jego żona: „A co Stefan wasz to »zdrawstwujić, zdrawstwujić«?”.

B: Oni to lubią przedrzeźniać jeszcze [2010.05.19/LG].

Podobnie jak w przypadku kobiet „podszywających się” pod Polki, tu też mamy ukazaną akulturację obywateli radzieckich. Pierwszy rozmówca wskazuje na korzyści, jakie odnosiła strona radziecka z kontaktów z Polakami, określonych jako „przyswojenie sobie kultury materialnej i duchowej”. W zestawieniu z przypisywaną „Ruskim” dzikością, pozwala to budować wizerunek własnej wyższości kulturowej, pomagający pogodzić się z dominacją polityczną Wielkiego Brata. Wymiana kulturowa zostaje określona jako „uczłowieczanie” obywateli radzieckich, których zachowanie motywowane było podwójnie, z jednej strony ostrożnością wynikającą z obaw, a z drugiej – ciekawością, która pchała ich do przekraczania zinternalizowanych granic wyznaczanych przez system. W drugim cytacie pojawia się motyw zacierania różnic – w tym przypadku realizujący się w niechęci do posługiwania się w kontaktach z Polakami językiem rosyjskim. Rozmówczynie interpretują to jako chęć upodobnienia się do Polaków. Czy chodziło o aspirowanie do polskich wzorców, o grzeczność, czy może o podkreślenie nieoficjalności sytuacji?

★ ★ ★

Były takie sytuacje, że myśmy pomagali na przykład któremuś tam węgiel do chałupy Ruskiemu zanieść, on tam w jakieś służbie cywilnej był, przyszli i mu zrzucili mu węgiel pod chałupę, trzeba było mu wnieść na drugie piętro, bo nie do piwnicy tylko do mieszkania. Któryś tam pokój, o ten pokój przeznaczony na jakiś tam skład opałow. Na tej zasadzie [2012.11.09/LG].

Relacje dobrosąsiedzkie nakazują pomoc w kłopotcie „Ruskim”, o których dowództwo zadbało tylko do pewnego stopnia, zapewniając węgiel, ale transportu do miejsca docelowego już nie. Przysługa pozwala zaobserwować różnicę kulturową – składowanie opału wewnątrz mieszkania, a nie w piwnicy.

Ale też trzeba powiedzieć, że Rosjanie też pomagali. Pomagali, na przykład jak palili się kościół św. Jana, to jednostki sprawy [straży?] pożarnej rosyjskiej, mówię, tam było dziesięć jednostek chyba, bardzo pomagali przy gaszeniu. Były jednostki nasze i jednostki radzieckie, tak, że razem wspólnie gasili pożar [2010.03.03/LG].

Był, wie pani, co było? Kościół św. Jana się palił tam za tym gmachem. Tam palił się kościół. Dach się palił, wieża się paliła. No, to wtedy, to wiecie, z wielkim poświęceniem [...], żeby nie oni, to byśmy nie ugасili tego. [...] Tam na górze się zapaliło. Nasze sprawy nie mogły zajść, dopiero rosyjskie sprawy [...]. Z wielkim poświęceniem ratowali to, nie powiem [2011.04.10/LG].

Proszę pani, to było 8 marca 1966 roku. Pożar wybuchł w Legnicy, taki, jakiego w historii nie było i chyba nie będzie. Przyjechała straż. Potem ta straż nie bardzo się paliła, bo oni na 8 marca musieli sobie popić. Oni postawili drabinę. Widziałem to na własne oczy. I ten strażak wchodził, i spadał z tej drabiny. Dopiero zaczęli naprawdę gasić jak radziecka straż wojskowa przyjechała. Im kazali, no to wchodził, poza tym miał kask, był trzeźwy. Oni uratowali ten klasztor, a wieża, właściwie hełm poleciał. I to była pomoc [2010.12.09/LG].

W tej chwili to się tak wiele na ten temat, powiedzmy, nie mówi, ale na przykład jest taka historia, nie wiem, czy opowiadali w Akademii Rycerskiej... Był okres w latach siedemdziesiątych, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, nie pamiętam daty dokładnie, czy siedemdziesiąty szósty, czy który to był rok – trzeba by było sprawdzić. Na Dolnym Śląsku był cały szereg pożarów kościołów. Słyszeliście o tym? [...] Takich pożarów było wiele, w Legnicy również. Płonął kościół św. Jana, to jest jak tu macie Akademię Rycerską, za nią jest kościół św. Jana – kościół barokowy. Jedna z wież zaczęła nagle płonąć. Tam na górze, na piętrze tej wieży odbywała się lekcja religii czy spotkanie ministrantów właśnie i w jakiś cudowny sposób w ostatniej chwili stamtąd uciekli. Straż, słuchajcie, nie mogła dojechać, bo dziwne rzeczy się działy pod tym kościołem, jakieś babinny padały, blokowały wozy strażackie, które miały dojechać, niby w takich spazmach, że się pali, także jakieś samochody dziwne stały, tak popostawiane, że ta straż nie mogła dojechać, no i w tym momencie... Bo Akademia Rycerska była w rękach Rosjan, ale żeby było śmieszniej, to kiedy płonął ten kościół, to wywozili ciężarówkami amunicję, bo w centrum miasta był skład amunicji i gdyby to wszystko wystrzeliło, to pół miasta by nie było normalnie, więc oni byli bardzo nieostrożni. [...] Podpaleń! Do dziś nie został wyjaśniony. Jest taka bardzo dziwna sytuacja. Wiecie, w PRL-u te służby przecież funkcjonowały w taki sposób, że nie było spraw faktycznie, których by nie wyjaśnili. A więc czy to było celowe działanie polskich służb specjalnych, służby bezpieczeństwa SB, czy to nie wyjaśnią. Śledztwa też utknęły w martwym punkcie, bo potem też te sytuacje próbowano tak zatuszować. Taka też dziwna historia [2010.12.08/LG].

Mamy tu kilka wariantów opowieści o autentycznym wydarzeniu, mającym miejsce w Legnicy 8 marca 1966 roku, jak zresztą wspomina trzeci z rozmówców, właściwie podając datę dzienną, choć przesuwając wydarzenie o dziesięć lat. Obok polskich strażaków z Legnicy, a także Świdnicy, Jeleniej Góry, Środy Śląskiej i innych pobliskich miejscowości, w akcji

gaszenia brało udział pięćdziesięciu strażaków z PGWAR wraz z ośmioma wozami bojowymi przystosowanymi do gaszenia samolotów. Żołnierze radzieccy wykazali się wyjątkową odwagą (być może wymuszoną przez dowódców pod groźbą użycia broni)². W kolejnych cytatach widać różne podejście rozmówców do zajścia – o ile pierwszy wskazuje na współpracę, o tyle dwaj kolejni przypisują zasługę uratowania obiektu stronie radzieckiej. W narracji trzeciej podkreślona została zła kondycja Polaków, którzy „popili sobie” z okazji Dnia Kobiet, skonstrastowana z subordynacją i trzeźwością radzieckich strażaków – to ostatnie stanowi ewenement we wspomnieniach o „Ruskich”. Najbardziej rozbudowana ostatnia opowieść dodaje cudowne uratowanie ministrantów, przypominające mirakularne narracje z dziejów obiektów sakralnych, a także sugestię podpalenia. Rzeczywiście przyczyny pożaru nie zostały ostatecznie ustalone, a sami franciszkanie utrzymywali wersję celowego podpalenia³. Dodatkowo ostatni rozmówca, w odróżnieniu od poprzednich, odmawia radzieckim ratownikom bezinteresowności wskazując na zagrożenie, jakie stanowił ogień dla radzieckich składów broni.

Powódź była straszna. Przy tych wałach, przecież było strasznie zalane. [...] Tam, gdzie jest most na Wrocławskiej, to stamtąd, ponieważ to jest wyżej, to płynęła rzeka, kajakami się jeździło. Tak samo na ulicy Jaworzyńskiej. To raz, że przywozili, stawiali samochody z wędlinami, z chlebem i oni sprzedawali to, i tak samo pracowali tam, gdzie ich kierowali, na równi z naszymi żołnierzami [2011.11.04/LG].

Tu z kolei mamy wspomnienie powodzi z sierpnia 1977 roku, podczas której bardzo zaangażowała się strona radziecka, udostępniając trzy amfibie, a następnie pomagając przy usuwaniu skutków klęski żywiołowej⁴.

Z kolei o „humanitarnej pomocy” dla ludności na terenach wiejskich w pierwszych latach po zakończeniu drugiej wojny pisze Leopold Wokotrüb⁵. Wszelkie takie akty „bezinteresownej pomocy” eksponowała też ukazująca się na potrzeby garnizonu radziecka gazeta „Znamia Pobiedy”⁶.



Przyjechali po mnie tutaj wojskowym autem, zabrali mnie na Kwadrat – tam już Polacy nie mogli w ogóle wejść. Adiutant jakiegoś marszałka, Kulikowa... No, dla mnie to był taki szok, wrażenie, wszędzie wojska, portierów, wszystko pod bronią. Adiutant tylko ręką machnął. Żołnierze wynocha, od razu. Byłem osobiście w gabinecie tego marszałka Kulikowa. Miał przepiękny zegar stojący. Olbrzymi, wymiary, musiałem na krzesło wchodzić, żeby dotknąć do tarczy, do wskazówki. Marszałek, gdzie stacjonował, tam ten zegar zabierał z sobą. No, ale przestał chodzić. Wyciągnąłem mechanizm, wymontowałem i przywieźli mnie tu do zakładu i tam byłem umówiony, załóżmy, za jakiś czas. Z powrotem po mnie przyjechali i wmontowałem go. [...] Byłem w gabinecie, widziałem olbrzymie globusy o średnicy trzech metrów. Była na ścianie mapa

² W. Kondusza, *Mała Moskwa. Rzecz o radzieckiej Legnicy*, Legnica 2011, s. 91-92.

³ Tamże, s. 92.

⁴ Tamże, s. 114-115.

⁵ L. Wokotrüb, *Pionierskie lata na Ziemi Żłotoryjskiej (1945-1948)*, Żłotoryja – Chojnów 2011, s. 25-26.

⁶ W. Kondusza, *Życie garnizonu radzieckiegów świetle „Znamia Pobiedy”*, w: *Wojska radzieckie w Polsce 1939-1993*, red. S. Dąbrowski, K. Jaworska, W. W. Szetelnicki, Legnica 2013, s. 431-432.

świata, geograficzna, wielkości gdzieś piętnaście metrów na pięć. Cały świat. Wszędzie się świeciły jakieś czerwone lampki. Widziałem osobiście biuro, biurko marszałka – gigantyczne i z piętnaście telefonów. [...] Tak wypolerowanego parkietu, jak widziałem, to już za życia nie zobaczę. Totalne lustro. Widziałem sejfy marszałka. No, naprawiałem ten zegar. Przy mnie stało może z pięciu żołnierzy na baczność, pod bronią. Nie wiem po co. Żeby coś nie zrobił? Telefonu jakiegoś nie odebrał? [2012.11.04/LG]

To znaczy raz, proszę panią, jak pracowałam w takim przedsiębiorstwie budownictwa jako kadrowa i raz tam pojechałam [do komendatury] z kierowcą, no to nas zatrzymała cała ta straż, a ponieważ... wyjęłam lusterko i coś chciałam sobie poprawić, natychmiast nas otoczyli [*śmiech*], czy ja czasem nie fotografuję. Dałam im to lusterko, zabrali, żeby sprawdzić. Nie dziwię się, to był obiekt zamknięty. To był jedyny raz, co mnie coś takiego spotkało. Ja nawet nie pomyślałam, że to może być tak odebrane. Pojechaliśmy do tej całej komendatury, bo trzeba było załatwić jakieś papierki, podpisać i tak się skończyło [2011.11.26].

Służbowym wizytom Polaków w strefie radzieckiej towarzyszyły nierzadko liczne kontrole i procedury bezpieczeństwa. Pierwszy z rozmówców wskazuje na proksemikę budującą prestiż marszałka ZSRR Wiktora Kulikowa, dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego w latach 1976–1989. Gigantomania, „olbrzymie globusy”, wielki zegar, mnogość błyskających lampek – można to odczytać jako gry przestrzenne⁷ podkreślające potęgę komunizmu i jego panowanie nad światem, co obrazuje mapa „wielkości piętnaście metrów na pięć”, sytuująca cały świat na ścianie radzieckiego dygnitarza. Wagę miejsca podkreśla dozoruująca cały czas pracę zegarmistrza asysta wojskowa. Konwencja opowieści przypomina relację z wizyty na dworze królewskim, który olśniewa przepychem: „posadzka – totalne lustro”. Permanentna kontrola i przeczulenie na ewentualne naruszenie zakazów bezpieczeństwa pojawia się też w drugiej przytoczonej historii.

★ ★ ★

Wpierw to było strach, pewnie że tak. Szli, takich dwóch, trzech Ruskich z bronią na ramieniu i mógł się ten człowiek nie podobać, i mogli go zabrać, i co? [2012.03.09/LG]

I był taki przypadek ciekawy tutaj obok, jak kościół jest, to z boku była latarnia. Tam żołnierz [radziecki] zabił tego jednego. Pieniądzy nie chciał oddać, to głośna sprawa była. Pozabijał tam jedną osobę, czy dwie nawet... [2011.04.10/LG]

To znaczy wiem, że kiedyś nawet jakiś Rosjanin zastrzelił tam, gdzie jest... Nie, to pani i tak nie wie, gdzie to jest. Jakiś żołnierz rosyjski w desperacji zastrzelił dwóch Polaków, no i poszło mu to bezkarnie. Oni po prostu, jeżeli nawet jak był jakiś

⁷ Por. interpretacje przestrzennych zachowań człowieka w E. T. Hall, *Ukryty wymiar*, przeł. T. Hołówna, Warszawa 1976.

wypadek, to oni powiedzieli tak: „No było, no zdarzyło się” i sprawa u nich została całkowicie umorzona, a sprawy dalej z władzami polskimi nie były toczone [...]. Na nich nie można było się skarżyć. Oni stwierdzili: „No trudno, był wypadek, zdarzyło się”. Nie było żadnego protokołu prowadzonego, żadnych śladów, a właściwie oni czuli się bardzo bezkarni. Czuli się bezkarni [2010.03.03/LG].

Ja pamiętam: z kina wracałem, a na Pątnowskiej mieszkaliśmy, na przedmieściu Legnicy. Dwa mosty i... tunele były, wiadukty kolejowe były. I też to baliśmy się, bo tam Rosjanie nieraz faceta w nocy zimą... do rodziny przyjechał, to go rozebrali do kaleson, walizkę zabrali, wszystko. Na piechotę tam, było to... był 1947 rok. Zabrali mu wszystko. Myśmy mieszkali na Pątnowskiej. Ktoś walił rano w drzwi. Ojciec wyskoczył. Stoi facet w samej... w kalesonach i koszuli, boso tak, wszystko mu zabrali. I był bez dokumentów, bez niczego i bez walizki. I mówi, przyjechał, dajcie co. Ojciec wprowadził go do pokoju, dał jakieś ciuchy. No i... problem był, no bo on tam miał jeszcze dwa kilometry na wioskę. No to nie było rady – przenocowaliśmy go. Dopiero rano poszedł sobie [2011.04.12/LG].

Co trzeba było robić, to się robiło, a w wolne chwile wychodziło się ze strachem, bo pełno było Ruskich. Mieszkaliśmy w tej dzielnicy, obecnie to jest za katedrą, gdzie jest Kuria, o, mniej więcej w tamtej dzielnicy. No, ale wiele nie pomieszkaliśmy, bo wojsko przychodziło, wynosić się stąd, bo to będzie dzielnica wojskowa. Wyrzucili nas stamtąd na Zakaczawie. No i dalej się pracowało, człowiek gdzieś wychodził, w zasadzie początkowo nie baliśmy się ich, bo nikt nie wiedział jak jest, ale gdzieś wieczorem szło się, tu strzelanina, tam strzelanina [2012.03.13/LG].

Tym, co najbardziej odróżniało od siebie poszczególne okresy w radzieckich dziejach Legnicy, był status radzieckich żołnierzy. Pierwsze, powojenne lata (wraz z ostatnimi miesiącami wojny, od lutego 1945 roku), to okres ich samowoli, poczucia bezkarności, czas ekscesów i zbrodni, anomii w rozumieniu Émile'a Durkheima – była to niejako kontynuacja sytuacji wojennej, połączona z chaosem i niepewnością związanymi z nowymi pojałtańskimi granicami i stopniowym procesem wprowadzania władz polskich na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Leopold Wokotrüb, omawiając sytuację na podlegnickiej ziemi złotoryjskiej, podkreśla zwłaszcza przestępczą działalność maruderów⁸. Wiele pisze się też o zbrodniach radzieckich, których ofiarą padała ludność niemiecka⁹. Inną kwestią jest nieco późniejsze faworyzowanie ludności niemieckiej przez żołnierzy radzieckich, podsycanie polsko-niemieckich animozji i sugerowanie tymczasowości osadnictwa i władz polskich na tych terenach, o czym zresztą piszą oboje przywołani tu autorzy¹⁰.

⁸ L. Wokotrüb, *Pionierskie lata...*, s. 28-33.

⁹ Por. J. Hytrek-Hryciuk, „Rosjanie nadchodzą!”. *Ludność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej) na Dolnym Śląsku w latach 1945-1948*, Wrocław 2013.

¹⁰ L. Wokotrüb, *Pionierskie lata...*, s. 25; J. Hytrek-Hryciuk, „Rosjanie nadchodzą!”..., s. 148-158; por. też A. Niedzielenko, *Legnica jako ośrodek wojskowy*, w: *Legnica. Zarys monografii miasta*, red. S. Dąbrowski, Wrocław – Legnica 1998, s. 616.

W Legnicy strzelaniny połączone z wysiedleniem ludności polskiej, polskich władz i urzędów na drugi brzeg Kaczawy w lipcu 1945 roku dokonane przez stronę radziecką wzmacniały poczucie niepewności i odgrywania w mieście roli drugoplanowej. W narracjach rozmówców wyrażana jest odczuwana przez nich atmosfera grozy – strachu przed agresją żołnierzy, połączona z przekonaniem o ich bezkarności, czasem odnoszona do uwarunkowań systemu, który tolerował tego typu akcje (np. strzelaniny), o ile zachowywane one były w tajemnicy. Stąd opinia, że zastrzelenie przez radzieckiego żołnierza Polaków mogło mu ujsć na sucho. Opisany w trzecim cytacie napad rabunkowy sugeruje też kiepską sytuację materialną radzieckich żołnierzy, którzy nie ograniczają się do zabrania przedmiotów wartościowych – pieniędzy, zegarka – ale przywłaszczają sobie nawet ubranie napadniętego. Z biegiem lat, zwłaszcza od czasu odwilży – Październik ’56 odznaczył się w mieście demonstracją z próbą obalenia Pomnika Wdzięczności dla Armii Radzieckiej¹¹ – wojsko sowieckie zostało wzięte w karby, a incydenty kryminalne były pacyfikowane przez wewnętrzne służby radzieckie.

Oni mieszkali naprzeciwko tego zamku legnickiego, tak koło tej poczty dużej w Legnicy. To już było zaraz po wojnie, jakiś tam jeden garnizon stacjonował. Tam troszeczkę inaczej ta ulica, ta ulica przechodziła zaraz pod samymi tymi... przy samej tej poczcie, teraz tam jest parking. I opowiada, że któreś nocy ktoś tarani do drzwi, wiecie, gdzieś tam tego. Ojciec poszedł otworzyć, no ruski żołnierz, po prostu też taki, no Ruski po prostu, w ruskim mundurze. [...] Tam, gdzie teraz poczta, to tam był garnizon. I: „Dawaj – mówi – córkę!”. Jemu się po prostu chciało, wiesz, męska tam chcica mu przyszła i koniec. I on wiedział, że on ma córki chyba dwie czy trzy i: „Dawaj!”. No, ojciec zaczął się z nim tam szarpać, ona nam to opowiada, ta właśnie kobieta. [...] Ruski karabin zdjął, zaczął się tam szarpać z nim, padł strzał i gościu został ranny, ten dziadzius, nie. No ale, że huku się narobiło itd., to ten Ruski zwiął. No, ten dziadek, jej ojciec, zmarł do rana. Oczywiście awantura straszna, wiecie, i policja, i prokuratura ruska, i coś tego. To wszyscy mówią, że to był ruski żołnierz i tego. Długo nie trwało, [dowódca] zrobił zbiórkę całego garnizonu, bo to te dzieci też były przy tym, te córki, nie, powiedzmy tak w waszym wieku były [dwadzieścia parę lat]. I: „Pokazuj, który?”. Ona, opowiada mi ta kobieta, że ona tak szła i mówi: „Ten”. I oni go tak za ramię, pod zamek, strzał w tył głowy, dziękuję, sprawa załatwiona, po wszystkim. I ona mi mówi: „Wiesz co, [...] do dzisiaj sobie nie mogę tego darować. Bo może to on zabił mi ojca... Ale sobie nie mogę darować – a jak się pomyliłam...?”, mówi. Bo oni wszyscy jednakowi są [2012.11.09/LG].

Oprócz rozbojów i morderstw okres bezpośrednio po wojnie obfitował też w gwałty, nierzadko grupowe czy wręcz masowe, jak gwałty w pociągach, które odnotowano między innymi w okolicach Legnicy. Grupy sowieców zatrzymywały całe składy, a następnie gwałciły wszystkie pasażerki bez względu na wiek¹². Poczucie bezkarności radzieckiego żołdactwa pacyfikowali dowódcy, dokonujący natychmiastowych pokazowych egzekucji. Cała powyższa historia uderza brutalnością,

¹¹ W. Kondusza, *Mała Moskwa...*, Legnica 2006, s. 60-63.

¹² Por. np. M. Zaremba, *Wielka trwoga. Polska 1944-1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Kraków 2012, s. 178.

której ostateczną ofiarą jest kobieta, najpierw zagrożona gwałtem, następnie pozbawiona ojca, a w końcu borykająca się z wyrzutami sumienia.

Bo to jednak to był teren wojskowy i tam, no, trzeba było na wiele rzeczy jednak uważać, bo już nie było takiej sytuacji w latach osiemdziesiątych, że jak się popatrzyło zbyt bezczelnie na żołdaka, to mógł dać w gębę bezkarnie, ale tu tak wcześniej bywało, trzeba było po prostu uważać, no bo to siła, to jest armia, oni się tu czuli bezkarnie w ogóle. Nie było z nimi można [...] spokojnie pogadać [2010.02.11/LG].

Jednak nie wszyscy rozmówcy uważają panującą wówczas w mieście sytuację za kuriozalną czy nieakceptowalną – część z nich zdaje się do pewnego stopnia ją usprawiedliwiać, wskazując na nieuniknioną specyfikę miasta garnizonowego. Z pewnością dorastanie w Legnicy w tamtych czasach sprawiło, że sytuacje niezrozumiałe dla osób spoza miasta – w tym etnografów, którzy starają się odtworzyć to, jaki obraz codziennego życia w Małej Moskwie pozostał we wspomnieniach mieszkańców miasta – nie były kwestionowane ani podważane przez samych legniczan. Racjonalizowanie dziwnych, obcych zachowań to naturalna reakcja na styczność z innością, w tym wypadku innością oswojoną, bo stanowiącą nieodłączny (i, co ciekawe, przez wielu postrzegany jako nie mający nigdy ulec zmianie) element lokalnej rzeczywistości.

Oni byli kontrolowani przez swoich, nasi się do nich nie wtrącali, na przykład ja przyjechałem i byłem w mundurze, i to nie oddawałem im honorów, i tak samo w ogóle nikt z polskich żołnierzy nie oddawał honorów Roskim, mijaliśmy się na ulicy. [...] Więc tak, oficjalnego salutowania sobie, żołnierz polski żołnierzowi radzieckiemu czy rosyjskiemu nie było. Tak samo jak nie było żadnego jakiegoś takiego szukania zwady, zaczepki. Jeżeli już były, to raczej były inspirowane przez Polaków. Oni wszelkiego typu... O! Ten, ten nazywał się WAI, Wojenno-Administracyjna Inspekcja, tak to się nazywało. Więc oni się tego, tej swojej wojennej inspekcji bardzo bali, jeździły takie dwa, trzy gaziki z tym właśnie napisem „WAI” i jak się cokolwiek gdzieś tam działo, to oni sami przed tymi uciekali, jeżeli gdzieś tego, nie daj Boże, dać się złapać albo być złapanym, bo to się kończyło tym, że po prostu pakowali manele i wyjeżdżali. Stąd byli wyrzucani [2010.02.08/LG].

To jest tak jak u nas – poszedł łepek, kurde, zrobił prawo jazdy, wzięli go do wojska. Co on tym samochodem jeździł? Więcej go czyścić, jak jeździł. Później jak wyjechał taką, kurde, kolumbryną na miasto, no to w coś przedzwonił, no. Mojej koleżanki nawet ten mąż zginął, w takim wypadku na Złotoryjskiej. Też jechali ze Złotoryi, ze Złotoryjskiej do miasta i Ruski z 1 Maja wyjechał tą ciężarówką, nie? I przywalili, się zabili na miejscu. Chyba ze trzech ich tam zginęło. No, też się puścili, nie, że tam dość szybko jechali, bo tu z górki, to... Było tych wypadków trochę. [...] To przyjeżdżało i WAI, i milicja, nie? Bo to WAI to jest, to ich ta... ich milicja, ta wojskowa. Tak jak u nas żandarmeria w tej chwili. [...] Bo myśmy się kręcili tam, pilnowali, jeździli tymi samochodami swoimi. Ale to z reguły zawsze przyjeżdżali ci i ci. Ci do swojego, a ci

do naszego, nie? Raczej nie było tak, że polska policja na przykład, nie wiem, milicja, zatrzymała i spisywała ich, czy coś w tym stylu. Nie. Wołali to WAI [2012.03.20/LG].

Podobnie jak osobne szkoły, sklepy czy linie autobusowe, w radzieckiej Legnicy funkcjonowała podwójna jurysdykcja, polska i radziecka. Polaków dyscyplinowała polska milicja, natomiast wykroczenia i przestępstwa popełniane przez obywateli radzieckich, gdy dotyczyły ich współobywateli, popełnione zostały podczas pełnienia obowiązków służbowych lub przeciwko Związkowi Radzieckiemu, były rozpatrywane przez radzieckie służby. Przestępstwa godzące w Polskę i jej obywateli formalnie podlegały polskiej jurysdykcji, ale w praktyce przekazywano je organom radzieckim¹³.

Mój syn, który się w czerwcu urodził, lipiec to był.. Bardzo gorąco, miesięczne dziecko, okna pootwierane i naprzeciw nas mieszkali Rosjanie. Tam o godzinie piątej przychodził taki Rosjanin, a to było dla nich znamienne, radio tranzystorowe, no większe jak to, to duże takie szafy były, brali na ramię, prawda [*pokazuje, jak brali na ramię i chodzili*], na cały regulator i szedł do parku na spacer, prawda, na przykład, nie. Żeby wszyscy widzieli. I ten też miał takie radio, to wystawiał je na okno, prawda. Wkładał kasetę, jedną jedyną, prawda, *Czarne oczy masz, komu je dasz*. I na cały regulator. I to tak: tam szum uliczny, to główna ulica była prawda, tramwaj jeździł, no, ale dzieciak się do tego przyzwyczył, do tego szumu, a tu nagle łup: taka bomba, prawda, na cały regulator, no dosłownie na odległość między moim oknem to była tak jak do tego budynku czerwonego [*pokazuje za oknem budynek*] pierwszego, czyli na szerokość ulicy po prostu, no i dzieciak mi się zrywał i od razu stoi na baczność. I płacze, i tak dalej, no, i raz, drugi, trzeci. No i w końcu mnie to wkurzyło. Próbowałem z nim rozmawiać, a on mówi, że mu wolno. Za którymś momentem zadzwoniłem na naszą milicję, no, to milicjant jak się zorientował, że to seryjny konflikt, to dał mi numer do... numer, żebym tam zadzwonił. Dzwonię tam. Odebrał piękną polszczyzną facet: „Komendantura wojsk radzieckich, słucham”. No to ja mówię: „Mam problem, facet mi tam cały czas do środka puścił tą płytę, sam poszedł do sklepu czy na podwórko sobie wyszedł pograć w siatkówkę, to, to mu leci ta kasetka. W którymś miejscu kasetka się kończy. Następuje cisza, prawda. Dzieciak kiedy się już przyzwyczył do tego huk, kiedy go uspiliśmy, no to jest ta cisza, on sobie śpi, no to ten wracał do domu obracał kasetę i za chwilę znowu w tę ciszę, prawda, jakąś tam umiarkowaną i znowu ten, ten i znowu dzieciak...”. No, to za coś dosłownie dwie, trzy minuty nie trwało, przyjechali na motorce, trzech na motorce przyjechało. A jemu się akurat kasetka skończyła. No i tak zajechali, podnieśli te klapki prawda, słuchają, słuchają, cisza, nie słyszą, żeby co grało, nim on zmienił tą kasetę, nim co, no to oni już pojechali. Ledwo oni odjechali – łup, kurde, znowu [*uderza ręką w stół*]. To ja znowu dzwonię, prawda, i mówię. [On odpowiada] „No, tak, ja tam wysłałem patrol”. „Był – mówię – trzech na motorze było, ale akurat

¹³ W. Kondusza, *Mała Moskwa...*, Legnica 2011, s. 314-316; por. też Z. Ostrowski, *Pożegnanie z armią*, Warszawa 1992, s. 24-25.

facet cicho. Teraz pan słyszy, nie? O!”. Wystawiłem słuchawkę, nie [pokazuje, jak nadstawiał słuchawkę przez okno]. „No tak, głośno jest. No to zejdź na dół” i tam zaraz, no dosłownie za chwilę podjeżdża gazik, już nie, nie motocyklista tylko gazik i też idioci, bo u Rosjan się mówi „etaż” [piętra] prawda, więc „pierwoj etaż” to jest parter, „wtaroj etaż” – pierwsze piętro. Mnie się z tym pomyliło, mnie się pytają, no gdzie, no widzą, że radio stoi na pierwszym piętrze, pytają się mnie gdzie, gdzie to jest, a ja: „No tam”, powiedziałem „pierwoj etaż”. Ci wpadli na parter, jak zaczęli kopać po tych drzwiach, no to ja wpadłem za nimi, że nie, że piętro wyżej, oni, że mówił, że pierwoj etaż. No pomyliło mi się po prostu. Pierwsze piętro. Polecili na górę, ja stoję w tej bramie na dole, nie. „Kto tam?”. „Ja ciebia jebju twoja mać!”. Już krzyk taki do... dosłownie jak esesmani widzimy na filmach, wołali tak samo oni. Ja już z tej bramy uciekłem, przechodzę przez jezdnię na swoją stronę. Kurczę, dosłownie, no, prawie mi za plecami. Obracam się, a ci wpadli do niego do mieszkania, prawda, z karabinami, kurde, oni od razu z tymi pepeszami wpadali. Wpadli tam, dopadli do tego pokoju, do tego okna, złapali to radio, w pizdu na jezdnię przez okno rzucili [pokazuje]. No to bum, jak takie ruskie radia duże. To się było co rozwalić [śmiech]. Jak gruchnęło. Na drugi dzień patrzę, a tu franki zasłonięte. Na trzeci dzień to samo. Tak po prostu w przeciągu dwudziestu czterech godzin zsyłali, prawda, na Sybir i koniec. Tak że, że tutaj się nie patyczkowali [2010.02.09/LG].

Krewki rozmówca nie obawia się zainterweniować, gdy napomnienia nie odnoszą skutku. Zwraca tu uwagę kompetencja językowa urzędnika komendantury oraz szybkość i bezwzględność interwencji. Szczegółem dodającym kolorytu jest pomyłka z odliczaniem pięter – w tej sprawie w kulturze polskiej i rosyjskiej obowiązują dwie różne normy.

Czarne oczy masz, komu je dasz to kontaminacja rosyjskiej piosenki *Oczy cziornyje* i bigbitowego utworu Czerwonych Gitar *Ładne oczy masz*.

Idę ja do domu, a drugą zmianę mieliśmy wtedy i idę taka już zmęczona. A miałam, proszę panią, lekcję na temat Borodino. [...] Właśnie. Oczywiście, bardzo fajna lekcja. I jest tak – że tu jest ulica i trzeba tutaj się zatrzymać, żeby przejść na drugą stronę. Ja się zatrzymałam, tu stoję i tutaj Rosjanin: „A ty takaja, k...i ch...i wsio takoje, a wot tibia nie хочzet, nikto nie хочzet, a ty staisz na ugłu” [A ty taka, k... i ch... i wszystko tak, a ciebie nie chce, nikt nie chce, a ty stoisz na rogu]. Wie pani? A tu akurat miałam przejść do siebie do domu. Jak ja się wkurzyłam, [...] pierwszy raz w życiu kak ba, bah! Jemu w mordu, pa ruski. Naprawdę. Taka byłam rozgoryczona. Ja myślę – ja teraz przed chwilą miałam lekcję o Borodino, a jeszcze... a sława ruskawa orużja [chwała radzieckiego oręża], tam ty, ty gadzie i wot, on mnie... on mi... takoje mnie szto do mnie k... i ch... No i dała w mordu, kak gawaritsa pa ruski. Ale on był pijany, to moje szczęście, bo może by mi oddał. [...] To był w cywilu, ale to był oficer, tak, później się okazało. I ja idę... A ponieważ mieszkałam na ulicy, która naprzeciw, o, teraz jest Wyższa Szkoła Zawodowa; właśnie tam ja szłam,

a naprzeciw mieszkaliśmy. I ja poszłam do tej jednostki, a on za mną drepcze, ten facet. Ja przychodzę do tej jednostki i mówię, i tak: „Pażałujsta, mnie naczalnika siuda” [Proszę, żeby przyszedł tu do mnie naczelnik jednostki]. Prichodzi naczelnik: „Sztó słucziłos, w czom dieło?” [Przychodzi naczelnik: Co się stało, w czym rzecz?]. Ja mówię: „Ja idu z raboty, ja priepodawatiel, ja polski grażdananin i on mienia wstrecza w biesowiesny sposób, askarbił tak, szto ja etogo w siebie – kak gawaritsa – ja nie żelaju, sztoby ja, grażdananin, w Polsce...” [Wracam z pracy, jestem wykładowcą, polskim obywatelem, a on mnie zaczepił w tak niegrzeczny sposób, zwymyślał, że ja tego sobie, jak się mówi, nie życzę, żebym ja, obywatel, w Polsce...]. „Da? Kak wasza familia?” [Tak? Jak pani nazwisko?]. Mówię: „My eta wsio aformim, uładzim i tak dalej” [Wszystko załatwimy formalnie]. No i właśnie spisał moje dane, podziękował mi, przeprosił. Ale ja później, ja mówię do niego – a widać, że już trzeźwił – ja mówię: „Kak wam nie stydna? Ja idu pośle raboty, wy mienia eto samoje glisy? Gdyby ja była takowa roda, ja byłaby oczeń rada, szto wy mienia tak bystro rozszyfrowali. Panimajetie, a wot? I kak wam nie słowiesno? Wy nie boicie się i maładioż waspityrć, a sztoże wy sami tak?” [Jak panu nie wstyd? Wracam z pracy, a pan mnie tak zaczepia? Gdybym była tego rodzaju kobietą, byłabym bardzo zadowolona, że mnie pan tak szybko rozszyfrował. Rozumie pan, co? I nie głupio panu? Nie boi się pan młodzież nadzorować, a pan sam tak?] No i w każdym bądź razie on już tak mniej więcej wytrzeźwił. Na drugi dzień, słuchajcie, ja przychodzę do szkoły, a tutaj mówią, że był tu taki facet z bukietem kwiatów [*śmiech*]. Ale mnie nie było, kwiaty zostawione i powiedział, że przyjdzie o takiej i takiej godzinie. Przyszedł: „Pomagitie, spasitie mienia” [Proszę mi pomóc, uratować mnie] – i pokazuje mi zdjęcia dzieci – „moja doczka figuristka, czempionka, pomagitie, niczego nie gawaritie” [moja córka, łyżwiarka figurowa, czempionka, proszę pomóc, nic nie mówić]. I mówi tak, że o godzinie trzeciej przyjedzie czornaja wołga i nas prigłaszażet k siebie kamendant garnizona [czarna wołga i nas zaprasza do siebie komendant garnizonu]. [...] No tak. I prijechała czornaja wołga, wsieli w etu czornuju wołgu i prijechali w komendantu-re [I przyjechała czarna wołga, wsiedliśmy do tej wołgi i przyjechaliśmy do komendantury]. Komendantura to teraz ten sąd na Żłotoryjskiej, obok Galerii Gwarnej. I weszliśmy tam do tej komendantury. A on przed wejściem do tego komendanta mówi: „Ja was oczeń praszu, tylko niczego nie gawaritie pro Borodino” [Bardzo panią proszę, niech pani tylko nic nie mówi o Borodino] [*śmiech*]. I weszliśmy do tego komendanta. Komendant mówi: [...] „Izwinitie, prinosim wam ogromne izwinienie, pażałujsta” [Przepraszam panią, ogromnie panią przepraszam] i tak dalej, no i wsio. „No wy uże swobodna” [Jest już pani wolna]. A on też myślał, że już wyjdzie. „A wy ostancies” [A pan niech zostanie].

Rozmówczyni, znająca biegle rosyjski i przybliżająca polskim uczniom rosyjską historię i kulturę, jest tak oburzona wulgarną zaczepką pijanego „Ruskiego”, że reaguje bardzo ostro – najpierw

uderza go w twarz, a następnie zgłasza sprawę. Efekt jest podobny jak we wcześniejszej historii: poważne nieprzyjemności dla radzieckiego oficera. Szczególnie istotna staje się tu bitwa pod Borodino – starcie wojsk napoleońskich z armią rosyjską dowodzoną przez Michaiła Kutuzowa, które otworzyło Francuzom drogę na Moskwę. Obrażenie obywatelki polskiej, która popularyzuje ważne karty z dziejów rosyjskiego oręża, okazuje się incydentem tym bardziej zasługującym na surowe potraktowanie, z czego zdaje sobie sprawę po wytrzeźwieniu sam winowajca, stąd jego próby załagodzenia sytuacji.

Ja miałem takie odczucie, że oni po prostu wykonywali rozkazy, siedzieli spokojnie, nie drażnili w zasadzie. Jak były czasem jakieś takie awantury, no to były, ale to były ludzkie awantury, mało kto tam. Gdzieś tam podobno jeden wyjął pistolet w knajpie i zaczął strzelać, tak o, na zasadzie do wiwatu, wykrzykiwał jakieś głupoty, no ale, no taki długo nie pomieszkał tutaj, momentalnie go wywożono, on zniknął z pola widzenia [2010.05.10/LG].

„Ludzkie awantury” są, jak się wydaje, antytezą ekscesów o podłożu politycznym, autor wypowiedzi wskazuje na ich międzyludzki, a nie polsko-radziecki charakter, bagatelizując je tym samym. Westernowy obraz „Ruskiego” strzelającego „do wiwatu” i wykrzykującego „jakieś głupoty” również wskazuje na w gruncie rzeczy niepoważny charakter zdarzenia. „Zniknął z pola widzenia” jako eufemistyczne określenie karnego odesłania do Związku Radzieckiego jest tym trafniejsze, że akcentuje niewiadomą dotyczącą dalszych losów odesłanego.

Do konfliktów Rosjanie nie dopuszczali, to znaczy jak był konflikt, bardzo ostro wkraczali i Rosjanin, jak się wdał w konflikt jakiś tam z Polakami, no to temu Polakowi było w ogóle żal, że to zgłosił, prawda. Ja mówię, ja sam zgłosiłem dwa razy, zgłosiłem. I właściwie na dobrą sprawę to te dwa razy było mi żal tych ludzi, co z tymi ludźmi robili [2010.02.09/LG].

Ja nie widziałem takich bardzo dużych konfliktów. Jeżeli już to w okolicach Wiarusa [knajpy], to bywało, że Polak odreagowywał na Rosjaninie albo odwrotnie: Rosjanin poczuł się urażony czymś tam i trząsknął ręką. Ale nigdy nie było jakichś większych sensacji i pamiętam, że to się zawsze bardzo cicho załatwiało, niwelowało się, wyprawdzali go, starano się nie robić z tego większej zadymy. To były incydenty, większych takich awantur nie znam. Musicie o jednym wiedzieć, Rosjanie przyjeżdżali tutaj jak do lepszego kraju. Oni tu naprawdę, to była nobilitacja, inne życie, więc oni starali się tu być jak najdłużej, być jak najbardziej w porządku. I jak się takie sytuacje zdarzały, to won i na front wschodni prawie że [2010.05.10/LG].

Ostre dyscyplinowanie powodowało swoiste poczucie władzy u Polaków, ale też współczucie wobec „Ruskich”, które mogło prowadzić do załatwiania konfliktów „bardzo cicho”, bez „robienia większej zadymy”. Drugi z rozmówców podkreśla demokrację konfliktów – raz Polak „odreagowywał, a raz Rosjanin”. „Trząskanie ręką” można odczytać jako próbę bagatelizowania konfliktów – wszak były to tylko rękoczynny, obywało się bez użycia broni. Przyrównanie karnego zesłania do

odesłania „na front wschodni” jest przewrotne, jako że odwraca niejako znaczenie tego sformułowania, które przecież odnosiło się do karnego wysyłania Niemców do ciężkich i okrutnych walk w głębi Związku Radzieckiego w czasie drugiej wojny światowej.

Aczkolwiek były w Legnicy dwie afery, które się skończyły takimi, no, bardzo znanymi morderstwami nawet, prawda? Jeden był na Wrocławskiej, gdzie żołnierz zabił dwie osoby i potem sam również się zastrzelił. [...] Chodziło o biznes. Chodziło o biznes. Druga sprawa była na ulicy Hutników, żołnierz zastrzelił... kobietę, to była historia taka sercowa. No i niewyjaśniona po dziś dzień tajemnica śmierci małżeństwa [...], zresztą to byli nawet znajomi mojej mamy. Oni się bardzo mocno... tak sprzęgli z Rosjanami, ale to był typowy biznes, tam było złoto, tam były diamenty itd., itd. I nikt nie wie, jak to się stało, nikt... nie wykryto sprawców tej zbrodni. Odkryto właśnie ich zmasakrowane ciała i kompletnie splądrowane mieszkanie, to było na ulicy Orzeszkowej. To były takie trzy historie, które się wiążą niejako, w tym wypadku akurat, z Rosjanami [2011.11.06/LG].

Na Wrocławskiej było takie zdarzenie, słyszałeś? Tak... jak ten handlował z Ruskimi, co zastrzelili Ruscy? To było tutaj na Wrocławskiej koło W-Z-etki [restauracji]. Na pierwszym piętrze mieszkała lekarka z synem, to była taka lekarka ze Wschodu. I syn handlował z Ruskimi. [...] Handlował, handlował i w końcu Ruski przyszedł po pieniądze i nikogo nie było w domu, i ten się wkurzył, to zarepetował ten tratatata!. Tak po tych drzwiach. Taksówkarz jechał, usłyszał strzały i zadzwonił po milicję. Milicja zamiast, durnie, obstawić i zawołać komendanturę, to oni do tej bramy wskoczyli. To jeszcze mojej znajomej mąż był – i w dwóch. A on serię puścił, to jednego zastrzelił, jednego ranił, wyskoczył z bramy, zatrzymał samochód, miał ten maszynowy karabin, wskoczył w ten samochód i dawaj, uciekał na Lubin. Ci, jak przyjechali tutaj na Wrocławską, karetka i zaraz przyjechali Ruscy. Powiedzieli, że jadą sami. I oni tam w kilka tych gaziki pojechali za nimi. On samochód tego faceta zatrzymał, wysiadł i w las! To ten facet stał tylko na drodze, no i te samochody podjechały i: „Czy widział tego?”, a on mówi: „Ja, ja jechałem” – i go puścił, bo – „myślałem, że mnie zastrzeli, w las uciekł”. I oni w ten las, okrążyli ten las i tylko pif, paf! było słychać, dopadli go, zastrzelili i na tym się sprawa skończyła. To był taki jeden przypadek, że wszyscy widzieli, słyszeli, w gazetach pisało. Pogrzeb był tych milicjantów, co zginęli, no bo oni tam niepotrzebnie wpadali do tej bramy – usłyszeli strzały, wiedzieli, to powinni zaczekać aż przyjedzie wsparcie, wezwać Ruskich, Ruscy by go sami dopadli [2012.03.22/LG].

Śród kryminalnych incydentów najgłośniejszym była strzelanina, do jakiej doszło w budynku przy ul. Wrocławskiej, nad kawiarnią W-Z, 15 grudnia 1968 roku. Dezerterski z radzieckiej jednostki, nazwiskiem Kriukow, niebacznie zaproszony do mieszkania na wódkę przez Stanisława Kaczorowskiego, zastrzelił z niewyjaśnionych przyczyn mężczyznę i postrzelił jego matkę, Walentynę Dubicką-Kaczorowską. Następnie podczas ucieczki ranił z kałasznikowa zwabiony odgłosem strzałów patrol MO – dwaj

funkcjonariusze zginęli na miejscu. Sprawcę znaleziono w okolicznej bramie z przestrzeloną głową¹⁴. Pamięć o tragedii pozostała wśród mieszkańców miasta do dziś w postaci niejasnych ech. Najlepiej pamiętane jest samo miejsce zdarzenia, zaś liczba ofiar, przyczyny zajścia oraz dalszy los radzieckiego agresora są przez rozmówców przeinaczane. Spora część osób doszukuje się tu porachunków handlowych, być może dlatego, że z tą właśnie sferą aktywności najczęściej kojarzy się relacje polsko-radzieckie. W drugiej z przytoczonych opowieści narracja budowana jest na podobieństwo westernu lub filmu sensacyjnego – taki mechanizm konstruowania opowieści autobiograficznej opisuje Harald Welzer¹⁵ – a sama historia została skontaminowana z inną dezercją, jaka wydarzyła się 29 maja 1980 roku. Radziecki dezerterski uciekał w nocy taksówką w kierunku Lubina. W celu zakupu wódki i papierosów kazał taksówkarzowi zatrzymać się przed jedną z lubińskich restauracji, gdzie kierowca dostrzegł dwóch milicjantów i poinformował ich o sytuacji. Podczas próby zatrzymania radziecki żołnierz, grożąc bronią, porwał ciężarówkę i uciekał w stronę miejscowości Osiek. W przydrożnym lesie został otoczony przez radziecką grupę pościgową i kilku polskich milicjantów. Zmarł w wyniku ran odniesionych podczas strzelaniny¹⁶. Ciekawe, że autor tej połączonej opowieści podkreśla głupotę polskich funkcjonariuszy – „durni”, którzy „niepotrzebnie wpadli do bramy” – uznając, że taka sprawa należała do kompetencji strony radzieckiej, która w efekcie poradziłaby sobie znacznie sprawniej.

Ale rygor mieli dużo gorszy niż my. My mogliśmy pozwolić sobie na różne wysokości, Ruski na żadne. Jak któryś żołnierz rosyjski uciekł z wojska, to od razu był komunikat, że ucieka niebezpieczny człowiek z bronią. Nie chcieli go łapać żywego, był rozstrzeliwany [2011.11.31/LG].

Ja pamiętam, miałem wtedy może z siedem, osiem lat, jak u nas tam właśnie Ruskich gdzieś tam zadzwonili czy powiedzieli, nie wiem, telefonu wtedy nie było, w każdym razie, że gdzieś uciekł im jeden żołnierz z jednostki, tam zza Kaczawy. Może to Jerzyk nawet widział, bo myśmy to patrzyli. Przyjechało NKWD ich ruskie samochodem, i on u nas na dach uciekł, i za komin się schował. Karabiny... Jak zaczęli tam do niego strzelać, do tego komina... On coś tam narozrabiał i ludzie gdzieś tam po milicję zadzwonili, czy coś, szybciotko... Tak tam do niego strzelali, nie wiem, Jerzyk może był przy tym, razem żeśmy się chowali. Jakoś się tam poddał, zeszedł na dół, wzięli związały ręce, nogi jakimś tam drutem czy sznurkiem, nie wiem, oni krótko, nie było coś takiego. [...] U nas bandziory łatwiej sobie chodzą i nikt ich nie ściga, a tam momentalnie, jak gdzieś coś widzieli, albo by ktoś zadzwonił, że ktoś chodzi, to był moment, była delegatura, to jest moment. Dyscyplina olbrzymia [2011.11.07/LG].

Legniczanie podkreślają rygorystyczne pilnowanie dyscypliny w radzieckiej armii i krwawe załatwianie zwłaszcza przypadków dezercji – jak twierdzi większość rozmówców, karą było natychmiastowe zastrzelenie, oficjalnie prezentowane jako przypadkowy efekt strzelaniny lub samobójstwo uciekiniera – co wywołuje współczucie opowiadających. Jak podaje Wojciech Kondusza,

¹⁴ W. Kondusza, *Mała Moskwa...*, Legnica 2011, s. 318-319.

¹⁵ H. Welzer, *Materiał, z którego zbudowane są biografie*, przeł. M. Saryusz-Wolska, w: *Pamięć zbiorowa i kulturowa. Współczesna perspektywa niemiecka*, red. M. Saryusz-Wolska, Kraków 2009, s. 39-57.

¹⁶ W. Kondusza, *Mała Moskwa...*, Legnica 2011, s. 320-321.

większość przestępstw popełnianych przez radzieckich żołnierzy dokonywana była nocą, podczas samowolnego opuszczenia jednostek¹⁷. Represje, w tym karne odesłanie do Związku Radzieckiego, groziły też rodzinie przestępcy, a w przypadku nieletnich na przykład dyrektorowi szkoły.

No i rozmawiamy, jak już żeśmy se troszkę popili, i ja mówię: „Słysz ty, Griszka – mówię – no ty pułkownik, ty adiutant generała, dawaj ty pogawarisz i zdiełajcie rewolucję”. „Ło-boże, co tyż gawrisz? – mówi – tam córka w drugim pokoju, [...] jakby ona wskazała, to ja bym od razu w tiumru paszoł [poszedł do więzienia]”, mówi tak. Taak, dzieci ojcu, rodzice się bali rodziców, taka była dyscyplina, oj kochani, nie było tak prosto [2010.05.03/LG].

Wobec tak dużego rygoru, a przy tym częstego donosicielstwa – *vide* rozdział trzeci – nawet żarty podczas popijawy mogły okazać się niebezpieczne. Tu strach wywołuje córka oficera, co przywołuje na myśl słynną sprawę Pawlika Morozowa – młodocianego denuncjatora własnego ojca, zamordowanego następnie za to przez dziadka w 1932 roku – chłopca wykreowanego przez radziecką propagandę na bohatera i męczennika¹⁸.



Słyszałam raz, że Rosjanka z rynku szła, miała czapkę z lisa, tak, zdarli. Chuligan podleciał i zdarł z głowy. Czy to w gazecie pisało? [2010.05.19/LG]

I muszę wam powiedzieć, że w 1975 roku, kiedy Legnica miała być województwem, a były problemy, czyli czy Legnica czy Lubin, pojawiły się takie głosy... Opowiadam teraz trochę plotkę, ale taką no... dobrze zasłyszaną. Więc pojawiły się jakby głosy gdzieś tam wysoko, że Legnica nie może być województwem z powodu stacjonowania tu tych wojsk radzieckich. I prawdopodobnie, słyszałem taką rzecz, że jakiegoś Rosjanina przykładowo powieszono czy zamordowano w parku. I to była taka zady-ma wielka, że jakiegoś żołnierza rosyjskiego znaleziono zabitego i miał być to taki akt desperacji legniczan czy coś takiego, chuliganeria być może jakaś tam. Powód był taki, że być może przez Ruskich nie będziemy województwem. No i zostaliśmy województwem, ale taka fama była, że właśnie... [...] Przypadkowo go ukatrupili, na zasadzie: Rosjanie nam przeszkadzają. Bo tu była taka bitwa: Lubin, Legnica... No to jak Rosjanie się okazali problemem, to tak usłyszałem, że tak się stało. To wzbudziło straszny niepokój, Rosjanie mieli wtedy zakaz wychodzenia na ulicę, bo robiło się nieciekawie, mogło dojść do takich większych zadym. No to pamiętam jak dziś taką historię, którą usłyszałem. Ja tych zwłok nie widziałem, wiadomość była taka usłyszana, ale takie desperacje też miały miejsce [2010.05.10/LG].

¹⁷ Tamże, s. 323.

¹⁸ Por. J. Drużnikow, *Zdrajca nr 1 czyli Wniebowzięcie Pawlika Morozowa*, przeł. F. Ociepka, M. Putrament, Warszawa 1990; tegoż, *Rosyjskie mity. Od Puszkina do Pawlika Morozowa*, przeł. F. Ociepka, M. Putrament, Warszawa 1998; M. Brzóstowicz-Klajn, *Pawlika Morozowa wzorzec*, w: *Słownik realizmu socjalistycznego*, red. Z. Łapiński, W. Tomasiak, Kraków 2004.

O, a tutaj pamiętam, taką scenę opowiem – może ja tu skręcę – tu, w tej bramie pod dwójką, kiedyś gramy w piłkę, słyszymy takie poruszenie, coś się dzieje, jakiś hałas, krzyk, Ruski się drze. A Polak [...] taki niski, on taki zboczeniec był, on zgwałcił taką pięcioletnią dziewczynkę, tu w piwnicy. [...] No i ten Ruski go na tym przyłapał, to jego córka była. Huk policji polskiej, ruskiej, zbiegliśmy się tu wszyscy. I on tu stał gdzieś, tu go trzymali policja przy tych płotach. Te płoty może były inne, wiecie, tu już tak troszkę się zmieniło, takie ogrodzenia były inne. Pamiętam, że tutaj na boisku ćwiczyli chłopaki. A go, nie, było gdzieś go tu przy bramie trzymali, wiecie? I ćwiczyli kulturysty tam, z takich klubów kulturystycznych i któryś chciał go chciał tutaj zlinczować, z tych kulturystów, nie?

A to ruscy kulturysty?

Nie, nie, Polacy. [...] Zboczeniec to dla wszystkich jednakowy [2012.11.09/LG].

Oprócz niewybrednych zaczepki i wybryków młodocianych łobuzów – omawianych w rozdziałach pierwszym i czwartym – obywatele radzieccy padali czasem ofiarą przestępstw ze strony polskich obywateli. Mogły to być ekscesy chuligańskie, jak w przypadku kradzieży czapki z lisa, ale mogły być to też poważniejsze występki. W drugiej historii narrator przyznaje uczciwie, że przywołuje pogłoskę – niesprawdzoną, choć „dobrze zasłyszaną”. Jej prawdopodobieństwo ocenia na podstawie znanych sobie nastrojów w mieście, wpisując ją w realia lokalnej polityki, a mianowicie współzawodnictwa między Legnicą a Lubinem. Nadawanie niejasnym wydarzeniom wydźwięku politycznego jest charakterystycznym rysem plotek, pogłosek i legend miejskich z czasów Polski Ludowej. Tak interpretowano katastrofę lotniczą, która wydarzyła się w połowie lat siedemdziesiątych pod Krakowem – miała być nieudaną próbą porwania samolotu z politycznych pobudek. Za zamach niektórzy uznawali też wybuch gazu w warszawskiej Rotundzie w 1979 roku. Najgłośniejszą taką sprawą było zabójstwo pułkownika Jana Gerharda w 1971 roku. Wiązano je z jego niegdysiejszym udziałem w akcji „Wisła” i egzekucjami członków UPA¹⁹. Tu wymiar polityczny przypisuje się być może przypadkowemu zabójstwu obywatela radzieckiego.

Ostatni cytat opisuje wydarzenie tak bulwersujące, że wywołuje gwałtowną reakcję na poziomie ogólnoludzkim, bez oglądania się na polityczne czy etniczne przyporządkowanie jego uczestników, bo „zboczeniec to dla wszystkich jednakowy”.



Ale jako mała taka smerda to widziałam teatr. Ten teatr, który zabrali Rosjanie. Nigdy nie zapomnę tego klasycystycznego wnętrza tego teatru. Więc wszelkie drewno, czyli łoże zrobione z drewna, prawda, foteliki, rzędy tych fotelików na biało malowane, kręczone, prawda, te wszystkie ornamenty takie charakterystyczne staroświeckie. A siedzenia były z czerwonego pluszu. Tam to osobiwie bardzo wyglądało. Rzeczywiście taki stary teatr, taki jaki się widzi czasami, o gdzieś w Paryżu, prawda, taki stary teatr. I... No oczywiście dziadek znając język rosyjski [*śmiech*], to on się wszędzie pchał. Pchał się do Teatru Letniego na koncert. A tutaj przyjeżdżały naj-

¹⁹ D. Jarosz, M. Pasztor, *W krzywym zwierciadle. Polityka władz komunistycznych w Polsce w świetle plotek i pogłosek z lat 1949-1956*, Warszawa 1995, s. 13.

lepsze zespoły z byłego Związku Radzieckiego. Na przykład Aleksandrowa, ten słynny Chór Aleksandrowa, tutaj to ja słyszałam. I kiedyś zabrał mnie do teatru dziadek też. No więc wysłuchał tego, co tam dali w tym teatrze, dziadek też. Potem dziadek wstał i po rosyjsku pięknie podziękował. Bo on miał taką naturę. To był w ogóle aparat nie z tej ziemi [2010.02.31/LG].

Dla mniejszości ukraińskiej pobyt Rosjan tutaj czy stacjonowanie wojsk radzieckich wniosło też, jak gdyby, pewne pozytywne rzeczy, chociażby na przykład to, że na przykład w Legnicy istniały rosyjskie, sowieckie, radzieckie księgarnie, w których można było kupić literaturę ukraińską. I te księgarnie były dostępne również dla legniczan. I na przykład młodzież z ukraińskiego liceum mogła kupować na przykład literaturę ukraińską. W momencie, kiedy Rosjanie zniknęli, ta literatura zniknęła z Legnicy. [...] Zależy od tego, z jakiej perspektywy będziemy patrzeć. Jeżeli patrzę na przykład na kulturę, to twierdzę, że Legnica dużo straciła w sferze chociażby wymiany kulturalnej, kontaktów kulturalnych, przecież tutaj funkcjonowały zawodowe zespoły, w związku z pobytom Armii Radzieckiej, funkcjonowały domy kultury, chociażby ten dom kultury przy ulicy Nowy Świat, gdzie Rosjanie bardzo często zapraszali swoje zespoły, bardzo dobre zespoły, i jeżeli popatrzymy na ten temat od strony... *sensu stricte* od strony kulturalnej, pełnego profesjonalizmu artystycznego, przecież szkoła sowiecka, czy baletowa czy artystyczna, ona była na bardzo wysokim poziomie. I na przykład mniejszość ukraińska miała często możliwość oglądania, spotkania wspinających zespołów ukraińskich. Na przykład były tu chociażby profesjonalne chóry czy zespoły taneczne przybyłe właśnie z Ukrainy sowieckiej. Tak że właśnie były gdzieś... Tak jak mówię, nie zapominając o tych tragicznych doświadczeniach politycznych i pochodnych związanych z pobytom wojsk sowieckich tutaj i służb, na przykład, wewnętrznych czy zewnętrznych armii sowieckiej, to gdzieś ten pobyt miał właśnie takie pozytywne aspekty w życiu miasta, jak chociażby właśnie ta oferta kulturalna, być może względny ekonomiczne, nieoficjalne, ale na pewno wielu mieszkańców Legnicy na tym skorzystało [2010.05.08/LG].

Jak widać stacjonowanie w Legnicy Północnej Grupy Wojsk AR miało też jeszcze inne oprócz wskazywanych wcześniej konsekwencje dla miasta – wpłynęło na jego rozwój kulturalny. Obok własnych, działających na miejscu instytucji kulturalnych przyjeżdżały tu liczne zespoły teatralne i baletowe, chóry, grupy taneczne, piosenkarze i inni artyści. Działała też dobrze zaopatrzona księgarnia. Sporo imprez kulturalnych było otwartych dla Polaków, choć ci nie zawsze byli nimi zainteresowani. Jednak posługująca się wschodnimi językami ludność – przede wszystkim wysiedleńcy z ziem wschodnich II RP, Ukraińcy i Lemkowie, a także ci Żydzi, którzy spędzili drugą wojnę światową w Związku Radzieckim – doceniała te możliwości kulturalne i wspomina je do dziś. Buduje to opozycyjny wobec stereotypu „Ruskiego dzikusia” obraz dyspozytariuszy kultury europejskiej najwyższej próby, jak również przyczynia się do tworzenia obrazu dawnej Legnicy jako miejsca prężnego kulturalnie, którego zaletą była właśnie wielokulturowość przekładająca się na rozbudowaną ofertę kulturalną.

Co powiem, tu gdzie jest teraz Kuria, był kiedyś Dom Oficera. W tym Domu Oficera była przepiękna sala kinowa, była sala bankietowa, były pokoje gościnne, hotelowe, restauracja, odbywały się tam często... no, dzisiaj to się nazywa dyskoteki, kiedyś to były potańcówki. Nie było problemów, byłem parę razy tam na imprezach, gdzie nawet ja pracowałem w energetyce przez jakiś czas, to zakład energetyczny odnajmował – oni użyczali, nie było problemu. Do kina żeśmy chodzili. Jeszcze od dzieciaka żeśmy chodzili do nich na filmy... ze szkołą. Tak, że nie, nie widzę żadnych negatywów, wręcz pozytywy. Ludzie byli zaprzyjaźnieni z nimi. Były jakieś no wspólne korzyści z tego [2011.07.04/LG].

Poza ofertą z najwyższej półki, obecność garnizonu dostarczała też popularnej rozrywki, jak dyskoteki czy kino. Wielu legniczan wspomina zarówno klasykę radzieckiego filmu, obejrzaną za czasów stacjonowania ościennych wojsk, jak i budzące do dziś silny sentyment kreskówki z serii *Wilk i zając*, ros. *Nu, pagadi!* (Ja ci pokażę!), w reżyserii Wiaczesława i Aleksieja Kotionoczkina i Władimira Tarasowa (ZSRR 1969-1991, Rosja 1991-1995, 2005). Podkreślenie „wspólnych korzyści” znów odwołuje się do poglądu o łatwości międzyludzkich kontaktów, które rozkwitały niezależnie od założeń systemowych. Izolacja dwóch narodów tym bardziej wydaje się fikcją w obliczu wymiany kulturowej zachodzącej w mieście.

Ale w latach dziewięćdziesiątych, jak byłem dziennikarzem, to pamiętam sytuację, że była taka konferencja prasowa, gdzie któryś tam z tych generałów mówił, że chce pokazać taką ludzką twarz tej armii, w ogóle, że my się otwieramy i chcemy współpracować. Bo tam Rosjanie jeszcze wtedy w ogóle nie chcieli słyszeć o wycofywaniu się z Polski, a Wałęsa dopiero zaczynał coś działać w tym kierunku. I pamiętam, że na tej fali był koncert Stanisława Soyki, w budynku dowództwa, to jest dzisiejsza Kuria biskupia. I Stanisław Soyka tam grał koncert, pamiętam, że się ludzie – bo ja byłem na tym koncercie – wchodziło się na ten koncert, szło między żołnierzami, którzy pod karabinem tak stali i prezentowali broń, i się tak wchodziło na ten koncert. I to Polacy i Rosjanie oczywiście też byli. Ja nie wiem, czy Soyka to pamięta, to też mogło być ciekawe, ja zupełnie nie znam jak np. to jakaś garderoba musiała, jakieś przygotowanie, jakaś próba, to musiało być przeżycie w ogóle dla gościa [2010.02.11/LG].

Ostatnie lata pobytu wojsk radzieckich to czasy rozszczelniania granic między oboma światami i prób ocieplenia wzajemnych relacji – stąd pomysł na zorganizowanie koncertu znanego polskiego wokalisty. „Prezentujący broń” żołnierze, oprócz zapewnienia wydarzeniu ochrony, mieli też prawdopodobnie podkreślić jego uroczysty charakter.

★ ★ ★

Oni chodzili tak – było Tivoli, była Ratuszowa, która jest do dzisiaj, była Śródmiejska (to jest tam, gdzie jest Don Giovanni), Piast. [...] Był... Pod Klonem – też ich się tam często spotykało, to już była taka raczej... chociaż nie, tam też chyba grali,

z tego, co pamiętam. Ale tam była taka – posiedzieć, wódkę wypić, coś zjeść dobrego i tak dalej. Było... co? Słynna Jaworzanka – taka mordownia, piwiarnia. Też tam dużo... [...] Pewnie, też – Rarytas, Relaks. No, tam było rzeczywiście też często ich... No, właściwie to najczęściej to faktycznie tam w Rarytasie żeśmy spotykali, tam gdzie tych Rosjan, nie? My tam mieli blisko, że po drugiej stronie ulicy mieszkali. Rarytas, Relaks to był... Relaks jest na równoległej do tego ulicy. Co tam jeszcze? No Zodiak był, ale to już później trochę – tutaj gdzie jest, tu na tym. Z tych takich knajp... był Płyś, którego już dawno nie ma. Był Zagłoba na Jaworzyńskiej. To były takie już, no, że można było coś zjeść i wypić, nie? A z tych takich, mówię, gdzie dancinowe, no to raczej z tych, co mówiłem – Śródmiejska. To tam się ich spotykało. [...] Dancingi, te takie knajpy typowo dancinowe, to był Piast – to tam pełno Ruskich i taksówkarzy zawsze siedziało [*uśmiech*]. Piast, Śródmiejska, Ratuszowa. To takie naj-, myślę, że trzy to były takie naj-, no najbardziej takie, no, lepsze, o, tak powiedzmy, nie? No oni do takich lepszych też chodzili, nie? [*uśmiech*] No nie wiem, czy oni mieli coś tam u siebie w ogóle, jakies restauracje. Nie wiem. Chyba nie mieli [2012.03.20/LG].

Ja mówię o zwykłym życiu [...], gdzie bardzo dużo rzeczy działo się w takiej wzajemnej komitywie. Rosjanie chodzili do naszych barów, pili nasze piwo, czasami rozrabiali, czasami nie. Fakt, że żandarmeria czasami miała robotę, bo naszym żołnierzom nie wolno było Rosjanina dotykać, w związku z tym jak była jakaś awantura pijacka czy jakaś taka burda, gdzieś tam się zdarzało, tam był taki bar Wiarus na [ulicy] Rzeczpospolitej, więc tam Rosjanie zaglądali, choć im tak za bardzo nie wolno było, szczególnie żołnierzom. Żołnierze wychodzili tylko w grupach, oficerowie i podoficerowie wychodzili pojedynczo, bo to było już inaczej. A tacy szeregowi wychodzili tylko w takich układach sześć, osiem, dwanaście osób pod opieką jednego i szli ulicą, chodnikiem i tak dalej. [...] W ogóle żołnierza zwykłego to ciężko było w barze. To byli tylko ci, którzy mieli ładne, twarde czako, czyli tacy lejtnantsy, że tak powiem. Lejtnantsów było trochę i rzeczywiście mieli możliwość pójść, usiąść sobie, wypić. Jak któryś narozrabiał, to przyjeżdżało polskie wojsko, milicja wzywała żandarmerię i ta dopiero mogła ich zabrać, nie można było ich ruszyć. No, takie były czasy [2010.05.10/LG].

Dużo przychodziło ich, z tym, że to przychodziła taka ta wyższa szarża, majorzy, pułkownicy, o generalicji to raczej, bo oni nie wychodzili poza swój krąg, ale ta taka wyższa kadra oficerska przychodziła. Zachowywali się bardzo grzecznie, kulturalnie, duże rachunki płacili, dużo lubili zjeść, wypić też, ale nigdy z ich strony nie było jakichś tam sytuacji takich, gdzie można byłoby mieć do nich uwagi na temat zachowania [2010.02.14/LG].

Knajpiane życie radzieckich legniczan toczyło się głównie w polskich lokalach. Bywali w nich wojskowi i cywile, oficerowie i zwykli żołnierze – choć ci ostatni mieli znacznie mniej okazji i możliwości takich odwiedzin. W drugim fragmencie widzimy znów motyw podwójnej jurysdykcji, ale i traktowania

radzieckiego żywołu jako normalnego elementu codzienności, nie stanowiącego specjalnego zagrożenia czy niewygody – „czasami rozrabiali, czasami nie”. W trzecim – wypowiedzi jednego z legnickich restauratorów – radzieccy wojskowi są opisani jako szczególnie pożądani, idealni wręcz klienci. Mieli oni swoje sympatie, ulubione knajpki, w których czuli się pewniej i bezpieczniej – co interesujące, rzadko pojawiają się historie o wieczorach spędzanych w mieszanym gronie, co dowodzi ostrożności „Ruskich”, mimo wszystko preferujących własne towarzystwo. Odczuwane przez nich zagrożenie – tu symbolicznie przywołane przez figurę żandarmerii natychmiastowo pacyfikującej sprawiających kłopoty gości – było rozumiane przez Polaków, którzy niespecjalnie zabiegali o towarzystwo „Ruskich”, najczęściej zadowolając się samą obserwacją egzotycznych klientów.

I właśnie pytając kolegów, [...] gdzie mogę zjeść szybko coś na śniadanie, bo nie zdążyłem w domu, to mi doradzili, że Tivola – i wtedy byłem po raz pierwszy. I np. zaobserwowałem taki moment, jak dwóch oficerów radzieckich wychodzi z komendy garnizonu, za nimi idą żołnierze, niosą, każdy z nich niesie walizkę tego oficera i oni widocznie przyjechali wtedy, i prosto co, to skierowali swoje kroki do Tivoli. Tivola trochę inaczej wyglądała wtedy, ale podobna była jak teraz, z tym, że można było też przy barze, bo teraz przy barze raczej się nie zamawia coś do picia, tylko się siada, ale wtedy można było przy barze. Żołnierze z walizkami zostali, oficerowie weszli i sobie tak popatrzyli po półkach i zamówili sobie litr białej wódki, po czym poprosili o dwa duże kufle do piwa, takie jeszcze te rzeźbione takie, dwa kufle do piwa i włali po te pół litra do kufła – ja tak popatrzyłem: jeden sobie, drugi sobie, pełne pół litra. I do tego zamówili – też były takie mniejsze, 0,33 kufelki, też takie rzeźbione, dwa takie kufelki, i kazali sobie nalać piwo do tych kufelków. Tak patrzę, siedzę i patrzę, a oni tak: stuknęli się, przyłożyli do ust te kufle i jednym duszkiem każdy z nich wciągnął tę wódeczkę, po czym popił piwkiem, obtarli gęby i wyszli [2012.11.06/LG].

Tivoli to jedna z najbardziej znanych i najstarsza z legnickich restauracji, działająca nieprzerwanie od 1957 roku. Ma bardzo dogodne usytuowanie – przy ul. Złotoryjskiej, naprzeciwko dawnej radzieckiej komendantury, a obecnego Sądu Rejonowego. Część legniczan przekształca jej nazwę w mianowniku z Tivoli na Tivola.

Rozmówca przytacza obserwację odmiennych zwyczajów libacyjnych, podziwiając mocną głowę „Ruskich”. Mamy tu realizację etosu radzieckiego żołnierza, który pije, ale się nie upija.

Pamiętam takiego jednego pułkownika, Gruzina, nie pamiętam, jak on miał na imię, zdjęcie gdzieś mam z nim zrobione, regularnie do nas przychodził, a on miał takiego niedużego psa i często... My tu nie pozwalaliśmy przyprowadzać psa. On przychodził z taką dużą torbą i ten piesek w torbie siedział, zamawiał tatarą, dwa tatarę. Jednego tatarę to tam doprawiał dla siebie, a drugiego tatarę bez żadnych przypraw rozmieszał, rozmieszał i patrzył, jak nikt nie widział, tam do tej torby mięsko dawał. I to później wszyscy wiedzieli o tym, ale udawaliśmy, że nie wiemy, nie widzimy. Później on jak wyjeżdżał już tutaj z tego, z Legnicy, no to tak widać było, że mu trochę szkoda było, przyszedł, pożegnał się dosyć serdecznie [2010.02.14/LG].

Tu z kolei obrazek obyczajowy, na którym widzimy sympatycznego i nieco ekscentrycznego gruzińskiego pułkownika z pieskiem. Nie ma tu kontekstu politycznego, retoryki okupacyjno-martyrologicznej – jest prosta anegdota z przeszłości. Wspomnienie przywołuje fragment minionego świata, którego mieszkańcy funkcjonują na równych prawach, współtworząc jego specyfikę.

Tak, do restauracji przede wszystkim. Pubów nie było, to były bary. Do barów to oni nie wchodzili, jeżeli już, to tak o, na zasadzie piwo, bez czapki. Myślę, że oni też się przebierali czasami. Natomiast w restauracjach lubili sobie usiąść, zjeść, wypić, to tak. To takie były restauracyjki: Tivoli, Parnasik, gdzie rzeczywiście Rosjan czasami można było zobaczyć. Ale było coś takiego, że jak siedzieli Rosjanie, to wiem, że się nie mówiło o wszystkim, nie gadało swobodnie, że przy Rosjanach Polak się krępował mówić o jakichś tam sprawach typu komuchy czy coś tam, jak miał inne poglądy [2010.05.10/LG].

W barach Rosjanin nie czuł się najlepiej, bo wiadomo, Polacy se gadali, tam była swoboda i nagle trzeba było gębę zamknąć, bo tutaj Rosjanin siedział, cholera. Więc dawali mu do zrozumienia, że jakby wypił to piwo i wypierdział, to by było dobrze i on wiedział, on nic nie mógł, on nie mógł wstać i powiedzieć: „Coś się nie podoba?” [2010.05.10/LG].

Kiedyś przyszedli właśnie Ruscy do knajpy, ci oficerowie po cywilnemu, a to była taka knajpa – mordownia, tam wódka, picie, dziewczyny... [...] Polonia, tam naprzeciwko Cuprum – teraz tam jest Qubus hotel i kino Ognisko, co było, to też zamknięte – to tam była knajpa na dole, Polonia, to taka była trzeciej kategorii [...]. No i siedzieliśmy tam, oni wchodzili po cywilnemu, żeby się tam zabawić, wypić wódkę. Jak się napili, to zaczęli tam głośno rozmawiać i tam jeden mówi do Ruskich: „A wy co tu tego? Swołocz, dawaj, paszoł won!”. No i się wkurzyli i chcieli się łać. No to jeden wyjął splot, pistolet, i pif paf!, strzelił z dwa razy w górę. Wszyscy na ziemię [*chibot*], wszyscy się wystraszyli. Oni zobaczyli, że wszyscy leżą, tego, tam pokleli po rusku, tego, i wyszli. Wyszli na zewnątrz i z pięć minut nie było! I już przyjechało to ich NKWD jeepami, milicja nasza nie dochodziła, tylko stała, obstawiła tę Polonię. A oni za dupę, oficerowie też z karabinami do nich – no to ten po pistolet to już nawet nie sięgał! Wzięli ich za ten... Z tyłu kajdanki i wsiiiiit, pojechali i już my ich więcej nie widzieli [2012.03.22/LG].

Im niższej kategorii lokal, im mniej formalna, a bardziej podlana alkoholem atmosfera, tym bardziej obywatele Związku Radzieckiego narażeni byli na nieprzyjemności, nawet gdy starali się nie obnosić ze swoją przynależnością państwową, przychodząc „bez czapki”. Najwyraźniej część bywalców barów odczuwała takie wizyty jako dysonans, widząc w „Ruskich” wrogów i potencjalnych donosicieli, a swoich rodaków darząc – być może nie zawsze słusznie – większym zaufaniem. Restrykcyjne pilnowanie dyscypliny i surowe kary za jej łamanie powodowały sytuację, w której Polacy czuli się na swoim terytorium bezpiecznie do tego stopnia, by pozwalać sobie na akty otwartej wrogości. Dobrze ilustruje to ostatnia historia. Powodem spięcia jest ewidentnie polska

zaczepka, a nieopatrny strzelec zostaje szybko spacyfikowany – „złapany za dupę” – przez radzieckie służby. Znow w narracji pojawia się ton opowieści z Dzikiego Zachodu.



Oni mieli swoje szpitale, potężny szpital w lasku Złotoryjskim. Potężny szpital, który *nota bene* widać było w zdjęciach szpitala w tej właśnie *Małej Moskwie*. Mieli swój szpital oddzielny ginekologiczno-położniczy, mieli swoje apteki, mieli bardzo dużo dobrych fachowców. Okulistów, internistów, chirurgów. Sporo Polaków zasięgało u nich pomocy, ale żeby taką pomoc uzyskać, musieli pisać do władz miasta o zezwolenie, czy można się leczyć u takiego i takiego. Wiem, że bardzo dużo pacjentów mieli okuliści. Oni mieli swoje jakieś takie metody leczenia, które jeszcze u nas nie były znane i wiem, że bardzo dużo osób tam u nich się leczyło [2010.03.03/LG].

Nawet można powiedzieć, że dzięki lekarzom rosyjskim jestem z wami tu. [...] Nie było pomocy żadnej, a ja zachorowałem na ślepą kiszka chroniczną, brzuch mi urósł, jak bym był w ciąży i nie było ratunku, żadnego ratunku. I dzięki znajomości z Ruskim to mnie przerobili na Ruskiego, dokumenty wszystkie od a do zet, gdzie służyłem, co robiłem, kiedy zmobilizowany i tak dalej, po rosyjsku umiałem dobrze rozmawiać. No i oni mnie umieścili w wojskowym szpitalu [...] i uratowali mnie [2011.11.07/LG].

Lecznictwo radzieckie, z jakim można było się zetknąć w legnickich ośrodkach, do dziś uznawane jest za stojące na wysokim poziomie. Szczególnie okulistyka – w tym operacyjne likwidowanie wad wzroku – zasłynęła w latach osiemdziesiątych w całej Polsce. Dostęp do niej w ostatnich latach stacjonowania wojsk radzieckich w mieście był bardzo ułatwiony, co stanowiło element polityki ocieplania stosunków²⁰. W różnych okresach różnie wyglądała sprawa dostępności radzieckich usług medycznych dla Polaków – w początkowych latach dostanie się do szpitala wojskowego było bardzo trudne, wymagało nieraz nielegalnych przedsięwzięć, jednak z czasem przepisy stawały się coraz mniej restrykcyjne, wreszcie wystarczyła rekomendacja Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, o którą nie było trudno. Co interesujące, w ogólnym odczuciu Polaków radziecka wiedza medyczna – choć pod wieloma względami odmienna, czasem oparta na alternatywnych modelach – była wysoko oceniana, być może właśnie poprzez jej odrębność, stosowanie innych metod leczenia oraz niewątpliwie wysoki poziom wyszkolenia specjalistów pracujących w radzieckich szpitalach w Legnicy.



Pamiętam, Katia taka, która na początku przyszła i pyta... Musieliśmy tłumaczyć w ogóle, kto to jest papież, na przykład. Kto to jest ten Wojoyła, prawda. Musieliśmy tłumaczyć od początku do końca. Ona zobaczyła... Żona miała krzyżyk, nie? Pyta

²⁰ Por. W. Kondusza, *Mała Moskwa...*, Legnica 2011, s. 162-163. Pisała też o tym radziecka gazeta garnizonowa „Znamia Pobiedy”, wskazując tym samym na „dobrosąsiedzkie stosunki”, por. W. Kondusza, *Życie garnizonu radzieckiego...*, s. 431-432.

się, kto to jest, prawda? No, więc ja mówię, do cholery jasnej! Przecież dorosła baba, maturę ma. No, jeżeli ja wchodzę do kogoś i widzę, że stoi Budda, no, to wiem, że to jest Budda, prawda? Jeżeli widzę krzyż, to wiem, co to jest krzyż. Jeżeli widzę, prawda, półksiężyc, no potrafię kojarzyć! Nie? Mogę nie wiedzieć nic o tym buddyźmie, ale pewne symbole, no, człowiek zna. No, mówi, żona coś jej powiedziała, powiedziała co nieco i ją to zaciekało. No, to ja jej skombinowałem – bo cały czas żeśmy dostarczali Biblie, prawda, i po rosyjsku i po ukraińsku tam do nich – no, dałem jej Biblię. Ona zaczęła czytać, czytać, czytać, no, z nami tu rozmawiać, wypytywać o różne szczegóły i w końcu mówi, że ona by chciała syna ochrzcić. A syn już był w tym czasie w szkole wojskowej. [...] Ja mówię: „Katia, to jest nie tak, to trzeba przygotować i to nie, że ty chcesz... W tym wieku to już musi chcieć, nie?”. „No, ja z nim rozmawiałam, ja mu dałam Biblię, nie?”. Oni szukali tego dobra, prawda. No, ale tak jak były małe dzieci, założmy, czy coś... To właśnie ten wątek w *Matej Moskwie*, co jest tych Ormian, to nie jest wyssany, takich osób było dużo, prawda. No, to my... Łączyłem ich z księdzem po prostu. Ksiądz z kolei z nimi rozmawiał, na ile to... No, to było dla nich ryzyko. To było dla nich naprawdę duże ryzyko ochrzcić dziecko, czyli oni musieli już tę wiarę w sobie mieć, że nie było tak, że dla mody to ja ochrzczę. Absolutnie nie ten... No, ale to się łączyło, prawda, z księdzem i się chrzcilo, prawda. Bądź w domu, bądź ksiądz przychodził w domach polskich, prawda, że to tam różnie to wyglądało. [...] To znaczy w różnych ten... w różnym okresie różnie to wyglądało, prawda. W tych latach jeszcze sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, kiedy nie było jako takiej tam zorganizowanej opozycji, prawda, czy coś takiego, to drukował to [Biblie] kościół, prawda, zakonnicy drukowali, przesyłali w miarę, prawda, by dostarczać. No, mówiło się tutaj o tym, że kościół grekokatolicki, który podlega pod papieża, prawda, jest tak samo częścią kościoła katolickiego. Nadal zachowuje w odprawianiu mszy, prawda, język starocerkiewny, nadal posługuje się cyrylicą. I to było pod przykrywką, prawda, robione, że to jest... było robione dla kościoła grekokatolickiego. No, ale to dostawało się też w nasze ręce, prawda, i po prostu swoimi kanałami żeśmy przrzucali także, nie tylko ja jeden, bo nas kilka osób takich, które zawsze tą Biblię brali, prawda. I te Biblie zniknęły... [2010.02.02/LG]

Wielu rozmówców opisując znanych sobie obywateli ZSRR wskazuje na wyjałowienie religijne. Tu brak elementarnej wiedzy o chrześcijaństwie – nieznanie nawet najbardziej podstawowych symboli jak krzyż – zostaje uznany za brak podstawowych kompetencji kulturowych, ogłady, znajomości dziedzictwa ludzkości. Rzeczywiście ateizacja w Związku Radzieckim odniosła zdumiewające sukcesy, powodujące swoisty analfabetyzm w sprawach związanych z *sacrum* i duchowością²¹. Zjawisku temu towarzyszy otwartość na zaangażowanie religijne, owocujące tu chęcią ochrzcenia

²¹ O konsekwencjach tego stanu rzeczy dla współczesnej magii ludowej owocujących podejściem „etnograficznym” do własnego dziedzictwa duchowego por. Z. Grębecka, *Słowo magiczne poddane technologii. Magia ludowa w praktykach postsowieckiej kultury popularnej*, Kraków 2007, s. 292-298.

dorosłego syna. Ciekawy jest też wątek szmuglowania na teren Kwadratu Biblii specjalnie w tym celu drukowanych i używania przy tym jako przykrywki obecnego w Legnicy grekokatolicyzmu²².

Chcę pani powiedzieć, że oni byli bardzo mocno zainteresowani... chrześcijaństwem, katolicyzmem. To ja pamiętam dwa przypadki, zupełnie zapomniałem o nich właśnie, a teraz mogę pani je, mogę pani o tym powiedzieć. Ja byłem bardzo związany z kościołem św. Jana, z franciszkami, z tego względu, że byłem tam ministrantem do osiemnastego roku życia. Tam byłem u Komunii Świętej. Poza tym u franciszkanów nie było takiej fluktuacji księży, tak jak w innych parafiach jest. Wie pani, że to na przykład tego, po paru latach, tak jak u nas w katedrze, dajmy na to, co parę lat się księży wymienia. Natomiast tam była... byli proboszczowie stali, z którymi miałem kapitalny kontakt. I spotkałem się parokrotnie z prośbami Rosjan, czy mógłbym ich zabrać do kościoła. W kościele zachowywali się bardzo... dosłownie widziałem to napięcie, ta uwaga cała. [...] Pamiętam, że my mieliśmy bardzo mądrego proboszcza, Cyryl Nastalski się nazywał. Bardzo mądry człowiek, bardzo otwarty, bardzo świątły. To muszę pani powiedzieć, że trzech Rosjan, dwie kobiety i jednego Rosjanina doprowadziłem do klasztoru i doprowadziłem do spotkania z samym proboszczem, gdzie oni w tym wypadku opowiadali o losach swoich przodków. Jedna z nich miała przodków polskich, którzy, no, od czasów zesłania tam byli, więc katolicyzm nie był jej obcy. Natomiast oni dwaj byli, prawda, niegdyś prawosławni. Byli bardzo mocno zainteresowani... I obrządkiem w tym wypadku, i samą misją kościoła katolickiego, prawda? [...] I co jest ciekawe, wie pani, to jest to, że w większej części mężczyźni bardzo mocno mnie pytali o temat roli kościoła, roli religii w naszej rodzinie, kobiety nie. [...] Nie pomyślałem o tym wcześniej, wie pani, dopiero teraz zacząłem sobie przypominać pewne historie, to właśnie akurat mężczyźni bardziej, bardziej pytali o te, o te rzeczy. Staraliśmy się być w kościele raczej na mszach wieczornych, oni się bali chodzić w dzień raczej. Więc podobało im się to. Podobała im się podniosłość i powaga mszy katolickiej. Bardzo, bardzo byli podniesieni w ogóle, tak, tymi sprawami [2011.11.06/LG].

Przy braku wiedzy „Ruscy” byli często zainteresowani kwestiami religii; *homo sovieticus* gotów był przekształcić się w *homo religiosus*. Przy czym zainteresowanie to zazwyczaj dochodziło do głosu dopiero w relacjach bliskich, przyjacielskich, w których czuli się bezpiecznie. Czasami Polacy stawali się pośrednikami między nimi a polskimi duchownymi, prowadząc swego rodzaju nienachalną ewangelizację radzieckich cywilów i żołnierzy. Choć tu rozmówca twierdzi, że to mężczyźni częściej dopytywali się o sferę duchowości, wielu innych przypisuje potrzeby religijne głównie kobietom, być może nieświadomie przekładając wzorce obecne w polskim, silnie sfeminizowanym Kościele, w którym bardziej masowe uczestnictwo kobiet jest wyraźniej widoczne. Być może radzieckich mężczyzn interesowały raczej aspekty socjologiczno-filozoficzno-polityczne, podczas gdy kobiety interesowały się samą wiarą, kultem i rozwojem duchowym – co więcej, jak piszemy w rozdziale

²² O radzieckich praktykach religijnych w Legnicy por. też W. W. Szetelnicki, *Praktyki religijne Sowietów stacjonujących w Legnicy – fakty i mity*, w: *Wojska radzieckie w Polsce 1939-1993*, red. S. Dąbrowski, K. Jaworska, W. W. Szetelnicki, Legnica 2013, s. 317-335.

trzecim, prywatne kontakty pomiędzy kobietami ułatwiały porozumienie na poziomie ogólnoludzkim w większym stopniu niż w większości profesjonalne relacje pomiędzy mężczyznami.

A: W 1990 roku już chodziliśmy do Rosjan wykładać Biblię. Bo już studiowałam z nimi Słowo Boże. Bo u nas nie ma nacji, tylko każdy człowiek u nas się liczy, bo my jesteśmy świadkami Jehowy.

B: Ja może na potwierdzenie tego przeczytam dwa wersety z księgi Dziejów Apostolskich i tu pisze tak: „Wtedy Piotr otworzył usta i rzekł: Z całą pewnością dostrzegam, że Bóg nie jest stronniczy...” i w naszej społeczności jest tak, że nie ma żadnych różnic tylko dlatego, że ktoś z innej nacji pochodzi, innym językiem się posługuje, wszystkich traktujemy jako bliźnich. Ponieważ Rosjanie byli wtedy naszymi sąsiadami, więc tak jak szliśmy do Polaków głosić Słowo Boże, tak samo i do nich szliśmy. [...]

A: Wszędzieśmy chodzili. Chodziliśmy wszędzie, gdzie tylko mieszkańcy byli. I wszędzie nas przyjmowali. Tak, że nie było tak, że zamknęli, że powiedzieli: „Nie”. Oni gościnnie bardzo, Rosjanie, są. Jak przychodziliśmy, to zawsze czy zrobili herbaty, czy porozmawiali, posiedzieli se. Oni gościnnie bardzo.

B: Właśnie chętnie też u nas nabywali Biblię, staraliśmy się o to, żeby dostarczyć im Biblię w ich ojczystym języku.

A: Książki...

B: Tak, literaturę biblijną też. Naprawdę widzieliśmy, że pod względem duchowym, to byli bardzo żłaknieni. Ich bardzo budowały te rozmowy. Jak wyjechali tam i spotkali świadków Jehowy u siebie, to dalej kontynuowali, bo niektórzy już tutaj byli na takim etapie, który pozwalał im podjąć decyzje odnośnie wielbienia Boga, a inni potrzebowali jeszcze trochę więcej wiedzy i kontynuowali poznawanie Biblii już tam u siebie. Niedawno nawet byłam tutaj u domownicy z jedną naszą siostrą, która też ze swoim mężem odwiedzała rodzinę. Wtedy tylko żona była zainteresowana, mąż z racji tego, że był wojskowy, po prostu nie chciał się w to angażować tutaj.

C: On nawet nie mógł. [...]

A: Ja miałam takiego jednego pana, który on przywoził w rosyjskim języku, ja od niego brałam i kto potrzebował, to zaniesałam. Jedna Rosjanka mówi: „Pani, ja sama będę czytać”, a ja jej dałam Biblię po rosyjsku. Później się spotykamy z nią. Ja ją pytam: „Czytasz i rozumiesz to?” A ona mówi: „Pani, przyjdź, pomóż mi, bo ja nic nie rozumiem z tego”. No i przychodziłam i mówi: „Teraz to rozumiem” [2010.02.06/LG].

Tu z kolei misję ewangelizacyjną prowadzą świadkowie Jehowy. Ich wrażenia są podobne – postrzegają „Ruskich” jako otwartych na sferę duchowości, a przy tym uprzejmym i gościnnym ludzi. Oni również wspominają przekazywanie stronie radzieckiej Biblii i literatury religijnej, specjalnie na tę okoliczność sprowadzanej. Jeśli chodzi o możliwość kontynuowania tej linii badania Pisma po powrocie do Związku Radzieckiego, to trzeba zauważyć, że świadkowie Jehowy pojawili się w Rosji jeszcze w ostatnich dekadach XIX wieku. W Kraju Rad ruch był nielegalny

i prześladowany. Oficjalna rejestracja nastąpiła dopiero 27 marca 1991 roku. Skoro, jak mówią rozmówczynie, akcja ewangelizacyjna miała miejsce m.in. na początku lat dziewięćdziesiątych, powracający do ojczyzny neofici mieli już możliwość legalnego praktykowania nowej wiary.

To właśnie zeświecczenie całkowite właśnie akurat tego okresu świątecznego, jeśli chodzi o Nowy Rok, no dla nich, prawda, Nowy God, prawda, no to jest ewentualnie wydarzenie. Natomiast jeśli chodzi o nasze święta, szczególnie Święta Bożego Narodzenia, oni byli zafascynowani akurat przede wszystkim choinką. Oni byli zafascynowani akurat tym, że wszyscy szli do kościoła o północy, to było dla nich niesamowitą historią. Wiem, że bardzo często uczestniczyli w tych sprawach [2011.11.06/LG].

Fascynacja choinką wydaje się nieco zaskakująca, jako że tradycja ta była znana w kulturze radzieckiej, tyle że związana ze zdesakralizowanym Nowym Rokiem. Święto to przejęło – w wyniku celowych zabiegów władz i propagandy komunistycznej – ciężar rytualny Bożego Narodzenia, stając się dniem uroczystych rodzinnych spotkań, ucztowania i wręczania prezentów. Eksponowano przy tym ludowy staroruski rodowód Dziadka Mroza, zastępcy św. Mikołaja. Inną sprawą jest fascynacja pasterką; obrzędowość katolicka często budzi zainteresowanie i podziw osób z kręgu kultury rosyjskiej.

★ ★ ★

Mieszkali na Złotoryjskiej, tam gdzie w tej chwili właśnie jest prywatny gabinet lekarza [...]. Wyjechali stąd jeszcze przed tym takim globalnym wyjazdem, wcześniej wyjechali, ale to byli naprawdę bardzo sympatyczni ludzie. Kiedyś przypominam zawsze tą kolację. Kiedy podali tą kolację, nie mamy zwyczaju do ziemniaków jeść chleba – oni jedli i mąż mnie kopiąc pod stołem zachęcał do jedzenia tego chleba. Nie szło mi to najlepiej, no, ale jakoś tam kolacja minęła [2011.04.22/LG].

No, ale słyszałem też o takiej historii, że na przykład w takiej willi ponemieckiej właśnie w salonie stał fortepian, prawda. Tam taki mój znajomy to taki major go zaprosił, pili wódeczkę, major sobie usiadł za fortepianem, pograł, pograł, pograł, o, zimno się zrobiło, bo tam był jakiś kominek czy piec, obok fortepianu stał pieńek, gdzie było drzewo, narąbał drewna [*śmiech*] obok tego fortepianu, podrzucił [*śmiech*] [2010.12.08/LG].

Kontaktom prywatnym towarzyszyły nierzadko ambiwalentne odczucia – z jednej strony sympatia, z drugiej poczucie obcości wywołane odmiennością obyczajów. Bez wątplenia była to szansa dla obu stron poznania się i uzupełnienia wniosków czerpanych ze stereotypów o wiedzę pochodzącą z autopsji. Mąż narratorki pierwszej opowieści przyjmuje tu postawę podobną postawie etnografa starającego się uczestniczyć w obyczajach plemiennych badanych społeczności. W drugiej rozmówce uderza zachowanie, które uznaje za złamanie wyznawanej w jego kulturze zasady *decorum* – aktywność związana z porządkiem kultury wysokiej styka się bezpośrednio z pracą fizyczną o nader prozaicznym charakterze. Byłaby to sytuacja kulturowa analogiczna do opisywanego przez

Antoninę Kłoskowską zjawiska homogenizacji mechanicznej – charakterystycznego dla kultury masowej mechanicznego łączenia treści kultury niskiej i wysokiej²³.

Mój brat tam mieszkał w Rosji, jego córka wyszła za Ruskiego i ten Ruski zaczął tu stacjonować. No i jak się dowiedział, że ciotka żony, to przyszedł. Kumpli przyprowadził, pili, śpiewali, fajni byli. No i poszli. Bardzo grzecznie, przystojniaki jak cholera. Sama nie wiem, do dzisiaj nie mogę sobie przypomnieć, gdzie mąż był [*śmiech*] [2011.11.32/LG].

Ale tak mówię pani: przyszła sobota czy niedziela, jak oni nie pracowali to: „Idziom w les, dawajcie w les”. Siadaliśmy gdzieś na jakichś takich pniakach – oni wiedzieli, mieli już swoje miejsca [*uśmiech*]. Wyciągali sało [*słoninę*] albo tą tarankę, rybę tą suchą – taranka, tak? No. I coś tam do picia. Podjedli sobie, popili, pośpiewali nawet trochę. I porozłazili się po tym lesie. Wracało się do domu – człowiek wypoczęty, wesoły, bez stresów, bez niczego. No i tak częstośmy się spotykali, bardzo często [2011.10.06/LG].

Ja sam pamiętam, jak tam miałem, nie wiem ile tam, z osiemnaście lat gdzieś, tam z kolegami sobie siedzieliśmy na piwie i zabrakło pieniędzy. No i, i siedział, to już taka końcówka była bodajże, no, i siedział jakiś taki Rosjanin, potem się okazało, że on był oficerem. Siedział sobie Rosjanin, mówi: „A to może chcecie, ja tam mam jakąś wódkę, chcecie, no, to mogę was zaprosić”. No nie, no, nas trzech było, no to, no, dobra, to możemy iść. No, bo to tak nie wiadomo, takie, takie zaproszenie, no. No to poszliśmy do niego i ten, no i tak bardzo sympatyczny gość, tam nas ugościł, jak mógł, chociaż, szczerze mówiąc, nie za wiele miał, tam tą wódkę ruską... [...] Tak, do siebie do domu, no, on tam sobie w jakimś domu mieszkał, tutaj też w okolicy. Okazało się potem właśnie, że to był w ogóle oficer, tak nie było widać tego na oko, ale taki, taki, no, ubogo żyli, okazało się. No bo do jedzenia to nie wiem tam, czy panie słyszały, tuszonkę wyciągnął do jedzenia, do popicia to tak za bardzo nie miał co, jakąś taką wodę zagotował w czajniku. Mówi, że, no, no, mówił, że on nie ma, po prostu, no tak śmiesznie, ale sympatyczny tam był gość i tak fajne to było. Tak, że oni byli, Rosjanie, byli pozytywni tacy raczej, bardzo fajni ludzie... [2011.04.20/LG]

Czy to jako goście, czy jako gospodarze, we wspomnieniach o kontaktach towarzyskich „Ruscy” jawią się zazwyczaj jako osoby wesołe, serdeczne, dobrzy kompani. Ostatnia historia jest o tyle nietypowa, że zaproszenie pada ze strony osoby nieznannej wcześniej opowiadającemu, co w pierwszej chwili wywołuje konsternację. Okazuje się jednak bezinteresownym gestem sympatii, tym wyrazistszym, że zapraszający mężczyzna okazuje się osobą niezbyt majątną, zachowującą się jednak zgodnie z zasadą „czym chata bogata, tym rada”. Niewykluczone, że część przebywających w Legnicy obywateli Związku Radzieckiego czuła się samotna i wyobcowana, szczególnie na początku pobytu, i mimo niesprzyjającej atmosfery próbowała budować sobie relacje towarzyskie na własną rękę.

²³ A. Kłoskowska, *Kultura masowa. Krytyka i obrona*, Warszawa 2005, s. 320–358.

Wprawdzie oni to lubili te tematy – wojskowi, jeszcze na dodatek politycy. Mój się polityką zajmował, tamci też na pewno. Co? W fujarki dmuchali? W Domu Oficera też myśleli chyba i politycznie. No, tak że... Ale jak byliśmy w lesie, też polityki nie było [śmiech]. To była ryba, to było picie [2011.10.06/LG].

Temat polityki w kontaktach prywatnych pojawiał się dość rzadko, a jeśli, to najczęściej prowokowany przez stronę polską. Wielu rozmówców podkreśla, że o tym po prostu się nie mówiło, a przestrzeganie tej niepisanej zasady było warunkiem utrzymywania znajomości. Oczywiście tu również sytuacja zależała w dużym stopniu od czasów i aktualnych wydarzeń politycznych, niemniej w mniejszym lub większym stopniu było to cechą relacji polsko-radzieckich przez całe półwiecze.



Słuchajcie, hotel to jest hotelem, a Dom Prijoma, to jest Dom Prijoma. I Dom Prijoma podlegał pod dowódcę i dowódca decydował, kto tam będzie przyjmowany i jak. To była ranga. Zampalit miał swój dom, bo też musiał przyjmować ludzi, to miał też osobny dom. I tam siedzimy, wyjeżdżamy, widzę, że tam Saszka ładuje. Słuchajcie, jakbyście jechali za Legnicę, jak się wyjeżdża na Wrocław cały, jak stacja benzynowa, taki pagórek jest. Wyjeżdżam na pagórek, każą wszystkim wołgom włączyć długie światła. Idziemy do wołgi generalskiej, Saszka otwiera bagażnik i, kurwa, każdemu wręcza butelkę szampana. No i każdy musi wypić butelkę szampana [2012.11.11/LG].

A myśmy strzelali z pistoletu do butelek. Bo co dla nich mieszek naboji? Pierwsze ćwiczenia przeszły i oni te naboje rozliczyli. To myśmy strzelali do oficerskich czapek. I był jeden taki skurczybyk wśród nas, oni już później wiedzieli kto, ja też wiem, kto to był. Napisał donos, że dowódca to tamto przywołał Polaków, tak się schłali, że aż do czapek strzelali. Se myślicie, że go ukarali [dowódcę]? Nie ukarali go wcale [2012.11.11/LG].

Żeby było jeszcze weselej, to taki jeden z akcentów, który, no trudno, żebym go nie pamiętał. No nie codziennie Ruski helikopterem macha mi do okna. Nie przyznali się który, czy to był Igor, czy Jurek akurat, ale tak autentycznie było. Mieszkałem na osiedlu w Legnicy wtedy na Bieszczadzkiej, odwiedzali mnie ileś tam razy, wiedzieli dokładnie, które okna i tak dalej. „Stiopa, ty zobaczysz, my ci pomachamy!”. Pomachał. Przysiadł troszeczkę, żeby się wyróżnić, bo ich leciało więcej, przysiadł, widzę, helikopter się buja [rozkładła ramiona i pokazuje bujanie się na boki śmigieł]. No kurrrde, mówię, wariaci po prostu, potrąceni ludzie. Gdzie u nas w ogóle by było możliwe wyłamanie się z jakiegos... [2010.02.10/LG]

Wymieniony w pierwszym fragmencie „zampalit”, a właściwie „zampolit” to skrót od ros. *zamiestitel komandira po politiko-proswietitielskoj i wospitatielskoj rabotie*, czyli zastępca komendanta od

pracy polityczno-oświatowej i wychowawczej. Rozmówcy chodzi prawdopodobnie o to, że oficerowie polityczni mieli własną infrastrukturę hotelową.

W wielu wspomnieniach „Ruscy” są przedstawiani jako osoby brawurowe, pełne fantazji, odznaczające się sporą dozą dezynwoltury. Budzi to zazwyczaj aprobatę Polaków – być może widzą oni przez chwilę w owych „Ruskich” realizatorów polskiego mitu ułańskiej fantazji.

Ciekawe, że w drugiej opowieści donosicielem jest jeden z Polaków – „skurczybyk” – co rozmówca zdaje się potępiać, zaś ostateczna bezkarność radzieckiego dowódcy odnotowana zostaje z podziwem i satysfakcją.

Czasem dla zysku – jak w niektórych opowieściach handlowych – a czasem po prostu by zaimponować polskiem znajomym, jak w dwóch ostatnich historiach, radzieccy znajomi są gotowi złamać dyscyplinę, nadużyć władzy, wykpić nawet własnych współobywateli. Jest to bardzo specyficzny rodzaj nielojalności, może nawet zdrady, gdzie relacja z Polakami staje się ważniejsza od służbowych przepisów, a ciche porozumienie polsko-radzieckich przyjaciół staje się istotniejsze od więzi grupowych.

★ ★ ★

Myśmy tam nieraz, wicie, no tam gdzieś trzeba się było zakotwiczyć, posiedzieć, tam tanie jakieś wino wypić, no to gdzie? Do Sierioży, nie, się szło. On tam rządził po prostu. No nie był wysokiego stopnia, bo tak jak u nas w tej chwili, nie wiem, kapral, może plutonowy. Ale był taki, że on tu prowadził swoich żołnierzy przez park, a myśmy siedzieli – Sierioża, komenda. A on do swojego wojska: „Szaga!”, komendę, na baczność. Myśmy tam stali sobie, a oni przed nami defilada, nie? [2012.11.09/LG]



fol. Wincenty Kołodziejski

Na pewno ci, którzy czerpali zyski na handlu z Rosjanami, no jednak dla nich pewien okres się skończył, okres eee... taki konfitur, tak? Więc ci na pewno... na pewno zatęsknili, wiedzieli, że jakiś tam czas się kończy. Natomiast ludzie podchodzący do sprawy pobytu wojsk radzieckich w Legnicy, w Polsce w ogóle, ideologicznie, cieszyli się niezmiernie, to był po prostu wybuch radości, kiedy dowiedzieliśmy się, że na mocy porozumienia z Jelcynem Rosjanie będą wyjeżdżać, będą wycofywani. Wszyscy po prostu chcieli... Pamiętam, mówią: „Kurczę, ja pójde, pomogę im te meble, żeby tylko jak najszybciej się wynieśli”. No po prostu legniczanie szli na dworzec, żeby zobaczyć, czy to prawda, że oni rzeczywiście wyjeżdżają [2010.03.01/LG].

ROZDZIAŁ 6

Nikt nie gra, nikt nie maszeruje – żołdatów niet, dziewczuszek niet

Północna Grupa Wojsk Armii Radzieckiej oficjalnie opuściła Legnicę 16 września 1993 roku. Proces wychodzenia z miasta jednostek wojskowych oraz służby cywilnej rozpoczął się znacznie wcześniej – w ostatnich latach powszechnie odczuwano atmosferę przesilenia po obu stronach. Niniejszy rozdział gromadzi wspomnienia legniczan z tego okresu, jak również prezentuje ich spojrzenie na miasto z perspektywy dwudziestu lat, jakie minęły od roku 1993. Jak pamiętani są „Ruscy”, jakie emocje wywołują u rozmówców? Rozdział dotyka także kwestii recepcji filmu *Mała Moskwa* w reżyserii Waldemara Krzystka, który przyczynił się do wzrostu zainteresowania specyficzną historią Legnicy i spopularyzowaniem na poły legendarnej opowieści o tragicznej miłości ponad podziałami.

★ ★ ★

Tam taki piękny blok i w nim kino. I tam stał samolot, czołg i działa w tym miejscu. I to wszystko pozabierali, pozamiatali już [2012.03.07/LG].

★ ★ ★

Bardzo wspominam tamte czasy. Ja po prostu tęsknię za tamtymi czasami, ale dlaczego? Teraz odpowiem: bo to były czasy, kiedy byłam młoda, kiedy byłam zakochana co drugi dzień w kim innym, no, właśnie taki szalony czas młodości; i kiedy smakował chleb ze smalcem, kiedy się nie oczekiwało na żadne frykasy. [...] No, generalnie, co tu dużo mówić, tamte czasy wspominam bardzo ciepło i jakoś polityka mi nie przeszkadzała, może jej, dlatego, że nie rozumiałam. Ale jedno na pewno muszę zaakcentować, że w tamtych czasach ludzie się przyjaźnili, odwiedzaliśmy się w domach, były obchodzone uroczystości urodziny, imienny i przychodziło po dwadzieścia osób do domu, do mieszkania – do mieszkania, nie do jakiejś willi, prawda, i wszyscy mieli i czas, i na to ochotę, i nikt nie żałował pieniędzy, ani swoich dywanów, ani podłóg, ani paneli, a dzisiaj ludzie się stali bardzo hermetyczni. Ich świat to ekran telewizora albo komputer, gdzie tam, w Internecie, nie ma czasu na rozmowę, nie ma czasu na przytulenie się człowiekowi do człowieka, prawda, poza tym mężem, żoną, prawda, a reszta świata to już nie jest ważna [2011.04.21/LG].

Rozmowy o niedawnej przeszłości miasta nieodmiennie przenoszą rozmówcę – oraz w nie mniejszym stopniu etnografa lub etnografkę – w sferę wspomnień, indywidualnej biografii naznaczonej

osobistymi przeżyciami wpływającymi na sposób, w jaki opowiada się o codziennym życiu w podzielonym mieście. Na pytanie o okres stacjonowania w Legnicy wojsk radzieckich część rozmówców z rozrzwieniem przywołuje czasy własnej młodości, siłą rzeczy przekształcając narrację – sentymentalna podróż do przeszłości nierzadko faworyzuje romantyczne spojrzenie, jak w przypadku rozmówczyni, która łączy temat Małej Moskwy z własnym życiem, zestawiając teraźniejszość z przeszłością. Wtedy nie przeszkadzała jej polityka – „smakował chleb ze smalcem”, „nikt nie żałował pieniędzy”, a „ludzie się przyjaźnili”. Joachim Trenkner pisze o nostalgii za czasami komunizmu: „Mówi się, że czas leczy rany, a humor może w tym pomóc – podobnie jak stara prawda, że patrząc wstecz, ludzie często upiększają własną młodość. Obojętne, w jakim by żyli kraju czy systemie politycznym. I chyba dlatego na końcu filmu *Aleja Słoneczna* [*Sonnenallee*, reż. Leander Haußmann, Niemcy 1999] z ust Michy padają takie oto słowa: »Był kiedyś taki kraj. A jeśli ktoś mnie spyta, jak było, odpowiem, że to był najpiękniejszy czas w moim życiu: byłem młody i zakochany«¹.

Można domniemywać, że pozytywna ocena tamtych czasów sformułowana przez rozmówczynię powstaje w wyniku przefiltrowania obrazu przeszłości po pierwsze przez nostalgię, a po drugie przez zniechęcenie do czasów współczesnych, ustawionych przez autorkę wypowiedzi na przeciwnym biegunie. Narzekanie na symbole technologicznych przemian – telewizor, komputer, Internet – oprócz krytyki zmieniających się paradygmatów kultury i społeczeństwa sprawia, że trudny i niejednoznaczny polityczno-historycznie okres Małej Moskwy zostaje zamknięty w rzewnej, nieco przesłodzonej strukturze „dobrego pamiętania”.

Jest to przykład zjawiska charakterystycznego dla wszystkich krajów byłego bloku wschodniego – nostalgizowania komunistycznej przeszłości. Dla Niemiec tęsknota za czasami NRD przyjmuje nazwę ostalgii², dla byłej Jugosławii można mówić o jugonostalgii³, dla pozostałych krajów nie wykształciły się specyficzne terminy, choć w przypadku Polski można mówić o szczególnym sentymentalizowaniu lat siedemdziesiątych jako o gierkonostalgii⁴. Oprócz mody na artefakty związane z czasami komunistycznymi i tworzenia się ich rynku, oprócz przydawania minionym czasom wyjątkowej i pozytywnej wartości, zjawisko to ma swoje odbicie w nostalgiczno-sentymentalnym dyskursie⁵.

O, jakie ożłocone Rosjanki chodziły! Ale przywoziły też złoto do Legnicy i te nasze, które sprzedawały w sklepach, to też kupowały to złoto i wszystkie chodziły w takich pierścieniach. I kolczyki takie długie, piękne. Naprawdę, naprawdę było fajnie. I tu była kultura taka – na ulicy się nikt nie wyzywał, nikt nikomu nogi nie podstawił, jak to się mówi. Spokojnie się szło. A teraz taka cisza, ludzi nie ma. Tak wychodzę teraz na balkon – z tą kulą tutaj – patrzę się: nie widzę nigdzie zupełnie nikogo. A tu była masa ludzi. Idę do kuchni, patrzę – tam orkiestra ciągle w tym wojskowym grała. Teraz szkołę tam mają, tam jest wyższa uczelnia. Nikt tam nie gra, nikt nie maszeruje – żołdatów niet, dziewczuszek niet [2011.10.06/LG].

¹ J. Trenkner, „Był kiedyś taki kraj...”, przeł. W. Pięciak, w: *Nostalgia. Eseje o tęsknocie za komunizmem*, red. F. Modrzejewski, M. Sznajderman, Wołowiec 2002, s. 27.

² Por. K. Górka, *Ostalgia*, w: *Popkomunizm. Doświadczenie komunizmu a kultura popularna*, red. M. Bogusławska, Z. Grębecka, Kraków 2010, s. 360.

³ Por. M. Bogusławska, *Jugonostalgia*, w: *Popkomunizm...*, s. 351-353.

⁴ Por. J. Jaworska, *Gierkonostalgia*, w: *Popkomunizm...*, s. 349-351.

⁵ O różnych obliczach tego zjawiska patrz w zbiorze tekstów: *Nostalgia. Eseje o tęsknocie...*

Ich samochody, to pamiętam, jak już przestały jeździć, to nagle się okazało, że w panoramie, dla mnie, tego miasta brakuje ich wozów tych służbowych, wojskowych, które też były wszędzie wymalowane te gwiazdy [2010.02.10/LG].

Myśmy się jakby wychowywali w tych klimatach właśnie i nagle, gdy Rosjanie wyjechali, cisza, głusza, żadnego samolotu, żadnego lotniska, więc ta zmiana była taka... Nagle na ulicach nie ma wojskowych sowieckich... [...] Oczywiście potem, gdy Rosjanie wyjechali utworzyła się nagle olbrzymia pustka, pewna luka. Pomijam kwestie polityczne, ale mówię, takie kwestie społeczne, relacje międzyludzkie, wytworzyła się pewna pustka. Oczywiście nagle była ta fala euforii, „Rosjanie wyjechali! W końcu wolni i swobodni!” [2010.05.08/LG].

Opuszczenie Legnicy przez Północną Grupę Wojsk Armii Radzieckiej w 1993 roku całkowicie zmieniło krajobraz miasta. Jak wskazują trzy powyższe wypowiedzi, legniczanie uświadomili sobie niespodziewanie – dla wielu dojmujące – poczucie pustki po zniknięciu „Ruskich”, znaczącą wyrwę w miejskiej tkance. Zabrakło hałasu kojarzonego z działaniami wojska – przejeżdżających kolumn wozów bojowych, latających nad miastem śmigłowców; legnicka audiosfera zubożała jednak również jeśli chodzi o gwar na ulicy, co uświadomiła sobie pierwsza rozmówczyni, stwierdzając, że „teraz taka cisza, ludzi nie ma”. Kiedy zestawia ona w pamięci Legnicę jako miasto wyobrażone z przeszłości z tym teraźniejszym, na każdym kroku dostrzega znaczący brak albo zmianę, tak jak w przypadku widoku z jej okna, gdzie estradę, na której występowała orkiestra, zastąpił budynek uczelni. To połączenie przemian ludnościowych z przekształceniami przestrzennymi tworzy istotną różnicę, silnie zaznaczaną w rozmowach przez legniczan, ocenianą różnorodnie – czasem tylko konstatowaną, a czasem opatrywaną oceną emocjonalną, nie do końca wyrażaną tęsknotą za czasami, kiedy w Legnicy było po prostu inaczej.

A jak wyjechali, to mnie uderzyło to bardzo, ja się przyzwyczaiła do nich jak do rodziny. A jak oni odjechali, to mnie tak jakby zabrakło tej rodziny. Nie mam rodziny, sama zostałam znowu [2010.02.06/LG].

Poruszająca wypowiedź legniczanki, dla której wyjazd ludności rosyjskiej z miasta oznaczał osobistą stratę. Decyzja o wycofaniu wojsk dla wielu Polaków równała się utracie przyjaciół i znajomych, zarówno wśród rodzin oficerskich, jak i ludności cywilnej, często mieszkającej na jednej ulicy, w tej samej kamienicy, na tej samej klatce schodowej; niektórym udało się podtrzymać znajomości listownie, inne relacje zakończyły się wraz z końcem historii istnienia Małej Moskwy.



Może dzięki temu, że oni przejęli ten Kwadrat, to nie... nie został zniszczony przez nas Polaków, nie został zdewastowany. Oni po prostu nic nie robili, to ulegało takiej dewastacji czasowej, ale nie było tam, że niszczone, burzone, grabiono tak jak Polacy na przykład, takie pałacyki, dworki, gdzie komuna pozwalała na to, żeby po prostu, żeby ślad po tych wyższych klasach społecznych zniknął. No i myśmy tutaj przyszli

i nie pamiętam, w którym pomieszczeniu to było, ale na suficie wymalowana była czerwona gwiazda i tylko był Lenin, Stalin, Marks, Engels, symbole Armii Czerwonej, ten sierp i młot. To, no, robiło wrażenie, no, takie powiedzmy sobie żywego komunizmu w tamtych czasach [2010.12.08/LG].

Rozmówca dzieli się opinią powtarzaną przez niektórych legnicznan, że zagarnięcie przez „Ruskich” Kwadratu paradoksalnie ocaliło dzielnicę starych poniemieckich kamienic i willi od urbanistycznych przekształceń wykonywanych rękami komunistycznych architektów. Podobnego losu nie uniknęło ścisłe centrum miasta, w tym zabytkowy rynek miejski, gdzie wyburzono znaczną część starych kamienic, zastępując je zabudową niskich bloków⁶. Z tej perspektywy obecność Armii Radzieckiej niosła wymierną korzyść dla miasta. Z drugiej strony, co ważne, przez okres prawie pięćdziesięciu lat wojskowy charakter miasta – lokalizacja koszar, lotniska, terenów do ćwiczeń – hamował urbanistyczny rozwój Legnicy, z czterech stron „zamkniętej” przez znajdujące się na rogatkach posterunki.

Innym wątkiem jest fascynacja poradzieckimi pozostałościami (jak malunki na suficie czy murale), prawie archeologiczne odkrywanie pozostałych do dziś śladów obecności. Przypomina to wycieczki do Czarnobyli, gdzie atrakcją stanowi nie tylko elektrownia atomowa, ale i opuszczone z dnia na dzień miasteczko Prypeć, które stało się w związku z tym skansenem komunizmu⁷, a nawet zwiedzanie Nowej Huty⁸.

Ja byłem pierwszy raz w Kwadracie w listopadzie 1993 roku, kiedy Rosjanie wyszli. [...] Natomiast w tę niedzielę w listopadzie, kiedy byłem w Kwadracie, kiedy spadł śnieg i było tam 16 stopni minus, no przeżyłem to trochę dramatycznie, bo naogładałem się ja różne ciekawe rzeczy za mojego życia, natomiast nie wyobrażałem sobie, że będę świadkiem czegoś takiego, że będę miał okazję oglądać poszczególne tam wille, w których były zastawione stoły z resztką jedzenia, z różnymi tam... I tak jakby ktoś wyszedł na polecenie – koniec zabawy [2012.03.19/LG].

Ja byłem w szpitalu koło ulicy Złotoryjskiej, krótko po ich wyjściu, i szpital wyglądał tak, że właściwie gdyby nie to, że już był taki kozuszek w herbacie zieloniutki, to by wyglądało tak, że jakby dopiero przed chwilą chory wstał. Kołderka tak odłożona ładnie, tak to wyglądało, czuło się jeszcze ludzi tam, tak jakby nie wiem, no, nagle zniknęli. Tak, tak to było. Bo oni do końca tu funkcjonowali. No bo jedyna zmiana to była taka, że oni handlowali absolutnie wszystkim i, że śmigłowce, które startowały z lotniska – a np. przy działce moich rodziców znajdował się tor lotniczy tych śmigłowców – i one startowały, MIG-28 jak się podniosło i leciał na wysokości tam nie wiem, trzydziestu metrów na przykład, to kamyczki... patrzyłem, jak kamyczki podskakują. To była taka maszyna ogromna. I zamiast tych śmigłowców zaczęły latać

⁶ B. Rodak, *Legnicka starówka. Z dziejów zagłady i odbudowy*, „Szkice Legnickie”, t. XXVII.

⁷ P. Wasiak, *Realne i wirtualne zwiedzanie elektrowni w Czarnobyli*, w: *Popkomunizm...*, s. 303-319.

⁸ M. Golonka-Czajkowska, *Podróż do krainy zwanej Nową Hutą czyli o komunizmie jako atrakcji turystycznej*, w: *Popkomunizm...*, s. 287-302.

samoloty transportowe. Bo ile oni stąd wywieźli, to pewnie do końca nikt nie będzie wiedział – bo wywieźli na pewno bardzo dużo rzeczy stąd, nie, tam wjeżdżały pełne ciężarówki, wjeżdżały puste. I tylko te samoloty dzień w dzień startowały, pamiętam bardzo mocno [2010.02.11/LG].

Relacje o opustoszałych niespodziewanie budynkach, w których legniczanie natykali się na „zastawione stoły z resztką jedzenia”, talerze z niedojedzoną zupą, albo na „kożuszek w herbatce zieloniutki”, tworzą wyobrażenie o natychmiastowym odejściu Armii Radzieckiej na rozkaz, bez pożegnania czy choćby czasu na spakowanie dobytku⁹. Ten motyw – kojarzący się z tajemniczą historią statku Mary Celeste, dziewiętnastowiecznej brygantyny, którą odnaleziono dryfującą na morzu bez załogi, której zniknięcie nigdy nie zostało wyjaśnione – nadaje takim relacjom niesamowitego rysu. Można tu również dostrzec przekonanie Polaków o wyjątkowej karności obywateli Związku Radzieckiego, a także o tym, że przyzwyczajeni do życia w tymczasowości, byli gotowi do wyjazdu w każdej chwili.

O opuszczaniu Legnicy na rozkaz, z dnia na dzień, opowiadają też byli radzieccy wojskowi. Był kapitan wojsk radzieckich, Wiktor Dobryczyn, wspomina: „Wszystko zostawiłem. Jak większość naszych z dnia na dzień. Rano na wartowni odebrałem kwit, a dwadzieścia cztery godziny później siedzieliśmy w wojskowym eszelonie”¹⁰.

Tu było naprawdę, proszę mi wierzyć, było tak pozamiatane. Naprawdę. Zostawały tylko te wspaniałe gazety w oknach. Tego jakoś... Takie mieli nabożeństwo do tych pieprzonych firanek, że nawet po opuszczaniu domu, nie zdejmowali właśnie tej „Prawdy”, czy tam innej „Komsomolskiej”, która robiła za zazdrostki [2012.03.19/LG].

Tu z kolei mamy do czynienia z przeciwnym głosem – wyjeżdżając „Ruscy” metodycznie ogołacali swoje mieszkania z wszystkich cennych przedmiotów i mebli, pozostawiając jedynie nalepione na oknach gazety, kłujący w oczy legniczan znak ich niedawnej obecności odwołujący się do stereotypowego postrzegania „Ruskich” jako tymczasowych sublokatorów w mieście.



Chodziło się też do kina rosyjskiego, było letnie kino, takie duże. Ja tam chodziłem rzadko, bo rzadko, ale rzeczywiście byłem tam kiedyś, oglądało się. Dzisiaj tęsknię za tymi filmami rosyjskimi, takimi dobrymi, a nie jakimiś durnowatymi. Dzisiaj się okazuje, że tych filmów, z perspektywy amerykańskiej, było więcej. Te, co teraz lecą, to jest badziewie dwa razy gorsze niż te rosyjskie. Te rosyjskie może były naiwne, komunistyczne w myślach, ale takie człowiecze. A te filmy teraz, amerykańskie, nie mają ani wymiaru politycznego, ani człowieczego, więc nie ukrywam, że mam sentyment do rosyjskiej kultury, rosyjskiego myślenia, choć wiadomo, że było to ustawione trochę politycznie, bo wiadomo w jakim systemie byliśmy [2010.05.10/LG].

⁹ Wymowne zdjęcia takich pozostałości zamieszcza w swojej książce Wojciech Kondusza, por. W. Kondusza, *Mała Moskwa. Rzecz o radzieckiej Legnicy*, Legnica 2011, s. 234-240.

¹⁰ A. Guzicki, *Powroty bez rozkazu*, „Rzeczpospolita”, 18.09.2003, nr 218 (6598), s. A3.

Ja dzisiaj z rzewnością wspominam występy Północnej Grupy Wojsk... [...] Występowali albo w kinie Ognisko, jak myśmy nie mieli teatru, albo w teatrze tutaj, albo w Teatrze Letnim, ale myśmy tam na akademie..., bo oni swoje akademie organizowali. Albo dzień zwycięstwa organizowali na stadionie, bo oni mieli stadion [2012.11.11/LG].

Tęsknota niektórych mieszkańców miasta za „Ruskimi” w Legnicy obudowana jest sentymentem, jakim darzy się produkty rosyjskiej kultury. Rozmówca chwalać radzieckie filmy, które można było oglądać m.in. w letnim kinie w parku Miejskim, dostrzega w nich humanizm, jakiego brak we współczesnych produkcjach amerykańskich; kultura kapitalistyczna przegrywa w ten sposób z komunistyczną właśnie poprzez ów znaczący niedostatek „człowieczego” elementu. Jest to jeszcze jedno oblicze nostalgizowania cywilizacji komunizmu. Mieszkający w Legnicy obywatele Związku Radzieckiego wnosili do życia miasta powiew własnej kultury, oprócz wspomnianych pokazów filmowych organizując również m.in. koncerty, dyskoteki w Domu Oficera, akademie, wydarzenia sportowe czy choćby marsze zwycięstwa i inne państwowe uroczystości związane z ówczesnym ustrojem, na fali nostalgii obdarzane we wspomnieniach dodatkową wartością. Być może dochodzi tu do zespolenia sentymentu za okresem PRL-u z obecnością Armii Radzieckiej, co tym samym raz jeszcze dowodzi specyficznego kontekstu polityczno-kulturowego, w którym przez prawie pięćdziesiąt lat żyli mieszkańcy Legnicy.

★ ★ ★

Euforia. To był po prostu szal ciał. Na pewno dla tych, którzy czerpali z nich jakieś zyski... no, bo przecież jak ktoś, nie wiem, tym złotem handlował, no to dawał pieniądze, ale już sprzedawał z jakąś tam nadwyżką, żeby samemu zarobić, prawda, to jest oczywiste. To nie było pośrednictwo jakieś charytatywne... Więc na pewno ci, którzy czerpali zyski na handlu z Rosjanami, no jednak dla nich pewien okres się skończył, okres eee... taki konfitur, tak? Więc ci na pewno... na pewno zatęsknili, wiedzieli, że jakiś tam czas się kończy. Natomiast ludzie podchodzący do sprawy pobytu wojsk radzieckich w Legnicy, w Polsce w ogóle, [z *emfazą*] ideologicznie, cieszyli się niezmiernie, to był po prostu wybuch radości, kiedy dowiedzieliśmy się, że na mocy porozumienia z Jelcynem Rosjanie będą wyjeżdżać, będą wycofywani. Wszyscy po prostu chcieli... Pamiętam, mówią: „Kurczę, ja pójdę, pomogę im te meble, żeby tylko jak najszybciej się wynieśli”. No po prostu legniczanie szli na dworzec, żeby zobaczyć, czy to prawda, że oni rzeczywiście wyjeżdżają. Pamiętam te pociągi, które z legnickiego dworca jeździły z Ruskimi, oni byli cholernie smutni, no bo właśnie, no musieli wrócić, przyzwyczaili się jednak do tego, że, nie wiem, warunki w mieszkaniach są dobre, że są łazienki, coś, co nie jest standardem w miejscu, z którego przybyli, więc musieli do tego wracać. I wiedzieli, że nie ma drogi odwrotu, tak, bo ich system jest taki właśnie pokazany w *Małej Moskwie*, ty musisz wyjechać, musisz wrócić a... a zostać absolutnie nie było jak. Już nawet nie mogli się właśnie poprzez małżeństwa, być może czasem fikcyjne, tak... bo takie rzeczy się też odbywają i znamy to, że są papierowe małżeństwa, ktoś tam dla paszportu gdzieś

tam wyjazd. A tutaj po prostu nawet takiej możliwości nie było, więc oni bardzo smutni wyjeżdżali, a my bardzo radośni, że odzyskujemy połowę Legnicy. Bo nagle okazało się, jak oni wyjechali, że jest ten... ta substancja mieszkaniowa, prawda, że jest miejsce, w którym można otworzyć wyższą szkołę zawodową na przykład, albo nowy budynek sądu [2010.03.01/LG].

Dla wielu legniczan wycofanie się wojsk Armii Radzieckiej oznaczało polityczne zwycięstwo Polski, definitywne zakończenie okresu zależności od Wielkiego Brata. Jak ocenia to rozmówczyni, w mieście zapanowała euforia; w jej narracji wycofanie traktowane jest jako porażka „Ruskich”, a nie jako efekt porozumienia dwóch stron. „Ruscy” zostają dosłownie przepędzeni z miasta, ku uciesze Polaków i wbrew zapewnieniom generała Wiktora Dubynina, że „wyjdziemy z podniesioną głową, kiedy sami zachcemy”. Przeciwnie, polska strona zdaje się niecierpliwic, stąd na wpół żartobliwy wtręt o chęci niesienia pomocy przy transporcie mebli. Pomimo tego, rozmówczyni przyznaje, że dla części legniczan, którzy czerpali zyski z handlu z „Ruskimi”, koniec istnienia Małej Moskwy oznaczał często utratę znaczącego źródła utrzymania. W odczytaniu ideologicznym, jakie prezentuje powyższa wypowiedź, ostateczne odejście wojsk przybiera formę odzyskania przez miasto niepodległości, zarówno w sensie symbolicznym, jak i materialnym. Pojawia się próba racjonalizacji, a więc wskazanie problemu z dostępnością budynków i mieszkań, który miał się jakoby zakończyć wraz z rokiem 1993.

No po prostu, generalnie, była radość. Wałęsa tu zastosował przede wszystkim przepiękny chwyt, że tak jak 17 września weszli, tak 17 września Polskę opuścili, prawda. Wałęsa pilnował tej daty, jako takiej znaczącej. No z Legnicy oni wyjechali 16 września. [...] No generalnie była radość, choć oczywiście z zasady ci ludzie, ci cywile, którzy mieli jakieś kontakty, czy coś, no to wyjeżdżali wcześniej, prawda. Bo to nie było tego jednego dnia – wszyscy. Ostatnia jednostka właśnie. No, ale jednostka ta głównie była złożona z żołnierzy i z tych wyższych oficerów, którzy tam specjalnych kontaktów nie mieli z Polakami, takich osobistych tak, że to było takie służbowe, prawda. Prezydent, prawda, jakieś tam orkiestry, dźwięki orkiestry, żołnierze pomachali. A żołnierze nie mieli, ci cywile, prawda, co sprząтали, to nie mieli kontaktów z Polakami. Tak, że nie było, ale na pewno no, no, no, pamiętajcie o tym, że to miasto żyło, nawiązywało się jakieś miłości, jakieś przyjaźnie, jakieś inne związki i na pewno byli tacy Polacy, no którzy: „Katia, szkoda, że ty jedziesz!”, prawda. „No, ale zobaczymy się, a tu już idzie ku lepszemu. Oczywiście, że was zaprosimy, no to za dwa lata się spotkamy”. No, no, takie no, normalne, normalne życie. No, ale jakieś tam... Klęli handlarze, prawda, bo to już potem to, to już szło na żywca w ostatnich latach, to dosłownie oni przyjeżdżali i samochody przywożone z Enerdowa, prawda, wjeżdżały na lotnisko, samolot, samolot stał, tego i sru, bez żadnego cła, bez żadnych, żadnych innych rzeczy. Tak, że tu były spore konflikty pomiędzy władzami. Tak samo przyjeżdżało z Rosji mnóstwo towarów, które wjeżdżały na rynek, no, no nie było żadnej granicy celnej, prawda. Ale to już był pro... był to problem, problem władz, a nie

mieszkańców. No, ale generalnie, to, to ludzie odetchnęli, jak oni..., bo, bo to było jakieś, tak, tak w masie było to utrudnienie dla mieszkańców [2010.02.09/LG].

Wyjście wojsk Armii Radzieckiej z Legnicy nie odbyło się z dnia na dzień. Przypominało to raczej powolne opuszczanie, tak jak charakteryzuje je rozmówca, przeprowadzone zgodnie z wcześniej opracowanym planem oraz procesem „przekazywania” obiektów wojskowych w ręce miasta. Rozciągnięty w czasie okres „wycofania” armii jest również odczytywany jako świadoma decyzja, mająca na celu zapewnienie obywatelom Związku Radzieckiego wystarczającego czasu, aby móc wywieźć z miasta jak największe majątki: meble, samochody, dzieła sztuki, biżuterię – wszystko, co było cokolwiek warte. Narracja o końcowym „łupieniu” Legnicy tworzy klamrę spinającą rok 1993 z rokiem 1945, kiedy zwycięska Armia Czerwona doprowadziła do zniszczenia części miasta przez podpalenia wynikłe z nieokiełznania „ogni zwycięstwa”¹¹.

W reakcji na opieszałość wojskowych i przrzucanie jednostek między miejscowościami po mieście krążył dowcip, że wojska radzieckie przenoszą się z Legnicy do Świdnicy, a ze Świdnicy do Legnicy.

Na ten dworzec Północny, bo oni mieli ten dworzec Północny i te trzy tory zarezerwowane dla siebie i tam te specjalne pociągi zawsze stamtąd odjeżdżały. I wiem doskonale akurat, że na tych dworcach były wręcz rodzinne i przyjacielskie pożegnania. To były te ostatnie... przełamywane skrawki chleba, gdzie Rosjanie, jak pani wie, są w tym wypadku akurat pod wódeczkę zawsze wachają chleb, łamią się nim i niemalże ewentualnie jest to ich pasja, prawda? Więc to tak, tak to było. Zresztą muszę pani powiedzieć, że sam odprowadzałem tych Rosjan na dworzec Północny i wiedzieliśmy, że jest to właściwie historia już ostateczna [2011.11.06/LG].

To znaczy, wie pani, oni wychodzili dosyć po cichu. Nie było to tak demonstracyjnie opuszczane czy coś takiego, nie, absolutnie. Oni wychodzili tak, że nie można było nawet ich zauważyć, bo to przeważnie nocami sobie te cięższe rzeczy wyprowadzali, żeby nie przeszkadzać ludności. Mieliśmy tu lotnisko, to też wyfrunęli nie wiadomo kiedy z lotniska, bo mieli swoje samoloty, mieli ten kontakt powietrzny, tak, że bardzo cichutko wyszli bez hałasu, bez jakiegoś niczego, tak, że tu nie było niczego specjalnie. [...] Nie można się ucieszyć, jeżeli mieliśmy okupanta, to nie można się cieszyć? Pewnie każdy się uśmiechał w swoim wydaniu. Jeden był tak zadowolony, drugi mniej, ale wszyscy byli jednego zdania: „Dobrze, że opuszczają”; „Dobrze, że ich nie ma”; „Jesteśmy samowolni” [2012.11.03/LG].

Kolejne przykłady zróżnicowania opinii o wyjściu „Ruskich” z Legnicy. Niektórzy Polacy odczuwali potrzebę wywiązania się z roli gospodarza, odprowadzając odjeżdżających znajomych na peron dworca Północnego – w rycie pożegnalnego łamania chlebem dochodzi do intrygującego przesunięcia semantycznego tego symbolicznego gestu, w kulturze tradycyjnej wiążącego się

¹¹ O „ogniach zwycięstwa” patrz m.in.: A. Niedzielenko, *Legnica jako ośrodek wojskowy*, w: *Legnica. Zarys monografii miasta*, red. S. Dąbrowski, Wrocław – Legnica 1998, s. 607; Z. Szkurlątowski, *Sytuacja miasta i jego mieszkańców w pierwszych powojennych latach*, w: *Legnica...*, s. 408-409.

bowiem z witaniem nowo przybyłych gości. Dramatyzm i krańcowość sytuacji podkreśla użycie słowa „skrawki”. Co ciekawe, zresemantyzowany rytuał łamania się chlebem połączony zostaje ze zwyczajami libacyjnymi – „wączają chleb pod wódeczkę”. W drugiej wypowiedzi rozmówca określa wycofanie wojsk jako wyjście „po cichu”, jak gdyby w poczuciu wstydu, ale i podtrzymywanej do samego końca tajemnicy, skoro „przeważnie nocami sobie te cięższe rzeczy wyprawdzali”. W przekonaniu rozmówcy „Ruscy” decydowali się wyjeżdżać po kryjomu, żeby nie demonstrować tym samym ilości dóbr, jakie wywozili specjalnymi transportami lotniczymi.



Nie było takich tego, zniszczeń, ale napisy „Praszczaj, Polska” [Żegnaj, Polsko] były, nie? Zwłaszcza młode małżeństwa, zwłaszcza młode kobiety, zwłaszcza młodzież, oni płakali, jak stąd wyjeżdżali, bo wiedzieli, gdzie jadą i tak naprawdę to nie wiedzieli, jak to tam ich, ten ich wyjazd się tam skończy, jak to w ogóle będzie wyglądało.

Oni mieli żal do Polaków, że...?

Mieli, mieli, mieli, większość miała, ale oni z drugiej strony też sobie zdawali sprawę z tego, że... Że coś się kończy, że trzeba stąd wyjeżdżać. Było tak, że ci, którzy tam, ze względów tych handlowych mieli jakieś możliwości, to wykorzystywali na maksa i długo jeszcze po tym oficjalnym wyjeździe to tutaj mieszkali, wynajmowali mieszkania i powiem pani tak, że każdy legniczanie popatrzył na dziewczynę, choćby nie wiem jak piękna była, od razu była... Umiał rozpoznać, że ma do czynienia z Rosjanką [2010.02.08/LG].

Strona radziecka reagowała emocjonalnie na perspektywę powrotu do Związku Radzieckiego, co rozmówca tłumaczy niepewną sytuacją życiową, jaka czekała ich w ojczyźnie. Co ciekawe, największy żal wykazywać mieli ludzie młodzi, być może najbardziej otwarci na zachodni styl życia, jakiego zasmakowali w Polsce. Rozmówca zwraca też uwagę na zjawisko pozostawiania w mieście pojedynczych obywateli Związku Radzieckiego, którzy na różne sposoby – mniej lub bardziej oficjalne – próbowali zalegalizować swój pobyt w Legnicy po 1993 roku. Ostatnie zdanie odwołuje się do opisanego w rozdziałach pierwszym i trzecim poczucia odrębności etnicznej „Ruskich” oraz ich prób upodobnienia się do Polaków, które zapewne przeważnie kończyły się porażką, skoro każdy legniczanie „umiał poznać, że ma do czynienia z Rosjanką”.

Faktycznie, w pewnym momencie to już zdawaliśmy sobie sprawę, że jeżeli Rosjanie odchodzą, to oni tracą na tym, że tu dla nich to był po prostu Zachód, wcale nie dziki, tylko jak najbardziej taki normalny Zachód i jeżeli wrócą, no to dla nich to będzie zmiana statusu na gorszy. W zasadzie my, to moje pokolenie, moi znajomi, nie odczuwaliśmy żadnej euforii z tego powodu, że oni... Raczej towarzyszyło temu to poczucie, że oni nie wiadomo jaką rzeczywistość tam zastaną i jak oni się znajdą [2010.02.15/LG].

Pamiętam jedną rzecz, że kiedy przyszedł ten dziewięćdziesiąty któryś rok i już się mówiło o sprawach wyjazdu, to błąd strach padł na nich. Wtedy już w ogóle nikt nad niczym nie panował. I wtedy właśnie akurat zrozumieliśmy jedną rzecz, my, tu

w Legnicy, Polacy – że to są bardzo nieszczęśliwi ludzie, że to są ludzie, dla których Legnica była domem i ojczyzną, bo ta ojczyzna, która ewentualnie jest ich ojczyzną, to jest żadna ojczyzna, bo ona nie zapewnia im domu. Czy pani wie, że około siedemdziesięciu par procent kadry oficerskiej, ja nie mówię o tych szeregowych żołnierzach, nie mieli w ogóle stałego adresu zameldowania, nie mieli swoich domów? [...] Nie było żadnych okrzyków typu: „Ruscy, won do domu!”. Bo w końcu właściwie, wie pani, zdaliśmy sobie sprawę z tego, że to jest dla nich dosyć duży dramat. Oczywiście byliśmy bardzo zadowoleni, że ustaje, przede wszystkim, nie tylko symboliczna, ale ta mechaniczna wręcz w tym wypadku akurat okupacja, prawda, która trwała od czterdziestych lat [2011.11.06/LG].

W Legnicy pojawiają się głosy sympatyzujące albo wyrażające zrozumienie dla opuszczających miasto obywateli Związku Radzieckiego. Tego typu zdania oparte są po części na mechanizmie opisanym w rozdziale pierwszym, a mianowicie założeniu, że ojczyzna większości legnickich „Ruskich” to zdziczała, pozbawiona sprawiedliwego prawa, chaotyczna kraina barbarzyńskiego Wschodu – „ich ojczyzna to jest żadna ojczyzna” – stąd konieczność opuszczenia reprezentującej środkowoeuropejski „Zachód” Legnicy jest postrzegana jako życiowa tragedia dla korzystających dotąd z polskiego splendoru „Ruskich”. Passus o Legnicy będącej „ojczyzną” i „domem” dla żołnierzy Armii Radzieckiej pozwala sądzić, że dla części Polaków tożsamość legniczana nie wiązała się wyłącznie z kategoriami etnicznymi czy narodowymi, przeciwnie, inkorporowała również niektórych obywateli radzieckich. Pierwszy rozmówca przeciwstawia się ocenianiu roku 1993 jako euforycznego – co czynią inni legniczanie, podkreślający ideologiczny przekaz decyzji o wyjeździe Armii Radzieckiej – wskazując raczej na sferę towarzyską, przez co „dramat Ruskich” staje się dramatem jednostek, osobistym przeżyciem utraty, która oznaczała przerwanie nie tylko intratnych transakcji handlowych, ale licznych znajomości i prawdziwych przyjaźni.

Poczucie utraty i niepewności dalszych losów pojawia się też w relacjach byłych żołnierzy radzieckich. Wiktor Dobryczyn mówi wprost: „To był wielki odwrót. Towarzyszyły mu setki osobistych dramatów. Ludzie zostawiali w Legnicy kilka lat swojego życia. Zapakowani w pociągi jechali na Wschód, nie wiedzący dokąd. Dla mnie wyjazd z Legnicy nie był żadnym powrotem. Był podróżą w nieznaną. W Legnicy miałem mieszkanie, pracę, jakie takie zarobki i wielu znajomych. Tam, w Sojuszu, nie miałem nic”¹².

„Nie było żadnych okrzyków typu: »Ruscy, won do domu!«” oddaje odczucia rozmówcy, ale nie jest zgodne z prawdą – zwłaszcza w latach 1989–1992 w Legnicy miała miejsce fala wystąpień antyradzieckich, których katalizatorem był wypadek lotniczy: radziecki samolot bojowy Su-24 zderzył się z szybowcem Aeroklubu Zagłębia Miedziowego, co zakończyło się śmiercią jego pilota, dwudziestoczteroletniego Macieja Majewskiego¹³.

Jak już wyszli? To znaczy sytuacja jest taka, że wtedy były jeszcze takie rzeczy jak handel z Rosjanami, co dużo, dużo ludzi na tym zarabiało tak, że myślę, że wielu, wielu się zmartwiło, że Rosjanie wyjeżdżają. To na pewno. I sami Rosjanie też się

¹² A. Guzicki, *Powroty bez rozkazu...*, s. A3.

¹³ W. Kondusza, *Mała Moskwa...*, Legnica 2011, s. 176–196; por też. G. Baziur, „*Precz z sowiecką okupacją!*” *Konfederacja Polski Niepodległej wobec stacjonujących w Polsce oddziałów PGWAR w latach 1979–1990 – casus Legnicy na tle ogólnopolskim*, w: *Wojska radzieckie w Polsce...*, s. 387–413.

zmarli, że wyjeżdżają, bo oni ponoć mieli tutaj bardzo dobre życie, tam gdzie wracali, to ponoć na gorsze, szczerze mówiąc. Tak, że tak, tak, dziwnie, a czy coś się zmieniło? Noo, hmm, więcej mieszkań się zrobiło, no bo to wiadomo, oni opuścili to, to, te lokale różne. A tak poza tym, czy coś się zmieniło to nie wiem, chyba nie... [2011.04.20/LG]

Polacy, którzy przez okres stacjonowania Armii Radzieckiej utrzymywali żywe stosunki handlowe z „Ruskimi”, często wyrażają żal i tęsknotę za czasami, kiedy czerpali wyjątkowe korzyści ekonomiczne z mniej lub bardziej legalnych transakcji. Po wyjściu żołnierzy radzieckich Legnica utraciła uprzywilejowany status miasta przygranicznego czy portowego, scharakteryzowany w rozdziale drugim, co w połączeniu z przekształceniami związanymi z przejściem na system kapitalistyczny sprawiło, że wielu legnicznan boleśnie odczuło skutki transformacji ustrojowej.



To było pół na pół. Wielu Rosjan, wielu do dzisiaj, wiele Rosjanek i wielu Rosjan płacili po prostu dolarami za fikcyjne śluby, fikcyjne śluby. Jest do dzisiaj sporo przecież, jest do dzisiaj, sporo jest kontaktów, i było pół na pół. Ta kadra oficerska, oni wiedzieli, że tam jadą już na niepewne, tu im się podobało, ten luz nasz, to wszystko. I oni chcieli za wszelką cenę zostać, im to nie było na rękę. Znowu z naszych, no nie było takiego entuzjazmu, żeby... eee... wiwaty, że coś takiego, wyzwolenie, no nie było czegoś takiego, po prostu było spokojnie. Wiadomo po prostu: „O, wyjeżdżają”. Przyjechali, wyjeżdżają. No, nie było czegoś takiego – że oznak takiej demonstracyjnej radości, nie było tego... ani nie było też żalu. Po prostu później tak między sobą się nawet rozmawiało: „Cholera, czego tu brakuje na tej ulicy?”. No brakuje tych bud, tych samochodów ruskich, tej żandarmerii [2010.05.03/LG].

I tutaj sporo było takich, no po prostu oni chcieli tu zostać. Ci... Rosjanie. Obojętnie, czy to byli mężczyźni czy kobiety, w przeważającej chyba większości kobiety. [...] Im to się po prostu podobało, przyzwyczaili się i widzieli różnicę pomiędzy tym, co tam, a tutaj. Ja nie chcę powiedzieć przez to, że tam w Rosji wszystko było gorsze. Jest wiele rzeczy pewnie, które były niezłe, na przykład poziom edukacji, nie? Ale faktem jest, że wiele osób się starało o to, żeby zalegalizować swój pobyt poprzez zawarcie związku [2011.11.25/LG].

Sam... będąc w sklepie, muszę pani powiedzieć, miałem mnóstwo... Ponieważ już byłem żonaty, miałem mnóstwo propozycji sfigowanego ślubu. [...] Proszę panią, widziała pani kiedyś pięćdziesiąt monet pięciorublowych złotych na tym... na stole? [...] A na moim stole one leżały, proszę panią. I Rosjanka dawała pięćdziesiąt monet złotych carskich po to, żeby wyjść za Polaka. Żeby ja znalazł, żeby znalazł jej fikcyjnego męża [2011.11.06/LG].

Temat fikcyjnych bądź rzeczywistych ślubów, jakie zawierać mieli „Ruscy” pragnący pozostać w Legnicy, często pojawia się w rozmowach o tamtym okresie. Chociaż urzędnik legnickiego Urzędu Stanu Cywilnego poinformował nas, że nie odnotowano zawarcia żadnych małżeństw obywateli Polski i krajów byłego Związku Radzieckiego w miesiącach poprzedzających ostateczny wymarsz armii z miasta, tego typu układy były realizowane, o czym zresztą pisze Wojciech Kondusza¹⁴. Temat ten pojawia się też w relacjach dawnych obywateli radzieckich. Pułkownik Borys Potapow mówi: „A co nasi mieli robić? Jak była okazja, to brali ślub, załatwiali formalności i zostawali. Mój syn też tak zrobił, mieszka w Legnicy do dzisiaj”¹⁵.

W przywołanych relacjach uderza determinacja, jaką wykazują „Ruscy” – aby spełnić marzenie i móc pozostać w Polsce, gotowi są dać dowolną sumę za możliwość otrzymania stosownych dokumentów i zawarcia fikcyjnego małżeństwa, płacąc za to albo amerykańskimi dolarami, albo złotymi „monetami carskimi”. Można się domyślać, że w Legnicy z pewnością znaleźli się chętni do zawarcia tego typu transakcji.

Wątek złotych carskich monet został wykorzystany w spektaklu „Rzecz” moskiewskiego Teatru.doc, który został zaproszony przez Teatr im. Heleny Modrzejewskiej z okazji jubileuszu dwudziestolecia wyjścia wojsk z Legnicy.

Pierwszy rozmówca podkreśla też ambiwalencję a może wręcz obojętność legniczan – ani nie okazywano entuzjazmu, ani nie żałowano wyjeżdżających „Ruskich”. Opuszczenie po prawie pięćdziesięciu latach Legnicy przez kilkadziesiąt tysięcy „współgospodarzy” nie było w jego wspomnieniach przedmiotem refleksji; ta przyszła później, wraz ze wspomnianym już poczuciem pustki, rażącej luki, jaka niespodziewanie pojawiła się w miejskiej tkance: „cholera czego tu brakuje na tej ulicy?”.



Oczywiście też obserwuję te zmiany wynikające chociażby najpierw z pobytu Rosjan w naszym mieście, a potem zmiany wynikające z ich wyjazdu stąd. [...] Całe kwartały na przykład opuszczone i niezagospodarowane przez wiele, wiele lat miasta, całe dzielnice, szczególnie te części powiedzmy niemieszkaniowe, czyli koszary, instytucje użytkowane przez Rosjan. Do tej pory można spotkać się z pustostanami, które straszą w Legnicy, które stoją gdzieś tam, co raczej jest rzadkim widokiem w innych miastach [2010.05.08/LG].

No to zapamiętał co, no pamiętam, że, że bardzo dużo było [...] mieszkań, obiektów opuszczonych i nawet wtedy zauważyłem, że trudno to było zagospodarować tam i stały tam puste, i tam dopiero po latach zagospodarowane, i to nie wszystkie. Tam zostało bardzo dużo, dużo mieszkań i w Legnicy poprawiła się sytuacja mieszkaniowa, i można było za nieduże pieniądze kupić, i kto to zrobił, i poczekał dziesięć lat, to majątek zbił, bo później te nieruchomości wzrosły. Ale przeważnie było to takie zdewastowane mieszkania. Oni jak wyjeżdżali, to słyszałem, że brali, co mogli, zrywali jakieś boazerie i to wszystko wywozili [2011.04.04/LG].

¹⁴ W. Kondusza, *Mała Moskwa...*, Legnica 2011, s. 365-367.

¹⁵ A. Guzicki, *Powroty bez rozkazu...*, s. A3.

No w latach wcześniejszych, tych, tych latach pięćdziesiątych ci szarzy żołnierze to jak przyjeżdżali, a to zwłaszcza na wsi obserwowano, gdzie były, tu były bardzo bogate gospodarstwa te... te niemieckie, łącznie z kanalizacją, łącznie z doprowadzeniem wody do... do... do obór. To on tak stał i patrzył, kurde: „Odkręcę – leci woda, zakręcę – leci woda”. Wyrwał ze ściany, chował w kieszonce, w domu wkręci w ścianę, będzie miał wodę, nie [śmiech]. Tak, że nie mieli pojęcia w ogóle jak to działa, myślał, że to ten kranik jest cudowny [2010.02.09/LG].

Negatywny wpływ „Ruskich” na urbanistykę zostaje w wypowiedziach rozmówców przyporządkowany wizji Legnicy jako miasta zaniedbanego, zrujnowanego, niezagospodarowanego najpierw przez stronę radziecką, która przejęła znaczną część budynków wojskowych i administracyjnych, a później przez stronę polską, która do dziś nie uregulowała wszystkich kwestii związanych z pozostawionymi po Armii Radzieckiej pustostanami. Pogląd, że władze miasta nie wywiązały się z zadania, jakim było jak najsprawniejsze przejście miasta z rąk generała Dubynina i jego następcy, generała Leonida Kowaliowa, powtarza się w wielu wypowiedziach rozmówców – pod tym względem historyczna rzeczywistość Małej Moskwy nie doczekała się jak dotąd satysfakcjonującego wszystkich legniczan finału, symbolicznego zamknięcia i podsumowania okresu powojennego.

Mnie już wtedy w Legnicy nie było, ale jak już Kwadrat opustoszał i powiedziano mi, że został zburzony mur, który otaczał Kwadrat, z ciekawości pojechałam do Legnicy, żeby to zobaczyć. I to... Szczerze powiem, były wycieczki, ale czy one były takie masowe? Każdy na swój sposób chciał się przejść na spacer i to oglądał. No, możemy to nazwać, że to były wycieczki, ale z ciekawości i wtedy człowiek nie wierzył, że coś takiego w Legnicy było. Nawet do dzisiaj ja ze swoimi dziećmi jadąc, czy z mężem jak kiedyś jechałam, pokazałam jemu Kwadrat, no, te domy są przepiękne. To było miasto w mieście. Miasto w mieście [2010.03.03/LG].

Później po ich opuszczeniu, pamiętam, otworzyli ten eee... ten cały ich Kwadrat, gdzie mieszkali oficerowie, wyżsi generałowie... eee... no, to z ciekawości człowiek tam jechał, patrzył, chodził, oglądał, nie, bo to tyle lat tam nie było można wejść, nie, tam gdzie teraz ta restauracja jest Rezydencja. [...] No, takie dziwne, inne miasto. Każdy patrzył – popatrz, tu jest kostka brukowa, nigdzie... rzadko gdzie w Legnicy, tu jest, tak. Te domy takie jakies inne są, to lata dwudzieste te domy przecież tam były, oni tam nic nie budowali. No jakoś tak dziwnie po prostu było, inne miasto, nowe miasto, nowa Legnica, po prostu w ten sposób. To było takie jak gdyby zakazane miasto przez tyle lat, nie [2010.05.03/LG].

Wizja istnienia „miasta w mieście” pojawia się w wyobrażeniach wielu rozmówców, którzy przyznają, że po wyjściu armii w końcu można było spełnić marzenie o odkryciu tajemnic niedostępnego Kwadratu. Relacje o odzyskiwaniu tej przestrzeni – zgodnie z kluczem symbolicznym, wedle którego rzeczywistość zobaczona staje się rzeczywistością zaanektowaną¹⁶ – skupiają się właśnie

¹⁶ Napięcie, które Michel de Certeau zdefiniował jako strategię: spojrzenie będące praktyką władzy.

na aspekcie wizualnym. Każdy chciał na własne oczy zobaczyć, a dzięki temu doświadczyć niedostępnej wcześniej części dzielnicy Tarninów. Przez wiele lat Kwadrat intrygował, wśród Polaków pojawiały się różnorodne, nieraz doprawione nutką zmyśleń czy przeinaczeń na poły legendarne opowieści o dziwach, jakie znajdowały się za murem – po roku 1993 każdy zainteresowany miał wreszcie szansę przekonać się, ile było w tym prawdy. Narracja drugiego rozmówcy zwraca uwagę na dziwność Kwadratu, przestrzenne niedopasowanie – „te domy takie jakies inne są”, „jest kostka brukowa, nigdzie... rzadko gdzie w Legnicy”. Odrębność architektoniczna dzielnicy Tarninów stanowi kolejne jeszcze dziedzictwo małomoskiewnej historii miasta¹⁷.



Zmieniło się bardzo dużo, moja siostra mieszka teraz w mieszkaniu, które wcześniej należało do rosyjskiego oficera, na terenie Kwadratu. Zwolnili nam mnóstwo mieszkań, ludzie mogli z tego korzystać. Fakt, pozostawili je w strasznym stanie, to co oni robili... Nawet jak coś zostało, musieli to zniszczyć, wyrwać gniazdko itp... Nie dbali o to, jak była dziura, przyklejali gazety [2011.11.27/LG].

Te mieszkania były bardzo zaniedbane, w oknach zamiast firanek były gazety i to było takie charakterystyczne dla nich. I jak się wyprowadzali, już to wiem z opowiadań koleżanek, które koło nich mieszkały, że zdewastowali wszystko, wszystko. Mieszkania były totalnie zniszczone. Po prostu nie wezmę i nie dam drugiemu [2010.03.03/LG].

To mieszkanie jest po Rosjanach. Miasto zyskało po nich wiele mieszkań. Wcześniej Rosjanie mieszkali w Kwadracie, Polacy nie mieli tam wstępu. Ja urodziłem się w domu kilka ulic dalej. Jak wyszli z Legnicy to była masakra... [...] Nie szanowali tego w ogóle, piwnicę naszą musiało dwa dni czyścić kilka osób – zrobili z tego wysypisko śmieci. Oni przyjeżdżali tu na pięć lat, wegetowali tylko, nie dbali o nic [2011.11.31/LG].

Aha. Więc a propos tego ich wyjazdu! No i część ładowała na ciężarówki, a część wyrzucali przez okna. Krzesła, jakies tam stoły, widocznie, bo tego nie chcieli zabrać, to żeby zniszczyć. A nasi szli – na rozpałkę sobie brali to. Ale przecież po wyjeździe ich, to zaraz to było zamykane, specjalnie były służby, które pilnowały przecież, żeby to nikt tego tam nie wchodził. Ja nigdy tam się nawet nie wybrałam, żeby to obejrzeć. A wyjeżdżali dość po cichu. Tak nocami, pociągami, że... No owszem, widziałam tylko, co... zresztą czy ja byłam w stanie tak chodzić po mieście i wszystko widzieć? [2010.05.20/LG]

Zob. M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, przeł. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008.

¹⁷ Na temat pozostałości historii podzielonego miasta w przestrzeni por. W. Kondusza, *Śladami Małej Moskwy*, Legnica 2009; M. Czajkowski, *Legnickie tropy Armii Radzieckiej*, „Mówią Wieki”, 2012, nr 3 (626).

W 1993 roku, kiedy Ruscy odjeżdżali, poszliśmy, pamiętam, taki odbiór był urzędowy tych budynków, i to wyglądało tak, że weszliśmy do jednego... do jednej z takich willi, smród niesamowity, wszystko co można było wynieść, zostało wyniesione, nawet kontakty, progi... eee... niektórzy okna zabierali. Po prostu oni zabierali ze sobą wszystko absolutnie, ale... mhm... uderzyło nas to, że oni, że im nie przeszkadzało życie w takich strasznych warunkach, że przyjechali do miejsca, które było naprawdę świetnie przygotowane, a opuścili je zostawiając tam po prostu totalny chlew... Na przykład, z góry na – nie wiem – drugie piętro została zrobiona dziura w suficie, w tym samym miejscu poniżej i tak do piwnicy, i oni przez tę dziurę wrzucali śmieci do piwnicy i za przeproszeniem załatwiali się także do piwnicy. Więc odgruzowanie tego było czymś po prostu koszmarnym, pozbycie się smrodu i osuszenie tych budynków [2010.03.01/LG].

W powszechnej opinii radzieccy obywatele, zarówno ludność cywilna, jak i oficerowie mieszkający w kamienicach w Kwadracie i w polskich częściach miasta, doprowadzili do dewastacji zajmowanych mieszkań. Wojciech Kondusza opisuje stan przejmowanych nieruchomości i problemy, jakie sprawiała strona radziecka polskim służbom porządkowym i władzom miasta¹⁸. Z punktu widzenia Polaków „odzyskujących” miasto tereny przejęte po „Ruskich” opisywane są jako ruiny, zapuszczone rudery, nie dość, że noszące ślady wieloletniego zaniedbania, to jeszcze rozkradzione, ogołocone z wszelkich sprzętów i mebli. Powtarzają się wypowiedzi porównujące je do „wysypisk śmieci”; ludność radziecka oceniania jest negatywnie, jak pozbawieni kultury osobistej „lokatorzy” wynajętej przestrzeni, a nie dawni jej gospodarze, którzy wykazywaliby większą dbałość o stan materialny powierzonych im na wyznaczony okres budynków.

A: Drugi ważny budynek to był na Nowodworskiej. Do tej pory mówi się, że tam jest silne napromieniowane ołowiem. [...] Dużo szkód narobili!

B: Słuchaj, a budynek na Nowodworskiej to czym jest skażony, radem czy czym?

A: No właśnie! Na przykład jakieś skażenia, czy coś!

B: Wynikło skażenie, prawdopodobnie jeszcze przez najbliższych dziesięć lat ten budynek będzie skażony i nic z nim nie będzie można zrobić.

A: Dużo szkód tu zostawili, dużo, naprawdę!

B: Oj, przestań narzekać, dobra? [2012.03.11/LG]

W powyższej wypowiedzi „Ruscy” odpowiedzialni są za „skażenie” przestrzeni, dosłownie spowodowane do napromieniowania ołowiem lub zanieczyszczenia benzyną. Długie trwanie (zgodne z rozumieniem szkoły *Annales*) ich obecności – mimo upływu wielu lat od wycofania się wojsk z Legnicy – objawia się pod postacią fizycznych manifestacji, nadając poradzieckim budynkom charakteru miejsc radioaktywnych, promieniujących wspomnieniami po „Ruskich” do tego stopnia, że „nic z nim nie będzie można zrobić”. Tak opisywana przestrzeń zaczyna przypominać Strefę z powieści Arkadija i Borysa Strugackich *Piknik na rozdrożu* i jej ekranizacji w reżyserii Aleksandra Tarkowskiego pt. *Stalker* (ZSRR 1979) – o czym piszemy też w rozdziale 2 – albo zamkniętą zonę Czarnobyla i jej popkulturowe obrazy. W tym konkretnym przypadku chodzi o pałac Nowy Dwór, w którym w okresie powojennym znajdowała się radziecka jednostka chemiczna – stąd przekonanie o szczególnym zanieczyszczeniu tego miejsca.

¹⁸ W. Kondusza, *Mała Moskwa...*, Legnica 2011, s. 225-239.

Jak oni wyjechali, to niektórzy myślą, że to dalej trwa, takie mają swoje... pfff... pozostałości w mózгах. W resztkach może mózgów. Po prostu im się wydaje, że to dalej trwa. Ale to jest błędne myślenie! Dlatego tu jest, jak jest. Tu jest niż. Nisza. Ja tak naprawdę uważam [2012.03.11/LG].

Jak widać za ślad obecności „Ruskich” można też uznać sposób myślenia o teraźniejszości.



Natomiast spotkałem się z sytuacją, kiedy żeśmy dostali informację, że jest jakaś szajka i to taki nieprzyjemny był element, bo szajka złodziejska, która się włamuje do aut i ten, i to była już końcowa faza ich pobytu tutaj, że włamuje się szajka do tego, do aut i okrada auta, z radia, innych rzeczy... I wtedy się okazało, jak to zostało wyłapano, że są tam dzieci wysokich oficerów [2012.11.06/LG].

Ale do czego zmierzam. Jak oni kradli te samochody, jeszcze słuchajcie. [...] Chłop idzie na policję, bo to była policja i mówi: „Panie, ukradli mi samochód”. A oficer policji mówił tak: „A która godzina? Ooo... za dziesięć ósma, paaanie... to on już leci w tej chwili do Moskwy, bo to ostatni lot dzisiaj.” [...] I, słuchajcie, było w wielu miejscach... pootwierali takie bramy, które wcześniej były zamknięte, ponieważ często się zdarzało, że gonili ich. Bo często się zdarzało, że [...] nasza policja ich goniła, to oni tylko ziuuu! Brama się zamykała, koniec, teren wojskowy, nie można wchodzić. Słuchajcie, pod koniec to już się stało tak nagminne, radiowozy polskie, nyski takie – wiecie, jak nyska wygląda – stały obok bram zaparkowane i po prostu pilnowali, żeby Rosjanie tamtędy nie wprowadzali tych samochodów. Jak widzieli polski samochód, to mieli prawo, prawda, zająć mu drogę i go jakby... ale i tak mieli sposoby. Tak więc trzeba było bardzo uważać, żeby auta nie ukradli. Potrafili nawet z podjazdu nawet wyciągać samochody. Tak, że sami tego nie robili, wspomagali ich prawdopodobnie Polacy, którzy mieli z tego dochód [2010.12.08/LG].

Popularnym wątkiem związanym z wyjazdem Armii Radzieckiej są opowieści o kradzieżach samochodów¹⁹. „Ruscy” przedstawiani są jako złodzieje, którzy wiedząc już o rychłym końcu polsko-radzieckiego porozumienia, za wszelką cenę i wszelkimi sposobami starają się zarobić jak najwięcej, oddając się nawet procederom tak jawnie nielegalnym, że wzbudza to zainteresowanie polskiej policji. W narracji drugiego rozmówcy „Ruscy” działają jak perfekcyjni gangsterzy: mają do dyspozycji ludzi, sprzęt (lotnisko, którego nie kontrolują polscy celnicy) i przestrzeń (tereny wojskowe, na które wstęp był zabroniony), przez co kradzież aut zostaje opisana jako zaplanowana odgórnie akcja, a nie – jak się można domyślać – własna inicjatywa jednostek. Rozmówcy podkreślają bezczelność złodziei, którzy „potrafili nawet z podjazdu nawet wyciągać samochody”, tworząc obraz Legnicy z początku lat dziewięćdziesiątych jako miasta przestępczego.

¹⁹ Tamże, s. 307-313.

I właściwie mogli wywozić to, co im się żywnie podoba. Wiem, że tendencją były przede wszystkim samochody niemieckie, które były kradzione przez Polaków wtedy nagminnie i ściągane akurat tutaj w okolice Zgorzelca i Legnicy. Rosjanie je kupowali za no, przystępny pieniąż i natychmiast je drogą lotniczą bądź ewentualnie wagonową wywożono stąd. Zresztą robili masakryczne zakupy. Wszystko, cokolwiek można było wtedy wykupić, wykupywano. To była taka już histeria niemalże. W każdym razie oni wiedzieli, że to już jest koniec i, że te prawdziwe kłopoty dla nich, jeśli chodzi o historię zawodowe, rodzinne dopiero się zaczną, zaczną tam [2011.11.06/LG].

Pojawiająca się tu sugestia współpracy Polaków i „Ruskich” przy kradzieży samochodów tonuje wcześniejsze wypowiedzi, w których winą za złodziejskie rozpasanie obarczano wyłącznie stronę radziecką. Równocześnie rozmówca z naciskiem powtarza pogląd o „łupieżczym” stosunku obywateli (być może już byłego) Związku Radzieckiego do własności polskiej, określając zabiegi „Ruskich” jako histerię – chwytanie się każdej nadarzającej okazji, żeby spieniężyć albo wywieźć poza granicę cenne przedmioty, zgodnie z poglądem, że dotychczasowych mieszkańców Legnicy po powrocie na łono ojczyzny czekała niewesoła przyszłość, „prawdziwe kłopoty dla nich”.

Taką jedną z bardzo cennych willi i jej wyposażenie, mam wrażenie, że uratowałem, ponieważ wszedłem tam w momencie, kiedy Rosjanie tam darli, zwijali taką boazerię. Ta willa była przebogata, ona była wprawdzie z przełomu wieków XIX-XX, więc nie była tam bardzo stara, ale to była willa właściciela firmy produkującej cegłę klinkierową. Czyli tą czerwoną, z której wiele budynków można tutaj spotkać z niej. To była wytwórnia, która nawet miała swoje tam agendy handlowe w Berlinie, więc bardzo poważna, bo tu jest w bardzo dobrej jakości w okolicy Legnicy glina kaolinowa. I ten Rother, tak się nazywał, budował też sobie tam taką willę, też oczywiście z czerwonej cegły, bardzo ona jest zdobna, tam ta fasada jest, taki rodzaj pałacyku i tak dalej. A w środku zrobił ją w stylu neorenesansowym i bardzo, bardzo bogata. Bardzo bogata boazeria drewniana ze złoceniami, ze stropami i tak dalej, i tak dalej. I właśnie wpadłem na taki moment, kiedy oni... [...] Kiedy oni właśnie rozbierali tą boazerię. [...] Oni mnie zignorowali. [...] Tak. No, bo tam był jakiś ktoś. I ja tam do niego z gębą, a on mi powiedział, co mnie to obchodzi – przecież to jest ich. Próbowałem wytłumaczyć bezskutecznie, jak się łatwo domyśleć, że to nie jest ich. I w związku z tym, że on nie chciał ze mną rozmawiać, to ja tutaj, od... Przy ulicy Złotoryjskiej, tutaj bardzo blisko też taki czerwony gmach, to jest gmach sądu. I tam się mieściło takie dowództwo Rosjan, oficer dyżurny i no... Do nich zgłosiłem się, żeby porozmawiać [...]. I tam jakiś oficer dyżurny mnie tylko wysłuchał. Tam powiedziałem, co tam się dzieje i że o tym wiem, i że zawiadomiłem policję. [...] Miałem aparat fotograficzny. Nie wiem, czy ich to przestraszyło. [...] Ja to zgłosiłem na policję, policjanci się zachowali się okej. Przez całą noc nyska stała, taka od kiedy nyski mieli milicjanci, mieli nyski wtedy. Przez całą noc stali przy tym obiekcie, więc fajnie. I konserwatora wojewódzkiego zawiadomiłem oczywiście, no i to było

wszystko, kogo można było. [...] Zrobiła się jakaś tam jednak drobna chyba z tego afery. Bo to też policja zawiadomiona tu tego. I odstąpiono od tego [2011.11.25/LG].

Rozmówca poczuł się w obowiązku powstrzymać „Ruskich” rozkradających bezcenne wyposażenie jednej z poniemieckich willi. Chodzi tu o jedną z dwóch willi przemysłowca i właściciela zakładów ceramicznych Juliusa Rothera, zbudowanych w końcu XIX wieku w stylu pałacowym, znajdujących się przy ul. Żłotoryjskiej pod numerami 87 i 89. Warto wspomnieć, że we wrześniu 2013 roku wnętrza uratowanej willi zagrały wnętrza radzieckiego urzędu w filmie Waldemara Krzystka *Fotograf*, którego akcja rozgrywa się m.in. w Legnicy lat siedemdziesiątych XX wieku. Z jednej strony historia ta odwołuje się do wizji miasta bezprawia – czy raczej wybiórczego prawa, charakteryzującego się systemowym wydzieleniem ludności radzieckiej spod jurysdykcji państwa polskiego – a z drugiej dowartościowuje reakcję polskiej policji, która, zaalarmowana przez rozmówcę, utrudnia bądź udaremnia wręcz kradzież. Historia dowodzi również niejasnej tożsamości historyczno-politycznej Legnicy, jeśli chodzi o poczucie własności i odpowiedzialności za miasto.

Lotnisko... tam dotąd wybierają z ziemi jakąś benzynę. [...] Jak nie było im to potrzebne, to po prostu w beczki, odwracali i to wszystko szło do ziemi. Tych beczek było tysiące. To było całe źródło tego [2010.12.09/LG].

We wspomnieniach rozmówcy chciwość „Ruskich” nie znała granic – opętani szafem rozgrabiania polskiego mienia, woleli ukryć nadwyżkę zapasów benzyny w ziemi (znów dają o sobie znać wyobrażenia o chtonicznym charakterze człowieka radzieckiego, jego szczególnym związku ze światem podziemnym), niż pozostawić ją Polakom. Część legniczan podaje nawet konkretne miejsca w mieście, które do dziś miałyby być nasączone benzyną.

To były trudne czasy. Dziwne takie... taki chaos. Do dzisiaj mam pianino rosyjskie. Kupiłem. Nie mogli zabrać ze sobą i wywieźć, i za jakieś tam niewielkie pieniądze przywieźli mi do domu. Te dwa sejfy mam po Rosjanach. W jednostkach wojskowych były, są dzisiaj odnowione, polakierowane i tak dalej. Ale nie mogli wywieźć do Rosji, to zakombinowałem jakoś, odkupiłem [2012.11.04/LG].

A propos handlu, tutaj niedaleko Megasamu, tego Reala supermarketu, był jeden z pierwszych skupów złomu. Ten skup złomu prowadził dziś bardzo znany biznesmen, który się do tych biznesów swoich nie przyzna. Natomiast któregoś razu kupił od Rosjan czołg, uzbrojony czołg, za który zapłacił jakieś tam grosze, pocięty na kawałki zyskiwał na wartości jako elementy tego złomu. On ten biznes swój prowadził na takim podwórku, które było za małym takim budynkiem nieistniejącym już dzisiaj, bo tam go rozebrali. Któregoś razu, kiedy jego pracownicy pchali sami ten czołg, ciężki na zapleczu, z drugiej strony podwórka od frontu podjechał gazik wojskowy rosyjski z takim napisem WAI, Wojenna Armijna Inspekcja, wysiadł polski cywil, rosyjski, kierowca żołnierz, pułkownik rosyjski i ten cywil mówi do właściciela skupu: „Proszę pana, pan tu podobno kupił od Rosjan czołg?”. „Nigdy w życiu, jaki czołg?”. „Ten tam”, na zasadzie, jak cię złapią za rękę, utnie moją rękę. Później opowiadał, że był

bardzo wystraszony, bo też nie za bardzo było wiadomo, jaka ta Polska jest tutaj, przyjeżdża cywil w rosyjskim samochodzie, a tam siedzi pułkownik rosyjski, jest 1992 rok, on mówi: „Dobrze, jak kupiłeś ten czołg, to się przyznaj chłopie, bo my wiemy od kogo, jak, ile zapłaciłeś” i podaje konkrety ten polski cywil, on mówi: „Nie, w życiu, jaki czołg”, a tam... Nagle wysiada z tego gazika wojskowego ruski pułkownik, mówi: „Wy znajesz, szto wy zakupili, jeszcze dwa zakupisz?”, tak to wyglądało, czołgi, uzbrojenia wojskowe w jakiś tam sposób, a to kupił jakieś skrzydło od samolotu, cały rozbrojony samolot, gdzie ten metal już był zdecydowanie droższy niż taki czołg, takie biznesy wtedy się robiło. Walutą wymienną był magnetowid, czyli nie magnetowid a odtwarzacz wideo przywieziony z Berlina Zachodniego jeszcze wtedy, były oswojone, ale cały czas był jeździli Polacy na zakupy do Berlina zachodniego, przywozili im takie odtwarzacze video, sprzedawali albo wymieniali na inne towary z Rosjanami, wszystko można było od nich kupić, też mercedesy [2010.12.18/LG].

A przypomniało mi się, taki fakt, że jak Ruscy wyjeżdżali, to można było kupić na rynku jakąś broń, pistolet albo naboje, karabin np. kałasznikowa - bez żadnego problemu i za nieduże pieniądze [2011.04.20/LG].

Okres przed wyjściem Armii Radzieckiej z Legnicy charakteryzował się bezprecedensową intensyfikacją nielegalnego handlu. Powracający do Związku Radzieckiego „Ruscy” zachowywali się jak ludzie przygotowujący się do przeprowadzki, wystawiający na sprzedaż wszelkie niepotrzebne przedmioty, których nie mogli zabrać ze sobą. Opowieść o pistoletach i karabinach kupowanych za bezcen na legnickim targowisku wskazuje na specyficzne nasycenia Legnicy poradzieckim profesjonalnym uzbrojeniem.

Chaos, o którym mówi pierwszy rozmówca, jest charakterystyczny dla okresu transformacji, stanowi okres liminalny między dwoma okresami zdefiniowanymi i opatrzonymi jasnymi regułami i normami społecznymi – w tym sensie, podobnie jak każda rewolucja, jest to swoisty obrzęd przejścia w rozumieniu zaproponowanym przez Arnolda van Gennepa i rozwiniętym przez Victora Turnera²⁰.

Druga opowieść jest szczególnie efektywnym przypadkiem narracji o sprzedaży na złom radzieckiego uzbrojenia, jak na przykład odpiłowanych skrzydeł samolotu. Ta konkretna historia została opublikowana w artykule w „Rzeczypospolitej”²¹, tu cytujemy ją w wersji opowiedzianej członkom naszego zespołu badawczego przez autora artykułu.

Ja miałam takie zdarzenie. Mama mi kiedyś mówi tak – to już było... to już było gdzieś tak 1991, 1992 rok góra. Mama mi mówi tak: „Aniu, pójdz na rynek, wiesz... aha, nie – pójdz na dworzec, mówi do mnie, bo ja sobie na... spotkałam taką Rosjankę na rynku, która sprzedawała świetną płukankę do włosów. I ona ma tak dobrą tą

²⁰ Zob. A. van Gennep, *Obrzędy przejścia. Systematyczne studium ceremonii. O bramie i proggu [...] i o wielu innych rzeczach*, przeł. B. Biały, Warszawa 2006; V. Turner, *Gry społeczne, pola i metafory*, przeł. W. Usakiewicz, Kraków 2005, s. 164-165, 195-196, 217-219.

²¹ A. Guzicki, *Powroty bez rozkazu...*, s. A3.

płukanke, ale tym razem nie miała. I obiecała, że jak..., że będzie na dworcu, bo ona już wyjeżdża i będzie tę płukanke miała, i będzie na ciebie na dworcu czekała”. I ja, no, poleciałam na ten dworzec, prawda? I ja zobaczyłam – zobaczyłam pociąg podstawiony, zobaczyłam ludzi, Rosjan, którzy targali, co tylko można – role dywanów, meble, wielkie skrzynie wyładowane towarem – wszystko, co tylko można było, to wywozili [2010.02.31/LG].

Kontakty handlowe podtrzymywane były do samego końca, czego jaskrawym dowodem ma być opisana przez rozmówczynię Rosjanka, która umawia się na sfinalizowanie ostatniej transakcji na peronie dworca kolejowego.

I tu należało z nimi ostrożnie postępować, a nie łamać, czy pastwić się nad ich dumą, poczuciem honoru. Każdy to ma, nie, i tak dalej. I Wąłęsa potworny błąd tutaj zrobił, bo myślę, że wszyscy wiele straciliśmy przez to. Bo zanim doszło już do oficjalnego przekazania, pojechało tam wiele transportów, tak zwanej poczty dyplomatycznej. Czyli całe wagony były promowane i nie mogły być otwierane. Nie wiemy nawet dokładnie, co zniknęło, ta resztką, która została doszabrowana już potem i dostaliśmy gołe ściany, mury, zniszczone często mieszkania i tak dalej [2011.11.25/LG].

Nasze władze działają w ten sposób. Najpierw puszczają to, do tej pory zresztą tak tutaj w Legnicy wszystko funkcjonuje, najpierw puszczają samopas, nikt tego nie pilnuje, każdy ma do tego dostęp, najpierw to zniszczą, a potem dopiero szukają kupca ewentualnie. I z głowy. Tak to wygląda. Gdybym ja miał jakąś możliwość władzy, to ja bym pozamykał tych wszystkich decydentów, za to, co zrobili. Nie tyle Ruscy zniszczyli, czy Polacy, tylko to zostało wszystko zaniedbane. Opuszczone i tyle. Do tej pory, jakbyście chcieli połączyć po Legnicy – musiałybyście połączyć jutro co najmniej cały dzień – i zobaczyć, ile tych wszystkich budynków po Ruskich stoi. Niezagospodarowanych. Nic nie robili z tym, bo nikogo to nie obchodzi [2012.03.14/LG].

Powyższe wypowiedzi przerzucają część odpowiedzialności ze strony radzieckiej na rząd polski, który podjął nieodpowiedzialne decyzje warunkujące dalsze postępowanie „Ruskich”. Pierwszy rozmówca uznaje, że „pastwienie się nad ich dumą, poczuciem honoru” doprowadziło do stworzenia atmosfery przestępczej – gdyby inaczej potraktować obywateli Związku Radzieckiego, „odprawić” ich z poszanowaniem godności, a nie skazywać na wyносzenie się z miasta chyłkiem, jako strona przegrana, upodobniając się trochę do wojennych uciekinierów, można było uniknąć dewastacji własności miasta. Co ciekawe, Polacy zostają obsadzeni w roli „podwykonawców”, którzy w symboliczny sposób dokończyli dzieła zniszczenia.



Wie pani, dewastacja nie mogę powiedzieć, że to była tylko przez nich, bo nasi też mieli swój udział. Wkradali się nocą, co było – rabowali. Co pozostawili, takie pamiątki róż-

norodne, czy rzeźby czy coś, bo to były różne takie zajęte pozycje. To znaczy te domy były bardzo ważne, bardzo ciekawe, bo to były po kimś, bo to były wybrane, ta dzielnica, to dużo, dużo, zabierane te różne takich, pozycje rzeźbione zabierali, niszczyli, bo to... Wkradali się nocą, a nie było takiego nadzoru pilnowania, to chyba zrozumiałe, jak wiadomo, paserzy, ci wszyscy... Teraz jest zupełnie inaczej [2012.11.03/LG].

Szaber polski, odnotowany również w źródłach historycznych²², miał miejsce bezpośrednio po wycofaniu się z Legnicy byłej Armii Radzieckiej. Rozmówca opisuje nocne włamanie Polaków do niestrzeżonych mieszkań, przede wszystkim do opustoszałych willi na Tarninowie, w których pozostało najwięcej cennych mebli, przedmiotów, „pamiątek różnorodnych”. Opuszczona przestrzeń powojkowa w pewnym sensie również nabrała właściwości liminalnych, przez okres przejściowy funkcjonując jako ziemia niczyja, wyłączona spod prawa strefa, która z jednej strony traktowana była jako ziemia odzyskana, a z drugiej – niewprowadzona jeszcze w tożsamościową tkankę miasta jako polska własność.

A: Nic tam nie niszczyli. Właściwie wie pani, kto to zniszczył? Polacy.

B: Oni tak naprawdę, jak wyjeżdżali stąd, tylko klucze zostawiali od mieszkań, nic więcej nie robili. [...]

A: Polacy to zniszczyli, nasi, złodzieje, o, tacy, o, lebry, jak to się mówi. [...] Bo taka prawda, a kto? Przecież Ruski tylko wzięli swój dobytek tam, co mogli wziąć i wyjechali stąd. Nawet klucze w domkach pozostawiali. Niektóre meble nawet. A, no, wiadomo są i bezdomni teraz, jak to pan Włęsa zrobił, że pracy nie było, no, to ludzie nie mieli gdzie mieszkać, a domy się pozostawiali po rosyjskich, to kto się tam włamywał? Ruskie, jak już ich nie było?! Nasi! Co tu dużo mówić [2011.04.03/LG].

Na pewno bywało, na pewno. I zajmowali bezprawnie. No, właśnie tak mówiłam – klucz brali od Sowiet, coś tam jemu dali... znaczy – za coś, przecież nie za darmo Sowiet im dał i pojechał [*uśmiech*]. A ci już zajęli to mieszkanie i pamiętam, że czasami to nawet pilnowali tego mieszkania. Kiedyś ja... gdzie ja? Gdzieś chodziłam – i taka pani siedziała na krześle przed jakimś właśnie budynkiem i pilnowała – bo już sobie upatrzyła, że to mieszkanie ona zajmie i żeby ktoś inny ją nie ubiegł. Ale to wszystko tak robili ludzie trochę no, na niewiadome. Bo myśleli, że może to się jakoś tam uda. Mogła mieć na przykład bardzo złe warunki, tak? I liczyła, że jakoś przydzielą jej potem ten lokal, że będzie miała pierwszeństwo [2010.05.20/LG].

Motyw kluczy pozostawionych przez wyprowadzających się „Ruskich” w drzwiach posiada też wariację, w której dotychczasowi radzieccy lokatorzy przekazują mieszkanie w ręce znajomych Polaków, z którymi zawczasu umówili się na przejęcie posesji. Samowolka mieszkaniowa, jaka wybuchła w Legnicy w roku 1993, tłumaczona jest przez pierwszego rozmówcę nieodpowiedzialnymi decyzjami polityków oraz specyficzną sytuacją miasta – odczuwalnym szczególnie przez ostatnie lata brakiem substancji mieszkaniowej, który zmuszał legniczan do podejmowania drastycznych kroków.

²² W. Kondusza, *Mała Moskwa...*, Legnica 2011, s. 230-231.

Opowieść o kobiecie, która zajęła puste mieszkanie i stróżowała przed nim na krześle ukazuje styl myślenia o własności prywatnej korzeniami sięgający naturalnie poprzedniego ustroju – zaklepanie wybranego budynku, przejętego półlegalnie za sprawą ugody z „ruskim” lokatorem, ułatwić ma późniejsze negocjacje administracyjne z miastem.

Określenie „lebry” pojawiające się w pierwszej wypowiedzi to słowo pochodzące z gwary śląskiej. „Leber” oznacza drania bądź obiboka.

No marniało to, bo jak się dało tu wyrwać, tam wyrwać, no to przecież tak się ludzie zachowywali i to marniało. Ale mimo wszystko w większości tych budynków, o których tu państwu mówiłem, że wpisałem do rejestru, wyposażenie oryginalne się zachowało. Zdarzały się też takie przygody, jak na Kolbego, teraz nie powiem numeru, kiedy jakiś miłośnik podwędził był witraże z klatki schodowej. I myśmy tu zrobili akcję, a ponieważ to się działo po tym, jak ksiądz oddał to, co miał oddać, to złodziej był, no, prawdziwy chrześcijanin, grzeczny, do willi odniósł oryginały. Do dzisiaj są. Bywały i też takie przypadki [2012.03.19/LG].

Wbrew przywoływanym wcześniej opiniom innych legniczan, rozmówca stanowczo zaprzecza tezie, jakoby to „Ruscy” byli odpowiedzialni za dewastację oraz rozkradzenie opuszczonych mieszkań.

Tu były takie potężne stoły do masażu betonowe, nagrzewnice. Tylko że był w opłakanym stanie. Jak tutaj Ruscy zostawili, no, to nasi buszmeni jak się tu rzucili, to wszystko, co można było wyrwać, żelazo, złom, kaloryfery, wszystko wszystko [2011.07.04/LG].

Polscy „buszmeni”, jak określa rozmówca szabrowników poradzieckich budynków, zostają zrównani z niedbającymi o mienie „Ruskimi”, a opłakany stan lokali okazuje się być rezultatem działalności dwóch narodów.

Kwadrat został przejęty przez Urząd Wojewódzki ówczesny, bo taki tu był. Ale nie potrafią zapewnić skutecznej ochrony, bo przecież pamiętam, że przeżyłem sam szok, bo widziałem w listopadzie coś, co tu legniczanie, a państwo wiedzą, o czym mówię, nazywano Domem Prijoma, czyli dzisiejszym tam Rezydencją [hotelem i restauracją]. I po paru miesiącach wybili, widziałem, byłem świadkiem, kiedy ktoś wpadł w szal i powybił wszystkie okna w tej budowli. Nikt oczywiście nie był w stanie dopaść złodzieja, bo Urząd Wojewódzki dysponował chyba tam dwoma panami, którzy byli w wieku już, daj Boże, prawie że takim wyprawiającym się do raj, którzy przecież bali się własnego burczenia w brzuchu, a co dopiero, żeby oni wyszli przeciwko facetowi, który ma coś w rękę. I rozgrywki między miastem a województwem trwały przez parę lat, a w międzyczasie co się dało podwędzić, mówię, polskie to stare, dobre słowo, no to, kto był szybszy i sprawniejszy, to wynosił. No było, to co panu powiedziałem, że tu w całej glorii ktoś próbował czymś handlować, bo to nie było tak, że to facet był złodziej, nie? On się umówił z Ruskimi, że on przecież kupił to. Żyje, może zapytajcie go – za ile [2012.03.19/LG].



A było, było... znaczy, nie, może nie, ale było przez chwilę jakaś, hmm, no nie wiem, może euforia to za dużo powiedziane, ale nagle te czasy się przypomniały, nie. A wszyscy: „O, ten grób, ta Rosjanka tam pochowana”, to nagle pełno zniczy. To znaczy nie wiem, może wcześniej też były te znicze, bo ja nie wiedziałem w ogóle, że tam coś takiego o tej Rosjance wcześniej, no. No, to tam od razu znicze, wiem, że pozapalane są. Wszystko tego, taka była przez chwilę jakaś taka moda jakby, ale żeby tutaj jakieś szlaki robić, to ja nie wiem, czy ktoś by chciał, czy byliby chętni jacyś... Nie, chyba nie, to są takie czasy dziwne, bo z jednej strony, to tutaj tak się kojarzą jednak z komuną, gdzie było biednie i w ogóle i ciężko, prawda... hmm. Nie! Chyba to nie byłby dobry pomysł, mi się wydaje... No, bo to mówię, przez chwilę to była ta, jakaś taka, w ludziach to się obudziło, nie, te wspomnienia i to wszystko, ale teraz to już nie. Już wszystko wróciło do normy... [2011.04.20/LG]

Recepcja filmu *Mała Moskwa* w reżyserii legnickiego pochodzenia filmowca Waldemara Krzystka przyczyniła się do wzrostu popularności Lidii Nowikowej, Rosjanki, na losach której oparta została postać głównej bohaterki filmu Wiery Swietłowej. Obraz został nagrodzony na wielu polskich festiwalach filmowych, popularyzując wiedzę o historii polsko-radzieckich stosunków w Legnicy. Co ciekawe, sami legniczanie odbierali film różnorodnie, a widocznej ambiwalencji w ocenie sfabularyzowanej historii Nowikowej nie można tłumaczyć jedynie specyfiką sztuki filmowej. Z pewnością w mieście odczuwano zwiększone zainteresowanie okresem Małej Moskwy, czego dowodzi wypowiedź rozmówcy, wskazując na wyklarowanie się nowej mody – odwiedzania znajdującego się na terenie legnickiego cmentarza grobu Nowikowej w celu zapalenia na płycie symbolicznego znicza upamiętniającego legendę tragicznej miłości. Współczesna rytualna praktyka odwiedzania grobów znanych ludzi – pisarzy, artystów, muzyków, postaci obrośniętych różnie pojmowanym kultem – to popularny wzorzec postępowania, najsilniej kojarzony przede wszystkim z paryskim cmentarzem Père-Lachaise.

Ja nie wiedziałam o tym, nie. Myślę, że to mało kto chyba wiedział. Może ci, którzy mieli kontakty, przecież to tak ukryli to wszystko, nawet to zakończenie takie... Moje takie kuzynki to z Ukrainy dzwoniły, bo oglądały i mówiły: „Co ty nigdy nie opowiadałaś?”. Ja mówię: „Bo ja nie wiedziałam”. To one nie mogły uwierzyć, że to się działo w mieście i że ja... Nie, my z mężem... Wiele osób nie wiedziało. Może ci, co tak bliżej tych jednostek mieszkali, może mieli jakieś takie bliższe kontakty, to być może oni wiedzieli, ale ja absolutnie nie wiedziałam [2011.11.04/LG].

W odbiorze części legniczanie wydarzenia przedstawione w filmie nabierają cech historii zmyślonej, nieprawdziwej, bo niezapśredniczonej przez osobiste doświadczenie. Wspominając *Małą Moskwę* mieszkańcy Legnicy często komentowali znajome miejsca pojawiające się na ekranie, nie do końca identyfikując się jednak z przedstawioną fabułą. W oczach wielu lokalnych widzów gatunkowa przynależność filmu nie zwalniała twórcy od realistycznego, czy wręcz mimetycznego odwzorowania realiów życia w podzielonym mieście. Recepcja *Małej Moskwy* nieodmiennie wiązała się z ustosunkowaniem się legnickich widzów do własnych wspomnień, nakładania się obrazów

z przeszłości z materiałem filmową (przy czym istotnym źródłem dysonansu był fakt, że część zdjęć plenerowych kręcono we Wrocławiu).

Historia romansu polskiego oficera z żoną radzieckiego pilota nabiera cech opowieści mitycznej, przez wiele lat funkcjonującej na uboczu głównego dyskursu historycznego o okresie stacjonowania Północnej Grupy Wojsk Radzieckich, wyciągniętej na światło dzienne – dla jednych zrekonstruowanej, dla innych będącej wytworem fantazji – przez obraz filmowy, dodatkowo wtłaczający wyjściowy materiał w ściśle schematyczne ramy gatunkowe melodramatu. Stąd dla niektórych legniczan filmowa *Mała Moskwa* była szokiem, niespodziewanym zetknięciem się z historią lokalną, o której niewiele wiedziało – albo już nie pamiętało. Z drugiej strony część rozmówców łączy z bohaterami filmu własne doświadczenia – jak obserwację radzieckiego konduktu w cytacie z pierwszego rozdziału – tym samym uprawomocniając je poprzez osadzenie w popkulturowym micie.

Film, no tak... ale, no... [z wyraźnym niesmakiem, niechęcią] z kim bym nie rozmawiał, no to z czego tu się cieszyć, czego ją gloryfikować, ten romans... Ja bym nie chciał, żeby moja żona się skurwiła z drugim, czy obojętnie czy to jest oficer czy to jest innej narodowości, jeżeli razem jesteśmy, kochamy się... Ona się z nim kochała, była z nim, tak z tego wynika, z dokumentów, i po prostu kurwisko skoczyło w bok, o tak. Taka jest prawda, skoczyło se w bok, a, że to było jakieś... no, zawsze zakazane coś lepiej smakuje. Mnie zawsze chodziła też jak ja pamiętam zawsze od najmłodszych lat – Murzynka. Aż dopiero jak miałem pięćdziesiąt lat, jak dopiero we Francji Murzynkę miałem. Tak samo może i na tej zasadzie. I wcale bym się nie cieszył, no, jak żona, to się rozwiedź, postaw sprawę jasno, nie było tak strasznie, postaw sprawę jasno i odejź, a nie takie sytuacje. Tak, że to ludzie mieszane mają na ten temat, tego romansu, było takie coś, było jest fakt, ale żeby to... no, nie ma czym się szcycić ani gloryfikować, kurestwo to jest zawsze kurestwo, a to był kurestwo i nic więcej [2010.05.03/LG].

Przedstawiona w filmie historia zakazanej miłości, która rozkwitła w cieniu wielkiej polityki, nie zawsze traktowana jest jako coś chwalebne dla miasta. Dla rozmówcy zachowanie Nowikowej było czymś niegodnym, niewartym wspomnienia ani tym bardziej gloryfikowania, czynem, który zniesławił kochanków – nie przeszkadza tu wymiar polityczno-narodowy, złamanie pewnego nie-pisanego tabu jeśli chodzi o relacje erotyczne pomiędzy Polakami a „Ruskimi”, opisane szerzej w rozdziale trzecim – nie jako przedstawicieli swoich narodów, ale jako zwykłych ludzi, stąd opinia, że „kurestwo to jest zawsze kurestwo, a to było kurestwo i nic więcej”. Co interesujące, podobna była recepcja filmu i ocena postępowania głównej bohaterki w Rosji.



Po ekshumacji i utworzeniu w 2009 roku wspólnej mogiły dla pochowanych na legnickim cmentarzu zmarłych w mieście obywateli Związku Radzieckiego, grób Lidii Nowikowej pozostał jedyną prywatną radziecką kwaterą. Mimo początkowych planów przeniesienia jej zwłok na Białoruś, ostatecznie rodzina zdecydowała się na pozostawienie ich w Legnicy, gdzie obecnie grób kobiety cieszy się czcią.

W 2011 roku pomnik nagrobny Nowikowej został za darmo odrestaurowany przez Malwinę Muraszko, córkę Edwarda Muraszki, legnickiego kamieniarza i kolekcjonera dzieł sztuki. Muraszko obiecał odnowić nagrobek, lecz zmarł, nie zdążywszy tego zrobić. Zobowiązanie podjęła jego córka. Oprócz ogólnej renowacji, pozłocenia liter i wymiany uszkodzonego zdjęcia, dodano też krzyż prawosławny, który został wyryty po prawej stronie pionowej płyty.

Prezydent chyba nawet działał w tej sprawie, żeby to się nie ruszyło. No, bo wszystkie pozostałe groby, które tam były, radzieckie, zostały przeniesione do wspólnej mogiły tak, że tam ona została samotna tam, ale w sumie samotna nie jest, bo zawsze ktoś, mówię, przychodzi ktoś, ktoś tam kwiaty zostawia, ktoś znicze. Na Wszystkich Świętych zawsze jest bardzo dużo tam i zniczy i nawet tak... jedni z ciekawości idą zobaczyć, inni jeszcze pod presją filmu. Tak, że zawsze będzie tam zadbana dziewczyna [*śmiech*]. [...] Być może, być może. Ale mówię pani, że to jest właściwie tam cały czas. Są kwiaty, są znicze. Po tym filmie to jeszcze sporo ludzie, to nawet jak przyjeżdżają skądś to jak ktoś ma jakiś tam ślad, gdzieś coś wie, gdzie tam popatrzeć. Myślę, że to nie jest wcale takie złe [2010.02.12/LG].

Bez względu na oceny etyczne i estetyczne, film *Mała Moskwa* spopularyzował temat radzieckiej Legnicy, a dwojka nieznanymi szerzej ludzi – radziecka żona oficera i polski wojskowy – stało się symbolicznymi reprezentantami owych czasów. Tym samym w oczach wielu Polaków, w tym niemieszkających w Legnicy, zamiast z okupacją Mała Moskwa kojarzy się z miłością.

★ ★ ★

To tak trochę szkoda. To była taka urozmaicona Legnica [2011.11.30/LG].



fol. Wincenty Kołodziejki

Niezależnie od tego czy chcemy czy nie, ale pozostawmy to dla pokoleń, żeby pokolenia mogły oceniać, widząc czy nawet macając, że to jest to, a nie inaczej, jak żeśmy to przeżywali, bo Legnica była takim załęczkiem Armii Radzieckiej, to się zgadza. Mieliliśmy tutaj wszystko inne, wydzielone części miasta, mieliśmy to wszystko, ale ja uważam, że ten pomnik – i myśmy wypowiadali się na ten temat jako kombatanci – on powinien zostać jako dowód co myśmy przeżywali i jak myśmy przeżywali. Na pewno nikt nie był zadowolony, że tutaj armia sowiecka miała tyle do powiedzenia, a my, prawie że nic, ale taka jest prawda. Niech to będzie dla pokoleń obraz pełnego takiego... Tak myśmy się wypowiadali w ten sposób, jest to najbardziej namacalny i zauważalny moment historii, jaka miała miejsce w Legnicy [2012.11.03/LG].

POSŁOWIE

Praktyki antystrukturalne w „podzielonym mieście”

Legnica: miejsce wyjątkowe, a zarazem takich jakich wiele. Wyjątkowe – bo przez niemal pół wieku stacjonowała tam największa w Polsce grupa wojsk Armii Radzieckiej, wraz z całą niezbędną infrastrukturą, nie tylko militarną, ale też socjalną, ekonomiczną, a nawet kulturalną. Słowem, „miasto podzielone”, „miasto w mieście”, „druga Moskwa”. Obszar koegzystencji dwóch światów, które w rzeczywistości geopolitycznej drugiej połowy dwudziestego wieku, choć połączone narzuconym sojuszem politycznym i ideologicznym, rozdzielone były dobrze strzeżonymi granicami, trudno przepuszczalnymi dla kontaktów innych niż te, które były dozwolone i kontrolowane przez władze centralne. Tymczasem w Legnicy światy te, chcąc nie chcąc, współistniały – obok siebie, a często też ze sobą, mimo granic, które również tutaj zostały wytyczone. Społeczności radziecka i polska funkcjonowały tu jednak w szczególnych warunkach: pierwsza – bo została sprowadzona do postaci miasta garnizonowego, wydzielonego, „wysuniętej placówki” na terytorium innego kraju, będącego wprawdzie zadekretowanym sojusznikiem, ale faktycznie w znacznej mierze wrogiemu; druga – bo będąc u siebie, we własnym kraju, zmuszona została do tolerowania „ciała obcego” i respektowania przywilejów ekspozytury mocarstwa, które przez wielu postrzegane było jako hegemon czy wręcz najeźdźca. Było to więc miejsce sztucznie stworzonego pogranicza, narzuconego mieszkańcom przez rozstrzygnięcia, które zapadły wysoko ponad ich głowami, przeforsowane przez tanki historii.

Ale... tak właśnie często z pograniczami bywało. Rzadko kiedy powstawały organicznie, poprzez zrastanie się i wzajemne wzbogacanie różnych organizmów narodowych, religijnych, kulturowych; zazwyczaj do ich powstawania przyczyniały się nadrzędne procesy i mechanizmy dziejowe, uskuteczniane nie częściej na drodze traktatów pokojowych niż ogniem i mieczem. Dlatego trudno znaleźć pogranicze, które wolne byłoby od doświadczenia antagonizmów, konfliktów czy przelewu krwi, choć nie muszą one przeważać nad przejawami stosunków dobrosąsiedzkich czy wręcz owocnej współpracy. Stąd też to wyjątkowe „pogranicze” legnickie pod pewnymi względami można by uznać za jedno z wielu, za wyostrzony wariant ogólnego modelu pograniczności, zgodnie z którym dramatyczne wyroki historii bywają łagodzone, a niekiedy nawet unieważniane przez praktyki codziennego współzamieszkiwania.

Jeśli jednak dokonać kolejnej zmiany perspektywy, zauważy się, że doświadczenie legnickie zachowuje istotną specyfikę: jako swego rodzaju laboratorium, pozwalające śledzić przez soczewkę znacznie szersze doświadczenie – doświadczenie komunizmu. To podejście, które ostatnio zaczyna przebijać się do naszego spojrzenia na los, jakiego zaznała ta część Europy w drugim półwieczu minionego stulecia: komunizm był nie tylko zjawiskiem politycznym, które, zrealizowane historycznie, niosło wraz z sobą drastyczne konsekwencje społeczne, moralne, egzystencjalne – komunizm był też formą kultury. Dla niektórych jest to ujęcie trudne do zaakceptowania, pojęcie kultury łączy bowiem z tym, co rozwija się organicznie, odkładając się w postaci tradycji, a przede wszystkim zachowuje w ich oczach pewną, choćby tylko względną, wartość. Tymczasem w perspektywie antropologicznej jest to zasadniczo pojęcie opisowe. I komunizm, zabudowując wszystkie podstawowe obszary życia zbiorowego, kształtując na swoją modłę najważniejsze instytucje kulturowe, a zatem realizując, też na swój sposób, właściwe im funkcje – był w tym sensie formą kultury. Ujęcie takie żadną miarą komunizmu nie nobilituje, a jedynie pozwala lepiej rozpoznawać jego wewnętrzną rzeczywistość – w tym zwłaszcza rzeczywistość doświadczeń żyjących w jego ramach ludzi.

I właśnie antropologia komunizmu to dziedzina i zarazem perspektywa badawcza, którą od lat konsekwentnie rozwija współautorka tej książki, Zuzanna Grębecka. Najpierw były badania etnograficzne na Białorusi i w Rosji, które zaowocowały oryginalną, nowatorską monografią *Słowo magiczne poddane technologii. Magia ludowa w praktykach postsowieckiej kultury popularnej* (2006), potem kolejne współorganizowane konferencje¹ i współredagowane tomy zbiorowe², a od 2010 roku wieloletni projekt badawczy „Legnica – pamięć podzielonego miasta”. Nie miejsce tu, by szczegółowo charakteryzować osiągnięcia wszystkich tych prac Grębeckiej i walory ukształtowanego w ich wyniku podejścia badawczego. Dość stwierdzić, że doprowadziły one – już teraz, choć dalsze prace są w toku – do zarysowania nowego obrazu doświadczenia komunizmu, do ugruntowania podejścia, które pozwala wykroczyć poza dominującą alternatywę całościowych ocen polityczno-etycznych i sentymentów socnostalgii.

¹ Pałac Kultury i Nauki – fenomen, wzorzec, konteksty (2005), Miasta nowych ludzi. Architektoniczna i urbanistyczna spuścizna komunizmu (2006), Komunistyczne rytuały (2008), Popkomunizm. Doświadczenie komunizmu a kultura popularna (2008), Komunistyczni bohaterowie. Władcy, święci, towarzysze (2009), Komunizm na peryferiach. Rubież ideologii i rzeczywistości społecznej (2011), Zmysłowy komunizm. Somatyczne doświadczenie epoki (2013).

² *Pałac Kultury i Nauki: między ideologią a masową wyobraźnią*, Kraków 2007 (wraz z Jakubem Sadowskim); *Miasta nowych ludzi: architektoniczna i urbanistyczna spuścizna komunizmu*, Warszawa 2007 (wraz z Jakubem Sadowskim); *Pejzaże i znaki totalitaryzmu*, Bydgoszcz 2010 (wraz z Jakubem Sadowskim); *Popkomunizm: doświadczenie komunizmu a kultura popularna*, Kraków 2010 (wraz z Magdaleną Bogusławską); *Komunistyczni bohaterowie: tradycja, kult, rytuał*, Warszawa – Kraków 2011 (wraz z Magdaleną Bogusławską i Ewą Wróblewską-Trochimiuk); *Komunistyczni bohaterowie: przemiana, bunt, odrzucenie*, Warszawa – Kraków 2012 (wraz z Magdaleną Bogusławską).

I właśnie jednym z głównych rysów książki *Mówiono „druga Moskwa”*..., opracowanej przez Zuzannę Grębecką wspólnie z Jędrzejem Bursztą, jest wyznaczenie obszaru, na którym oba człony tej alternatywy, owszem, zaznaczają swoją obecność, ale go sobie nie podporządkowują, przeciwnie, same są podporządkowane, jako jedne z wielu współczynników, wymiarowi bardziej od nich podstawowemu, który najprościej nazwać można: pamięcią doświadczenia. Wymiar ten konstytuuje optykę badań prowadzonych pod kierunkiem Grębeckiej w ramach wspomnianego projektu. Taki wybór wydaje się właściwy ze względu na sam przedmiot – wybrane kategorie, zwłaszcza sprzężone ze sobą, pozwalają na uchwycenie tego, co w nim najbardziej charakterystyczne i godne uwagi. Z drugiej strony te właśnie kategorie – pamięć i doświadczenie – znajdują się w centrum zainteresowania nie tylko współczesnej antropologii, ale w ogóle humanistyki, coraz częściej odrzucającej aspiracje systemowe na rzecz odzyskiwania perspektywy jednostki jako podmiotu kultury.

Innym przejawem wpisywania się tej książki w nowe tendencje nauk o kulturze jest sama jej formuła. Kwalifikacja gatunkowa deklarowana w podtytule – „źródła etnograficzne” – jest zarazem nazbyt skromna i nie w pełni trafna. Nie jest to jednak błąd w sztuce; nietrudno dopatrzeć się tu subtelnej prowokacji czy może raczej swego rodzaju gry z czytelnikiem. Co zresztą nie wymaga wielkiej przenikliwości, bo swoje intencje co do formy temu zdradzają sami autorzy we wstępie. Postanowili oni mianowicie wyzyskać „pozytywnie” krytykę podstaw epistemologicznych tradycyjnej antropologii, przeprowadzoną głównie przez antropologów postmodernistycznych i ich akolitów. Ostrze tej krytyki skierowane było przeciwko dominacji poznawczej badacza, który swoje doświadczenia terenowe organizuje stosownie do przyjętej koncepcji teoretycznej i tak uporządkowaną wiedzę przedstawia w kategoriach dostępnych racjonalności zachodniej. Wylimitowaniu tej dominacji miało służyć zwłaszcza oddanie głosu samym badanym, aby sami mogli zaświadczyć o swoim świecie, o własnym jego widzeniu.

Rozwiązanie to, na pozór proste, okazało się z wielu względów iluzoryczne, a formuła „oddania głosu” – o ile traktować ją poważnie – praktycznie nie do zrealizowania. Ingerencja badacza pojawia się już w fazie zadania pytania czy poddania motywu do wypowiedzi i daje o sobie znać w toku całego procesu badawczego, aż po końcową fazę konstrukcji tekstu etnograficznego. Nawet doprowadzenie do tego, aby badani sami napisali książkę o sobie, nie gwarantowałyby uniknięcia tego rodzaju przemocy poznawczej, bo przecież nie w każdej kulturze, nie w każdym środowisku istnieje taka praktyka jak pisanie książki. A poza tym – o czym właściwie miałyby ona być?

Uwikłani w tego rodzaju dylematy poznawcze, antropolodzy podejmowali rozmaite eksperymenty formalne, zmierzając do osłabienia swojej dominacji, ale już to grzęzli na powrót w tych samych aporiach, już to tworzyli konstrukcje na tyle wyrafinowane, że trudno czytelne. Jędrzej Burszta i Zuzanna Grębecka nie są pod tym względem

maksymalistami – nie próbują stać się przezroczyści; wręcz przeciwnie. Rzeczywiście, pozwalają, by badani przez nich polscy mieszkańcy Legnicy sami opowiadali o swoim życiu w „podzielonym mieście”, by zabrzmiały ich głosy. Ale nie przestają być autorami tej książki: usuwając się w cień, stamtąd właśnie aranżują ten wielogłos. Grupują wypowiedzi wokół wybranych tematów, wydobywają to, co w nich najcelniejsze, budują z nich sekwencje, w których pojawiają się kolejne motywy wspomnień i przejawy kontaktów z sąsiadami „nie z wyboru”, łączą ze sobą różne głosy tak, aby się wzajemnie wspomagały, uzupełniały, ale też tworzyły kontrapunkt, a nawet przeciwstawiały się sobie. Cała ta aranżacja dokonana została bez nadrzędnej tendencji (no, prawie), z tym tylko celem, aby różnorodność tego, co i jak pamiętane (i opowiedziane), nie utonęła w chaosie, tylko wybrzmiała jako wielość odrębnych, rozróżnialnych głosów.

Nie koniec na tym. Z tego cienia autorzy co rusz wychodzą, ale nie po to, by znaleźć się na pierwszym planie, tylko po to, by przemówić „na stronie” (czego typograficznym ekwiwalentem jest mniejszy rozmiar czcionki). Partie autorskie albo wprowadzają do następującego po nich zespołu wypowiedzi (rzutując je na szerszą mapę zjawisk, przywołując nieobecne w nich konteksty, niekiedy dodając informacje historyczne), albo je komentują. Są to jednak komentarze szczególnie: nie służą rozwinięciu całościowej, spójnej interpretacji, lecz tak oświetlają wypowiedzi, by ze strumienia niezbornej często – jak to w mowie potocznej – opowieści wydobyć sprawy i kwestie zasługujące na uwagę, istotne symptomy, warianty postaw, modalności doświadczenia. Inaczej jeszcze mówiąc: główną funkcją tych komentarzy jest podkreślenie konturów stanowisk zanurzonych w indywidualnych narracjach – czy to przez zwarte, syntetyczne ich parafrazy, czy poprzez usytuowanie ich na tle, na którym zarysują się wyraźniej.

Ale przyjęta przez Bursztę i Grębecką rola nie do końca daje się sprowadzić do funkcji usługowej. Jest bowiem taki wątek rozwijanych przez nich komentarzy i gloss, dzięki któremu ujawniają się oni, niekiedy wręcz ostentacyjnie, jako antropolodzy, odsłaniając w ten sposób nie tylko swoją profesję, ale i związane z nią powołanie. Jest to wątek interpretacyjny, w ramach którego prezentowane zjawiska, zapamiętane przez opowiadających doświadczenia, wpisywane są w ogólniejsze struktury symboliczne, poddawane konceptualizacji antropologicznej, do której wykorzystywane są nie tylko uniwersalne kategorie analizy kultury, jak opozycja swój – obcy, ale również takie, które noszą wyraźny rys egzotyizmu, jak choćby potłacz. Celem takich operacji jest z pewnością wydobyć na jaw i oświetlenie tych aspektów przywoływanych doświadczeń, które samym wspominającym wydawały się „naturalne”, niewarte szczególnej uwagi. Ale też poprzez tego rodzaju interpretacje autorzy dobitnie zaświadcza, że udostępniając nam opowieści legniczan występują nie jako neutralni, przezroczyści pośrednicy, lecz jako aktywni mediatorzy, tłumacze doświadczeń kulturowych, nie kryjący instrumentów podjętej mediacji czy translacji.

Świadectwem przyjęcia tej roli jest zresztą nie tylko okazanie wyposażania „profesjonalnych pośredników”, ale również takie usytuowanie autorów w prezentowanym wielogłosie, które akcentuje ich zaangażowanie w badany świat, a może raczej – w cały ten ludzki świat, którego tamten jest częścią. Wykładnikiem tego zaangażowania jest ujawniająca się w książce tendencja, by eksponować relacje, które świat ten przedstawiają „od dołu”, z perspektywy codziennych kontaktów, przepływów i krążeń dóbr i usług wzajemnych, stanowiących przejawy praktycznego, często cichego, porozumienia „ponad podziałami”. Jest to tendencja nieodłącznie chyba związana z podejściem antropologicznym (które w tym punkcie wykracza poza stanowisko czysto naukowe, związane tradycyjnie z bezstronnym, neutralnym poznaniem): by w rzeczywistości poddanej systemowej władzy Różnicy szukać obszarów, w których dochodzi do spotkania i ujawnienia tego, co łączy – na poziomie podstawowych ludzkich potrzeb i elementarnych odruchów.

Obszary te są zarazem terenem praktyk „kombinowania”, „radzenia sobie” w świecie zdominowanym przez nadrzędne strategie, które w tym przypadku wytwarzane są i egzekwowane przez nieskrywające swojego charakteru instancje polityczne. To nieomal wzorcowa egzemplifikacja sposobu ujmowania praktyk kulturowych wypracowanego przez Michela de Certeau, którego myśl wydaje się patronować przyjętej w książce orientacji badawczej i interpretacyjnej. Choć wyrażane tu i ówdzie przez autorów przypuszczenie, że to praktyczne, powszednie przekraczanie podziałów i granic (bez ich otwartego kwestionowania) odbywało się, przynajmniej w pewnej mierze, za cichym przyzwoleniem legitymizujących je instytucji „strategiczych” – po to, by rozbrajać napięcia rodzące się nieuchronnie w tej sytuacji – wydaje się interesującym przyczynkiem do teorii praktyk de Certeau czy też raczej istotnym jej uzupełnieniem.

Co ważne, Burszta i Grębecka nie starają się tworzyć wrażenia, że „doświadczenie legnickie” ustanawiało jakiegoś rodzaju *communitas*, ludzką wspólnotę, która zrodziła się i trwała wbrew oficjalnemu – i oficjalnie strzeżonemu – porządkowi. W sieci relacji łączących mieszkańców „podzielonego miasta” podziały nie zanikały, a jedynie obrastały w swoistą tkankę łączną, której materią były zasadniczo (choć nie wyłącznie) towary i świadczenia. Proces ten nie doprowadzał bynajmniej do zrośnięcia się obu organizmów społecznych; stosunki między nimi, nawet gdy przyjmowały postać zażyłości, nie były wolne od napięć i rywalizacji, w której każda ze stron czerpała z poczucia własnej wyższości i dominacji, w każdym przypadku inaczej definiowanych. To ważne rozpoznanie, wykraczające zresztą poza ramy przedstawionego w książce przypadku: praktyki antystrukturalne, budujące relacje wzajemności wbrew roszczeniom systemów, nie muszą zrównywać stron, niwelować różnic, które właśnie czynią z nich odrębne strony – mogą absorbować nierówności i napięcia, a nawet czynić je źródłem energii owocnego współistnienia.

Takie ujęcie jest źródłem wiarygodności książki *Mówiono „druga Moskwa”*..., a uwidaczniająca się w niej tendencja do wydobywania ludzkiego wymiaru codziennych doświadczeń legniczan nie zniekształca całościowego obrazu doświadczenia historycznego, którego przypadek Legnicy jest stężonym upostaciowaniem.

Zważywszy na wszystkie te cechy podejścia antropologicznego autorów, trzeba stwierdzić, że ich książki nie sposób sprowadzić do formuły „źródeł etnograficznych”. To subtelnie zorganizowana relacja, w której badacz wysłuchuje głosów ludzi, odsłaniających przed nim pamięć swoich doświadczeń, i zarazem wyostrza kontury przechowanego w tej pamięci świata, uprawniony do tego dzięki przywilejowi poznawczemu, stwarzanemu przez nieuchronny dystans, ową antropologiczną *felix culpa*, i dzięki zobowiązaniu, jakie płynie z przyjętej roli nieobojętnego mediatora.

Jeśli rekonstruować doświadczenie PRL-u – by oddać zarówno presję Systemu, jak i nieheroiczny codzienny opór, podejmowany w imię najprostszych potrzeb życia – to tak właśnie, jak zrobili to Jędrzej Burszta i Zuzanna Grębecka.

Grzegorz Godlewski

SYNOPSIS

They called it “Little Moscow”

★ ★ ★

*Memories of Soviet Army
stationing in Legnica in the years 1945-1993*

★ ★ ★

Ethnographic sources

What was life like?” is one of the most natural and fundamental questions that set up ethnographic research. Since the beginning anthropology had always grown from an interest in otherness and difference (be it somewhere exotic or our own backyard). This is also true in our case. How did people live in a Polish city whose impressive space – e.g. Tarninów, the representational district located near the center, during the Soviet presence known as the Square – was for many years closed for Poles? A city where traffic was determined by the needs of the Soviet Army, where hearing people speak a foreign language and see them wear army uniforms was nothing out of the ordinary? What did it mean to live in the city known as “Little Moscow”, from February 1945 when it was „liberated” by the Red Army and became a garrison city, up to September 16, 1993? These questions became the starting points for our research project that began in February 2010.

It is considered common practice that the final result of ethnographic fieldwork consists of publications – articles and monographs in which authors attempt to interpret the material in order to produce an image of the reality they experienced, and try to explain what they had observed. The collected material – interviews, observations, field notes and other artifacts – is used to build the ethnographer’s knowledge, enabling him to construct this image. Yet, at the same time these sources remain unrepresented in the text. A large number of obtained testimonies, including interviews, are stored in archives where they await, often ad infinitum, for other ethnographers who might be interested in the subject. Even if sometimes this data is used once again, it is a practice far too rare. Meanwhile, these documents could

be an invaluable source of information, while also presenting interesting testimonies of past events, phenomena, places and times. It was therefore our decision to present this type of material to a wider group of readers, both professionals and those simply interested in the subject: a collection of interviews conducted with the citizens of Legnica during our many visits to the city.

The main idea for this book was to present a wide selection of memories from the time of Soviet Legnica. The presentation of the material begins with general issues: opinions about the citizens of the Soviet Union, how they were perceived as Others, stereotypes and reflections connected with the city's specific status. The second chapter is dedicated to the different types of trade relations, stretching from providing the army with supplies to selling smuggled gold. Trade was a sphere of life that proved to be especially prominent in the gathered material, influencing the characteristic ambivalence of our speakers in terms of their relationship with the Soviet Legnica, a city that was under occupation, but at the same time had prospered quite well. The next chapter presents ethnographic material connected with women and intimacy: images of Soviet women, their fascinations, friendships and romances. The following chapter deals with children. For a large number of our informants „Little Moscow” was connected with childhood memories. The chapter collects narratives about the sympathies and conflicts between Polish and Soviet children, encounters with soldiers, sneaking to the Soviet districts, the taste of Soviet sweets. Chapter five is a collection of topics from which each one could form a separate book: the Soviet medical care, social life, the world of bars and restaurants, criminal activities and other. It was our aim to construct a rich and cross-sectional chapter that offers a wide spectrum of different interactions between both sides. The book closes with a chapter examining the last years of the Soviet presence in Legnica and the consequences of their departure – reflections on the city without the Soviets.

The image that emerges from these fragments is far from being objective or definite. The structure of this book is also a result of our belief in the value of a polyphonic project of anthropology, a manner of ethnographic writing that knowingly abandons the voice of „ethnographic authority” in favor of presenting a possibly wide spectrum of the informers' voices. Nonetheless, the final result is still the product of the anthropologist's interpretative work. Acknowledging these limitations, we present diverse, often contradicting opinions which complement each other but never form a simple and consistent whole.

Although it was our intention to present the varied and individualized perspectives of our informants, ultimately we still remain the authors of this compilation. It is constructed according to one major belief that was born during our fieldwork in Legnica, one that turned out to be the most personal as well as universal consequence of our explorations. Political realities, the works of systems and ideologies

often attempt to divide people. Even though walls are being built and entrances are kept under guard, in the end it seems that it is still possible to achieve understanding, cooperation, even friendship. Regardless of their origins and education, people are still able to distinguish between the individual and the system, to see someone who is Other as similar to Us. Naturally, we are not trying to use great quantifiers – not everyone, not always and not everywhere is capable of such reflections. Yet sometimes he or she is. That is also what we wish to demonstrate in this book.

РЕЗЮМЕ

Говорили «вторая Москва»

★ ★ ★

*Воспоминания легничан о нахождении
советских войск в 1945-1993 годах*

★ ★ ★

Этнографические источники

Как тут раньше люди жили?» – один из первых и ключевых вопросов этнографических исследований, всегда основанных на постижении инаковости и разницы (будь то под пальмами в тропиках или на собственном дворе). Так обстоит дело и в этом случае. Как жили в польском городке, многие районы которого – например, почти весь Тарнинов, жилые кварталы в центре, в советское время названные Квадратом – были на многие десятилетия закрыты для поляков? Когда городской транспорт подстраивался под потребности Советской Армии, когда повседневностью был иностранный язык и мундиры заграничных войск на улицах? Какой была Легница – Малая Москва – которая от 9 февраля 1945 года, когда в неё вошла Красная Армия, и вплоть до 16 сентября 1993 года имела статус гарнизонного «гостевого городка» (согласно тогдашней номенклатуре) Северной Группы Войск Советской Армии? Эти вопросы стали отправной точкой исследования, проведённого в феврале 2010 года.

Обычно результатом этнографических исследований являются публикации – статьи и монографии – в которых авторы интерпретируют добытый материал, чтобы нарисовать образ действительности, в которой участвовали, и объяснить наблюдаемые явления. Собранный материал – опросы, наблюдения, различные артефакты – хотя и определяет знания исследователя, позволяя ему нарисовать свою картину, однако в работах представлен в ничтожно малой степени, с учётом его изобилия.

Основная масса свидетельств, в том числе интервью, оседает в архиве, где ожидает – обычно без всякой надежды – очередного этнографа, заинтересовавшегося темой. Случаются, конечно, и обращения к архивным ма-

териалам, но они редкие. В то время как документы эти могут быть бесценным источником знаний, а вместе с тем интересным свидетельством событий, явлений, времени и места. В связи с этим мы решили представить широкому кругу читателей – как профессионалам, так и всем заинтересовавшимся темой – материалы, собранные во время визитов в Легницу, а именно, фрагменты интервью с его жителями.

Основа публикации – мгновенный срез воспоминаний о советской Легнице. Рассмотрение материала начинается с общих представлений: как жители Легницы судят о советских гражданах, которые воспринимаются в городе, как Чужие, какие господствуют стереотипы, как осознаётся специфика города. Второй раздел посвящён разнообразным торговым контактам – от снабжения Советской Армии до тайной торговли золотом. Эта сфера, что отчётливо видно из наших материалов, вызывает у респондентов амбивалентные чувства – с одной стороны, город под оккупацией, но благодаря этому и процветает. Далее представляем материалы, связанные с женщинами и интимностью – образы советских женщин, взаимные увлечения, романтические истории и симпатии. Следующая часть посвящена детям. Многие из наших собеседников, говоря о Малой Москве, вспоминают одновременно и собственное детство. Представляем истории о приязни и неприязни между польскими и советскими детьми, о стычках с солдатами, о том, как прокрасться в район Квадрата, о вкусе советских конфет. В пятом разделе появляются темы, каждая из которых заслуживает отдельной части книги. Речь идёт о советской медицине, которой пользовались и поляки, о польско-советской дружбе, о мире кафе и ресторанов, о криминальных инцидентах и т.д. В наших намерениях было сделать этот раздел как можно более пёстрым, представляющим широкий спектр и разнообразие интеракций между обеими сторонами. Книгу замыкают воспоминания о времени, когда заграничные войска покидали Легницу а также рассуждения о городе без «Русских», которые временами составляли половину его жителей.

Картина, складывающаяся из избранных нами фрагментов, далека от объективности и однозначности. Структура этой книги проистекает также из нашего убеждения в ценности полифонической антропологии. Речь идёт о таком типе этнографического письма, которое сознательно игнорирует авторитарный голос «авторитета этнографа», чтобы представить как можно более широкий спектр голосов самих информаторов – естественно, окончательный результат и далее остаётся за антропологом, интерпретирующим данные. Осознавая ограничения текста, связанного с личными предпочтениями авторов, мы приводим разные, часто противоречащие друг другу мнения, что книгу дополняют, но не создают сплошной целостности.

Хотя мы старались представить индивидуальные и разнообразные пункты зрения собеседников, мы остаёмся авторами выбора и он подчинён нашим убеждениям. А прежде всего одному убеждению, которое зародилось у нас во время пребывания в Легнице при общении с его жителями. Будучи глубоко личным результатом наших исследований, убеждение это носит характер универсальный. Хотя политические реалии, действия систем, идеологии нередко стараются разделить людей, хотя возводятся стены и выстраиваются стражники, возможно, в конце концов, понимание, сотрудничество и даже симпатия. Многие люди, несмотря на происхождение или образование, в состоянии понять разницу между человеком и системой, разглядеть в Чужом – подобного на себя человека. Разумеется, мы не склонны к слишком широкому обобщению – не каждый, не всегда и не везде способен или склонен к такой рефлексии. Однако такое случается. И мы постарались отобразить это в публикации.

SPIS WYWIADÓW

Pierwsze sześć cyfr numeru katalogowego zawiera informację o dacie przeprowadzenia wywiadu (rok, miesiąc).

1. 2010.02.01/LG, kobieta, rozm. Jędrzej Burszta, Marcin Czajkowski
2. 2010.02.02/LG, mężczyzna, rozm. Monika Proba, Malina Wojciechowska, Marta Woźniak
3. 2010.02.03/LG, mężczyzna, rozm. Monika Proba, Marta Woźniak
4. 2010.02.04/LG, mężczyzna, rozm. Monika Proba, Malina Wojciechowska, Marta Woźniak
5. 2010.02.05/LG, mężczyzna, rozm. Monika Proba, Marta Woźniak
6. 2010.02.06/LG, trzy kobiety, rozm. Monika Proba, Marta Woźniak
7. 2010.02.07/LG, mężczyzna, rozm. Natalia Pawlak
8. 2010.02.08/LG, dwóch mężczyzn, rozm. Natalia Pawlak, Malina Wojciechowska
9. 2010.02.09/LG, mężczyzna, rozm. Jędrzej Burszta, Zuzanna Ciesielska, Marcin Czajkowski
10. 2010.02.10/LG, mężczyzna, rozm. Jędrzej Burszta, Zuzanna Ciesielska, Marcin Czajkowski
11. 2010.02.11/LG, mężczyzna, rozm. Jędrzej Burszta, Zuzanna Ciesielska, Marcin Czajkowski
12. 2010.02.12/LG, kobieta, rozm. Zuzanna Grębecka, Malina Wojciechowska
13. 2010.02.13/LG, mężczyzna, rozm. Zuzanna Grębecka
14. 2010.02.14/LG, mężczyzna, rozm. Zuzanna Grębecka
15. 2010.02.15/LG, kobieta, rozm. Zuzanna Grębecka, Malina Wojciechowska
16. 2010.02.16/LG, kobieta, rozm. Paulina Butlewska, Zuzanna Grębecka, Dagmara Sobczyk, Agata Tołłoczko
17. 2010.02.21/LG, mężczyzna, rozm. Zuzanna Grębecka
18. 2010.02.31/LG, kobieta, rozm. Monika Proba, Malina Wojciechowska, Marta Woźniak
19. 2010.03.01/LG, kobieta, rozm. Jędrzej Burszta
20. 2010.03.02/LG, kobieta, rozm. Monika Proba
21. 2010.03.03/LG, kobieta, rozm. Malina Wojciechowska
22. 2010.05.03/LG, dwóch mężczyzn, rozm. Jędrzej Burszta, Zuzanna Ciesielska, Marcin Czajkowski
23. 2010.05.08/LG, mężczyzna, rozm. Zuzanna Grębecka
24. 2010.05.10/LG, mężczyzna, rozm. Paulina Butlewska, Jędrzej Burszta
25. 2010.05.19/LG, trzy kobiety, rozm. Jędrzej Burszta, Marcin Czajkowski
26. 2010.05.20/LG, kobieta, rozm. Jędrzej Burszta, Marcin Czajkowski
27. 2010.12.07/LG, dwóch mężczyzn, rozm. Wojciech Jas, Agnieszka Józefczuk, Mateusz Patyk, Paweł Słójkowski
28. 2010.12.08/LG, mężczyzna, rozm. Jędrzej Burszta, Maja Dobiasz
29. 2010.12.09/LG, mężczyzna, rozm. Magdalena Chmielewska
30. 2010.12.18/LG, mężczyzna, rozm. Wojciech Jas, Anna Migdał
31. 2011.04.03/LG, mężczyzna, rozm. Paulina Butlewska, Ariel Lisowski
32. 2011.04.04/LG, mężczyzna, rozm. Paulina Butlewska, Ariel Lisowski
33. 2011.04.21/LG, kobieta, rozm. Magdalena Chmielewska, Paulina Motulewicz-Wolańska

34. 2011.07.04/LG, mężczyzna, rozm. Jędrzej Burszta, Maja Dobiasz, Zuzanna Grębecka
35. 2011.10.06/LG, kobieta, rozm. Zuzanna Grębecka
36. 2011.11.04/LG, kobieta, rozm. Zuzanna Grębecka
37. 2011.11.06/LG, mężczyzna, rozm. Zuzanna Grębecka
38. 2011.11.07/LG, dwóch mężczyzn, rozm. Zuzanna Grębecka
39. 2011.11.25/LG, kobieta i mężczyzna, rozm. Jędrzej Burszta, Maja Dobiasz
40. 2011.11.26/LG, kobieta, rozm. Magdalena Chmielewska, Paulina Motulewicz-Wolańska
41. 2011.11.27/LG, kobieta, rozm. Aleksandra Olszewska, Olga Orszewska
42. 2011.11.30/LG, kobieta, rozm. Marcin Radomski
43. 2011.11.31/LG, mężczyzna, rozm. Alicja Brudło, Aleksandra Kowalczyk
44. 2011.11.32/LG, dwie kobiety, rozm. Aleksandra Olszewska, Olga Orszewska
45. 2012.03.07/LG, mężczyzna, rozm. Aleksandra Derda, Małgorzata Tomczak
46. 2012.03.08/LG, mężczyzna, rozm. Aleksandra Derda, Małgorzata Tomczak
47. 2012.03.09/LG, mężczyzna, rozm. Aleksandra Derda, Małgorzata Tomczak
48. 2012.03.10/LG, mężczyzna, rozm. Aleksandra Derda, Małgorzata Tomczak
49. 2012.03.11/LG, trzech mężczyzn, rozm. Aleksandra Derda, Małgorzata Tomczak
50. 2012.03.13/LG, kobieta, rozm. Aleksandra Derda, Małgorzata Tomczak
51. 2012.03.14/LG, mężczyzna, rozm. Aleksandra Derda, Małgorzata Tomczak
52. 2012.03.19/LG, mężczyzna, rozm. Jędrzej Burszta, Maja Dobiasz, Zuzanna Grębecka, Gawel Pasek vel Paszkowski
53. 2012.03.20/LG, mężczyzna, rozm. Jędrzej Burszta, Maja Dobiasz, Zuzanna Grębecka, Gawel Pasek vel Paszkowski
54. 2012.03.22/LG, trzech mężczyzn, rozm. Aleksandra Kowalczyk, Kamil Rykaczewski
55. 2012.09.01/LG, mężczyzna, rozm. Zuzanna Grębecka
56. 2012.11.03/LG, mężczyzna, rozm. Zuzanna Grębecka, Martyna Miller
57. 2012.11.04/LG, mężczyzna, rozm. Zuzanna Godlewska, Natalia Kowalek
58. 2012.11.05/LG, mężczyzna, rozm. Agnieszka Sterczyńska
59. 2012.11.06/LG, mężczyzna, rozm. Monika Pawłowska, Anna Rykier
60. 2012.11.09/LG, mężczyzna, rozm. Jędrzej Burszta, Maja Dobiasz, Zuzanna Grębecka
61. 2012.11.11/LG, mężczyzna, rozm. Monika Pawłowska, Anna Rykier

INDEKSY

Indeks osób

- Andriejewa Larysa A. 16
Ania [polska znajoma rozmówczynie] 15
Ania [radziecka znajoma rozmówczynie] 132
Ania [rozmówczynie] 179
Apted Michael 99
Arendt Hannah 108
Ariès Philippe 119
- Balcerowicz Leszek 91
Banek Kazimierz 74
Barański Janusz 55
Barber Mark 25
Baziur Grzegorz 170
Benedyktowicz Zbigniew 23-24, 27
Berger-Kuźniar Katarzyna 25
Bestużew Aleksandr 45
Biały Beata 179
Bierdiajew Mikołaj 16
Błoch Piotr 25
Bogusławska Magdalena 162, 188
Bohun Tomasz 50
Broniewski Władysław 28
Brudło Alicja 200
Bruner Edward M. 9
Brzostowicz-Klajn Monika 145
Bucholc Marta 27
Buchowski Michał 52
Budda 153
Burke Peter 121
Burszta Jędrzej 48, 189-192, 199-200
Butlewska Paulina 199
Bystron Jan Stanisław 22-23, 27
- Caillois Roger 99
Campbell Martin 99
de Certeau Michel 173-174, 191
Chmielewska Magdalena 199-200
- Chodacz Weronika 55
Chwiendacz Grzegorz 98
Ciesielska Zuzanna 199
Clifford James 8
Curtiz Michael 69
Czajkowski Marcin 13, 174, 199
Czubala Dionizjusz 25
- Dant Tim 55
Dawkins Marcia Alesan 120
Dąbrowski Stanisław 29, 136
Deja Stanisław 108
Demarczyk Ewa 51
Derda Aleksandra 200
Dobiasz Maja 13, 199-200
Dobryczyn Wiktor 165, 170
Dołowy-Rybińska Nicole 10
Douglas Mary 27
Dreisinger Baz 120
Drenda Olga 55
Drużnikow Jurij 145
Dubicka-Kaczorowska Walentyna 143
Dubynin Wiktor 120, 167, 173
Durkheim Émile 136
Duszenko Konstantin 40, 77
- Eliade Mircea 19
Elias Norbert 26-27
Engels Fryderyk 164
- Fitzpatrick Sheila 108
Fornalczyk Bogusław 98
- Gajdar Arkady 55
Gajdziński Piotr 25
Gańko Anna 13
Geertz Clifford 10

- Gellately Robert 108
 van Gennep Arnold 179
 Gerhard Jan 146
 German Anna 51
 Gilbert Lewis 99
 Glen John 99
 Głomb Jacek 110
 Godlewska Zuzanna
 Goffman Erving 97
 Godlewska Zuzanna 200
 Golonka-Czajkowska Monika 164
 Górska Katarzyna 162
 Grębecka Zuzanna 9-10, 19, 65, 153, 162, 188-192, 199-200
 Grinberg Daniel 108
 Griszka [pułkownik radziecki, znajomy rozmówcy] 145
 Gronowska Anna 10
 Gruza Jerzy 58
 Guzicki Artur 35, 44, 165, 170, 172, 179
- Hall Edward T. 135
 Haußmann Leander 162
 Hoff Barbara 77
 Hołówka Teresa 135
 Hunia Justyn 121
 Hytrek-Hryciuk Joanna 136
- Igor [lotnik radziecki, znajomy rozmówcy] 129-130, 158
 Iracka Joanna 8
 Irina [radziecka znajoma rozmówcy] 98
- Jarosz Dariusz 25, 146
 Jas Wojciech 199
 Jaśkowski Ryszard 35
 Jaworska Justyna 77, 162
 Jaworska Kazimiera 29
 JC-SW [pseudonim tłumacza] 16
 Jelcyn Borys 160, 166
 Jerzyk [polski znajomy rozmówcy] 144
 Józefczuk Agnieszka 199
 Jura [znajomy rozmówcy] 62
 Jurek [właściwie Jurij, lotnik radziecki, znajomy rozmówcy] 129, 158
- Kaczorowski Stanisław 143
 Karpowicz Agnieszka 10
- Katia [znajoma rozmówcy] 152-153
 Katia [wyjeżdżająca „Ruska”] 167
 Kaźmierska Kaja 120
 Kempny Marian 55
 Kersten Krystyna 25
 Kertzer David I. 98
 Klekot Ewa 9, 55
 Kłoskowska Antonina 157
 Kołfontaj Aleksandra 68
 Kondusza Wojciech 8, 16, 20, 29, 37, 134, 137, 139, 144-145, 152, 165, 170, 172, 174-175, 181
 Kopytoff Igor 55
 Kosinowa Tatiana 40
 Kotionoczkin Aleksiej 148
 Kotionoczkin Wiaczesław 148
 Kowalak Czesław 11
 Kowalczyk Aleksandra 200
 Kowalek Natalia 200
 Kowalewska Maria 13
 Kowalski Piotr 19, 74
 Krassowski Marcin 13
 Krawczyk Jarosław 50
 Kriukow [brak imienia, radziecki dezertjer] 143
 Królak Stanisław 98
 Kryśka [polska znajoma rozmówczyni] 87
 Krzystek Waldemar 15-16, 71, 110, 161, 178, 183
 Kula Marcin 16
 Kulikow Wiktor 134-135
 Kupiecki Robert 16
 Kutuzow Michaił 142
- Lenin Włodzimierz 28, 164
 Levi-Strauss Claude 65
 Lida [żona rozmówcy] 77
 Lipatow [brak imienia, radziecki pułkownik, znajomy rozmówcy] 54
 Lisowski Ariel 199
 Luter Marcin 33
- Łapiński Zdzisław 145
 Łuczeczko Paweł 10
 Łukasiewicz Małgorzata 128
 Łukasiewicz Piotr 25
 Łysenko Trofim 99
- Maciek [rozmówca] 39
 Majewski Maciej 170
 Mann Wojciech 17

- Marcin [rozmówca] 92
Markiewicz Kamil 27
Marks Karol 164
Masza [rosyjski wariant imienia rozmówczyni] 80
Mazurek Małgorzata 65
McTiernan John 99
Melchior Małgorzata 120
Michałkow Nikita 86
Mickiewicz Adam 45
Migdał Anna 13, 199
Mikołaj św. 156
Miller Martyna 200
Mirek [znajomy rozmówcy] 85
Modrzejewski Filip 10
Morozow Pawlik 145
Motulewicz-Wolańska Paulina 199-200
Muraszko Edward 185
Muraszko Malwina 185
- Nadina [znajoma rozmówczyni] 92
Nastalski Cyryl 154
Natasza [radziecka znajoma rozmówcy] 76-77
Nataszka [radziecka ukochana rozmówcy] 89
Nérard François-Xavier 108
Niedzielenko Andrzej 136, 168
Niweliński Krzysztof 55
Nowicka Ewa 55
Nowikowa Lidia 23-24, 183-185
- Ochab Martyna 119
Ociepka Franciszek 145
Olszewska Aleksandra 200
Orliński Wojciech 25
Orłowski Jan 77
Orszewska Olga 200
Ostrowski Zdzisław 139
- Paluch Wiesław 89
Papiernyj Władimir 68
Pasek vel Paszkowski Gawęł 200
Pasztor Maria 25, 146
Patyk Mateusz 199
Pawlak Natalia 199
Pawłowska Monika 200
Pelka Anna 51
Piecha Edyta 51
Piechaczek Maria M. 10
Pięciak Wojciech 162
- Piotr [apostoł] 155
Piotrowski Igor 10
Polak Paulina 120
Polański Roman 89
Polewoj Borys 130
Potapow Borys 44, 172
Proba Monika 199
Puszkina [przezwyświsko radzieckiego kolegi] 99
Puszkina Aleksander 99
Putrament Maria 145
- Radomski Marcin 200
Rakowski Tomasz 65
Redlich Jerzy 40
Rodak Bartłomiej 164
Rodak Paweł 10
Rogalska Alicja 72
Rokossowski Konstanty 105
Rother Julius 177-178
Rottenberg Anda 49-50
Rykaczewski Kamil 200
Rykier Anna 200
Rymsza Antoni pseud. „Maks” 35
- Sadowski Jakub 19, 68, 188
Saryusz-Wolska Magdalena 144
Sasza [radziecki uczestnik dancingu] 90
Sasza [radziecki znajomy rozmówcy] 130
Saszka [radziecki znajomy rozmówcy] 158
Sierioża [radziecki chłopak rozmówczyni] 85-86
Sierioża [radziecki kolega rozmówcy] 103-104
Sierioża [zaprzyjżażniony radziecki oficer] 159
Sikora Sławomir 8
Simbierowicz Zygmunt 98
Sliczenko Nikołaj 85-86
Słójkowski Paweł 199
Smalewski Jan Stanisław 35
Sobczyk Dagmara 199
Soyka Stanisław 148
Spała Grzegorz 16
Stachu [kolega rozmówcy] 112
Stalin Józef 28, 164
Staszczak Zofia 52
Stefan [mąż rozmówczyni] 132
Stenia [rozmówczyni] 36
Sterczyńska Agnieszka 200
Stiopa [rosyjski wariant imienia rozmówcy] 130, 158
Stomma Ludwik 23-24, 27, 119

- Stonequist Everett V. 120
 Stolper Aleksandr 130
 Strugacki Arkadij 175
 Strugacki Borys 175
 Sulima Roch 10, 22
 Swietłana [radziecka dziewczyna znajomego rozmówcy] 85
 Swietłana [żona obywatela radzieckiego] 105
 Szawiel Mariola 108
 Szczęsny Robert 40
 Szetelnicki Wacław W. 29, 154
 Szkurlatowski Zygmunt 168
 Sznajderman Monika 10
 Szurek Agnieszka 9
 Szymańska-Kumaniecka Janina 108

 Śpiewak Helena 97
 Śpiewak Paweł 97
 Świącik Joanna Lilla 8

 Tadla Beata 104-105
 Tamara [radziecka kobieta z dancingu] 90
 Tarasow Władimir 148
 Tarkowski Aleksandr 175
 Tatarkiewicz Anna 19, 99
 Tatiana [radziecka kobieta z dancingu] 90
 Thiel-Jańczuk Katarzyna 174
 Timoszenko Siemion 130
 Tischner Józef 108
 Tokarska-Bakir Joanna 9
 Tołoczko Agata 199
 Tomasik Wojciech 145
 Tomczak Małgorzata 200
 Tonia [radziecka znajoma rozmówczynie] 92
 Tönnies Ferdinand 128
 Trenkner Joachim 162
 Turner Victor 9, 179

 Ugrešić Dubravka 10
 Usakiewicz Wojciech 179

 Wacek [kolega rozmówcy] 66
 Wajda Andrzej 51, 89
 Walas Teresa 40
 Wałęsa Lech 104, 148, 167, 180-181
 Wasiak Patryk 164
 Wat Aleksander 108
 Władzia [modystka] 49
 von Weizsäcker Richard 33
 Welzer Harald 144
 Wiki, patrz: Wiktor
 Wiktor [radziecki znajomy rozmówczynie] 85
 Wiktoria [radziecka znajoma rozmówcy] 84
 Wilk Wojciech 55
 Witkowski Michał 81
 Wojciechowska Malina 199
 Wojtyła Karol 152
 Wokotrub Leopold 134, 136
 Wołodia [oficer radziecki, znajomy rozmówcy] 39
 Wołodia [lotnik radziecki, znajomy rozmówcy] 63
 Woźniak Marta 199
 Wróblewska-Trochimiuk Ewa 188

 Zabłudowski Tadeusz 27
 Zajączkowski Andrzej 65
 Zaremba Marcin 137
 Zgud Sylwia 55
 Zinowiew Aleksander 108
 Zujew Oleg 40
 Zwoliński Andrzej 16
 Zygmunt [polski kolega rozmówcy] 103

 Żenia [radziecki kolega rozmówczynie] 85
 Żurowska Maria 99

Indeks postaci fantastycznych, literackich i filmowych

- Bazyli [*Niewinni czarodzieje*] 89
Bond James [seria książek i filmów] 99
- Dziadek Mróz [tradycyjne wierzenia rosyjskie]
105, 156
Dzied Moroz, patrz: Dziadek Mróz
- Gogol Anatol [generał radziecki, seria filmów
o Jamesie Bondzie] 99
- Łysenko Andriej [radziecki ambasador, *Polowanie na Czerwony Październik*] 99
- Micha [*Aleja Słoneczna*] 162
- Puszkina [generał radziecki, *W obliczu śmierci*]
99
- Swietłowa Wiera [*Mała Moskwa*] 183

Indeks nazw i przezwisk grup geograficznych, etnicznych i narodowych

- Amerykanie 20
- Białorusinki 76
bolszewik 45
- Chińczyk 28
Cyganie 59
 patrz też: Romowie
- Europejczycy 24
Europejczyk 24
- Finowie 130
Francuzi 142
- Germanie 44
gmoch 28
gmochy 28
Grecy 16, 48
Gruzin 150
- kacap 28, 34, 109
kacapy 28, 36, 95, 109, 115
Kaukaski 76
- Litwinka 92
- Łemkowie 16, 147
- Macedończycy 16, 48
Mongolki 76
mongoły 28
Murzynka 184
- Niemcy 16, 32-33, 114-115, 121, 143
Niemka 77
- Ormianie 153
- Polacy 7, 11, 14-16, 18, 24, 27, 29, 31-33, 35,
37-39, 43-44, 46-51, 53, 57, 59-60, 63, 74, 80,
82-84, 89, 91-93, 95-97, 100-102, 104, 107-
108, 115, 118, 123, 127-128, 130-132, 134-135,
137-139, 142, 146-148, 150-152, 154-155, 158-
159, 163, 165, 167-171, 174-181, 184-185
Polak 28, 40, 72-73, 76, 83, 88, 90, 93, 107,
115, 132, 142, 146, 151, 171
Polka 42, 77, 80, 82, 87-88, 119
Polki 48, 52, 74, 77-78, 83-84, 132
- Romowie 59
 patrz też : Cyganie
Rosjaneczki 78, 82
Rosjanie 6, 12, 14-18, 21-22, 28, 31-39, 41, 43-
46, 48-50, 54, 56-57, 59, 61, 64, 69, 71-72,
75, 81, 96-98, 100, 106-107, 109, 113, 117,
119-121, 127-128, 131-133, 136, 139-140,
142-143, 145-149, 151, 154-155, 157, 160,
163-164, 166, 168-172, 174, 176-180
Rosjanin 30, 38-40, 53, 71, 76, 80, 100, 109, 119,
135, 139-140, 142, 145, 149, 151, 154, 157
Rosjanka 30, 58, 60-61, 71-72, 76, 82-84, 86,
88, 90-91, 100, 114, 118-119, 145, 155,
169, 171, 179-180, 183
Rosjanki 30, 36, 49, 58, 71, 73-77, 83-84, 97,
100, 162
Ruscy 11-12, 14-16, 20-21, 23-26, 28, 30-36,
38, 43-45, 47-51, 53-54, 56-57, 59-61, 65-
66, 68-69, 72, 74-75, 80-81, 83-84, 86-87,
91-92, 95-96, 98, 100-108, 110, 112, 114-
115, 117, 120, 124, 126, 130, 132, 134-136,
138, 142-145, 149-151, 154-155, 157, 159,
161, 163-173, 175-182, 184

- Ruska 30, 52, 71, 73, 85, 104
Ruski 27, 30, 33-35, 38, 42, 63, 67, 79, 82, 87,
90, 93, 103-105, 107, 109, 111-112, 115,
118, 132, 137-138, 141-144, 146-147, 152,
157-158
Ruskie 48, 73-74, 76-77, 91
- Sabinki 89
Skandynawowie 130
Słowianie 22, 44
- Słowianka 74
Słowianki 74, 77
Sowieci 12, 44-45, 122
Sowieci 181
Ukrainka 70, 80
Ukrainki 76
Ukraińcy 16, 147
Wielkorus 34
- Żydzi 16, 49, 120, 147

Indeks nazw geograficznych i geopolitycznych

- II RP, patrz: II Rzeczpospolita Polska
II Rzeczpospolita Polska 147
- Aleje Jerozolimskie [ulica, Warszawa] 19
Azja 28
- Bartoszków [miejscowość podlegnicka] 19, 64, 66
Berlin 33, 177
 Zachodni 179
Białka [nieistniejąca wieś podlegnicka] 63
Białoruś 26, 44, 65, 184, 188
Borodino 140-142
Brześć 68
Bug 76
Bułgaria 17
Bydgoszcz 81
- Chojnów 18
Czarnobyl 164, 175
Czechosłowacja 17, 128
- Daleki Wschód 43
DDR, patrz: Niemiecka Republika Demokratyczna
Dolny Śląsk 33, 44, 133
Dziki Zachód 152
- Enerdowo, patrz: Niemiecka Republika Demokratyczna
Europa 188
- Francja 67, 184
- Góra [miejscowość, Dolny Śląsk] 63
Górny Śląsk 24
- Hel 64
- Jelenia Góra 133
Jugosławia 162
- Kabul 17
Kamczatka 70
Katyń 41
Kazachstan 28
Komorniki [miejscowość podlegnicka] 21
Kraj Rad, patrz: Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich
Kraków 32, 76, 146
Kresy 45
Krzywa [miejscowość podlegnicka] 130
Krzywy Róg 87
- Legnica 7-21, 24, 28-33, 35, 37-38, 40, 42, 44-45, 47-49, 51, 54-61, 63-66, 68-69, 72, 75, 78, 81, 84-85, 87-88, 90, 95, 97, 100-105, 110, 112-115, 121-123, 127-130, 133, 136-139, 143, 145-147, 150, 152, 154, 157-158, 160-181, 183-187, 190, 192-194, 196-197
patrz też: Mała Moskwa
- Litwa 28
Lubin 20, 143-146
Lwów 19
- Łotwa 28
- Mała Moskwa 7, 10-11, 15-17, 21, 95, 138, 162-163, 167, 173, 183, 185
patrz też: Legnica
Moskwa 15, 17, 21, 72, 142, 176
- Niemiecka Republika Demokratyczna 17-18, 33, 68, 77, 121, 162, 167
Nowa Huta 164

- Nowy Świat [ulica, Warszawa] 19
NRD, patrz: Niemiecka Republika Demokra-
tyczna
- Osiek [miejscowość podlegnicka] 144
Paryż 146
Père-Lachaise [cmentarz, Paryż] 183
Polska 15, 17, 26, 28, 37, 39-40, 45-46, 48, 50-52,
58, 67-68, 81-82, 85-89, 103, 107, 110, 114,
128, 139, 146, 148, 152, 160, 162, 166-167,
169, 172, 179, 187
Polska Ludowa 25, 28, 37, 47, 51, 77, 146
Polska Rzeczpospolita Ludowa 32, 55, 68, 90,
133, 166, 192
Pomorze 35
Poznań 32, 68
PRL, patrz: Polska Rzeczpospolita Ludowa
Prypeć [miejscowość, Ukraina] 164
- Rakowiecka [ulica, Warszawa] 20
Republika Federalna Niemiec 33, 77
RFN, patrz: Republika Federalna Niemiec
Rosja 16, 23, 26, 39, 50, 62, 68, 78, 82-83, 86-
88, 148, 155, 157, 167, 171, 178, 184, 188
Rosja Radziecka 29
Rotunda [budynek, Warszawa] 146
Rumunia 17
- Sojuz, patrz: Związek Socjalistycznych Republik
Radzieckich
Stanisławów 80
Stany Zjednoczone 69, 99, 114
Syberia 140
Sybir, patrz: Syberia
- Środa Śląska 133
Świdnica 133, 168
Układ Warszawski 17, 127-128, 135
Ukraina 80, 87, 147, 183
Ural 60
USA, patrz: Stany Zjednoczone
- Warszawa 13, 19, 89
Watykan 16
Węgry 17
Wiedeń 76
Wielki Brat, patrz: Związek Socjalistycznych
Republik Radzieckich
Wittenberga 33
Wołga 39
Wrocław 18, 81, 158, 184
Wschód 51, 143, 170
- Zachód 19, 40, 50-51, 54, 67, 77, 169-170
Zagłębie Miedziowe 170
Ziemie Odzyskane 33, 136
Zgorzelec 177
Złotoryja 18, 138
ZSRR, patrz: Związek Socjalistycznych Repu-
blik Radzieckich
Związek Radziecki, patrz: Związek Socjalistycz-
nych Republik Radzieckich
Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich
11-12, 15-17, 19, 22-24, 26-30, 33-34,
37-40, 42-43, 45, 47-51, 53, 56, 59-60, 62,
68, 72, 76-77, 82, 86-88, 103, 105-106, 108,
114, 119, 123, 128, 130, 132, 135, 139, 142-
143, 145, 147-148, 151, 153, 155, 157, 165-
170, 172, 175, 177, 179-180, 184

Indeks miejsc i instytucji w Legnicy

- 1 Maja [ulica] 138
IV Liceum Ogólnokształcące 121, 147
5. magazyn 122-124
- Akademia Rycerska 20, 133
Artyleryjska [ulica] 111
Astronomiczna [ulica] 110
- basen 24, 111-112
bazar/bazary 50, 59, 62
 na osiedlu Kopernika 57
Bielańska [ulica] 129
Bieszczadzka [ulica] 158
boisko 103, 120, 129, 146
 na Zakaczwawiu 109
- Centrum Kształcenia Ustawicznego 112
Chojnowska [ulica] 55, 61, 67, 119, 122-123, 129
cmentarz 183-184
 patrz też: grób Lidii Nowikowej
Cuprum [restauracja] 151
- Dom Knigi 53
Dom Kultury [ul. Nowy Świat] 147
Dom Oficera 80, 91, 97, 105, 123-124, 148, 158, 166
Dom Prijoma 158, 182
Dom Słowa 123
Don Giovanni [restauracja] 148
dworzec 20, 29, 105, 160, 166, 179-180
 Główny 19
 Północny 40, 68, 168
Galeria Gwarna 141
Galeria Piastów 60
Galeria Sztuki 72
garaże 22, 63, 109
- Glinki 113
Głogowska [ulica] 22, 52
grób Lidii Nowikowej 183-185
 patrz też: cmentarz
- huta, patrz: Huta Miedzi „Legnica”
Huta Miedzi „Legnica” 62, 88
Hutników [ulica] 143
- internat IV Liceum Ogólnokształcącego 121-122
- Jaworzanka [restauracja] 149
Jaworzyńska [ulica] 86, 95, 106, 120, 134, 149
- Kaczawa [rzeka] 23, 59, 83, 86, 134, 137, 144
Kartuska [ulica] 86
kino 15, 30, 33, 82, 136, 148, 161
 Dom Oficera 148
 letnie 165-166
 Ognisko 151, 166
 polskie 51
 rosyjskie 165
- Kolbego Maksymiliana Marii [ulica] 182
komendantura radziecka [dziś Sąd Rejonowy] 35, 55, 135, 140-141, 143, 150
Kopernika Mikołaja [osiedle] 57
koszary 16, 18, 26, 30, 36-37, 40, 43, 61, 65-68, 81, 109-110, 113-116, 121, 130-131, 164, 172
kościół św. Jana 132-133, 154
Krasickiego Janka [ulica] 106
Kuria [d. Dom Oficera] 105, 136, 148
Kwadrat 7, 11, 18, 51, 54, 56, 95, 101, 106-107, 113, 117-123, 134, 154, 163-164, 173-175, 182
 patrz też: Tarninów
lasek Złotoryjski 19, 115, 152

- liceum ukraińskie, patrz: IV Liceum Ogólnokształcące
- leningrady 103, 108
- lotnisko 19, 64, 81, 102, 110-111, 122, 129-130, 163-164, 167-168, 176
- magazyn/magazyny [ros. sklep] 25, 32, 54, 117-118, 121
patrz też: sklep [radziecki]
- magazyny 65, 70
- Marchlewskiego Juliana [ulica] 86
- Megasam 60, 178
- Mickiewicza Adama [ulica] 24
- mur 15, 18, 30, 37, 62, 67, 109, 112-113, 116-118, 121-123, 129, 173-174
- Nowodworska [ulica] 175
- Nowy Dwór [pałac] 175
- Nowy Świat [ulica] 147
- Ognisko, patrz: kino Ognisko
- Okrzei Stefana [ulica] 85, 103
- Orzeszkowej Elizy [ulica] 143
- Oświęcimska [ulica] 120
- Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa 37, 43, 112, 116, 140, 162, 167
- park 25, 80, 88, 123, 139, 145, 159
maszyn 111
Miejski 115, 120, 166
przy Toruńskiej 87
- Parnasik [restauracja] 151
- Pątnowska [ulica] 136
- Piast [restauracja] 148-149
- Pod Klonem [restauracja] 148
- podwórko/podwórka 30, 61, 63-64, 95-97, 99-100, 104, 107-108, 114, 119, 121-122, 139, 178
- poligon/poligony 19, 113, 127
- Polonia [restauracja] 151
- pomnik
Braterstwa Broni, patrz: Pomnik Wdzięczności dla Armii Radzieckiej
Konstantego Rokossowskiego 105
przyjaźni, patrz: Pomnik Wdzięczności dla Armii Radzieckiej
Wdzięczności dla Armii Radzieckiej 11, 45, 137, 186
- Ptyś [restauracja] 149
- PWSZ, patrz: Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa
- Qubus [hotel] 151
- Rarytas [restauracja] 149
- Rataja Macieja [ulica] 112
- Ratuszowa [restauracja] 148-149
- Real [supermarket] 178
- Relaks [restauracja] 149
- Rezydencja [hotel i restauracja] 173, 182
- Rynek 92, 164
- rynek/rynki 26, 56-57, 59-60, 62, 64-66, 68, 77-78, 145 167, 179
patrz też: bazar, targowisko
- Rzeczypospolitej [ulica] 149
- rzeka, patrz: Kaczawa
- Sąd Rejonowy [d. komendantura radziecka] 35, 150
- Sejmowa [ulica] 63, 116
- sklep/sklepy 49, 56, 162
nr 5, patrz: 5. magazyn
polski/polskie 22, 25, 36, 47-54, 56, 65, 75, 91, 119, 121, 123, 139, 171
prywatny/prywatne 49
radziecki/radzieckie 15, 25, 46-47, 51, 53-56, 62, 82, 92, 95, 101, 110, 117-123, 139
patrz też: magazyn/magazyny
- Słowiański [plac] 11, 97
- Sosnowa [ulica] 113
- stacja benzynowa 158
Statoil 35
- stadion 24, 113
polski 98
radziecki 120, 166
- szkoła/szkoły 97, 101, 103, 127
podstawowa 95, 98
nr 3 59
nr 10 106
nr 18 120
polska/polskie 86, 109-110
radziecka/radzieckie 15, 78, 85-86, 95-96, 106-108, 112, 127, 139
- szpital/szpitala [radziecki/radzieckie] 15, 152
ginekologiczno-położniczy 15, 152
w lasku Złotoryjskim 19, 67, 152, 164
- Śródmiejska [restauracja] 148-149

- Świerczewskiego Karola [ulica] 113
- targowisko/targowiska 47, 57, 62, 179
 patrz też: bazar/bazary, rynek/rynki
- Tarninów [dzielnica] 7, 56, 117, 174, 181, 193
- teatr [budynek] 146-147, 166
- teatr [instytucja] 15, 82
- Teatr im. Heleny Modrzejewskiej 110, 172
- Teatr Letni 147, 166
- Tivola, patrz: Tivoli
- Tivoli [restauracja] 148, 150-151
- Toruńska [ulica] 87
- Traugutta Romualda [ulica] 120
- Urząd
 Stanu Cywilnego 172
 Wojewódzki 182
- Wiarus [bar] 142, 149
- willa/wille 29, 56, 156, 161, 164, 175, 177-178,
 181-182
 Dubynina 120
 Juliusa Rothera 177
- Wrocławska [ulica] 134, 143
- W-Z [restauracja] 143
- Zagłoba [restauracja] 149
- Zakaczawie [dzielnica] 32, 109, 136
- Zakład Przemysłu Odzieżowego ELPO 51
- Zakłady Dziewiarskie „Hanka” 51
- Zamek legnicki 137
- Złotoryjska [ulica] 25, 35, 63, 101, 113, 138,
 141, 150, 156, 164, 177-178
- Zodiak [restauracja] 90, 149

Indeks rzeczowy Małej Moskwy

- adiutant 29, 134, 145
alkohol 23, 47-49, 54, 61-62, 81, 83, 130-131, 151
 patrz też: bimber, piwo, spirytus, szampan, wino, wódka
aparat bezpieczeństwa, patrz: Służba Bezpieczeństwa
armia/armie 19, 30, 32, 40, 115, 127, 138, 148, 168, 172-172
 amerykańska 82
 Czerwona 7, 18, 164, 168
 Radziecka 7-8, 11, 18, 20-21, 27-28, 32, 37, 48, 62, 64, 66, 68, 81, 87-88, 95, 104, 110-111, 114-115, 117, 144, 147, 164-168, 170-171, 173, 176, 179, 181, 186-187
 rosyjska 142
 sowiecka 147, 186
 zachodnie 82
- Ballada o Zakaczawiu* [spektakl] 109-110
bania/banie 26, 129-131
 patrz też: łaźnia, sauna
barbarisy, patrz: warwarisy
benzyna 46, 51, 63-64, 175, 178
 lotnicza 63-64
 patrz też: paliwo
Biblia 153-155
Biełaja sirień [perfumy radzieckie] 72
 patrz też: Być może, duchy, Krasnaja Moskwa, Maska, Ogni Moskwy, perfumy
biełki [gatunek cukierków] 124
 patrz też: cukierki, Kara Kum, konfiety, kukulki, landrynki, maczki, raczki, słodycze, warwarisy
bimber 62
 patrz też: alkohol, piwo, spirytus, szampan, wino, wódka
bizuteria 56, 60, 78, 168
 patrz też: kolczyki, pierścionek/pierścionki
broń 25, 66, 102, 110, 134-135, 142, 144, 148, 179
 patrz też: kałasznikow, karabin, naboje, pistolet, tetetka
Być może [perfumy polskie] 71
 patrz też: Biełaja sirień, duchy, Krasnaja Moskwa, Maska, Ogni Moskwy, perfumy
- cukierki 11, 54-55, 105, 117-119, 122-125
 patrz też: biełki, Kara Kum, konfiety, kukulki, landrynki, maczki, raczki, słodycze, warwarisy
cywile [radzieccy] 30-31, 47, 65, 71-72, 82, 84, 90, 102, 119, 124, 149, 154, 163, 167, 175
 patrz też: służby cywilne
czako, patrz: czapka
czapka/czapki [radziecka wojskowa/radzieckie wojskowe] 22, 25 33-34, 87, 111, 149, 151, 158
czołg 40, 65, 114, 130, 161, 178-179
- dancing/dancingi 90, 149
 patrz też: dyskoteka/dyskoteki
dewastacje 163, 180
 polskie 180
 radzieckie 35, 175, 182
dezertor 143-144
duchy [ros. perfumy] 56, 72, 75
 patrz też: Biełaja sirień, Być może, Krasnaja Moskwa, Maska, Ogni Moskwy, perfumy
duchowni 154
duchowość 153-155
dyskoteka/dyskoteki 90-91, 100-101, 148, 166
 patrz też: dancing/dancingi

- erotyczne relacje [polsko-radzieckie] 71, 81, 84, 115, 184
- filmy pornograficzne 68
patrz też: gwiazda porno, pornografia, pornos, świerszczyki, zdjęcia erotyczne
- Fotograf* [film] 178
- gazeta/gazety 22, 24, 29, 31-32, 51, 57, 134, 143, 145, 152, 165, 174
patrz też: „Komsomolskaja”, „Prawda”, „Znamia Pobedy”
- generał [radziecki] 25, 99, 120, 145, 167, 173
- generałowie 24, 148, 173
- gwalt/gwałty 115-117, 137-138, 146
- gwiazda porno 67
patrz też: filmy pornograficzne, pornografia, pornos, świerszczyki, zdjęcia erotyczne
- handel 11, 26, 34, 39, 43, 46-51, 55-57, 59-62, 64-69, 92, 107, 114, 127, 143-144, 159-160, 164, 166-167, 169-171, 177-180, 182
- helikopter/helikoptery 102, 110-111, 129-130, 158
- ideologia 60
braterstwa narodów 102
kapitalistyczna 50
komunistyczna 29, 41, 121
- ideologie 9
- ikra [ros. kawior] 58-59
patrz też: kawior
- jeansy 50-51, 89
- junak [motor] 89
patrz też: Harley Davidson, komar, motor, WSK
- kadra oficerska [radziecka] 43, 149, 170, 171
- kałach, patrz: kałasznikow
- kałasznikow 64, 66, 143, 179
patrz też: broń, karabin, naboje, pistolet, tetetka
- kanfiety, patrz konfiety
- Kara Kum [gatunek cukierków] 123
patrz też: biełki, cukierki, konfiety, kukułki, landrynki, maczki, raczki, słodycze, warwarisy
- karabin/karabiny 41, 64, 66, 123, 137, 140, 143-144, 148, 151, 179
maszynowy 143
patrz też: broń, kałasznikow, naboje, pistolet, tetetka
- karakume, patrz: Kara Kum
- kaseta/kasety 26, 121, 139
wideo 49
- kawior 47, 49, 54 58-59
patrz też: ikra
- kolczyki 60, 72-73, 162
patrz też: biżuteria, pierścioneł/pierścionki
- komar [motor] 63, 89
- „Komsomolskaja” [gazeta] 165
patrz też: gazeta/gazety, „Prawda”, „Znamia Pobedy”
- Komsomoł 25
- konfiety [ros. cukierki] 105, 122
patrz też: biełki, cukierki, Kara Kum, kukułki, landrynki, maczki, raczki, słodycze, warwarisy
- kontakty handlowe, patrz: handel
- Krasnaja Moskwa [perfumy radzieckie] 72
patrz też: Biełaja sirień, Być może, duchi, Maska, Ogni Moskwy, perfumy
- kukułki [gatunek cukierków] 118
patrz też: biełki, cukierki, Kara Kum, konfiety, landrynki, maczki, raczki, słodycze, warwarisy
- landrynki 100, 120, 123
patrz też: biełki, cukierki, Kara Kum, konfiety, kukułki, maczki, raczki, słodycze, warwarisy
- legitymacja/legitymacje 54-55, 124
patrz też: przepustka
- lejtanci 149
- lejtant 29
- lekarz/lekarze 42, 156
radzieccy 57, 152
- łaźnia/łaźnie 26-27, 131
patrz też: bania/banie, sauna/sauny
- maczki [gatunek cukierków] 123-124
patrz też: biełki, cukierki, Kara Kum, konfiety, kukułki, landrynki, raczki, słodycze, warwarisy

- Mała Moskwa* [film] 15, 24, 44, 71, 79, 84, 152-153, 161, 166, 183-185
- Maska [perfumy radzieckie] 56
patrz też: Białaja sirień, Być może, duchi, Krasnaja Moskwa, Ognia Moskwy, perfumy
- mięso 38, 46-47, 51-54, 118-119, 122, 150
patrz też: tuszonka
- milicja, patrz Milicja Obywatelska
- Milicja Obywatelska 35, 54-55, 59, 101, 138-139, 143-144, 149, 151
patrz też: policja
- milicjant 39, 117, 139, 143-144, 177
patrz też: policjant
- MO, patrz: Milicja Obywatelska
- motocykl/motocykle 62, 89
- motor/motory 89, 139
patrz też: komar
- mundur/mundurki 7, 24, 27, 29, 52-53, 114-115, 126, 137-138
- mundurek szkolny/mundurki szkolne 78-79, 106-107
- naboje 19, 158, 179
patrz też: broń, kałasznikow, karabin, pistolet, tetetka
- NKWD 83, 144, 151
- Obcy 9, 11, 22-24, 26-27, 30-31, 38, 57, 60, 69, 81, 84, 89
- oficer [radziecki] 32, 34, 51, 53, 87, 92, 110-111, 128, 130, 140, 142, 145, 150, 157, 174, 177, 185
dyżurny 177
polityczny 130
wyższy 32, 34, 111
- oficer [polski] 184
policji, patrz: policjant
- oficerki [buty] 27
- oficerowie [radzieccy] 29, 33-34, 40, 49, 53, 62, 71-72, 75, 78, 80, 82, 90, 95-96, 109, 111, 127, 149-151, 159, 167, 173, 175-176
polityczni 159
wyżsi 167, 176
- Ognia Moskwy [perfumy radzieckie] 72
patrz też: Białaja sirień, Być może, duchi, Krasnaja Moskwa, Maska, perfumy
- okulista/okuliści 57, 152
- pajok [ros. przydział wojskowy] 81
- paliwo 19, 47-48, 63-64, 66
patrz też: benzyna
- perfumy 56, 71-75
patrz też: Białaja sirień, Być może, duchi, Krasnaja Moskwa, Maska, Ognia Moskwy
- peweks 50-51, 89
- PGWAR, patrz: Północna Grupa Wojsk Armii Radzieckiej
- pierścionek/pierścionki 42, 56, 59, 62, 72-73, 78
patrz też: biżuteria, kolczyki
- pilot/piloci [radziecki/radzieccy] 64, 129-130, 184
- pistolet 66, 142, 151, 158, 179
patrz też: broń, kałasznikow, karabin, naboje, tetetka
- piwo 22, 47, 53, 62, 130-131, 149-151
patrz też: alkohol, bimber, spirytus, szampian, wino, wódka
- podoficerowie [radzieccy] 29, 149
- policja 100, 103, 137, 139, 146, 176-178
polityczna 25, 83
patrz też: milicja
- policjant 36, 103, 176-177
patrz też: milicjant
- polityka 20, 39-41, 43-44, 82, 87, 97-99, 146, 152, 158, 161-162, 184
- pornografia 68
patrz też: filmy pornograficzne, gwiazda porno, pornos, świerszczyki, zdjęcia erotyczne
- pornos 67
patrz też: filmy pornograficzne, gwiazda porno, pornografia, świerszczyki, zdjęcia erotyczne
- Północna Grupa Wojsk Armii Radzieckiej 7, 24, 95, 103, 134, 147, 161, 163, 166, 184
- „Prawda” [gazeta] 22, 32, 57, 165
patrz też: gazeta/gazety, „Komsomolskaja”, „Znamia Pobiedy”
- przepustka 36, 54-56, 62, 117-118, 131
patrz też: legitymacja
- raczki [gatunek cukierków] 118, 123
patrz też: białki, cukierki, Kara Kum, konfety, kukułki, landrynki, maczki, słodycze, warwarisy
- religia 16, 22-23, 30, 42, 133, 153-155, 187

- romans/romanse [polsko-radziecki/radzieckie] 11, 79, 84, 89, 127, 184
- ryba 22, 158
suszona, patrz: taranka/taranki
- samolot/samoloty 19, 21, 64, 90, 110, 129, 134, 146, 161, 163, 165, 167-168, 170, 179
transportowe 19, 21, 165
- sauna/sauny 26, 130-131
patrz też: bania/banie, łaźnia/łaźnie
- SB, patrz Służba Bezpieczeństwa
- słodycze 119, 123-124
patrz też: białki, cukierki, Kara Kum, konfiety, kukułki, landrynki, maczki, raczki, warwarisy
- Służba Bezpieczeństwa 35, 133
- szużby
bezpieczeństwa, patrz: Służba Bezpieczeństwa
cywilne [radzieckie] 8, 12, 15, 18, 48, 96, 132, 161
mundurowe 111
polskie 20, 101, 133, 174
pomocnicze, patrz: szużby cywilne
porządkowe [polskie] 174-175
radzieckie 20, 83, 101, 137, 139, 147, 152
specjalne 20
specjalne [polskie] 133
wywiadowcze 20
- spirytus 62, 90, 130
patrz też: alkohol, bimber, piwo, szampan, wino, wódka
- system [polityczno-ideologiczny] 6, 9-10, 17, 39-40, 42-43, 48, 55-56, 60, 65, 86-87, 92-93, 102, 108, 132, 137, 162, 165-166, 191-192
kapitalistyczny 171
kontroli 82
- szaber 181
- szabrownicy 182
- szampan 48, 158
patrz też: alkohol, bimber, piwo, spirytus, wino, wódka
- szeregowcy [radzieccy] 29, 34, 43, 62, 68, 109, 111, 113-116, 149, 170
- szeregowi, patrz: szeregowcy
- szeregowiec [radziecki] 29, 42
- śmigłowiec/śmigłowce 19, 21, 62, 64, 129, 163-164
- świerszczyki 67-68
patrz też: filmy pornograficzne, gwiazda porno, pornografia, pornos, zdjęcia erotyczne
- taranki 22, 51, 129, 157
- tetetka 66
patrz też: broń, kałasznikow, karabin, naboje, pistolet
- Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej 97-98, 127, 152
- TPPR, patrz: Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej
- tuszonka 157
patrz też: mięso
- WAI, patrz: Wojennaja Awtomobilnaja Inspekcija
- warwarisy [gatunek cukierków] 118
patrz też: białki, cukierki, Kara Kum, konfiety, kukułki, landrynki, maczki, raczki, słodycze
- wideo [odtwarzacz] 50, 67, 179
- wino 53, 81, 100, 113-114, 159
patrz też: alkohol, bimber, piwo, spirytus, szampan, wódka
- Wojenna Armijna Inspekcja, patrz: Wojennaja Awtomobilnaja Inspekcija
- Wojennaja Awtomobilnaja Inspekcija 138-139, 178
- Wojenno-Administracyjna Inspekcja, patrz: Wojennaja Awtomobilnaja Inspekcija
- wojska
amerykańskie 82
desantowe 64
napoleońskie 142
pontonowe 64
(post)radzieckie 72
radzieckie 11-12, 15, 20, 26, 31, 38, 48, 56, 65, 81, 88, 115, 121, 145, 147-148, 152, 160, 162-163, 165-169, 172, 175
sowieckie 147
Układu Warszawskiego 17, 128
- wojsko 29
polskie 97, 129, 149
radzieckie 7, 24, 34, 43, 82, 87, 90, 97, 111,

- 134, 136, 138, 144, 159, 163
sowieckie 137
- wojskowi [radzieccy] 17-18, 20, 30, 34, 44, 47,
59, 62, 86, 99, 122, 149-150, 158, 163, 165,
168
- wojskowy
polski 185
radziecki 87, 119, 155
- wolnonajomnyje 48, 59, 62, 86
- wołga [samochód] 24-25, 101, 110, 141, 158
- wódka 6, 39, 61-62, 126, 130, 143-144, 149-
151, 156-157, 168-169
patrz też: alkohol, bimber, piwo, spirytus,
szampan, wino
- WSK [motor] 89
patrz też: Harley Davidson, junak, komar,
motor
- wymiana handlowa, patrz: handel
- zdjęcia erotyczne 68
patrz też: filmy pornograficzne, gwiazda
porno, pornografia, pornos, świerszczyki
- złote zęby 72-74
- złoto 11, 48, 50-51, 56-60, 64, 72-74, 78, 143,
162, 166
- złote monety 171-172
- złote ozdoby, patrz: biżuteria
- „Znamia Pobjedy” [gazeta] 29, 134, 152
patrz też: gazeta/gazety, „Komsomolskaja”,
„Prawda”
- żandarmeria
polska 138
radziecka 101, 149-150, 171
- żołnierz
polski 138
radziecki 25, 36, 40, 61, 67-68, 82, 101,
109-117, 123-124, 131, 135, 137-138, 143-
144, 149-150
rosyjski 24, 116, 135, 138, 144-145, 178
patrz też: oficer, wojskowy, szeregowiec
- żołnierze
polscy 134, 138, 148-149
radzieccy 11, 17, 20, 23-24, 26-30, 32, 34-
36, 39-40, 47, 52, 62, 64-68, 70, 82, 95,
101, 108-117, 121-122, 130, 134-137, 145,
148-150, 154, 159, 167, 170-171, 173
szeregowi, patrz: szeregowcy
patrz też: oficerowie, szeregowi, wojskowi

BIBLIOGRAFIA

Literatura przedmiotu

- Accusatory Practices. Denunciation in Modern European History 1789-1989*, red. S. Fitzpatrick, R. Gelately, Chicago 1997.
- Andriejewa Larysa A., *Religija i własť w Rosji. Religioznyje i kwazireligioznyje doktryny kak sposob legitimizacji polityczeskoj własťi w Rosji*, Moskwa 2001.
- Arendt Hannah, *Korzenie totalitaryzmu*, przeł. M. Szawiel, D. Grinberg, Warszawa 1993.
- Ariès Pierre, *Historia dzieciństwa*, przeł. M. Ochab, Warszawa 2010.
- Banek Kazimierz, *Opowieść o włosach. Zwyczaje – rytuały – symbolika*, Warszawa 2010.
- Baziur Grzegorz, „Precz z sowiecką okupacją!” *Konfederacja Polski Niepodległej wobec stacjonujących w Polsce oddziałów PGWAR w latach 1979-1990 – casus Legnicy na tle ogólnopolskim*, w: *Wojska radzieckie w Polsce 1939-1993*, red. S. Dąbrowski, K. Jaworska, W. W. Szetelnicki, Legnica 2013.
- Benedyktowicz Zbigniew, *Portrety „obcego”. Od stereotypu do symbolu*, Kraków 2000.
- Bierdiajew Mikołaj, *Marksizm i religia*, brak tłumacza, Poznań 1984.
- Bierdiajew Mikołaj, *Rosyjska idea*, przeł. JC-SW, Warszawa 1987.
- Bogusławska Magdalena, *Jugonostalgia*, w: *Popkominizm: doświadczenie komunizmu a kultura popularna*, red. M. Bogusławska, Z. Grębecka, Kraków 2010.
- Bruner E. M., *Etnografia jako narracja*, w: *Antropologia doświadczenia*, red. V. W. Turner, E. M. Bruner, przeł. E. Klekot, A. Szurek, Kraków 2011.
- Buchowski Michał, *Potlacz*, w: *Słownik etnologiczny. Terminy ogólne*, red. Z. Staszczak, Warszawa – Poznań 1987.
- Burke Peter, *Naoczność. Materiały wizualne jako świadectwa historyczne*, przeł. J. Hunia, Kraków 2012.
- Burszta Jędrzej, *Razem, lecz osobno. Mała Moskwa Polaków i Rosjan*, „Mówią Wieki”, 2012, nr 3 (626).
- Bystron Jan Stanisław, *Wierzenia o obcych*, w: tegoż, *Tematy, które mi odradzano. Pisma etnograficzne rozproszone*, Warszawa 1980.
- Bystron Jan Stanisław, *Megalomania narodowa*, Warszawa 1995.
- Caillois Roger, *Gry i ludzie*, przeł. A. Tatarkiewicz, M. Żurowska, Warszawa 1997.
- de Certeau Michel, *Wynaleźć codzienność. Sztukę działania*, przeł. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008.
- Clifford James, *O autorytecie etnograficznym*, przeł. J. Iracka i S. Sikora, w: tegoż, *Kłopoty z kulturą. Dwudziestowieczna etnografia, literatura i sztuka*, Warszawa 2000.
- Czajkowski Marcin, *Legnickie tropy Armii Radzieckiej*, „Mówią Wieki”, 2012, nr 3 (626).
- Czubala Dionizjusz, *Współczesne legendy miejskie*, Katowice 1993.
- Dant Tim, *Przedmioty w czasie: nowoczesność a „biografia”*, przeł. W. Chodacz, O. Drenda, K. Niweliński, W. Wilk, S. Zgud, w: tegoż, *Kultura materialna w rzeczywistości społecznej*, red. J. Barański, Kraków 2007.
- Dawkins Marcia Alesan, *Clearly Invisible: Racial Passing and the Color of Cultural Identity*, Waco 2004.
- Douglas Mary, *Czystość i zmasa*, przeł. M. Bucholc, Warszawa 2007.
- Dreisinger Baz, *Near Black: White-to-Black Passing in American Culture*, Amherst 2008.

- Drużnikow Jurij, *Zdrajca nr 1 czyli Wniebowzięcie Pawlika Morozowa*, przeł. F. Ociepka, M. Putrament, Warszawa 1990.
- Drużnikow Jurij, *Rosyjskie mity. Od Puszkina do Pawlika Morozowa*, przeł. F. Ociepka, M. Putrament, Warszawa 1998.
- Durkheim Émile, *Samobójstwo. Studium z socjologii*, przeł. K. Wakar, Warszawa 2006.
- Duszenko Konstantin, *Polak i Polka w oczach Rosjan*, w: *Stereotypy i narody*, red. T. Walas, Kraków 1995.
- Eliade Mircea, *Sacrum, mit, historia*, przeł. A. Tatarkiewicz, Warszawa 1974.
- Elias Norbert, *O procesie cywilizacji. Analizy socjo- i psychogenetyczne*, przeł. T. Zabłudowski, K. Markiewicz, Warszawa 2011.
- Gajdziński Piotr, *Imperium plotki czyli amerykańskie śniadanie z niemowląt*, Warszawa 2000.
- Geertz Clifford, *Interpretacja kultur. Wybrane eseje*, przeł. M. M. Piechaczek, Kraków 2005.
- van Gennep Arnold, *Obrzędy przejścia. Systematyczne studium ceremonii. O bramie i progę [...] i o wielu innych rzeczach*, przeł. B. Biały, Warszawa 2006.
- Goffman Erwing, *Człowiek w teatrze życia codziennego*, przeł. H. Śpiewak, P. Śpiewak, Warszawa 1981.
- Golonka-Czajkowska Monika, *Podróż do krainy zwanej Nową Hutą czyli o komunizmie jako atrakcji turystycznej*, w: *Popkomunizm: doświadczenie komunizmu a kultura popularna*, red. M. Bogusławska, Z. Grębecka, Kraków 2010.
- Górska Katarzyna, *Ostalgia*, w: *Popkomunizm. Doświadczenie komunizmu a kultura popularna*, red. M. Bogusławska, Z. Grębecka, Kraków 2010.
- Grębecka Zuzanna, *Słowo magiczne poddane technologii. Magia ludowa w praktykach postsowieckiej kultury popularnej*, Kraków 2006.
- Grębecka Zuzanna, *Axis mundi i rany symboliczne*, w: *Pałac Kultury i Nauki: między ideologią a masową wyobraźnią*, red. Z. Grębecka, J. Sadowski, Kraków 2007.
- Grębecka Zuzanna, *O potrzebie antropologii komunizmu*, w: *Sploty kultury*, red. N. Dołowy-Rybińska, A. Gronowska, A. Karpowicz, I. Piotrowski, P. Rodak, Warszawa 2009.
- Grębecka Zuzanna, *Legnickie strzępki, czyli etnograf na śmietniku historii*, „Mówią Wieki” 2012, nr 3 (626).
- Grębecka Zuzanna, *Między swojskością a obcością - antropologia komunizmu wśród subdyscyplin antropologii kulturowej*, w: *Nowe drogi antropologii*, red. P. Łuczeczko, Gdańsk 2015 (w druku).
- Guzicki Andrzej, *Powroty bez rozkazu*, „Rzeczpospolita” 18.09.2003, nr 218 (6598).
- Hall Edward T., *Ukryty wymiar*, przeł. T. Hołówka, Warszawa 1976.
- Hytrek-Hryciuk Joanna, *„Rosjanie nadchodzą!”. Ludność niemiecka a żołnierze Armii Radzieckiej (Czerwonej) na Dolnym Śląsku w latach 1945-1948*, Wrocław 2013.
- Jarosz Dariusz, Maria Pasztor, *W krzywym zwierciadle. Polityka władz komunistycznych w Polsce w świetle plotek i pogłosek z lat 1949-1956*, Warszawa 1995.
- Jaworska Justyna, *Cywilizacja „Przekroju”. Misja obyczajowa w magazynie ilustrowanym*, Warszawa 2008.
- Jaworska Justyna, *Gierkonostalgia*, w: *Popkomunizm: doświadczenie komunizmu a kultura popularna*, red. M. Bogusławska, Z. Grębecka, Kraków 2010.
- Kersten Krystyna, *Społeczna rola plotki*, w: *Plotka a monopol informacji*, Warszawa 1981.
- Kertzer David I., *Rytuał, polityka, władza*, przeł. Z. Simbierowicz, Warszawa 2010.
- Komunistyczni bohaterowie: tradycja, kult, rytuał*, red. M. Bogusławska, Z. Grębecka, E. Wróblewska -Trochimiuk Warszawa - Kraków 2011.
- Komunistyczni bohaterowie: przemiana, bunt, odrzucenie*, red. M. Bogusławska, Z. Grębecka, Warszawa - Kraków 2012.
- Kondusza Wojciech, *Śladami Małej Moskwy*, Legnica 2009.
- Kondusza Wojciech, *Mała Moskwa. Rzecz o radzieckiej Legnicy*, I wydanie Legnica 2006, II rozszerzone wydanie, Legnica 2011.

- Kondusza Wojciech, *Życie garnizonu radzieckiego w świetle „Znamia Pobjedy”*, w: *Wojska radzieckie w Polsce 1939-1993*, red. S. Dąbrowski, K. Jaworska, W. W. Szetelnicki, Legnica 2013.
- Kopytoff Igor, *Kulturowa biografia rzeczy – utowarowienie jako proces*, przeł. E. Klekot, w: *Badanie kultury. Elementy teorii antropologicznej*, red. M. Kempny, E. Nowicka, Warszawa 2003.
- Kosinowa Tatiana, *Polski mit. Polska w oczach sowieckich dysydentów*, przeł. R. Szczęsny, J. Redlich, Warszawa 2012.
- Kowalak Czesław, *Pomniki i tablice pamiątkowe w Legnicy po II wojnie światowej*, „Szkice Legnickie” 2007, t. XXVIII.
- Kowalski Piotr, *Kultura magiczna. Omen, przesąd, znaczenie*, Warszawa 2007.
- Kłoskowska Antonina., *Kultura masowa. Krytyka i obrona*, Warszawa 2005.
- Kula Marcin, *Religiopodobny komunizm*, Nomos, Kraków 2003.
- Kupiecki Robert, „Natchnienie milionów”. *Kult Józefa Stalina w Polsce 1944-1956*, Warszawa 1993.
- Levi-Strauss Claude, *Mysł nieoswojona*, przeł. A. Zajązkowski, Warszawa 1969.
- Łukasiewicz Piotr, *Pogłoska i dowcip polityczny w PRL. Próba analizy socjologicznej*, Warszawa 1987.
- Mazurek Małgorzata, *Spółczesność kolejką. O doświadczeniach niedoboru 1945-1989*, Warszawa 2010.
- Melchior Małgorzata, *Zagłada a tożsamość*, Warszawa 2006.
- Miasta nowych ludzi: architektoniczna i urbanistyczna spuścizna komunizmu*, red. Z. Grębecka, J. Sadowski, Warszawa 2007.
- Nérard François-Xavier, *5% prawdy. Donos i donosiciele w czasach stalinowskiego terroru*, przeł. J. Szymańska-Kumaniecka, Warszawa 2008.
- Niedzielenko Andrzej, *Legnica jako ośrodek wojskowy*, w: *Legnica. Zarys monografii miasta*, red. S. Dąbrowski, Wrocław – Legnica 1998.
- Nostalgia. Eseje o tęsknocie za komunizmem*, red. F. Modrzejewski, M. Sznajderman, Wołowiec 2002.
- Orliński Wojciech, *Legends polskie*, w: M. Barber, *Legends miejskie*, przeł. K. Berger-Kuźniar, P. Błoch, Warszawa 2007.
- Orłowski Jan, *Z dziejów antypolskich obsesji w literaturze rosyjskiej: od wieku XVIII do roku 1917*, Warszawa 1992.
- Ostrowski Zdzisław, *Pożegnanie z armią*, Warszawa 1992.
- Pałac Kultury i Nauki: między ideologią a masową wyobraźnią*, red. Z. Grębecka, J. Sadowski, Kraków 2007.
- Papiernyj Władimir, *Kultura Dwa*, Moskwa 1996.
- Pejzaże i znaki totalitaryzmu*, red. Z. Grębecka, J. Sadowski, Bydgoszcz 2010.
- Pelka Anna, *Teksas-land. Moda młodzieżowa w PRL*, Warszawa 2007.
- Podgórski Ryszard A., *Socjologia. Mikrostruktury*, Bydgoszcz-Olsztyn 2008.
- Popkomunizm: doświadczenie komunizmu a kultura popularna*, red. M. Bogusławska, Z. Grębecka, Kraków 2010.
- Rakowski Tomasz, *Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Etnografia człowieka zdegradowanego*, Gdańsk 2009.
- Rodak Bartłomiej, *Legnicka starówka. Z dziejów zagłady i odbudowy*, „Szkice Legnickie”, t. XXVII.
- Rottenberg Anda, *Proszę bardzo*, Warszawa 2009.
- Rottenberg Anda, „*Legnickie dorastanie*”, rozm. przepr. J. Krawczyk i T. Bohun, „Mówią Wieki” 2012, nr 3 (626).
- Sadowski Jakub, *Rewolucja i kontrrewolucja obyczajów. Rodzina, prokreacja i przestrzeń życia w rosyjskim dyskursie utopijnym lat 20. i 30. XX wieku*, Łódź 2005.
- Smalewski Jan Stanisław, *Opowiedział mi „Maks”. Aresztowanie, „dapros”, „wojennyj sud”*, Legnica 1994.
- Stomma Ludwik, *Antropologia kultury wsi polskiej XIX wieku*, Warszawa 1986.
- Stomma Ludwik, *Dzieciństwo*, w: tegoż, *A jeśli było inaczej... Antropologia historii*, Poznań 2008.

- Stonequist Everett V., *Asymilacja i podawanie się za członka innej grupy (passing)*, przeł. P. Polak, w: *Metoda biograficzna w socjologii. Antologia tekstów*, red. K. Kaźmierska, Kraków 2012.
- Sulima Roch, *Antropologia codzienności*, Kraków 2000.
- Sulima Roch, *Semantyka libacji alkoholowej*, w: tegoż, *Antropologia codzienności*, Kraków 2000.
- Szetelnicki Waław W., *Praktyki religijne Sowietów stacjonujących w Legnicy – fakty i mity*, w: *Wojska radzieckie w Polsce 1939-1993*, red. S. Dąbrowski, K. Jaworska, W. W. Szetelnicki, Legnica 2013.
- Szkurlatowski Zygmunt, *Sytuacja miasta i jego mieszkańców w pierwszych powojennych latach*, w: *Legnica. Zarys monografii miasta*, red. S. Dąbrowski, Wrocław – Legnica 1998.
- Świącik Joanna L., *Podwójnie strzeżeni. Armia Radziecka w Legnicy (1945-1993)*, Wrocław 2010.
- Tadla Beata, *Pokolenie '89 czyli dzieci PRL-u w wolnej Polsce*, Warszawa 2009.
- Tischner Józef, *Etyka solidarności oraz Homo sovieticus*, Kraków 2005.
- Tokarska-Bakir Joanna, *Dalsze losy syna marnotrawnego. Projekt etnografii nieprzezroczystej*, „Polska Sztuka Ludowa. Konteksty” 1995, R. 49, nr 1.
- Tönnies Ferdinand, *Wspólnota i stowarzyszenie. Rozprawa o komunizmie i socjalizmie jako empirycznych formach kultury*, przeł. M. Łukasiewicz, Warszawa 1988.
- Trenkner Joachim, „Był kiedyś taki kraj...”, przeł. W. Pięciak, w: *Nostalgia. Eseje o tęsknocie za komunizmem*, red. F. Modrzejewski, M. Sznajderman, Wołowiec 2002.
- Turner Victor, *Gry społeczne, pola i metafory*, przeł. W. Usakiewicz, Kraków 2005.
- Ugresić Dubravka, *Konfiskata pamięci*, w: *Nostalgia. Eseje o tęsknocie za komunizmem*, red. M. Sznajderman, Wołowiec 2002.
- Wasiak Patryk, *Realne i wirtualne zwiedzanie elektrowni w Czarnobylu*, w: *Popkomunizm: doświadczenie komunizmu a kultura popularna*, red. M. Bogusławska, Z. Grębecka, Kraków 2010.
- Welzer Harald, *Materiał, z którego zbudowane są biografie*, przeł. M. Saryusz-Wolska, w: *Pamięć zbiorowa i kulturowa. Współczesna perspektywa niemiecka*, red. M. Saryusz-Wolska, Kraków 2009.
- Wokotrub Leopold, *Pionierskie lata na Ziemi Żłotoryjskiej (1945-1948)*, Żłotoryja – Chojnów 2011.
- Zaremba Marcin, *Wielka trwoga. Polska 1944-1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Kraków 2012.
- Zinowiew Aleksander, *Homo sovieticus*, przeł. S. Deja, Warszawa 1987.
- Zwoleński Andrzej, *Wobec komunizmu*, Kraków 1996.

Przywoływana literatura piękna

Do przyjaciół Moskali, Adam Mickiewicz

Dziady, Adam Mickiewicz

Dzieje Tristana i Izoldy, Joseph Bédier

Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego, Władysław Broniewski

Lubiewo, Michał Witkowski

Opowieść o prawdziwym człowieku, Borys Polewoj

Piknik na skraju drogi, Arkadij i Borys Strugaccy

Romeo i Julia, William Shakespeare

Timur i jego drużyna, Arkady Gajdar

Filmografia

- Aleja Słoneczna*, patrz: *Sonnenallee*
Ballada o Zakaczuwiu, reż. Waldemar Krzystek, Polska 2001
Casablanca, reż. Michael Curtiz, USA 1942
Cwana bestia, czyli kryształ, 17. odc. serialu *Czterdziestolatek*, reż. Jerzy Gruza, Polska 1975-1977
For Yours Eyes Only, reż. John Glen, USA 1981
Fotograf, reż. Waldemar Krzystek, Polska 2014
GoldenEye, reż. Martin Campbell, USA 1995
The Hunt for Red October, reż. John McTiernan, USA 1990
Licence to Kill, reż. John Glen, USA 1989
Licencja na zabijanie, patrz: *Licence to Kill*
The Living Daylights, reż. John Glen, USA 1987
Mała Moskwa, reż. Waldemar Krzystek, Polska 2008
Moonraker, reż. Lewis Gilbert, USA 1979
Motór, reż. Wiesław Paluch, Polska 2005
Niebiesnyj tichochod, reż. Siemion Timoszenko, ZSRR 1945
Niewinni czarodzieje, reż. Andrzej Wajda, Polska 1960
Nóż w wodzie, reż. Roman Polański, Polska 1961
Nu, pagadi!, reż. Wiaczesław i Aleksiej Kotionoczkin, Władimir Tarasow, ZSRR 1969-1991, Rosja 1991-1995, 2005
Octopussy, reż. John Glen, USA 1983
Opowieść o prawdziwym człowieku, patrz: *Powiest' o nastojaszczem czetowiekie*
Ośmiorniczka, patrz: *Octopussy*
Polowanie na Czerwony Październik, patrz: *The Hunt for Red October*
Powiest' o nastojaszczem czetowiekie, reż. Aleksandr Stolper, ZSRR 1948
Sonnenallee, reż. Leander Haußmann, Niemcy 1999
Spaleni słońcem, patrz: *Utomlonnyje sołncem*
The Spy Who Loved Me, reż. Lewis Gilbert, USA 1977
Stalker, reż. Aleksandr Tarkowski, ZSRR 1979
Szpieg, który mnie kochał, patrz: *The Spy Who Loved Me*
Śluby kawalerskie, patrz: *Niebiesnyj tichochod*
Świat to za mało, patrz: *The World Is Not Enough*
Tylko dla twoich oczu, patrz: *For Yours Eyes Only*
Utomlonnyje sołncem, reż. Nikita Michałkow, Rosja 1994
A View to a Kill, reż. John Glen, USA 1985
W obliczu śmierci, patrz: *The Living Daylights*
Wilk i zając, patrz: *Nu, pagadi!*
The World Is Not Enough, reż. Michael Apted, USA 1999
Zabójczy widok, patrz: *A View to a Kill*

Seria „Wschód – Zachód – Konfrontacje”

Jakub Sadowski, *Między Pałacem Rad i Pałacem Kultury. Studium kultury totalitarnej* (Libron 2009).

Popkomunizm. Doświadczenie komunizmu a kultura popularna, pod redakcją Magdaleny Bogusławskiej i Zuzanny Grębeckiej (Libron 2010).

Leszek Szaruga, „*Kultura*” – *księga otwarta* (Libron 2011).

Komunistyczni bohaterowie, t. 1: *Tradycja, kult, rytuał*, pod redakcją Magdaleny Bogusławskiej, Zuzanny Grębeckiej i Ewy Wróblewskiej-Trochimiuk (Libron 2011).

Komunistyczni bohaterowie, t. 2: *Przemiana, bunt, odrzucenie*, pod redakcją Magdaleny Bogusławskiej i Zuzanny Grębeckiej (Libron 2012).

Olena Kowalenko, *Moskwa olimpijska – studium semiotyczne* (Libron 2014).

Komunizm na peryferiach. Rubieże ideologii i rzeczywistości społecznej, pod redakcją Magdaleny Bogusławskiej i Zuzanny Grębeckiej (Libron 2014).

Zmysłowy komunizm. Somatyczne doświadczenie epoki, pod redakcją Magdaleny Bogusławskiej, Zuzanny Grębeckiej i Roberta Kulmińskiego (Libron 2014).

To, co zawodowi historycy starają się wpisać w pewną matrycę ideologiczną postrzegania historii PRL, antropolodzy pragną „sprowadzić na ziemię”, a więc pokazać, że przeszłość pamiętana jest pełna Geertzowskich „załtek i szczelin”, że pamięć uczestników dawnych zjawisk wpisuje się w ciąg osobistych, lokalnych i pokoleniowych identyfikacji, które po latach nadal są ważne, przepracowane, wieloznaczne i rezonują, jeśli tylko pozwolić im pojawić się ponownie na powierzchni świadomości. [...] W ten oto sposób kulturowa pamięć o „stacjonowaniu wojsk radzieckich w Legnicy i okolicach” staje się opowieścią o ludzkim uwikłaniu w historyczny los, który został lokalnie oswojony, okazał się nie tyle historią zniewolenia i podległości, ile objawia się dzisiejszemu czytelnikowi jako Lévi-Strausowskie *bricoleur i bricolage*, a więc indywidualne i zbiorowe sposoby radzenia sobie z rzeczywistością i „Ruskimi” w taki sposób, aby w Legnicy w równej mierze „dało się żyć samemu”, jak i oswojonym Innym z „drugiej Moskwy”.

prof. dr hab. Roch Sulima

Trzeba stwierdzić, że książki Burszty i Grębeckiej nie sposób sprowadzić do formuły „źródeł etnograficznych”. To subtelnie zorganizowana relacja, w której badacz wysłuchuje głosów ludzi, odstawiających przed nim pamięć swoich doświadczeń, i zarazem wyostrza kontury przechowanego w tej pamięci świata, uprawniony do tego dzięki przywilejowi poznawczemu, stwarzanemu przez nieuchronny dystans, ową antropologiczną *felix culpa*, i dzięki zobowiązaniu, jakie płynie z przyjętej roli nieobojętnego mediatora.

dr hab. prof. UW Grzegorz Godlewski



Autorzy w Bolesławcu, cmentarz żołnierzy radzieckich

ISBN 978-83-65148-10-0



Zuzanna Grębecka – antropolożka kultury, etnolożka, adiunkt w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się antropologią komunizmu, współczesną i tradycyjną kulturą duchową, kulturą popularną, historią i kulturą państw postkomunistycznych (przede wszystkim Polski, Białorusi, Rosji, krajów nadbałtyckich). Opublikowała monografię *Słowo magiczne poddane technologii. Magia ludowa w praktykach postsowieckiej kultury popularnej* (2007) i album *Legnica 1945–1993. Podwójne życie miasta* (2013).

Jędrzej Burszta – kulturoznawca, amerykanista, doktorant na Uniwersytecie SWPS w Warszawie. Zajmuje się antropologią miasta, badaniami nad mobilnością i związkami kultury popularnej i polityki.

Od 2010 roku prowadzą badania w Legnicy i okolicach, w latach 2011–2013 realizowali grant badawczy NCN pt. *Legnica – pamięć podzielonego miasta* (kierowniczka i uczestnik), są współzałożycielami Spółdzielni Etnograficznej.